

# ROBERT SILVERBERG

## *Pożeglować do Bizancjum*



**MIKROPOWIEŚCI I OPOWIADANIA Z TEGO TOMU  
OTRZYMAŁY 4 NEBULE I 3 HUGO**



**SILVERBERG ROBERT**  
**Pozeglowac do Bizancjum**

**ROBERT SILVERBERG**

**2003**

**Łrident**

**Wydanie oryginalne**

Tytuły oryginalne i daty pierwszych wydań opowiadań:

**„Gilgamesh in the Outback” – 1986**

**„Passengers” – 1968**

**„Nightwings” – 1968**

**„Enter a Soldier. Later: Enter  
Another” – 1989**

**„Born with the Dead” – 1974**

**„Good News from the Vatican” –  
1971**

**„Sailing To Byzantium” – 1985**

**Wydanie polskie**

**Data wydania:**

**2003**

Projekt i opracowanie graficzne okładki

**Tomasz „tirez” Rybak**

**Przełożyli:**

Krzysztof Sokołowski, Piotr Gąsiewski, Robert Szmidt, Andrzej Ziembicki

**Wydawca:**

**Agencja „Solaris”**

**Małgorzata Piasecka**

ul. Generała Okulickiego 9/1,

10-693 Olsztyn

**tel/fax. (0-89)541-31-17**

e-mail: [agencja@solaris.net.pl](mailto:agencja@solaris.net.pl)

[www.solaris.net.pl](http://www.solaris.net.pl)

ISBN 83-88431-86-2

Wydanie elektroniczne

**Trident eBooks**

Gilgamesz na Pustkowiu

*Faust:*

*Najpierw o piekło chciałbym cię wypytać  
Gdzież jest to miejsce zwane tak przez ludzi?*

*Meph.:*

*Pod niebiosami.*

*Faust:*

*Tak, lecz gdzie, dokładnie?*

*Meph.:*

*We wnętrzu tych żywiołów, gdzie musimy*

*Męczyć się i pozostać już na zawsze;*

*Bo piekło nie ma granic, nie jest także*

*Ograniczone do jednego miejsca;*

*Bo tam, gdzie my jesteśmy, tam jest piekło,*

*A gdzie jest piekło, tam my być musimy.*

*I by z tym skończyć, gdy świat się rozpadnie,*

*A wszystko już zostanie oczyszczone*

***Wszędzie tam będzie piekło, gdzie nie będzie niebiosów.***

***Faust:***

***Myślę, że piekło to bajka.***

***Meph.:***

***Więc dobrze, myśl tak, póki doświadczenie***

***Nie sprawi, że odmienisz swoje zdanie***

***Christopher Marlowe, Tragiczna Historia Doktora Fausta.***

***Przełożył Juliusz Kydryński***

**Wielka, rozgałęziona błyskawica zatańczyła na horyzoncie, a ze wschodu nadleciał wiatr, tnący jak brzytwa, odzierający z życia powierzchnię równiny i wzbijający w górę chmury szarobrazowego kurzu. Gilgamesz uśmiechnął się szeroko. Na Enlila, to dopiero wiatr! Wiatr zdolny zabić lwa, wiatr wysuszający powietrze, aż trzeszczało elektrycznością. Zwierzęta z**

**równiny sprawiają największą radość, kiedy zabijasz je przy takim wietrze; mocnym, ostrym, okrutnym.**

**Zmrużył oczy i wpatrzył się w horyzont, szukając ofiary dzisiejszego polowania. W rękę trzymał łuk, wykonany z kilku gatunków najlepszego drewna; łuk, którego nie mógł naciągnąć nikt oprócz niego... i oprócz Enkidu, ukochanego, trzykrotnie traconego przyjaciela. Mięśnie miał napięte, był gotów do akcji. Przybywajcie bestie! Przybywajcie i gińcie! Bowiem dziś zabawi się z wami Gilgamesz, król Uruk!**

**Inni ludzie żyjący w tej krainie, jeśli w ogóle polowali, używali strzelb, tych obrzydliwych maszyn, które przynieśli ze sobą Nowi Zmarli. Maszyny zabijały z wielkiej odległości, hałasowały, pluły ogniem i dymem. Jeszcze bardziej śmiercionośne były lasery, wyrzucające z obrzydliwych pysków niebieskobiały płomień. Wszystkie te maszyny do zabijania to broń tchórzy. Gilgamesz nienawidził ich tak, jak nienawidził większości narzędzi, które przynosili ze sobą Nowi Zmarli – śliscy, obrzydliwi nuworysze Piekła. Jeśli nie będzie musiał, nigdy tej broni nie użyje. Przez tysiąclecia spędzone w tym nieświecie stosował zawsze środki znane z poprzedniego życia: włócznie, oszczepy, podwójne topory, łuki myśliwskie, dobre miecze z brązu. Polowanie wymaga zręczności, gdy używa się tego rodzaju broni. Wymaga wysiłku i niesie w sobie sporo ryzyka. Bo polowanie to przecież ryzyko! Trzeba więc sprostać wymaganiom, które stawia. Cóż, jeśli chodziłoby tylko o zabicie zwierzyny w najszybszy, najłatwiejszy i najbezpieczniejszy sposób, to należałoby po prostu wzbić się nad ziemię na wojskowej platformie i spuścić niewielką bombę atomową – i jednym ciosem zabić zwierzęta warte pięciu królestw!**

**Wiedział, że z powodu tych poglądów niektórzy mają go za durnia. Na przykład Cezar. Obdarzony zimną krwią i cholernie pewny siebie Juliusz z dwoma błyszczącymi rewolwerami za pasem i przewieszonym przez ramię pistoletem maszynowym.**

**–Gilgameszu, dlaczego nie przyznasz – zapytał go kiedyś Cezar, który nadjechał jeepem akurat w chwili, gdy Gilgamesz przygotowywał się do wyprawy na bezdroża Piekła – iż upieranie się przy strzałach, oszczepach i dzidach to czysta poza? Wszak nie żyjesz już w starym dobrym Sumerze.**

**Gilgamesz splunął.**

**–Polować z pistoletem samopowtarzalnym kaliber 9 mm? Polować z granatami, bombami odłamkowymi i laserami? Nazywasz to zabawą, Cezarze?**

**–Nazywam to akceptacją rzeczywistości. Czemu tak nienawidzisz techniki? Strzelba niczym się nie różni od łuku. I jedno, i drugie to wytwory techniki, Gilgameszu. Co innego, gdybyś zabijał zwierzęta gołymi rękami.**

**–Robiłem i tak.**

**–Rany! Przecież wiem, co tu jest grane. Wielki osiłek Gilgamesz... prosty, naiwny, przerośnięty bohater z epoki brązu. To też poza, przyjacielu. Udajesz głupiego, upartego, tępogłowego barbarzyńcę, bo chcesz, żeby cię zostawiono w spokoju... ty przecież tylko**

**polujesz i włączysz się, twierdząc, że nic innego cię nie interesuje. Lecz w skrytości ducha uważasz się za lepszego od tych, którzy żyli w bardziej komfortowych epokach. Masz zamiar odtworzyć tu dawne, kiepskie czasy pradawnych starożytnych, nieprawdaż? Jeśli dobrze odczytuję twoje intencje, to tylko czekasz właściwej chwili, kryjesz się z łukiem i strzałami na tym posępnym Pustkowi, aż nadejdzie, według ciebie, właściwy czas... a wtedy wzniesiesz *putsch*, który wyniesie cię do władzy. Czy nie tak, Gilgameszu? Snujesz jakieś szatańskie plany obalenia samego Szatana i władania nami wszystkimi. A kiedy to się już stanie, wszyscy będziemy żyć w miastach z gliny i skrobać po glinianych tabliczkach; tak jak to sobie wymarzyłeś. I co ty na to?**

**–Mówisz bzdury, Cezarze.**

**–Doprawdy? Mnóstwo tu królów i cesarzy; imperatorów, faraonów, szachów, prezydentów, dyktatorów a każdy, ale to każdy z nich, pragnie znów zostać Numerem Pierwszym. Zgaduję, że nie stanowisz wyjątku.**

**–I tu się mylisz.**

**–Bardzo wątpię. Podejrzewam, iż sądzisz, że jesteś z nas najlepszy; ty, twardy wojownik i wielki myśliwy, wylepiający cegły, budujący wielkie świątynie i wysokie mury, prawdziwy wzór starożytnego bohatera. Myślisz, że wszyscy jesteśmy łotrami, dekadentami i degeneratami, a tylko ty jeden pozostałeś człowiekiem cnotliwym. Lecz, jak każdy z nas, również posiadasz dumę i ambicje. Jesteś oszustem, Gilgameszu; wielkim, atletycznie zbudowanym oszustem.**

**–Ale przynajmniej nie jestem oślizłym, zdradzieckim wężem jak ty, Cezarze. Nie noszę peruki i dla czystej przyjemności nie podglądam kobiet podczas ich misteriów.**

**Cezar nie zareagował na przytyk. Powiedział tylko:**

**–Tak zatem spędzasz większość czasu, zabijając durne potwory z Pustkowie i upewniasz się, że wszyscy wiedzą, jaki to jesteś skromny, jak to na polowaniu nie chcesz mieć nic wspólnego z nowoczesną bronią. Nie zrobisz ze mnie durnia! To nie cnota powstrzymuje cię od użycia przyzwoitego dwulufowego sztucera *Rigby 470*. To wyłącznie intelektualna duma, a być może i zwykłe lenistwo. Tak się akurat złożyło, że przez te wszystkie tysiąclecia dorastałeś z łukiem w ręku. Lubisz go, bo go znasz. Ale... jakim teraz mówisz narzeczem? Czy tym groźącym połamaniem języka bełkotem znad Eufratu? Nie! To chyba angielski, prawda? Czy dorastałeś,**

mówiąc po angielsku, Gilgameszu? Czy dorastałeś za kierownicą jeepalub za sterami helikoptera? Najwyraźniej niektóre nowinki akceptujesz. Gilgamesz wzruszył ramionami.

–Rozmawiam z tobą po angielsku, ponieważ teraz mówi się tu po angielsku. W sercu słyszę starą mowę, Cezarze, w sercu jestem ciągle Gilgameszem z Uruk i będę polował, jak polowałem.

–Uruk dawno rozsypało się w proch. To życie po życiu, przyjacielu. Spędziliśmy tu już mnóstwo czasu, a spędzimy, jeśli się nie mylę, całą resztę. Nowi ludzie bezustannie przynoszą

nowe idee i nie sposób ich ignorować. Nawet ty nie możesz tego robić. Czy to, co widzę na twym ręku, to zegarek, Gilgameszu? Kwarcowy zegarek?

–Będę polował, jak polowałem – powtórzył Gilgamesz. – Jeśli używasz strzelby, przestaje to być sportem. Nie ma w tym żadnego wdzięku.

Cezar potrząsnął głową.

–I tak nigdy nie rozumiałem polowania dla rozrywki. Owszem, zabić parę jeleni, jednego czy dwa niedźwiedzie, kiedy stoi się obozem w jakimś okropnym galijskim lesie, a twoi ludzie potrzebują mięsa... tak, to rozumiem. Ale polowanie dla samego polowania? Zabijać dla przyjemności wstrętne bestie, których nie da się nawet zjeść? Na Apolla, to nonsens.

–A mnie chodzi dokładnie o to!

–Skoro więc musisz polować, skoro pragniesz odrzucić przyzwoity sztucer...!

–Nigdy mnie nie przekonasz.

–Wiem – westchnął Cezar. – I nie będę się spierał. Powinienem mieć wystarczająco dużo rozsądku, żeby nie dyskutować z reakcjonistą.

–Reakcjonistą! W swoim czasie uważano mnie za radykała! Kiedy byłem królem Uruk...

–No właśnie! – roześmiał się Cezar. – Królem Uruk! Czy istniał kiedyś król, który by nie był reakcjonistą? Wkładasz na głowę koronę, a ona natychmiast rzuca ci się na mózg. Antoniusz trzykrotnie obiecywał mi koronę, Gilgameszu. Trzykrotnie...

–... i trzykrotnie ją odrzuciłeś. Znam to. Przemawiała przez ciebie ambicja? Sądziłeś, że i bez symbolu będziesz miał władzę? Kogo próbowałeś oszukać, Cezarze? Chyba nie Brutusa? Tak przynajmniej słyszałem. Brutus twierdzi, że jesteś ambitny. A był on...

Ten cios trafił celnie.

–Zamknij się, do cholery!

–... człowiekiem honoru – skończył Gilgamesz, ciesząc się z gniewu Cezara.

–Jeśli jeszcze raz to usłyszę... – jęknął Cezar.

–Niektórzy mówią, że mamy tu cierpieć – stwierdził pogodnie Gilgamesz. – Jeśli tak jest rzeczywiście, cierpisz od tego, co o tobie napisano. Zostaw mnie z tym łukiem i strzałami, Cezarze, wracaj do jeepa i swoich tanich intryg. Oczywiście, jestem głupcem i reakcjonistą, ale ty kompletnie nie znasz się na polowaniu. I zupełnie mnie nie rozumiesz.

Ta rozmowa miała miejsce rok wcześniej, może dwa, a może pięć – z zegarkiem



czy bez zegarka nie sposób kontrolować przemijania czasu w Piekło, nad którym nieustannie czuwa nieruchome oko Raju – i teraz Gilgamesz był już daleko od Juliusza i jego marionetek, daleko od niespokojnego centrum Piekła i nużących przepychanek Cezarów, Aleksandrów, Napoleonów i innych drobnych krętaczy pokroju Guevary, którzy nieustannie ubiegali się tam o władzę.

Niech się ubiegają, jeśli chcą, ci głupawi nowi ludzie z nowych czasów. Może kiedyś zmądrzeją – czyż nie taki był cel, dla którego ich tu umieszczono; jeśli w ogóle umieszczono ich tu w jakimś celu?

Gilgamesz wolał się wycofać. W przeciwieństwie do tych wszystkich upadłych imperatorów, królów, faraonów i szachów nie odczuwał pragnienia, by przekształcać Piekło według swego widzimisie. Cezar mylił się głęboko w ocenie jego ambicji – tak głęboko, jak w ocenie jego myśliwskiej broni. Tam, na Pustkowie w szarym suchym, chłodnym sercu Piekła, Gilgamesz pragnął znaleźć spokój. Za tym też tylko tęsknił – za spokojem. Kiedyś chciał mieć więcej – ale to było dawno temu.

Cierniste krzaki poruszyły się.

Może to lew?

Nie, pomyślał Gilgamesz. W Piekło nie ma lwów. Są tylko niezwykle bestie z nieświata. Wstrętne, włochate stwory o płaskich pyskach, wielu kończynach i głupich złowrogich ślepiach, gładkie lśniące stwory o twarzach kobiet i zdeformowanych ciałach psów oraz inne znacznie, znacznie gorsze. Jedne miały obwisłe skórzaste skrzydła, inne uzbrojone były w ogony z żądłem, które podnosiły jak skorpiony. Wiele z nich posiadało pyski tak wielkie, że mogłyby połknąć słonia. Gilgamesz zdawał sobie sprawę z tego, iż są to demony ale nie robiło mu to różnicy. Polowanie jest polowaniem, zdobycz jest zdobyczą; tu bestia jest równa bestii. Ten dureń, Cezar, nie miał nawet zielonego pojęcia, że nie o zwierzynę tu chodzi.

Gilgamesz wyjął strzałę z kołczanu, nałożył ją na cięciwę i czekał.

\* \* \*

–Gdybyś kiedykolwiek odwiedził Teksas, H.P., to wiedziałbyś, że Piekło jest całkiem podobne – powiedział mocno opalony, wysoki mężczyzna o szerokiej klatce piersiowej i potężnych ramionach. Człowiek ów gestykulował zamasyście jedną ręką, a trzema palcami drugiej trzymał kierownicę land-rovera, prowadząc go niedbale, zygzakami, po równinie, na której nie było śladu drogi. Kamienistą ziemię porastały brudnozielone krzaki. Niebo przysłaniały kłęby czarnego kurzu. Daleko, na horyzoncie majaczyły nagie wzgórza, niczym czarne, popsute zęby. – Pięknie, pięknie. Wszystko tu tak przypomina Teksas, że praktycznie nie ma różnicy.

–Pięknie? – powtórzył niepewnie jego towarzysz. – Pięknie? W Piekło?

–Na tej równinie z pewnością. Ale jeśli sądzisz, że Piekło jest piękne, to powinieneś zobaczyć Teksas!

Kierowca roześmiał się, nacisnął pedał gazu i landrover ruszył szaleńczym slalomem z oszalałającą prędkością.

Drugi mężczyzna, chorobliwie chudy, o wydatnej szczęce i trupiobladej twarzy, siedział nieruchomo, trzymając kolana razem i przyciskając ręce do boków, jakby lada chwila spodziewał się groźnej kraksy. Obaj od wielu dni podróżowali przez nie

kończącą się, wyschłą równinę Pustkowiec – od jak wielu, nie potrafiliby tego stwierdzić nawet Starsi Bogowie. Wędrowcy pełnili funkcję ambasadorów: Jego Ekscelencja Robert E. Howard i

Jego Ekscelencja H.P. Lovecraft z królestwa Nowej Świętej Diabolicznej Anglii; posłowie Jego Brytyjskiej Mości Henryka VIII na dwór Prestera Johna.

W poprzednim życiu obaj parali się pisarstwem, tworzyli fantastykę, baśnie. Obecnie tkwili w czymś znacznie bardziej fantastycznym niż wszystko, co znaleźć można w ich dziełach, bowiem nie była to baśń, nie była to fantazja, lecz rzeczywistość Piekła.

–Robercie... – powiedział nerwowo bladym mężczyzną.

–Tak, do złudzenia przypomina Teksas – ciągnął Howard. – Z tym tylko, iż Piekło to wyłącznie nędzna imitacja oryginału. Załedwie pierwszy szkic. Popatrz, tam rodzi się burza piaskowa? Nasze burze piaskowe pokrywały terytorium kilku okręgów! Widzisz tę błyskawicę? W Teksasie nie zasługiwałyby nawet na miano błyskawicy!

–Gdybyś tylko odrobinę zwolnił, Bob...

–Zwolnił? Na brodę Cthulhu, człowieku, przecież prowadzę wolno!

–Oczywiście, tak ci się z pewnością wydaje.

–A ja słyszałem, H.P., że strasznie lubiłeś, kiedy ludzie wozili cię szybkimi autami. Sto, sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę; była to twoja ulubiona rozrywka, przynajmniej tak mi mówiono.

–W tamtym życiu człowiek umierał tylko raz i przestawał cierpieć – odpowiedział Lovecraft. – A tu, kiedy za każdym razem trafia się do Stróża, po powrocie pamięta się cierpienie w jego najjaskrawszych barwach... Właśnie tu, mój drogi przyjacielu, właśnie tu należy bać się śmierci. Towarzyszący jej ból pozostaje z tobą na zawsze, a umierać możesz tysiące razy. – Lovecraft z wysiłkiem uśmiechnął się bladym, żalnym uśmiechem. – Porozmawiaj sobie o tym z jakimś zawodowym żołnierzem, Bob. Z Trojańczykiem, Hunem, Asyryjczykiem, może z gladiatorem; z kimś, kto umarł i umarł, i umarł jeszcze raz. Zapytaj go o to: o śmierć, o odrodzenie, o ból; o tę straszną torturę, jaką jest ciągle przeżywanie śmierci. To straszna rzecz, umrzeć w Piekło. Tu boję się śmierci znacznie bardziej, niż kiedykolwiek bałem się jej za życia. Nie chcę niepotrzebnie ryzykować.

–Rany – parsknął Howard. – Trudno zrozumieć, o co ci chodzi! Kiedy myślałeś, że żyje się tylko raz, kazałeś wozić się po autostradzie z szybkością trzech kilometrów na minutę. Tu, gdzie nikt nie umiera na długo, chcesz, żebym prowadził jak stara baba. Cóż, spróbuję, H.P., spróbuję, chociaż wszystko we mnie krzyczy bym gnał z wiatrem w zawody. Kiedy żyjesz w wielkim kraju, uczysz się pokonywać odległości tak, jak powinny być pokonywane. A Teksas to największy kraj na świecie. Jest nie tylko miejscem, jest również stanem umysłu!

–Piekło też – stwierdził Lovecraft. – Choć chętnie się z tobą zgodzę, że Piekło to nie Teksas.

–Teksas! – rozpromienił się Howard. – Niech to diabli, jaka szkoda, że nigdy go nie widziałeś. Na Boga, ale byśmy się zabawili, gdybyś kiedykolwiek dotarł do Teksasu! Dwóch takich wykształconych dżentelmenów jak my; jeździlibyśmy tam,

gdzie sam diabeł mówi dobranoc, z Corpus Christi do El Paso i z powrotem, oglądalibyśmy świat i bez końca

opowiadalibyśmy sobie te wszystkie wspaniałe historie! Przysięgam, że grałoby ci w duszy, H.P. To piękno, którego pewnie nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić. Bezczesne niebo. Buchające żarem słońce. Otwarta przestrzeń! W Teksasie mogłyby się pomieścić i zaginąć bez śladu całe imperia! Twoje Rhode Island, H.P... można byłoby umieścić je za Cross Plains i ukryć za średniej wielkości opuncją. To, co tu widzisz, daje ci tylko słabe pojęcie o bajecznej urodzie Teksasu. Chociaż muszę przyznać, że Piekło samo w sobie jest również piękne.

–Żałuję, że nie mogę dzielić z tobą radości, jaką czerpiesz z tego krajobrazu, Robercie – odparł cicho Lovecraft, kiedy uznał, iż Howard wygłosił już wszystko, co miał do wygłoszenia.

–Nie podoba ci się? – z odrobiną urazy w głosie spytał zaskoczony Howard.

–Jedno muszę przyznać – przynajmniej jest daleko od morza.

–Tak wiele to dla ciebie znaczy?

–Wiesz, jak nienawidzę morza i wszystkiego, co z nim związane! Te obrzydliwe stwory... odrażający fetor soli w powietrzu... – Lovecraft zadrżał z obrzydzenia. – Ale ten kraj... ta pustynia... czy nie wydaje ci się ponura? Nie jest zakazana?

–To najpiękniejsze miejsce, jakie dotąd spotkałem w Piekło!

–Może to piękno jest dla mnie zbyt subtelne. Może umyka mojej uwadze. Zawsze byłem człowiekiem miasta.

–Widzę, że próbujesz mi powiedzieć, iż dla ciebie to wstrętny widok. Równie ponury i upiorny jak Płaskowyż Leng, co, H.P.? – Howard roześmiał się. –

„Pozbawione śladu życia wzgórze z szarego granitu... mroczne pustkowie skal, lodu i śniegu...” – słysząc, jak Howard cytuje jego własne słowa, Lovecraft roześmiał się niewesołym śmiechem. – Rozglądam się po Pustkowie Piekła i widząc, jak bardzo przypomina mi ono Teksas, coraz bardziej kocham to miejsce. Dla ciebie Pustkowie jest krainą grozy, jak morze, jak skutny okowami lodu Leng, gdzie ludzie mają rogi i kopyta, żywią się ciałami swych zmarłych i śpiewają hymny Nyarlathotepowi. Och, H.P., H.P., o gustach się nie dyskutuje, prawda? Cóż, istnieją przecież nawet ludzie, którzy... oho, a to co? Popatrz!

Nacisnął gwałtownie hamulec i land-rover zatrzymał się w miejscu. Małe, groźnie wyglądające coś z płonącymi oczami i ciałem pokrytym łuską wyskoczyło z ukrycia i wypadło na ścieżkę tuż przed samochodem. Stało tak naprzeciw nich, przyglądając się im z drogi i, szczerząc kły, pluło ogniem.

–Kot rodem z Piekła! – krzyknął Howard. – Piekielny kojot! Popatrz tylko na tego potworka, H.P. Widziałeś kiedyś tyle ohydy w tak małej postaci? Wystraszyłoby na śmierć samego Shoggotha!

–Możesz to paskudztwo wyminąć? – zapytał Lovecraft, najwyraźniej przerażony.

–Najpierw chcę mu się przyjrzeć z bliska – Howard sięgnął pod fotel i podniósł z zaśmieconej podłogi pistolet. – Nie czujesz dreszczu emocji na myśl, że przemierzasz krainę

pełną stworów żywcem wyjętych z kart twoich opowieści? Albo moich? Chcę

**spojrzeć prosto w oczy temu upiowski kota.**

**–Robercie...**

**–Poczekaj tu. To potrwa tylko chwilę.**

**Howard wyskoczył z land-rovera i równym krokiem zbliżył się do bestii, która wcale nie zamierzała uciekać. Lovecraft przyglądał się temu z obawą. Lada chwila stwór mógł skoczyć na Boba Howarda i jednym machnięciem uzbrojonej w straszliwe żółte pazury łapy rozerwać Teksaszczykowi gardło lub też, szukając ciepłego, bijącego serca, zatopić w piersi kły.**

**Oddaleni od siebie o trzy, może cztery metry Howard i mały potwór stali, patrząc sobie w oczy. Przez dłuższą chwilę tkwili tak nieruchomo. Howard z pistoletem w ręku pochylił się i przyglądał bestii, jakby była zwykłym śmietnikowym kotem, broniącym wejścia do brudnego zaułka. Czyżby miał zamiar ją zastrzelić? Nie, pomyślał Lovecraft. Hałaśliwy i pozornie szorstki Howard był człowiekiem zaskakująco łagodnym i nie znosił przelewu krwi ani aktów przemocy.**

**I nagle wypadki potoczyły się błyskawicznie. Z krzaków rosnących po lewej stronie drogi wyłoniło się większe zwierzę; wściekły, piekielny stwór z łbem krokodyla i potężnymi grubymi łapami o monstrualnych, wygiętych pazurach. Luźne fałdy skóry na jego gardle przebijała na wylot strzała; obrzydliwy ciemny płyn ściekał z rany na budzące odrazę niebieskoszare futro potwora. Mniejsza bestia, widząc, że większa jest poważnie ranna, natychmiast skoczyła jej na kark i radośnie zatopiała pazury w łopatce ofiary. W chwilę później z tych samych krzaków wyskoczył wysoki, potężnie zbudowany człowiek; ciemnowłosa, czarnobroda mężczyzna przybrany jedynie w przepaskę na biodrach. Najwyraźniej był myśliwym, który zranił większe zwierzę, ponieważ w ręku trzymał zdumiewająco wielki łuk, a przez plecy przewieszony miał kołczan. Bez najmniejszych oznak strachu wielkolud zerwał małe stworzenie z karku dużego, odrzucił je precz, a następnie wyszarpnął lśniący sztylet z brązu i potężnym pchnięciem wbił go w ciało swej ofiary; *coup de grace*, który powalił stwora na ziemię.**

**Trwało to tylko chwilę. Lovecraft, obserwujący wszystko zza szyby land-rovera, oszołomiony był siłą i szybkością ciosu, jak też przerażony ogromną sylwetką i zręcznością półnagiego myśliwego. Spojrzał na Howarda. Przy czarnobrodym mężczyźnie dobrze przecież zbudowany Bob wyglądał jak karzeł.**

**Przez chwilę Howard stał jak sparaliżowany i z zachwytem obserwował łowcę.**

**–Na Croma – mruknął w końcu, patrząc na wielkoluda. – Toż to Conan z Akwilonii, nikt inny! – Drżał. Zrobił chwiejny krok w kierunku potężnego mężczyzny, wyciągając ręce w dziwnym geście... czyżby był to gest poddania? – Lord Conan? – szepnął. – Wielki królu, czy to ty? Conanie! Conanie! – I na oczach zdumionego Lovecrafta, Howard padł na kolana obok martwej bestii i patrzył na ogromnego myśliwego ze strachem... i zachwytem.**

**Jak dotąd, polowanie było całkiem udane. Po długim i zadawalająco trudnym pościgu trzema strzałami położył trzy bestie. Wszystkie zręcznie poćwiartował, a mięso wyłożył jako przynętę dla innych stworów Piekła. Cieszyła go tak dobrze wykonana praca. A jednak w tym wszystkim czaiła się jakaś pustka i to o niej myślał**

**Gilgamesz. Pustka, która sprawiała, iż niezależnie od tego, jak celnie trafiały jego pociski, myśliwy był ponury i obojętny. Nie czuł prawdziwego spełnienia, pełnej realizacji zamierzeń, radości z marzeń, które się ziściły; a przecież takich wrażeń oczekiwał.**

**Dlaczego tak się działo? Czy dlatego – jak upierali się zmarli chrześcijanie – że jest w Piekło, w którym w samej jego definicji nie może być radości?**

**Gilgamesz uważał to za głupie. Ci, którzy przybyli tu, spodziewając się wiecznych mąk, w istocie skazani zostali na wieczne męki straszliwsze jeszcze od tych, jakich oczekiwali. Zasłużyli sobie na to – ci prawdziwi wierni, ci tępi Nowi Zmarli, ta banda naiwnych chrześcijan.**

**Kiedy, jeden Enki wie ile tysięcy lat temu, zaczęli tłumnie przybywać do Piekła, Gilgamesz zdumiał się. O czym to oni nie opowiadali? Rzeki wrzącego oleju. Jeziora smoły. Diabły z widłami. Na to liczyli i Administracja z radością wychodziła naprzeciw ich oczekiwaniom. Nie zabrakło Miast Tortur dla tych, którzy pragnęli tortur. Gilgameszowi nie mieściło się w głowie, iż ktoś mógł dobrowolnie ich pragnąć. Nikomu z Dawnych Zmarłych nie udało się zrozumieć absurdalnych Nowych Zmarłych z ich obsesją kary. Jak to nazwał ich Sargon? Masochiści; tak, użył tego właśnie słowa. Żałośni masochiści. Ale wtedy ten mały, chytry Machiavelli, przepraszając, że nie zgadza się z Sargonem, stwierdził:**

**–Nie, panie, natura Piekła zostałaby pogwałcona, gdyby na tortury wysyłano prawdziwych masochistów. Na tortury trafiają tylko byczki, bufony, tępe osiłki oraz ci, którzy z natury są tchórzami.**

**August też miał na ten temat coś do powiedzenia. I Cezar, i ta egipska suka, Hatszepsut, ze sztuczną brodą i zdumiewającymi oczyma. Wszyscy zaczęli mówić na raz, po raz kolejny starając się zrozumieć chrześcijańskich Nowych Zmarłych. Aż w końcu Gilgamesz, już wychodząc z sali, odparł:**

**–Cały wasz kłopot polega na tym, że próbujecie doszukać się w tym sensu. Ale gdybyście byli tu tak długo jak ja...**

**Jednak musiał przyznać, że rzeczywistość Piekła okazała się wcale niepodobna do tej, jaką obiecywali kapłani. Dawno temu, w Uruk, miejsce, gdzie zmarli mieli mieszkać w wiecznej nocy i wiecznym smutku, przebrani za ptaki i za całe odzienie mając skrzydła, nazywali Domem Mroku i Pyłu. Mieli się tam żywić pyłem zamiast chleba i gliną zamiast mięsa. Ziemscy królowie, władcy i wielcy prawodawcy musieli pędzić tam skromny żywot i pokornie usługiwać demonom. Nic dziwnego zatem, że on sam też nienawidził śmierci,**

**wierząc, że aż do końca czasu czeka go taki właśnie los.**

**No i okazało się to w końcu tylko głupim mitem. Gilgamesz pamiętał, jakie było Piekło, kiedy tu trafił. Pozornie bardzo przypominało Uruk: niskie budynki o płaskich dachach, zbudowane z wybielonej słońcem cegły i tarasowo wznoszące się świątynie. I spotkał wszystkich bohaterów z dawnych czasów, żyjących tak jak żyli dawniej: spotkał swego ojca Lugalbandę i ojca swego ojca, Enmerkara, i Ziusudrę, który zbudował arkę i wyratował ludzkość z Potopu, i innych, aż do zarania dziejów. Przynajmniej tak było, kiedy trafił do Piekła; później odkrył, że są i inne dystrykty,**

gdzie ludzie mieszkają w jaskiniach, albo w jamach w ziemi, albo w chatynkach z sitowia. I jeszcze inne, gdzie żyje Włochaty Człowiek, który w ogóle nie buduje domów. Większość tych rejonów odmieniona została nie do poznania przez tych, którzy najpóźniej przybyli do Piekła. Oczywiście – wraz z Nowymi Zmarłymi pojawiły się tu różne nonsensowne obrzydlistwa oraz idiotyczne ideologie. Lecz mimo to sam pomysł, że wielkie terytorium – o wiele większe niż jego ukochany Kraj Dwóch Rzek – istnieje tylko po to, by ukarać zmarłych za ich grzechy, wydawał się Gilgameszowi tak głupi, że nie warto było go w ogóle rozważać. Czemu więc radość z polowania okazała się tak blada, tak płytka? Czemu nie czuł tej wielkiej ekstazy, w jaką wprowadzało go tropienie zwierzyny, naciąganie łuku, świst pocisku, który trafia w cel? Gilgamesz sądził, że wie czemu – i nie miało to nic wspólnego z karą. Przez wiele tysięcy lat spędzonych w Piekłe największą przyjemność czerpał z polowania. Jeśli więc już nie cieszą go łowy, to wyłącznie dlatego, że poluje sam, że nie ma z nim Enkidu – przyjaciela, prawdziwego brata, jego drugiej połowy. Chodziło o to i tylko o to; bo od chwili, kiedy spotkali się po raz pierwszy, od chwili, gdy stoczyli ze sobą walkę – dawno temu, jeszcze w Uruk – i pokochali się jak rodzeni bracia, bez Enkidu Gilgamesz czuł się samotny. Nikogo nie kochał tak, jak kochał tego rozrośniętego w barach, silnego jak on sam, włochatego, dzikiego stwora rodem z gór.

Lecz przeznaczeniem Gilgamesza – tak przynajmniej mogło się wydawać – było tracić przyjaciela, odzyskiwać go i znowu tracić. Stracił Enkidu dawno, dawno temu, kiedy mieszkał jeszcze w Uruk; tego strasznego dnia, kiedy bogowie, mszcząc się na nich za ich dumę, zesłali gorączkę, która zabiła Enkidu. Później i Gilgamesza dosięgła śmierć. Trafił do Piekła, które znalazł innym i całkiem niepodobnym do tego, jakim opisywali go kapłani i skrybowie jego Kraju. Długo szukał Enkidu i pewnego wspaniałego dnia znalazł go. Choć Piekło było wówczas jeszcze bardzo małe i wszyscy się tam znali, odnalezienie Enkidu zabrało mu cały wiek. Ach, jakaż radość zapanowała tego dnia w Piekłe! Ach, jak tańczono tam i śpiewano, bawiono się bez końca! W tamtych czasach mieszkańcy Piekła byli jeszcze dla siebie uprzejmi i każdy cieszył się szczęściem, które spotkało Gilgamesza i Enkidu. Minos z Krety pierwszy wyprawił na ich cześć wielką ucztę. Później przyszła kolej na Amenhotepa, Agamemnona i smukłego, ciemnego Yarunę, króla Meluhhan. Piątego dnia bohaterowie zgromadzili się w starożytnej sali łowców z epoki lodowcowej, którym przewodził jednooki Vyotin. Posadzka komnaty wyłożona była kłami mamutów. A później...

No cóż, święto zjednoczenia trwało i trwało. Działo się to na długo przedtem, nim pojawiły się hordy Nowych Zmarłych; owych tępych, małych, zwykłych ludzi ze zwykłych czasów, którzy przynieśli ze sobą złośliwe małe demony i obrzydliwy system potępienia i kary. Przed ich przybyciem Piekło, gdzie żyło się po prostu życiem po życiu, było zupełnie inne i znacznie szczęśliwsze.

Przez niezliczone lata Gilgamesz i Enkidu mieszkali w pałacu Gilgamesza w Piekłe tak, jak dawnymi czasy mieszkali w Kraju Dwóch Rzek. I wszystko było między nimi dobrze. Polowali nieustannie, ucztowali i zażywali w Piekłe szczęścia nawet wtedy,

kiedy zaczęli przybywać Nowi Zmarli, przynosząc ze sobą straszne zmiany.

Ci Nowi Zmarli, o skażonych duszach i słabych umysłach, byli ludźmi pozbawionymi honoru, a ich drobne, nic nie znaczące spory i pełne próżności pozy, jakie przybierali, okazały się strasznie męczące. Ale Gilgamesz i Enkidu trzymali się z dala od nowo przybyłych, którzy ponownie odgrywali głupotę swego życia; bezsensowne wyprawy krzyżowe, kretyńskie wojny o rynki zbytu, śmieszne kłótnie teologiczne. Kłopot w tym, że wraz z nimi pojawiły się w Piekło nie tylko idiotyczne idee, lecz także przekłete wynalazki, z których najgorszym okazała się broń nazywana „palną”, zabijająca z hukiem, z daleka, w najbardziej tchórzliwy sposób. Bohaterowie wiedzieli, jak odeprzeć cios zadany toporem o dwóch ostrzach, jak sparować pchnięcie miecza, lecz wobec wysłanej z daleka kuli, największy nawet heros był bezradny. Enkidu miał pecha – znalazł się pomiędzy dwiema zwaśnionymi grupami uzbrojonymi w strzelby: hordą bełkoczących Hiszpanów i bandą aroganckich Anglików. Chciał ich uspokoić. Oczywiście ani jedni, ani drudzy nie chcieli spokoju. Wkrótce padły strzały i Gilgamesz wkroczył na scenę akurat w chwili, w której kula z arkebuza przebiła szlachetne serce jego ukochanego Enkidu.

W Piekło nikt nie umiera na zawsze, lecz niektórzy pozostają martwi bardzo długo. To właśnie przydarzyło się Enkidu. Stróż, dla kaprysu trzymał go w otchłani zapewne kilkaset lat – ile dokładnie, trudno powiedzieć, bo tego rodzaju wyliczenia zawsze sprawiały w Piekło duży kłopot. W każdym razie trwało to strasznie długo i Gilgamesza dręczyła samotność. Ranę uleczyć mógł tylko powrót Enkidu. Piekło zmieniało swe oblicze w oszałamiającym tempie. Najwyraźniej na świecie było znacznie więcej ludzi niż kiedykolwiek w dawnych czasach i do Piekła wkraczały codziennie całe zastępy umarłych, tłumy dziwnych, nieokrzesanych ludzi, którzy po krótkim okresie zakłopotania i dezorientacji szybko zabierali się do przerabiania Piekła na modłę odpychającego, pogrążonego w chaosie świata, który zostawili za sobą. Pojawił się hałaśliwy silnik parowy i coś, co nazywali „prądnicą”. Ulice miast zaczęło zalewać jaskrawe światło elektryczne. Przyszły fabryki wypluwające z siebie przeróżne paskudztwa; nieustannie rodziło się coś nowego: koleje, telefony, samochody... hałas, dym, odpady; aż nie było już przed tym ucieczki. Nowi Zmarli nazywali to „Rewolucją Przemysłową”. Szatan, armia jego urzędników z Administracji oraz wszyscy mieszkańcy Piekła zdawali się kochać te nowinki – wszyscy, oprócz Gilgamesza i nielicznych

zatwardziałych konserwatystów.

–Czego oni właściwie chcą? – zapytał pewnego dnia Rabelais. – Zamienić to miejsce w Piekło?

Teraz Nowi Zmarli przynosili ze sobą urządzenia takie jak radia, helikoptery, komputery i wszyscy mówili po angielsku. Gilgamesz, który dawno, dawno temu, pod presją Agamemnona i jego kompanów niechętnie nauczył się greki, zmuszony był przyswoić sobie kolejne narzecze: skomplikowane i wykręcające mu język. Był to dla niego straszny okres. Lecz, w końcu, Enkidu znów się pojawił – daleko, w jednym z mroźnych królestw północy – i znalazł prowadzącą na południe drogę. Przez pewien czas znowu byli razem i Gilgamesz ponownie zaznawał szczęścia.

Lecz przecież znów się rozstali. Tym razem rozdzieliło ich coś zimniejszego i okrutniejszego niż sama śmierć. Nie do wiary, lecz pokłócili się. Padły między nimi słowa, wstrętne słowa, wypowiedziane przez obie strony. Takie słowa nigdy nie padły między nimi od tysięcy lat ani w krainie żywych, ani w Piekło. I w końcu Enkidu powiedział coś, czego Gilgamesz w najkoszmarniejszych snach nie spodziewał się usłyszeć:

–Nie chcę cię więcej znać, władco Uruk. Jeśli wejdiesz mi ponownie w drogę, zapłacisz życiem!

Gilgamesz zastanawiał się, czy słowa te wypowiedział Enkidu, czy też jakiś zrodzony w Piekło demon, który tylko przybrał jego postać.

W każdym razie Enkidu odszedł. Zniknął w niezgłębionych otchłaniach Piekła, tam, gdzie Gilgamesz nie mógł do niego osobiście dotrzeć. Kiedy wysyłał posłańców, ci wracali z odpowiedzią:

–Nie będzie z tobą rozmawiał! Nie kocha już Gilgamesza.

To niemożliwe. To jakieś czary, myślał Gilgamesz. Z pewnością okrutna sztuczka Piekła Nowych Zmarłych, zdolnych zwrócić brata przeciw bratu, skłonić Enkidu, by zaciął się w gniewie. Gilgamesz był pewien, że w odpowiednim czasie Enkidu pokona czar, który zawładnął jego duszą i jeszcze raz otworzy ją na miłość przyjaciela. Lecz czas upływał w ów nieokreślony, właściwy Piekłu sposób, a Enkidu nie wracał by rzucić się w ramiona brata.

Cóż więc pozostawało Gilgameszowi?

Polować. Czekać. Mieć nadzieję.

Tak więc tego dnia Gilgamesz polował na wyschniętym Pustkowi. Zabił już trzy potwory, a pod koniec dnia przebił strzałą gardło najstraszliwszej bestii Piekła. Stwór był niesamowicie żywotny i czmychnął natychmiast, choć z przebitego gardła ciekły mu strumienie ciemnej krwi.

Gilgamesz ruszył w pogoń. To grzech zranić i nie dobić. Przez długą, morderczą godzinę przemierzał biegiem niegościnną krainę. Cierniste krzewy darły mu ciało niczym pazury złośliwych upiorów, wichura smagała biczami piasku, lecz złowrogi stwór, choć znaczył swój trop strumieniami wsiąkającej w suchą ziemię posoki, ciągle był daleko w przedzie.

Gilgamesz nie ustawał w pościgu. Moc odziedziczył po boskim Lugalbandzie; jego wielki ojciec był zarówno królem, jak i bogiem. Heros, nie pomny na nic, parł do przodu. Trzykrotnie tracił z oczu swą ofiarę i trzykrotnie odnajdywał jej krwawy ślad. Mętne, czerwone oko piekielnego słońca wydawało się drwić z jego wysiłków. Wisiało niezmiennie przed nim, jakby pragnęło, by pędził przed siebie w nieskończoność.

I wtedy, na tle gęstej kępy poskręcanych, niewielkich drzew o grubych błyszczących liściach dostrzegł stworzenie. Potwór ciągle biegł, lecz najwyraźniej słał się na łapach. Bez chwili wahania Gilgamesz ruszył w jego stronę. Drzewa natychmiast pożądliwie wyciągnęły konary, oblepiając łowcę śluzem. Niczym chętne kurtyzany wciskały mu między nogi liście, lecz on roztrącił je i wypadł na polanę, by zmierzyć się ze zwierzęciem.

Jakaś niewielka obrzydliwa bestia siedziała na grzbiecie jego ofiary, wyrrywając jej



z ciała strzępy mięsa, niszcząc skórę. Obok stał land-rover, a zza jego szyby wyglądał blady, dziwny mężczyzna z wydatną szczęką. Drugi jegomość, o czerwonej twarzy i potężnej muskulaturze, stał koło ryczącej i parskającej bestii, którą ścigał Gilgamesz.

Myśliwy zaczął od najważniejszego. Wyciągnął dłoń, złapał syczącego obrzydliwie ścierwojada, zerwał go z karku potwora i odrzucił daleko w krzaki. Później z całych sił uderzył sztyletem w miejsce, gdzie – jak się spodziewał – biło serce bestii. W chwili, gdy klinga wchodziła w ciało, Gilgamesz poczuł, jak przez pierś zwierzęcia przebiega konwulsyjne drżenie. Piekielne życie natychmiast opuściło stwora.

Dzieło było skończone. Ale heros nie czuł radości, nie czuł spełnienia, a tylko lekką ulgę, że zrobił, co miał zrobić. Zaczerpnął tchu i rozejrzał się dookoła.

Co się tu dzieje? Mężczyzna o czerwonej twarzy najwyraźniej zwariował. Trząst się, pocił, drżał... padł na kolana... w oczach lśniło mu szaleństwo...

–Lord Conan? – krzyknął. – Wielki król?

–Nigdy nie używałem przydomka „Conan” – odparł zdziwiony Gilgamesz. – Niegdyś byłem królem, królem Uruk, ale tu nie rządę niczym. Rusz się człowieku, wstań z klęczek!

–Ależ ty jesteś Conan. Jak żywy – jęknął ochryple mężczyzna o czerwonej twarzy. – Jak żywy!

Gilgamesz poczuł zdecydowaną niechęć do tego człowieka. Za chwilę pewnie zacznie się ślinić z zachwytu, pomyślał. Conan? Conan? Imię nic mu nie mówiło. Nie, chwileczkę, znał kiedyś pewnego Conana. Tak nazywał się maleńki Celt, którego spotkał w gospodzie; facet z dużym nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi i spadającymi na oczy strąkami czarnych włosów. Pijany, chwiejący się na nogach drobny człowieczek bezustannie wzywający jakichś nic nie znaczących bogów... tak, o ile nie zawodziła go pamięć, człowiek ten nosił imię Conan. Wypił za dużo, zaczepiał barmankę i nawet się na nią zamierzył; tak, to ten. Gilgamesz wrzucił awanturnika do kloaki, by nauczyć go dobrych manier. Lecz jak ten gość z czerwoną twarzą mógł go pomylić z tamtym Celtem! I ciągle coś bełkotał, mamrotał pod nosem nazwy krajów, które nic Gilgameszowi nie mówiły: Cymeria, Akwilonia, Hyrkania, Zamora... Kompletny nonsens. Takie kraje nigdy nie istniały!

I ten błysk w jego oczach... jak on patrzył na Gilgamesza! Z uwielbieniem, niemal jak kobieta, która decyduje się zdać na łaskę i niełaskę mężczyzny.

Swego czasu patrzyło tak na niego wielu ludzi, kobiety i mężczyźni. Gilgamesz lubił ten wyraz twarzy u kobiet, ale nie u mężczyzn. Zmarszczył czoło. Co on sobie myśli, kim niby jestem? Czy sądził, jak inni przed nim, że skoro kocham Enkidu miłością tak ogromną, to jestem mężczyzną, który kładzie się z innymi mężczyznami tak, jak mężczyźni kładą się z kobietami? Ale to się nie zdarzy. Nie, powiedział sobie Gilgamesz, nie zdarzy się nawet w Piekło. Nigdy się nie zdarzy.

–Powiedz mi wszystko – domagał się mężczyzna o czerwonej twarzy. – Wszystko o swych czynach, które wymarzyłem w twoim imieniu, Conanie. Powiedz mi, jak to naprawdę było? Jak było tam, na lodowych polach, kiedy spotkałeś córkę śnieżnego giganta... i kiedy żeglowałeś na „Tygryscy” z królową Czarnego Wybrzeża... i kiedy

zaatakował stolicę Akwilonii i ściała siedzącego na tronie króla Numedidesa.

Gilgamesz z niesmakiem patrzył na czołgającego się u jego stóp obcego mężczyznę.

–Człowieku, skończ z tymi bzdurami – powiedział kwaśno. – Wstawaj. Pomyliłeś mnie z kimś.

Drugi mężczyzna zdążył w tym czasie wyjść z landrovera i właśnie się do nich zbliżał. Sprawiał dziwne wrażenie, chudy jak szkielet i blady jak trup, szyję miał długą i cienką jak u czapli – wyglądała na zbyt słabą, by utrzymać dużą głowę o wydatnej szczęce. I był osobliwie ubrany. Miał na sobie kilka warstw czarnych ubrań, jakby lękał się najmniejszego chłodu. Jednocześnie emanowała z niego łagodność i zaduma; stanowił zupełne przeciwieństwo swego przyjaciela o błyszczących dziką gorączką oczach. Mógłby być skrybą albo kapłanem, pomyślał Gilgamesz. Lecz kim jest jego towarzysz, wiedzą tylko bogowie.

Chudy mężczyzna dotknął ramienia swego kompana i powiedział:

–Opanuj się, człowieku. To z pewnością nie twój Conan.

–Jak żywy! Wypisz, wymaluj on! Potężny... wspaniały... sposób, w jaki zabił potwora...

–Bob, Bob, Conan to wymysł! Conan to wytwór fantazji! Wymyśliłeś go od początku do końca. Daj spokój, wstawajże! – I, zwracając się do Gilgamesza, dodał: – Tysiącrotnie przepraszam, szanowny panie. Mój przyjaciel... reaguje bardzo żywo...

Gilgamesz odwrócił się, wzruszył ramionami i popatrzył na upolowane zwierzę. Do tych dwóch nie miał nic i nic go nie obchodzili. Właściwe oprawienie bestii może mu zająć resztę dnia; a później trzeba jeszcze zaciągnąć ciężką skórę do obozowiska, zdecydować, co chce zostawić sobie jako trofeum... Za plecami usłyszał dudniący bas mężczyzny o czerwonej twarzy:

–Dzieło wyobraźni, H.P.? A skąd ta pewność? Sądziłem, że wymyśliłem Conana, ale co, jeśli żył naprawdę, jeśli tylko wykorzystałem jakiś potężny pierwotny archetyp. Może w tej chwili stoi przed nami autentyczny Conan...

–Mój drogi Robercie, twój Conan miał niebieskie oczy. Nie myślę się, prawda? A oczy tego człowieka są czarne jak noc.

–No cóż – niechętnie burknął Howard.

–Tak się podnieciłeś, że spadło ci bielmo na oczy. Ale nie mnie. To jakiś barbarzyński wojownik, tak, niewątpliwie wspaniały myśliwy. Może Nimrod. Może Ajax. Ale nie Conan, Robercie! Udziel mu prawa do własnej tożsamości. To nie twój wymysł. – Zbliżając się do Gilgamesza, mężczyzna z wystającą szczęką powiedział w sposób grzeczny, dworski:

–Szanowny panie, nazywam się Philips Lovecraft, mieszkałem kiedyś w Providence, w stanie Rhode Island, a mój towarzysz to Robert E. Howard z Teksasu. Przed śmiercią żyliśmy w dwudziestym stuleciu po Chrystusie i byliśmy zawodowymi twórcami powieści. Sądzę, że ten człowiek pomylił pana z bohaterem, którego sam wymyślił. Uwolnij jego umysł od przywidzeń i, proszę, pozwól nam poznać twe imię.

Gilgamesz podniósł wzrok na chudego człowieka, grzbietem dłoni otarł z czoła

posokę bestii i spojrział mu wprost w oczy. Ten przynajmniej, choć wyglądał dziwnie, nie był szalony.

Gilgamesz powiedział cicho:

–Moim zdaniem, jego umysł nie da się uwolnić od przywidzeń. Wiedźcie jednak, że jestem Gilgamesz, syn Lugalbandy.

–Gilgamesz Sumeryjczyk? – szepnął Lovecraft. – Gilgamesz, który pragnął żyć wiecznie?

–Jestem Gilgamesz, tak, władałem Uruk, kiedy było to najwspanialsze miasto w Kraju Dwóch Rzek i to ja w swej głupocie sądziłem, że można oszukać śmierć.

–Czy ty to słyszysz, Bob?

–Nieprawdopodobne. Nie do wiary – mruknął drugi mężczyzna. Prostując się, Gilgamesz popatrzył na nich z góry i powiedział przerażająco dźwięcznym głosem:

–Ja jestem Gilgamesz, któremu objawiono wszystko, rzeczy tajemne, prawdy o życiu i śmierci, a zwłaszcza prawdę o śmierci. Kochałem się z Inaną Boginią w łóżu Świętego Małżeństwa, zabijałem demony i rozmawiałem z bogami, sam w dwóch częściach jestem bogiem, a tylko w jednej śmiertelnikiem. – Przerwał i spojrział na nich, dając im czas na utrwalenie w pamięci słów, które wielokrotnie już recytował w podobnych sytuacjach. A później, dodał ciszej: – Kiedy zabrała mnie śmierć, trafiłem do tego nieświata i jestem tu myśliwym. Proszę, wybacźcie mi, bo jak widzicie, muszę dokończyć dzieła.

Znów odwrócił się do nich plecami.

–Gilgamesz – powtórzył zdumiony Lovecraft, a jego przyjaciel powiedział:

–Nawet gdyby przyszło mi tu żyć do końca wszelkich czasów, H.P., nigdy się do tego nie przyzwyczaję. To o wiele fantastyczniejsze niż spotkanie prawdziwego Conana! Wyobraź sobie: Gilgamesz!

To okropnie męczące, pomyślał Gilgamesz. Te zachwyty, te pokłony.

Oczywiście, cały kłopot wynikł z tego cholernego poematu. Rozumiał, czemu Cezar tak się irytuje, kiedy ludzie podlizują mu się cytatami Szekspira. „Och, człowieku, on kroczy przez nasz mały świat jak Kolos!” i inne takie; Cezara zazwyczaj już po drugim słowie trafiał szlag. Kiedy raz zajmą się tobą poeci, to – prawdę tę odkrył już dawno Gilgamesz a po nim Odyseusz, Achilles, Cezar i wielu, wielu innych – twoje prawdziwe „ja” zaczyna znikać, a rośnie „ja” poetyckie, pożera wszystko i zmienia człowieka w chodzący banał. Gilgamesz stwierdził, że szczególnie złośliwy był w tej materii Szekspir – wystarczy zapytać o to Ryszarda Trzeciego, Makbeta czy Owena Glendowera. Można ich spotkać, gdy włączą się wkurzeni po bocznych uliczkach Piekła. Jeśli tylko otworzą usta, ludzie zaraz spodziewają się usłyszeć od nich coś w rodzaju: „Czy to sztylet widzę przed sobą?”, albo „Mogę przywołać duchy otchłannych głębin”. Gilgamesz musiał nauczyć się żyć z tym od pierwszego dnia swego pobytu w Piekło, bowiem poematy o nim, całą tę pompatyczną nudę, zaczęto pisać niemal natychmiast po jego śmierci. Powstały całe tomy opowieści o Gilgameszu, bardzo luźno związanych z rzeczywistością, a później, przez kolejne tysiąclecia Babilończycy, Asyryjczycy i nawet ci śmierzący czosnkiem Hetyci zaczęli je przekładać i przyozdabiać własnymi zmyśleniami, aż w końcu od

krańca do krańca znanego świata umieli je na pamięć. Kiedy ludy te odeszły, a ich języki zginęły, nie nadszedł bynajmniej spokój, bowiem w dwudziestym wieku ludzie znów to wszystko odkryli, odczytali jakieś teksty i sława wróciła. Przez stulecia zrobiono z Gilgamesza uniwersalnego bohatera, co cholernie utrudniało mu życie; kawałek Gilgamesza tkwił w micie o Prometeuszu, kawałek w opowieści o Herkulesie i w historii wędrowek Odyseusza, nawet w mitach celtyckich; pewnie dlatego ten niesamowity Howard z uporem nazywał go Conanem. Ten drugi Conan, ten obdarty, zapijaczony, łzawy gość, on był przynajmniej Celtem. Na uszy Enlila, strasznie to męczące starać się dorównać wyczynom bohaterów z kilkudziesięciu co najmniej kultur. I żenujące, w stosunku do bohaterów rzeczywistych, niemitycznych: Herkulesa, Odyseusza i innych, którzy też tu trafili i którzy przywiązani byli mocno do legend o sobie, mimo że okazały się one tylko wariacjami na temat jeszcze starszych opowieści, których bohaterem był on, Gilgamesz.

Oczywiście, w tych poetyckich historiach tkwiło ziarno prawdy, zwłaszcza w tym, co dotyczyło jego i Enkidu; ale każdy poeta doprawia swe opowieści mnóstwem pretensjonalnych, artystycznych bzdur, bo taki jest już zwyczaj poetów. Ponadto nużący jest fakt, iż długie i trudne życie przycina się do owych dwunastu ksiąg, a każdą z nich do dwunastu rozdziałów. W końcu Gilgamesz stwierdził, że sam zaczyna cytować najbardziej znany poemat, w którym Gilgamesz poszukuje wiecznego życia. Ten utwór przynajmniej nie odbiegał tak bardzo od prawdy, chociaż mnóstwo szczegółów ozdobiono detalami, które „przemawiają do wyobraźni” i gdzie bohater sam się przedstawia: „Jestem człowiekiem, któremu objawiono wszystko, tajemne prawdy, prawdy życia i śmierci...” Przedstawiać się słowami poety, okropne, okropne. Gilgamesz ze złością zamachnął się sztyletem i zaczął obdzierać bestię ze skóry, podczas gdy dwaj mali ludkowie za jego plecami mruzcili i

bełkotali coś do siebie zdumieni, że w tym nieciekawym, odległym zakątku Piekła spotkali Gilgamesza z Uruk.

Duszę Roberta Howarda przepelniały sprzeczne uczucia. Mógł jeszcze wybaczyć sobie, że przez jedną szaloną chwilę sądził, iż Gilgamesz jest Conanem. Był to wynik jego artystycznego temperamentu: to on spowodował ów wybuch gorączkowego entuzjazmu. Spotkać nieoczekiwanie na bezludziu muskularnego giganta w przepasce na biodrach, atakującego złowrogiego potwora małym sztyletem z brązu i uwierzyć, że to z pewnością potężny Cymeryjczyk – to jeszcze można wybaczyć. Tu, w Piekło, człowiek uczy się szybko, że może spotkać praktycznie każdego. Dowiaduje się na przykład, że gra w kości z lordem Byronem, pije grzane wino z korzeniami z Menelausem albo dyskutuje z Platonem o ideach Nietzschego, który stoi obok i robi głupie miny. Po pewnym czasie zaczyna się to traktować jako rzecz zwyczajną; no, mniej więcej zwyczajną.

Czemu więc nie miałby wziąć tego typka za Conana? To, że Conan miał oczy innego koloru, było bez znaczenia. Drobiazg! Przecież ten tu przypominał Cymeryjczyka w każdym istotnym szczególe. Był jego wzrostu. Miał jego siłę. I inne cechy, nie tylko fizyczne. Posiadał chłodną, analityczną inteligencję, skomplikowaną duszę, królewską odwagę i niepokornego ducha Conana.

**Problem tkwił w tym, że Conan, wspaniały cymeryjski wojownik z dziewiętnastego tysiąclecia przed Chrystusem, żył tylko i wyłącznie w wyobraźni Howarda. A w Piekło nie spotykało się wymyślonych postaci. Można się było natknąć na Richarda Wagnera, ale nie na Zygryda. Wilhelm Zdobywca tu był; Wilhelm Tell nie.**

**Wszystko w porządku, pomyślał Howard. Ten krótki sen o spotkaniu Conana w Piekło stanowił wyłącznie przejaw mego samouwielbienia, narcyzmu; z powodzeniem obędę się bez tego wojownika. Spotkać autentycznego Gilgamesza – och, o ileż to bardziej interesujące! Prawdziwy król Sumeru, rzeczywisty tytan z początków historii, nie jakaś papierowa postać z komiksu, stanowiąca projekcję czyichś snów o potędze. To śmiertelnik z krwi i kości, który żył pełnią życia, toczył wielkie bitwy, spacerował ramię w ramię ze starożytnymi bogami, walczył z nieuchronną śmiercią, a poprzez śmierć stał się mitycznym archetypem nieśmiertelności – ach, to naprawdę ktoś, kogo warto było poznać! A jednocześnie Howard musiał przyznać, że z rozmowy z Conanem dowiedziałyby się dokładnie tyle, ile mogłoby mu powiedzieć jego własne odbicie w lustrze. Zaś spotkanie z „prawdziwym” Conanem, jeśli w ogóle byłoby możliwe, wprowadziłoby w jego umyśle taki zamęt, że niechybnie straciłby zdrowy rozsądek. Nie, pomyślał Howard, lepiej, że natknąłem się na Gilgamesza. Tak, dużo lepiej! Był o tym święcie przekonany.**

**Tylko ta druga sprawa... nagle, zdumiewająca chęć, by rzucić się do stóp giganta, paść mu w ramiona, poczuć ich miażdżący uścisk...**

**O co w tym chodziło? Skąd w ogóle taka myśl? Na płonące serce Arymana, cóż to do diabła może znaczyć?**

**Howard pamiętał, jak kiedyś, w swym poprzednim życiu, pojechał obejrzeć tamę w Cisco i spotkał rozebranych robotników budowlanych skaczących do wody. Byli to dobrze zbudowani i poruszający się z wielką gracją mężczyźni. Obserwował ich przez krótką chwilę, podziwiając fizyczną doskonałość. Mogli być ożywionymi nagle greckimi posągami, bandą lubieżnych Apollów i Zeusów. A potem, słysząc jak krzyczą, śmieją się, wywrzaskują do siebie różne świństwa, rozgniewał się; dostrzegł w nich jedynie stado bezmyślnych zwierząt, zupełne przeciwieństwo takich marzycieli jak on. Nienawidził ich tak, jak słaby nienawidzi silnego; nienawidził tych wspaniale rozrośniętych chamów zdolnych dla kaprysu rozdeptać marzycieli wraz z ich marzeniami. Wtedy też przypomniał sobie, że sam wcale nie jest słabeuszem, że kiedyś był słaby i rachityczny, i tylko dzięki woli i ciężkiej pracy wyrósł na silnego i potężnego mężczyznę. Jego ciało nie było wprawdzie tak piękne jak ich ciała – był na to zbyt wielki, zbyt gruby – ale jednak, tłumaczył sobie wtedy Howard, nie ma na świecie mężczyzny, któremu w walce nie mógłby połamać żeber. I odszedł z tego miejsca pełen gniewu i krwiożerczych myśli.**

**O co mu wtedy chodziło? Ta z trudem powstrzymana furia... czy była to mroczna, ukryta żądza? Tęsknota za najbardziej zwierzęcym z grzechów? Czy gniew, który wzbudzili w nim robotnicy, miał maskować gniew, który powinien skierować na siebie za to, że patrzył na ich nagie ciała i sprawiało mu to przyjemność?**

**Nie! Nie, nie, nie! Nie był żadnym degeneratem. Z pewnością nie. Pożądanie mężczyzny przez mężczyznę stanowi oznakę dekadencji, upadku cywilizacji. A on był**

człowiekiem z pogranicza, nie onanistą czy sodomitą nurzającym się w brudach i grzechu lubieżności. Jeśli w swym krótkim życiu nie poznał miłości kobiety, to jedynie z braku okazji, a nie z powodu jakichś haniebnych preferencji. Przeżył swe dni w małym miasteczku na prerii, na granicy cywilizacji, poświęcając się wyłącznie matce i pisaniu, świadomie odsuwając od siebie myśl o prostytutkach i kobietach lekkich obyczajów. Gdyby jednak żył trochę dłużej i spotkał kobietę, z którą zapragnąłby zostać, to odrzuciłby wszelkie skrupuły i przepełniony namiętnością, poszedłby za wybranką bez namysłu.

A jednak... a jednak... ta chwila, kiedy po raz pierwszy ujrzał Gilgamesza i pomyślał, że to Conan...

Poczuł dreszcz rozkoszy biegnący po kręgosłupie, palenie w łądźwiach... czym mogło to być, jeśli nie pożądaniem; natychmiastowym, wielkim, oszalamiającym? Pożądał mężczyzny? Nie do pomyślenia! Nawet jeśli miał to być wielki bohater... wspaniały król...

Nie, nie, nie!

Jestem w Piekło i to jest moja kara, pomyślał Howard.

Przechadzał się niespokojnie wzdłuż land-rovera, tam i z powrotem. Rozpaczliwie walczył z mrocznym pragnieniem, które lada chwila mogło ogarnąć go całego, tak jak to zdarzało się w poprzednim życiu i w obecnym życiu po życiu. Owe napady wstrętnych, zboczonych uczuć, myślał Howard, są niczym innym jak diaboliczną deprawacją mego

naturalnego ducha, która ma doprowadzić mnie do rozpacz i nienawiści do samego siebie. Na Croma, oprę się temu! Na piersi Isztar, nie poddam się tej ohydzie!

Lecz jednocześnie zdał sobie sprawę z tego, że raz za razem zerka w stronę pobliskich krzewów, gdzie Gilgamesz oprawiał upolowane zwierzę.

Jakżeż wspaniale prężyły mu się twarde jak żelazo mięśnie szerokich pleców i ud! Jak beztrudne były ruchy olbrzyma, który ściągał ze zwierza ohydny skórę, choć tonął niemal przy tym w czarnej posoce. Ta kaskada lśniących, ciemnych włosów związanych nabijaną klejnotami opaską, ta gęsta, czarna, ciasno spleciona broda...

Howardowi zaschło w gardle. Poczuł, jak w podbrzuszu coś wiąże mu się w twarde węzeł.

–Chciałbyś z nim porozmawiać, prawda? – zapytał Lovecraft. Howard obrócił się na pięcie. Policzki płonęły mu szkarłatem. Mężczyzna był całkowicie przekonany, że na twarzy ma wypisaną całą winę.

–Czego, do diabła, chcesz? – warknął, zaciskając odruchowo pięści. Czuł się tak, jakby na głowę nałożono mu rozpaloną obręcz. – O czym, do cholery, miałbym z nim mówić?

Lovecrafta zaskoczył ton i gwałtowna reakcja Howarda. Zrobił krok do tyłu i wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał obronić się przed ciosem.

–Zdumiewasz mnie! Czy to naprawdę mówisz ty, człowiek tak rozmiłowany w starożytności, obdarzony najgłębszą, nieokiełznaną pasją odkrywania mrocznych sekretów, orientalnych imperiów, które dawno już zniknęły z powierzchni Ziemi?

Człowieku, czemu nie chcesz dowiedzieć się prawdy o królestwach Sumeru? O Uruk, o Nippur, Ur, Chaldei... o tajemniczych rytuałach ku czci bogini Inany, odprawianych w posępnych salach pod zikkuratem... o inkantacjach otwierających wrota do Podziemnego Świata, o libacjach uwalniających i wiążących demony ze światów położonych za gwiazdami? Kto wie, co Gilgamesz mógłby nam opowiedzieć? Bob, stoi przed tobą człowiek, który ma sześć tysięcy lat, bohater zamierzchłej epoki.

–Nie sądzę, by ten przerośnięty sukinsyn w ogóle chciał nam coś powiedzieć, H.P. – parsknął Howard. – Jego obchodzi wyłącznie zdzieranie skóry z tego cholernego stwora.

–Już prawie skończył, Bob. Dlaczego by nie poczekać? Nie poprosić, by na chwilkę się do nas przysiadł? Pociągnąć nieco za język, skłonić do rozmowy o życiu nad Eufratem! – Czarne oczy Lovecrafta zapłonęły, jakby jego również ogarnęło jakieś dziwne pożądanie. Na czole lśniły krople potu – a on przecież nigdy się nie pocił! Ale Howard wiedział, że Lovecrafta opętała całkiem inna gorączka, głód poznania tajemniczej starożytnej wiedzy, którą, jak sobie wymarzył, przekaże mu ów heros z Mezopotamii. Rozmawiać z człowiekiem, który żył, zanim jeszcze powstał Babilon, chodził po ulicach Uruk, zanim jeszcze narodził się Abraham... Tak, Howard również tego pragnął.

Ale, oprócz pożądania wiedzy, czuł inną jeszcze żądzę, którą za wszelką cenę musiał w sobie zdusić...

–Nie – oświadczył krótko. – Do diabła, wynośmy się stąd natychmiast, H.P. Ten przeklęty, szary, obrzydliwy krajobraz zaczyna mi działać na nerwy.

Lovecraft popatrzył nań ze zdziwieniem.

–Czy nie mówiłeś mi przed chwilą, jak piękny...

–Do cholery z tym, co ci mówiłem przed chwilą! Król Henryk spodziewa się, że wynegocjujemy mu to przymierze. Nie wypełnimy zadania, siedząc na tym zadupiu...

–Gdzie?

–Na zadupiu – powtórzył Howard. – Z dala od cywilizacji. Za naszych czasów jeszcze nie znano tego określenia. Ponadto nigdy nie miałeś serca do kolokwializmów. – Pociągnął Lovecrafta za rękaw. – Daj spokój. Zapewniam cię, że ta cholerna wielka mała nic nam nie powie o sobie i swoich czasach. Zapewne i tak nie pamięta nic wartego opowiedzenia. Ten dzikus mnie nudzi. Wybacz, H.P., ale jest on dla mnie jak wielki, ropiejący wrzód na tyłku. Nie mam zamiaru dłużej zawracać sobie nim głowy. Rozumiesz, H.P.? Możemy ruszać?

–Muszę przyznać, że czasami mnie zdumiewasz, Bob. Lecz naturalnie, skoro tak... – Nieoczekiwanie oczy Lovecrafta rozszerzyły się ze zdumienia. – Kryj się, Bob! Za samochód! Szybko!

–Co...

Tuż obok lewego ucha Howarda bzyknęła strzała. Za nią pojawiły się dwie następne. Jedna z nich, z przyprawiającym o mdłości zgrzytem, otarła się tylko o karoserię land-rovera; druga trafiła prosto i drżąc, utkwiała w blasze na kilka centymetrów.

Howard odwrócił się. Dostrzegł napastników: dwunastu, może osiemnastu.

Wypadli z zalegających po wschodniej stronie ciemności i strzelali w pełnym galopie.

Byli to niewysocy, chudzi, przybrani w czerwone, skórzane kubraki mężczyźni o orientalnych rysach. Dosiadali małych, płaskogłowych, szarych koni Piekieł o płonących oczach. Zwierzęta poruszały się tak żwawo, iż wydawać by się mogło, że ich krótkie, nieustannie pracujące nogi potrafiłyby wynieść je do najdalszych granic nieświata.

Ogarnięta szalem bojowym wataha żółtoskórych wojowników czyniła straszliwą wrzawę. Mongołowie? Turcy? Kimkolwiek byli, zbliżali się do land-rovera niczym wysłannicy samej Śmierci. Niektórzy wymachiwali długimi, groźnie zakrzywionymi szablami. Większość napastników uzbrojona była jednak w niewielkie, osobliwego kształtu haki, wypuszczające teraz strzały z niezwykłą prędkością.

Przykucnąwszy obok Lovecrafta za land-roverem, Howard wpatrywał się w napastników osłupiałym wzrokiem. Jakże często sam opisywał podobne sceny! Powiewające pióropusze na hełmach, skrzące się ostrza lanc, chmura pierzastych strzał ze świstem tnących powietrze. Grzmot końskich kopyt, dzikie okrzyki wojenne, stuk bijących w tarcze Akwilończyków pocisków miotanych przez barbarzyńców. Stające dęba konie zrzucają jeźdźców... rycerze w pokrwawionych zbrojach walą się na ziemię... zakute w stal postacie zalegają pole bitwy... lecz to, co teraz rozgrywało się przed jego oczyma, nie miało nic wspólnego z beztróską,

bohaterską opowieścią hyboryjską. Byli tu prawdziwi jeźdźcy – prawdziwi na tyle, na ile prawdziwe było wszystko w tym miejscu – szarżujący z furią przez mroźną, owiewaną wiatrami równinę na najdalszych krańcach Piekła. Były tu prawdziwe strzały, zdolne poszarpać ciało, przynieść śmierć w potwornych męczarniach.

Howard spojrzął na Gilgamesza. Wielki Sumeryjczyk kulił się za ciałem upolowanego przez siebie zwierzęcia. W rękę trzymał ogromny łuk. Podczas gdy Howard przyglądał mu się z zachwytem, Gilgamesz wymierzył i wypuścił strzałę, która trafiła najbliższego jeźdźcę, przebiła mu kaftan, klatkę piersiową i wyszła przez plecy. Lecz atakujący wojownik, zanim jeszcze spadł z konia, także zdążył wypuścić strzałę; pomknęła przypadkowym torem, zbliżała się do Gilgamesza wielkim, trzepotliwym łukiem i ugodziła go w przedramię.

Sumeryjczyk popatrzył obojętnie na sterczący z ciała bełt. Zmarszczył czoło, potrząsnął głową; zupełnie tak, jakby tylko ukąsił go szerszeń. Później – jak Conan; zupełnie jak Conan! – Gilgamesz przechylił głowę i przegryzł bełt tuż pod lotkami. Kiedy wyrwał z ramienia obie części strzały, z rany wypłynęła jasna krew.

Jakby nie wydarzyło się nic szczególnego, Gilgamesz podniósł łuk i sięgnął po następną strzałę. Krew strumieniem spływała mu po rękę, ale on sprawiał wrażenie, że tego nie dostrzega.

Ośłupiały, sparaliżowany strachem Howard nie spuszczał z niego wzroku. Czuł, jak jemu samemu wywraca się żołądek. Choć w swych opowieściach radośnie i z zapalem piętrzył krwawe stosy poobcinanych głów, rąk i nóg, rzeczywisty gwałt i przelew krwi przerażały go w najwyższym stopniu.

–Pistolet, Bob! – ponaglił go dobiegający zza pleców głos Lovecrafta. – Strzelaj z pistoletu!



–Co?

–Tu! Tu!

Howard spojrział w dół. Za pasem miał pistolet, który zabrał z land-rovera, kiedy szedł obejrzeć tamtą małą bestię, która stanęła im na drodze. Wyszarpnął broń i utkwił w niej niewidzący szklisty wzrok, jakby w dłoni spoczywało mu jajo bazyliuszka.

–Co ty wyprawiasz? – zirytował się Lovecraft. – Ach! Daj go lepiej mnie!

Wyjął pistolet z bezwładnych palców Howarda i spoglądał chwilę na metalowy przedmiot, jakby nigdy przedtem nie miał do czynienia z bronią (i zapewne nie miał). Potem ujął pistolet w obie ręce, wychylił się ostrożnie zza land-rovera i nacisnął spust.

Donośny huk wystrzału zagłuszył wysokie okrzyki jeźdźców. Lovecraft roześmiał się.

–Trafiłem! Któż mógłby przypuścić...

Wystrzelił ponownie. W tej samej chwili Gilgamesz zabił z łuku kolejnego napastnika.

–Cofają się! – krzyknął Lovecraft. – Na Alhazreda, idę o zakład, że tego się nie spodziewali. – Znów wybuchnął śmiechem i przyjął pozycję strzelecką. – *Aya!* – krzyknął głosem, którego Howard nigdy jeszcze nie słyszał u nieśmiałego, uczonego Lovecrafta. –

*ShubNiggumth!* - Wystrzelił po raz trzeci. *Ph'nghu mglw'naftth Cthulhu Rtyegh wgali'nagl flitagn!*

Howard czuł na plecach strużki potu. Ta jego inercja... paraliż... hańba... co by na to powiedział Conan? Co powie Gilgamesz? A Lovecraft? Ten skromny, skryty człowiek, który nienawidził pływających w morzu ryb, zimnych wiatrów rodzinnej Nowej Anglii i tylu innych jeszcze rzeczy, w obliczu niebezpieczeństwa śmiał się, wykrzykiwał te wspaniałe nonsensy; strzelał jak gangster i najwyraźniej doskonale się bawił...

Wstyd! Wstyd!

Nie bacząc na ryzyko, Howard wpełzł do land-rovera i po omacku zaczął szukać na podłodze drugiego pistoletu. Kiedy wreszcie go znalazł, ukląkł przy oknie. Na ziemi, w promieniu stu metrów od samochodu, leżało siedmiu czy ośmiu azjatyckich jeźdźców, martwych lub umierających. Pozostali cofnęli się na sporą odległość i niepewnie zbili się w gromadę. Wyglądali na zaskoczonych nieoczekiwanym, skutecznym oporem, spodziewali się, iż przemierzający tę dzicz podróżni dadzą im się radośnie zarżnąć.

Co teraz? Zebrali się w ciasną grupę; konie prawie stykają się pyskami. Wojownicy dyskutują. Dwóch z nich wyciąga z worków przy siodłach coś w rodzaju proporca, rozpina go na bambusowych tyczkach. Chorągiew jest długa, żółta, z powiewającymi krwistoczerwonymi wstęgami, na których widnieją wypisane lśniąca czarną farbą jakieś orientalne znaki. Najwyraźniej dzieje się coś ważnego. Napastnicy ustawili się w rzędzie, przodem do land-rovera. Czyżby szykowali się do ostatniego, samobójczego ataku?

Gilgamesz wyszedł z ukrycia i stał wyprostowany. Spokojnie nałożył strzałę na

ciężciwą, wycelował i czekał, aż ruszą. Czerwony z emocji Lovecraft, kompletnie odmieniony walką, która stanowiła dlań zupełnie nowe doświadczenie, pochylony lekko do przodu obserwował przeciwnika; w dłoni trzymał gotowy do strzału pistolet.

Howard zadrżał. Gorący sztylet wstydu przeszył mu duszę. Jak mógł się tak kulic ze strachu, podczas gdy ci dwaj wzięli na siebie cały ciężar walki? Chociaż drżały mu ręce, wysunął pistolet przez okno i wymierzył do najbliższego z jeźdźców. Położył palec na spuście. Czy to możliwe trafić z takiej odległości? Tak! Tak! Strzelaj! Wiesz przecież, jak obchodzić się z bronią. Najwyższa pora, byś użył tej wiedzy. Zwał z konia tego żółtego drania jednym strzałem z colta 380. Wyślij łobuza prosto do Pieła; nie, on już jest w Piekle, więc wyślij go do Stróża, do obróbki, tak, mam go... uspokój się... cel...

–Poczekaj – powiedział Lovecraft. – Nie strzelaj.

A to co? Kiedy Howard najwyższym wysiłkiem woli zmusił się do opuszczenia pistoletu i rozluźnił drżące palce, Lovecraft, osłaniając dłonią oczy przed niesamowitym blaskiem nieruchomego słońca, długo i w milczeniu przyglądał się obcym wojownikom. Później odwrócił się, sięgnął na tylne siedzenie land-rovera, przez chwilę czegoś tam szukał, aż w końcu wyciągnął brązową kopertę, zawierającą listy uwierzytelniające od króla Henryka.

A później... co robi!?

Wychodzi z ukrycia, podnosi wysoko ręce, macha kopertą i rusza w stronę przeciwników?

–H.P., zabijają cię! Padnij! Padnij!

Nie oglądając się, krótkim gestem Lovecraft nakazał Howardowi milczenie i równym krokiem kontynuował marsz w stronę odległych jeźdźców, którzy wydawali się być równie zdumieni jak Howard. Siedzieli nieruchomo na koniach, trzymali przed sobą napięte łuki, tuzin strzał wymierzony był w pierś i brzuch Lovecrafta.

Kompletnie oszalał, pomyślał Howard. Nigdy zresztą nie był całkiem normalny. Zawsze wierzył trochę w te wszystkie brednie o Starszych Bogach, wrotach prowadzących w różne wymiary, bluźnierczych rytuałach odprawianych na stokach mrocznych wzgórz Nowej Anglii. A teraz strzelanina... podniecenie...

–Schowajcie broń, wszyscy! – krzyknął Lovecraft zdumiewająco donośnym i stanowczym głosem. – W imię Prestera Johna nakazuję wam schować broń! Nie jesteśmy wrogami! Jedziemy z poselstwem na dwór waszego władcy!

Howardowi opadła szczęka. Zaczynał pojmować. Nie, Lovecraft wcale nie zwariował!

Ponownie skierował wzrok na długą, żółtą chorągiew. Tak, widniał na niej herb Prestera Johna. Oddział tych szalonych jeźdźców patrolował po prostu granicę kraju, do którego od tak dawna podróżowali. Howard zmieszał się na myśl, że oto w ogniu walki Lovecraft zachował tyle zdrowego rozsądku, by dokładniej przyjrzeć się herbowi na sztandarze. Potem wykazał wielką odwagę, wychodząc z ukrycia uzbrojony tylko w listy uwierzytelniające; Miał w ręku ich zwój; odwracał go teraz małą pieczęcią Henryka na wstędze w stronę jeźdźców. Konni zaczęli szeptać między sobą, a następnie opuścili łuki. Gilgamesz, który także opuścił swój wielki luk, ze

zdziwieniem śledził przebieg wypadków.

–Czy widzicie? – zawołał Lovecraft. – Jesteśmy heroldami króla Henryka. Żądamy od waszego władcy, Augusta Suverena Yechlu Taszycha ochrony. – Obejrzał się przez ramię i gestem wezwał Howarda. Ten, po króciutkiej chwili wahania zeskoczył z land-rovera i ruszył truchtem. Czuł lekki zawrót głowy, biegnąc w kierunku groźnych, żółtoskórych łuczników, zupełnie jakby posuwał się po krawędzi wielkiej, przepastnej otchłani.

Lovecraft uśmiechnął się.

–Wszystko w porządku, Bob. Ta chorągiew, którą rozwinęli... jest na niej herb Prester Johna.

–Tak, tak. Zauważyłem.

–I popatrz. Dają nam znak, że jesteśmy bezpieczni. Zrozumieli, co powiedziałem. Bob! Uwierzyli mi!

Howard kiwnął głową. Poczul ulgę i prawie radość. Siarczyście klepnął Lovecrafta w ramię.

–Dobra robota, H.P.! Nie spodziewałem się tego po tobie. – Ogarnięty nagłą euforią, Howard zaczął machać dziko w stronę jeźdźców.

–Hej! Jesteśmy królewskimi posłami! – wrzeszczał. – Posłami Jego Brytyjskiej Wysokości Króla Henryka VIII. Zaprowadźcie nas do swego władcy! – Popatrzył na Gilgamesza, który nadal trzymał w dłoni łuk. – Hej, władco Uruk! Odłóż broń! Już wszystko w porządku! Odprowadzą nas na dwór Prester Johna.

Gilgamesz wcale nie był pewien, dlaczego zdecydował się z nimi jechać. Nie interesowały go odwiedziny na dworze Prester Johna i w ogóle na żadnym dworze. Pragnął jedynie polować, przemierzać dzikie przestrzenie i w ten sposób koić smutek. Ale chudy mężczyzna z długą szyją i jego hałaśliwy kompan o czerwonej twarzy wskazali mu miejsce w land-roverze. Kiedy stał chwilę nieruchomo i myślał co zrobić, mali, brzydki, żółci wojownicy o płaskich twarzach niecierpliwymi gestami pokazali mu, że ma wsiadać. Więc wsiadł. Odnosił wrażenie, iż gotowi byli go do tego zmusić, gdyby się opierał. Choć wcale nie odczuwał przed nimi lęku, jakiś impuls, którego zrazu nie pojął, kazał mu uniknąć kolejnej potyczki i wsiąść do samochodu. Być może po prostu miał chwilowo dosyć samotnego polowania. Być może na decyzję wpłynęła rana, która zaczęła dotkliwie boleć i teraz, kiedy opuścił go bojowy zapał, opieka chirurga wydawała się bardzo ponętną perspektywą. Przebite strzałą na wylot przedramię zdążyło już solidnie spuchnąć. Kiedy już oczyszczą i opatrzą mu rękę, pójdzie w swoją stronę.

Tak więc jechał na dwór Prester Johna. Siedział ponury i milczący na tylnym siedzeniu zatęchłego, pokrytego płatami pleśni wnętrza land-rovera. Towarzyszyło mu dwóch bardzo cudaczkich Nowych Zmarłych, którzy utrzymywali, że są skrybami czy też pieśniarzami, oraz wataha jeźdźców Prester Johna, którzy eskortowali samochód do obozu swego władcy.

Za kierownicą siedział ten, który nazywał siebie Howardem i który ciągle posyłał mu ukradkowe, wstydlive spojrzenia, jak beznadziejnie zakochana młoda dziewczyna. W pewnej chwili kierowca obejrzał się i zapytał pasażera:

–Powiedz mi, Gilgameszu, czy miałeś kiedyś do czynienia z Presterem Johnem?

–Znam to imię tylko ze słyszenia – odpowiedział Sumeryjczyk. – Niewiele mi ono mówi.

–To legendarny chrześcijański władca – wtrącił ten drugi, chudy, Lovecraft. – Podobno rządził tajemniczym królestwem, gdzieś w głębi spowitej mgłami Azji Środkowej, chociaż niektórzy twierdzili, że to Afryka...

Azja... Afryka... nazwy, tylko nazwy, pomyślał obojętnie Gilgamesz. To miejsca z tamtego drugiego świata; nie miał pojęcia, gdzie mogły się znajdować.

Taka mnogość miejsc, takie mnóstwo nazw! Nie sposób ich wszystkich spamiętać. Nie widział w tym najmniejszego sensu. Świat, jego świat – jego Kraina – ograniczony był dwiema rzekami, Idigną i Buranunu, które Grecy woleli nazywać Tygrysem i Eufratem. Kim byli ci Grecy i jakim prawem zmieniali nazwy rzek? Wszyscy używali teraz ich nazw, używał ich nawet Gilgamesz, ale stare zachował w swym sercu.

A za granicą Dwóch Rzek? Cóż, daleko na wschodzie leżało wasalne państwo Aratta oraz kraina Cedrów, w której szalał ryczący, zionący ogniem demon Huwawa. Ponadto we

wschodnich górach było państwo barbarzyńskich Elamitów. Na północy leżał kraj zwany Uri, na pustyniach zachodu mieszkali dzicy Mardu, a na południu znajdowała się błogosławiona wyspa Dilmun, tak bardzo przypominająca raj. Czy świat składał się wówczas z czegoś jeszcze? No, daleko za Elamem leżała Meluhha, którą zamieszkiwał czarny lud o pięknych twarzach; na południu był też Punt, gdzie ludzie również mieli czarne skóry, lecz ich nosy były płaskie a wargi grube. Za Meluhha, w krainie ludzi o żółtej skórze, wydobywano cenne zielone klejnoty. I z tego składał się świat. Gdzie mogłyby pomieścić się te wszystkie nowe miejsca, ta Afryka, ta Azja i Europa, i cała reszta, Rzym, Grecja, Anglia? Być może niektóre z nich to tylko nowe nazwy starych miejsc. Jego Kraina wielokroć później zmieniała nazwę: Babilonia, Mezopotamia, Irak i wiele innych. Po co im były te wszystkie nazwy? Nie miał pojęcia. Nowi ludzie nadawali starym miejscom nowe nazwy, taki najwyraźniej był porządek świata. Azja, Afryka, Ameryka, Chiny, Rosja; pewien mały człowieczek imieniem Herodot, Grek, próbował mu to kiedyś wyjaśnić, wytłumaczyć, jaki kształt ma świat i jak się nazywają jego części.

Wrysował nawet mapę na kawałku starego pergaminu. Dużo później przysadzisty mężczyzna nazwiskiem Merkator robił to samo, a jeszcze później rozmawiał o tym z Anglikiem, który nazywał się Cook, ale każdy z nich tłumaczył mu to zupełnie inaczej i Gilgamesz nie umiał doszukać się w tym sensu. Musiałby zadać zbyt wiele pytań, by ten sens odnaleźć. O miliardy narodów, które zrodziły się, kiedy już go nie było, o imperia, co powstały, upadły i zostały zapomniane, o dynastie, których nikt już nie pamiętał, o wodzów, królów. Od czasu do czasu próbował zapamiętać, w jakiej kolejności rządzili, ale nigdy mu się to nie udało. To prawda, kiedyś, w poprzednim życiu, chciał zostać mistrzem wszelakiej wiedzy. Jego apetyty nie znały granic; pożywał mądrości, bogactwa, potęgi, kobiet, samego życia. Teraz wydawało mu się to głupie i nieistotne. Ta płatanina odległych, obcych,

przyprawiających o zawrót głowy miejsc. Owe wielkie królestwa i dalekie państwa znajdowały się w innym świecie. Cóż mogły go obchodzić?

–Azja? – powtórzył Gilgamesz. – Afryka? – Wzruszył ramionami. – Prester John?

Sięgnął w mroczne, wirujące głębie pamięci. Aha, jest chyba Prester John, mieszka w Nowym Piekło. Ma ciemną skórę i przyjaźni się z tym hałaśliwym starym łgarzem, sir Johnem Mandeville'em. Zaczął sobie przypominać. – Tak, wiele razy widziałem ich razem w tej brudnej, zaniedbanej gospodzie, gdzie zawsze można spotkać Mandeville'a. Obaj opowiadali bez przerwy owe historie o dalekich krajach, a jeden łągał przez drugiego.

–Jakiś inny Prester John – stwierdził Lovecraft.

–To pewnie Etiopczyk Suseynos – powiedział Howard. – Niegdyś afrykański tyran i wielbiciel jezuitów, a teraz pijak. To jeden z wielu Presterów. Wiem o ośmiu, dziewięciu, czy nawet o całym tuzinie Presterów Johnów siedzących w Piekło, ale może ich być więcej.

Gilgamesz puścił tę uwagę mimo uszu. Okaleczone ramię paliło go żywym ogniem.

Lovecraft właśnie coś mówił.

–...to nie prawdziwe nazwisko, a jedynie tytuł i to w dodatku przekreślony. Nie istniał nigdy prawdziwy Prester John. W kilku odległych od siebie królestwach panowali władcy, których opowiadacze w Europie ochrzcili mianem Prestera Johna, chrześcijańskiego cesarza – wielkiego, tajemniczego, nieznanego króla baśniowego imperium. A tu, w Piekło, wielu wybrało sobie to imię. Jest w nim moc, rozumiecie?

–Moc i majestat! – krzyknął Howard. – Na Boga, poezja też!

–Więc ten Prester John, którego mamy odwiedzić, nie jest w rzeczywistości Presterem Johnem? – zapytał Gilgamesz.

–Nazywa się Yehlu Taszych – pospieszył z wyjaśnieniem Howard. – Chińczyk. Właściwie to pochodzi z Mandżurii, dwunasty wiek po Chrystusie. Pierwszy cesarz królestwa KaraKitaj ze stolicą w Samarkandzie. Rządził głównie Mongołami i Turkami, którzy nazywali go Gur Chanem, co znaczy „najwyższym władcą”. W drodze do Europy zmieniło się to jakoś w Johna. I mówili też, że to chrześcijański ksiądz. Presbyter Joannes, Prester John. – Howard wybuchnął śmiechem. – Co za głupie sukinsyny. Był chrześcijaninem w takim samym stopniu, co ty. To buddysta, cholerny buddyjski szaman.

–Czemu więc...?

–Mit i pomieszanie pojęć! – wyjaśnił Howard. – Tak właśnie działa ludzka głupota. Tego nie możesz wiedzieć, ale kiedy ten Yehlu Taszych trafił do Piekła, natychmiast zbudował sobie imperium na ziemiach podobnych do tych, którymi rządził poprzednio, a kiedy napatoczył się na niego Richard Burton i opowiedział mu o Presterze Johnie i przypisywanych mu przez Europejczyków najróżniejszych baśniowych wyczynach, powiedział: „Tak, tak, ja rzeczywiście jestem Presterem Johnem”. I teraz udaje Prestera Johna; podobnie jak kilkunastu innych, w większości Etiopczyków; takich jak ten przyjaciel twojego przyjaciela Mandeville'a.

–Oni nie są moimi przyjaciółmi – powiedział sztywno Gilgamesz. Rozparł się w

fotelu i masował bolące ramię. Z land-rovera widział już krajobraz: pojawiły się pagórki porośnięte brzydkimi drzewami o grubych pniach, które wyrastały z czerwonej ziemi pod najróżniejszymi kątami. Gdzieniegdzie w oddali bystre oczy Gilgamesza dostrzegły na zboczach gór niewielkie skupiska ciemnych namiotów; obok nich pasły się stadka koni Piekieł. Gilgamesz pożałował, że dał się namówić na tę ekspedycję. Po co mu ten Prester John? Jeden z tych potentatów rekrutujący się z Nowych Zmarłych, kolejny nic nie znaczący królik tworzący sobie państewko w niezmiernie dziczy Pustkowie; a w dodatku władca pod fałszywym imieniem. Kolejny łajdak, kolejne nadęte nic, przepełnione śmieszną dumą...

Ale czy to miało dla niego jakieś znaczenie? Spędzi jakiś czas w kraju tego Prestera Johna, a następnie ruszy w drogę, samotny, trzymający się z dala od innych, oplakujący, jak zawsze, utraconego Enkidu. Wydawało mu się, że nigdy już nie ujdzie swemu przeznaczeniu – tej gorzkiej samotności; bez względu na to, czy rządziłby w chwale w Uruk, czy też wędrował przez Pustkowie Piekła.

–Ich Ekscelencje P.E. Lovecraft i Howard E. Robert – zaanonsował godnie choć z błędami, majordomus, trzykrotnie uderzając ozdobioną złotem laską z zielonego jadeitu w czarny marmur posadzki sali tronowej Prestera Johna. – Posłowie upoważnieni Jego Brytyjskiego Majestatu Króla Henryka VIII Władcy Królestwa Nowej Świętej Diabolicznej Anglii.

Lovecraft i Howard postąpili kilka kroków naprzód. Yehlu Taszych skinął krótko głową na znak, że przyjmuje do wiadomości obecność posłów i machnął wypielęgnowaną dłoń, o palcach z długimi na trzy centymetry paznokciami. Posłowie upoważnieni nie wydawali się szczególnie go interesować. Najwyraźniej też niezbyt poruszył go fakt, że król Henryk VIII zdecydował się ich tu przysłać.

Imperator zwrócił władcze spojrzenie na Gilgamesza, który z najwyższym trudem trzymał się na nogach. Paliła go gorączka, miał zawroty głowy i zastanawiał się tylko, kiedy wreszcie ktoś zauważy, że ma w ramieniu dziurę, z której nieustannie cieknie krew. Choć mało kto o tym wiedział, jego wytrzymałość też miała swoje granice. Jak długo wytrzyma teraz – nie wiedział. Zdarzało się, że udawanie bohatera było już samo w sobie ogromnym bohaterstwem; taki czas właśnie nadszedł.

–...oraz Jego Była Wysokość Gilgamesz z Uruk, syn Lugalbandy, wielki król, król królów, władca Krainy Dwóch Rzek z łaski Enlila i An – zadudnił równie dostojnie majordomus, raz tylko zerkając na trzymaną w ręku kartkę.

–Wielki król? – powtórzył Yehlu Taszych, świdrując Sumeryjczyka przenikliwym wzrokiem. – Król królów? To bardzo dostojne tytuły, Gilgameszu z Uruk.

–To jedynie formuła – odparł Gilgamesz – którą uznałem za właściwą formę przedstawienia się na twym dworze. W rzeczywistości władam teraz absolutnie niczym.

–Ach. Król Absolutnie Niczego.

Dotyczy to także ciebie, mój panie Presterze Johnie. Gilgamesz nie pozwolił sobie na głośne wypowiedzenie tych słów, choć miał je na końcu języka. Ciebie i wszystkich innych samozwańczych władców, panujących w królestwach Piekła.

Szczupły mężczyzna o skórze koloru bursztynu, wychylił się ze swego tronu.

**–Czy mógłbym zasięgnąć informacji, gdzie właściwie leży to Absolutnie Nic?**

Niektórzy dworzanie zachichotali, ale sam Prester John sprawiał wrażenie, że pyta poważnie, choć tego nikt nie mógł być całkiem pewny. Najwyraźniej był on groźnym człowiekiem, co Gilgamesz dostrzegł natychmiast; zręcznym, chytrym i skrytym, o przenikliwej inteligencji. Nie przypominał wcale drobnych, próżnych, zawiadackich królów, jakich Sumeryjczyk spodziewał się spotkać w tym niegościnnym, odległym zakątku Piekła. Niezależnie od tego, jak małe i nieważne było jego państwo, Prester John najwyraźniej rządził nim twardą ręką. Świadczył o tym przepych pałacu, który kazał sobie wybudować na krańcach Piekła, oraz zamożność tego niewielkiego miasta. Gilgamesz sporo wiedział o tym, jak powinno się budować miasta i pałace. Stolica Prestera Johna świadczyła o ciągłej, trwającej stulecia pracy.

Yehlu Taszych spoglądał na gościa twardym wzrokiem. Gilgamesz, walcząc z potwornym bólem przedramienia, odwzajemnił się władcy równie hardym spojrzeniem i powiedział:

**–Absolutnie Nic? To kraina, której nigdy nie było; lecz będzie zawsze, panie. Jej granice nie istnieją, a stolica jest wszędzie; i tego królestwa nikt z nas już nie opuści.**

**–No tak, rzeczywiście. Dobrze powiedziane. Jesteś z Dawnych Zmarłych, prawda?**

**–Z bardzo dawnych, panie.**

**–Starszych niż Ch'in Shih Huang Ti? Starszych niż władcy Shang i Hsia? –**

Zaskoczony Gilgamesz popatrzył na Lovecrafta, który podpowiedział mu głośnym szeptem: **– To starożytni królowie Chin! Ale ty żyłeś jeszcze wcześniej.**

Gilgamesz wzruszył ramionami.

**–Nie znam ich, panie, ale słyszałeś, co powiedział ambasador Brytanii. To człowiek wielkiej wiedzy i z pewnością jest tak, jak twierdzi. Powiem ci, że jestem wiele starszy od Cezara, wiele starszy od Agamemnona i Najwyższego Wodza Ramzesa. Starszy nawet od Sargona. O wiele starszy.**

Yehlu Taszych przez chwilę milczał, a następnie wykonał lekki ruch ręką, jakby cała sprawa względności wieku w Piekło przestała go interesować. Roześmiał się sucho i powiedział:

**–A więc jesteś bardzo stary, królu Gilgameszu. Gratuluję ci. A przecież łowcy z epoki lodowcowej powiedzieliby, że ty i Ramzes, i Sargon, przybyliście tu zaledwie wczoraj. Dla Włochatych Ludzi z kolei sami łowcy pojawili się w Piekło bardzo niedawno. I tak dalej, i tak dalej. Nic się nigdy nie zaczyna, prawda? I również nie kończy. – Nie czekając na odpowiedź, zadał kolejne pytanie: – Kto cię tak strasznie zranił, królu Absolutnie Niczego?**

Nareszcie ją zauważył, pomyślał Gilgamesz.

**–Nieporozumienie, panie. Wydaje się, że twoje patrole graniczne wypełniają czasami swe obowiązki nieco zbyt gorliwie.**

Jeden z dworaków pochylił się i szepnął coś w ucho władcy. Na gładkim czole Prestera Johna pojawiła się zmarszczka. Cienka brew drgnęła.

**–Zabiliście dziewięciu, prawda?**

**–Zaatakowali nas, nim mieliśmy szansę pokazać im nasze listy uwierzytelniające –**

wtrącił szybko Lovecraft. – Broniliśmy się.

–Nie wątpię. – Yehlu Taszych znów przez chwilę milczał. Ale tylko przez chwilę. Rozważał sprawę potyczki, która kosztowała życie dziewięciu jego jeźdźców. Potem najwyraźniej przestał się nią interesować. – Tak zatem, moi panowie wysłannicy...

Nagle Gilgamesz zatoczył się, zachwiał, zaczął padać. W ostatniej chwili przytrzymał się wielkiej, porfirowej kolumny i złapał równowagę. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu. Ciałem wstrząsnęły dreszcze. Odnosił wrażenie, iż wielka, kamienna kolumna pulsuje,

kurcząc się i rozszerzając. Poczł okropny zawrót głowy. Świat przed oczyma zaczął się rozmazywać i dwoić. Sumeryjczyk oddychał głęboko, starając się za wszelką cenę utrzymać na nogach. Błysnęła mu myśl, że Prester John wystawia go na próbę, że chce sprawdzić, na ile starczy mu siły. Cóż, przysiągł sobie w duchu Gilgamesz, jeśli mnie zmuszą, będę tu stał całą wieczność, nie okazując słabości.

Ale Yehlu Taszych zdobył się w końcu na odrobinę współczucia. Spojrzał na jednego z paziów i powiedział:

–Wezwij mojego lekarza i powiedz mu, by przyniósł ze sobą instrumenty i wywary. Tę ranę należało opatrzyć już dawno.

–Dziękuję, panie – Gilgamesz bardzo się starał, by w jego głosie nie zabrzmiała ironia.

Doktor pojawił się niemal natychmiast, jakby czekał w przedpokoju. Czyżby kolejna sztuczka Prestera Johna? Lekarz był starszym, krzepkim mężczyzną o szerokich ramionach i gęstych włosach. Emanowała z niego siła, poruszał się energicznie, lecz jednocześnie promieniował ciepłem, współczuciem, serdecznością. Położył Gilgamesza na niskiej kanapie przykrytej szarozieloną skórą jakiegoś łuskowatego smoka Piekieł. Obejrzał chore ramię, mruknął coś pod nosem w gardłowym, nieznanym Sumeryjczykowi języku i zaczął mocno uciskać brzegi rany, aż pociekła z niej świeża krew. Gilgamesz syknął głośno, ale trwał bez ruchu.

–Ach, *mein lieber Freund*, muszę znów zadać ci trochę bólu, ale to dla twojego dobra. *Verstehen Sie?*

Palce doktora zagłębiły się w otwartej ranie. Medyk rozchyłał jej brzegi, powiększał ją, przemywał jakimś przezroczystym płynem palącym jak rozgrzane do białości żelazo. Ból był tak straszny, że aż sprawiał rozkosz: oczyszczał, rozjaśniał duszę.

–Czy to coś poważnego, doktorze Schweitzer? – zapytał Prester John.

–*Gott sei Dank*, jest głęboka, lecz czysta. Zagoi się bez śladu.

Nie przerywając zabiegu, przemawiał do Gilgamesza cichym, łagodnym głosem.

–*Bitte. Bitte. Einen Augenblick, mein Freund.* – A potem zwrócił się do Prestera Johna: – Tego człowieka zrobiono ze stali. Jest tak odporny na ból, że chyba nie posiada nerwów. To któryś z wielkich bohaterów, *nicht wahr?* Może jesteś Rolandem? Albo Achillesem?

–On się nazywa Gilgamesz – poinformował doktora Yehlu Taszych. Oczy Schweitzera zaśniły.

–Gilgamesz! Gilgamesz z Sumeru! *Wunderbar! Wunderbar!* To właśnie ten



człowiek. On szukał życia. Ach, musimy porozmawiać, przyjacielu, ty i ja, kiedy tylko poczujesz się lepiej. – Z lekarskiej torby wyjął przerażająco wielką strzykawkę.

Gilgamesz obserwował wszystko z wielkiej odległości, jakby jego spuchnięte, obolałe ramię należało do kogoś innego.

–*Ja, ja*. Musimy porozmawiać, o życiu, o śmierci, o filozofii, *mein Freund*, o filozofii. Tyle mamy wspólnych tematów! – Wbił igłę w ciało Gilgamesza. – Już! *Genug!* Usiądź.

Odpoczywaj. Wkrótce poczujesz się lepiej.

Robert Howard nigdy nie widział czegoś podobnego. Była to scena wyjęta żywcem z jego opowiadań o Conan. Ten wielki wół dostał strzałą w ramię, wyrwał ją i po prostu walczył nadal. A później, kiedy godzinami jechali samochodem do miasta Prester Johna, kiedy przechodzili długie przesłuchanie przed urzędnikami na dworze, kiedy stali podczas niekończącej się ceremonii, zachowywał się tak, jakby jego rana była tylko draśnięciem; Boże Wszchemogący, co za pokaz wytrzymałości! Co prawda, w końcu pod Gilgameszem ugięły się nogi i przez chwilę wyglądało na to, że zemdleje, ale każdy zwyczajny śmiertelnik padłby już dawno. Bohaterowie rzeczywiście różnili się od zwykłych ludzi. Należeli do innej rasy. Wystarczyło popatrzeć, jak ten stary niemiecki medyk tamponował ranę, zszywał ją na żywca, a Gilgamesz podczas całego zabiegu siedział spokojnie i nawet nie jęknął. Nawet nie jęknął!

Nagle Howard pojął, że pragnie podejść do Gilgamesza, pragnie go przytulić, pragnie, by heros złożył mu głowę na piersi, by to on mógł ocierać Gilgameszowi pot z czoła, podczas gdy lekarz wypełniał swoje obowiązki...

Tak, chciałby z całej duszy go pocieszyć w szczerzy, szorstki, męski sposób...  
Nie, nie, nie, nie.

To pojawiło się znów, ta straszna, niewypowiedziana rzecz, to upiorne, pełzające, piekielne uczucie rodzące się w najtajniejszych głębiach jego duszy...

Howard zwalczył pokusę. Stłumił ją i ukrył. Wyparł się jej, gdy popatrzywszy na Lovecrafta, powiedział:

–To dopiero lekarz! Po mojemu, studiował medycynę w rzeźniach Chicago!

–Nie wiesz kto to taki, Bob?

–Jakiś stary Holender, który zablądził tu podczas burzy piaskowej, a potem nie chciało mu się odejść.

–A nazwisko Schweitzer nic ci nie mówi? – Howard popatrzył na Lovecrafta pytająco.

–Nie znałem w Teksasie żadnego Schweitzera.

–Och Bob, Bob, dlaczego zawsze udajesz takiego kowboja? Chcesz mi powiedzieć, że nigdy nie słyszałeś o doktorze Schweitzerze? O Albercie Schweitzerze? Wielkim filozofie, teologu, muzyku... nie było lepszego interpretatora Bacha... tylko mi nie mów, że nie słyszałeś o Bachu...

–Rany! H.P., masz na myśli tego starego wiejskiego doktora?

–Założył leprozorium w Lambarene, w Afryce. Poświęcił życie pomocy chorym, żył w najbardziej prymitywnych warunkach, w najdalszych dżunglach...

**–Zaraz, H.P. To niemożliwe!**

**–Żeby jeden człowiek dokonał tak wiele? Zapewniam cię, Bob, wiele mówiono o nim w naszych czasach... może nie w Teksasie, ale mimo wszystko...**

**–Nie! Nie chodzi o to, czego mógł dokonać. Chodzi o to, że tu jest. W Piekło! Jeśli ten**

**stary rzeczywiście dokonał tego wszystkiego, to powinien zostać cholernym świętym. Chyba, że w tajemnicy bił żonę lub robił inne rzeczy. Co święty robi w Piekło, H.P.?**

**–A co my robimy w Piekło? – odparł pytaniem Lovecraft. Howard poczerwieniał i odwrócił wzrok.**

**–No cóż, przypuszczam... w naszym życiu różnie bywało... popełnialiśmy rzeczy, które według ścisłych reguł są grzechem i...**

**–Nikt nie zna reguł Piekła, Bob – powiedział łagodnie Lovecraft. – Grzech może nie mieć z tym nic wspólnego. Zdajesz sobie sprawę z tego, że jest tu Gandhi? I Konfucjusz? Czy oni byli grzesznikami? A Mojżesz? Abraham? Próbowaliśmy stworzyć sobie obraz tego niepojętego miejsca zgodnie z naszymi płytkimi i żalnymi wyobrażeniami o tym, że musi być miejscem wieczystej kary. I po co? Jeszcze i teraz nie zaczęliśmy się nawet domyślać, czym naprawdę jest Piekło. Wiemy tylko, że jest pełne bohaterskich złoczyńców i przesiąkniętych złem bohaterów... oraz ludzi takich, jak ty i ja... no i wygląda na to, że trafił tu także Albert Schweitzer. To wielka tajemnica. Ale może któregoś dnia...**

**–Ciii – przerwał mu Howard. – Prester John coś do nas mówi.**

**–Szanowni panowie...**

**Posłowie szybko odwrócili się w jego stronę.**

**–Tak, Wasza Wysokość – powiedział Howard.**

**–Misja, w której tu przybyliście... wasz król pragnie sojuszu, prawda? Po co? Przeciw komu? Znowu pokłócił się z którymś z papieży?**

**–Obawiam się, że raczej z córką – stwierdził Howard.**

**Prester John sprawiał wrażenie znudzonego. Bawił się swym szmaragdowym berłem.**

**–Macie na myśli Marię?**

**–Elżbietę, Wasza Wysokość – powiedział Lovecraft.**

**–Wasz król jest strasznie kłótlivy. Myślałem, że w Piekło jest wystarczająco wielu papieży, by dostarczyć mu zajęcia i nie znajdzie powodów jeszcze do sporów z córkami.**

**–Jego córki są najgwałtowniejszymi kobietami w Piekło – wyjaśnił Lovecraft. – W końcu to jego krew, a każda z nich posiada własne, niespokojne i prowadzące nieustanne wojny państwo. Elżbieta, mój panie, wysłała na Pustkowie grupę badaczy, a królowi Henrykowi to się nie podoba.**

**–Rzeczywiście – Yehlu Taszych wykazał nagle zainteresowanie. – Mnie również. Elżbieta nie ma tu żadnego interesu. To nie jej terytorium. Czyżby w Piekło miała za mało miejsca? Czego szuka na Pustkowie?**

**–Czarnoksiężnik John Dee powiedział jej, że gdzieś tutaj znajduje się wyjście z**

**Piekła.**

**–Nie ma wyjścia z Piekła.**

**–Nie mnie o tym sądzić, Wasza Wysokość – uśmiechnął się Lovecraft.**

**–W każdym razie królowa Elżbieta uznała to za prawdopodobne. Ekspedycją dowodzi Walter Raleigh. Jest z nim geograf Hakluyt i pięciuset żołnierzy. Posuwają się po przekątnej**

**Pustkowia, na południe od granic twego państwa. Kierują się mapą, którą zdobył dla nich doktor Dee. Mają ją podobno od Cagliostra, który z kolei odkupił ją od Hadriana, kiedy ten był jeszcze najwyższym dowódcą legionów Piekła. To rzekomo oficjalny dokument samego Szatana.**

**Na Presterze Johnie słowa te nie zrobiły wielkiego wrażenia.**

**–Przypuśćmy, że istnieje jakieś wyjście z Piekła. Ale czemu królowa Elżbieta pragnie się z niego wydostać? Piekło wcale nie jest takie złe. Ma swoje ujemne strony, to prawda, ale człowiek szybko się uczy, jak sobie tu radzić. Czy Elżbieta sądzi, że będzie mogła rządzić w Niebie, tak jak rządzi tutaj – założywszy, że Niebo w ogóle istnieje, czego nikt jeszcze nie dowiódł?**

**–Elżbieta wcale nie zamierza sama opuścić Piekła, Wasza Wysokość – odezwał się Howard. – Król Henryk obawia się, że jeśli Elżbieta odkryje wyjście, to ogłosi, że należy ono do niej, osadzi wokół niego ludzi i będzie pobierała opłaty za przejście. Niezależnie od wszystkiego, zdaniem króla, znajdzie się wielu chętnych do podjęcia takiego ryzyka i Elżbieta zgarnie ostatecznie wszystkie pieniądze z Piekła. Ta myśl jest dla niego nieznośna, rozumiesz, panie? Sądzi, że jego córka i tak jest już wystarczająco przebiegła i agresywna, i nie może się zgodzić, by jej potęga jeszcze wzrosła. Ale chodzi także o coś innego, co ma związek z matką Elżbiety, Anną Boleyn, drugą żoną Henryka. Anna była dzika i próżna, król skazał ją na ścięcie za niewierność i teraz przypuszcza, że za działaniem córki kryje się jej matka, szukająca zemsty za...**

**–Oszczędź mi szczegółów – przerwał nieco poirytowany Yehlu Taszych. – Co, według Henryka, mam uczynić?**

**–Wysłać wojsko i zawrócić ekspedycję Raleigha, nim ta odnajdzie coś, co interesuje Elżbietę.**

**–I co na tym zyskam?**

**–Jeśli wyjście z Piekła znajduje się blisko granic twego państwa, to czy Wasza Wysokość rzeczywiście chciałby mieć za sąsiadów bandę Anglików Elżbiety?**

**–Nie ma wyjścia z Piekła – przypomniał z naciskiem Prester John.**

**–A jeśli Elżbieta mimo to założy kolonię?**

**Prester John zamilkł.**

**–Rozumiem – powiedział po dłuższej chwili.**

**–W zamian za pomoc – powiedział Howard – jesteśmy upoważnieni do podpisania bardzo korzystnego traktatu handlowego.**

**–Ach!**

**–Ponadto nasz władca obiecuje pomoc wojskową w wypadku inwazji na królestwo Jego Wysokości.**

–Jeśli armie króla Henryka są tak potężne, czemu sam nie wziął się za ekspedycję Raleigha?

–Nie było już czasu, by wyposażyć i wysłać wojsko na tak daleką wyprawę – wyjaśnił Lovecraft. – Ludzie Elżbiety wyruszyli w najgłębszej tajemnicy.

–Ach – powtórzył Yehlu Taszych.

–Oczywiście – mówił dalej Lovecraft – są na Pustkowiu inni władcy, do których mógłby się zwrócić król Henryk. Wymieniano Muamara Kadafiego i jednego z Asyryjczyków, chyba Assurbanipala. Ktoś wspomniał nawet o Mao Tse-tungu. Nie, powiedział król Henryk, poprośmy o pomoc Prestera Johna. To potężny władca, wspaniały król, a jego słowo jest prawem w najdalszych zakątkach Piekła. To Prester John jest tym, którego pomocy trzeba nam szukać.

W oczach Yehlu Taszycha pojawiła się nowa iskra zainteresowania.

–Rozważaliście sojusz z Mao Tse-tungiem?

–To była tylko taka sugestia, Wasza Wysokość.

–Ach, rozumiem. – Władca wstał ze swego tronu. – Cóż, muszę dobrze rozważyć tę sprawę. Nie możemy podejmować pochopnych decyzji. – Spojrzał przez wielką, sklepioną salę tronową ku otomanie. Doktor Schweitzer ciągle zajmował się Gilgameszem. – Pański pacjent, doktorze. Jak on się czuje?

–To człowiek ze stali, Wasza Wysokość, człowiek ze stali! *Gott sei dank*, zdrowieje w oczach!

–Doskonale. Chodźmy zatem. Wszyscy pewnie chcecie odpocząć. Później poznacie całą gościnność Prestera Johna!

Gościnność Prestera Johna, jak wkrótce przekonał się Gilgamesz, nie była wcale sprawą błahą.

Odprowadzono go do komnaty, której ściany spowijał czarny filc, tworząc coś w rodzaju wewnętrznego namiotu. Trzy, sięgające mu zaledwie do biodra, dziewczyny służebne chichocząc rozebrały go i wepchnęły delikatnie do wielkiej, marmurowej kadzi wypełnionej ciepłym mlekiem. Po kąpieli i najbardziej intymnym masażu jego obolałego ciała, służące ubrały Gilgamesza w ozdobne szaty z żółtego jedwabiu.

Kiedy wprowadziły Sumeryjczyka do ogromnej sali balowej, był tam już cały dwór – olśniewające zgromadzenie. Odbывał się właśnie koncert: siedmiu poważnych muzyków grało zgrzytliwą, hałaśliwą melodię. Grzmiały gongi, ryczały trąby, flety wydawały niesamowite, piskliwe dźwięki. Służba zaprowadziła Gilgamesza na honorowe miejsce: stos futer, na których piętrzyły się aksamitne poduszki.

Lovecraft i Howard już tam byli, ustrojeni jak Gilgamesz we wspaniałe jedwabie. Obaj sprawili wrażenie trochę niepewnych – prawie wytrąconych z równowagi. Howard – jak zwykle zarumieniony i hałaśliwy – nie potrafił usiedzieć w miejscu: śmiał się, wymachiwał rękami i walił piętami w futra. Zachowywał się jak mały chłopiec, który nabroił i teraz stara się to ukryć, udając nadmierne rozbawienie. Lovecraft przeciwnie: był oszołomiony, zdezorientowany; wzrok miał nieprzytomny, jakby przed chwilą otrzymał cios pałą w głowę.

Obaj są rzeczywiście dziwni, pomyślał Gilgamesz. Jeden robi wszystko, by wyglądać na hałaśliwego i pełnego wigoru. Od czasu do czasu próbuje pokazać, jak

jego dusza tęskni za dziką walką na miecze i widokiem rzek krwi, choć w rzeczywistości jest bardzo strachliwy i wszystkiego się boi. Drugi – chociaż jest pełen dziwnej rezerwy i dystansu – nie jest tak szalony jak pierwszy, ale też najwyraźniej próbuje ukryć swą prawdziwą twarz pod maską pozorów. Biedni głupcy, musieli się solidnie wystraszyć, kiedy służebne dziewczyny zaczęły ich rozbierać, kąpać w ciepłym mleku i rozkosznie pieścić. Nic dziwnego, że jeszcze się nie uspokoili po tych wszystkich nieprzystojnych rozkoszach, pomyślał Gilgamesz. Wyobrażał sobie, jak krzyczeli ze strachu, gdy wzięły się za nich małe Mongołki. „Co ty robisz? Nie zdejmuj mi spodni! Nie dotykaj mnie tu! Proszę... nie... och... ach... och! OOOCH!”

Yehlu Taszych, siedzący na wspaniałym tronie z onyksu i kości słoniowej, skinął mu dostojnie dłonią, jak król królowi. W odpowiedzi Gilgamesz nieznacznie skłonił głową, potwierdzając, że dostrzegł pozdrowienie. Cała ta pompa i ceremonie potwornie go nudziły. W końcu tyle musiał ich znieść w swym poprzednim życiu. I choć to on siedział wówczas na tronie, przeraźliwie się nudził. A teraz...

Jednakże owe dworskie uroczystości nie męczyły go bardziej od innych rzeczy. Gilgamesz już dawno pojął, na czym polega prawdziwe przekleństwo Piekła: wszystkie wysiłki nie prowadzą do niczego, są jak grom bez błyskawicy. I nic się nigdy nie kończy. Jeśli nie jest się wystarczająco ostrożnym, od czasu do czasu można tu umrzeć, ale zawsze, wcześniej czy później, zależnie od humoru Stróża, wraca się do życia. Nie sposób uwolnić się od wiecznego trwania. Niegdyś sam rozpaczliwie tęsknił za wiecznym życiem, lecz pojął, że w świecie śmiertelników nie da się go osiągnąć. A teraz, choć przebywał w miejscu, gdzie będzie żył wiecznie – tak przynajmniej mu się wydawało – nadal nie odczuwał żadnej radości. Jego jedynym pragnieniem było odsłużyć swój czas w Piekło i zasnąć w pokoju. Lecz tak nie mogło się stać. Życie tu po prostu trwało, trwało – jak ten koncert, jak te denerwujące wrzaski i piski.

Ktoś o gładkiej twarzy eunucha podszedł do niego i podał mu kawał pieczonego mięsa. Gilgamesz wiedział, że przyjdzie mu za to zapłacić – zawsze płaciło się za zjedzenie czegoś w Piekło – ale był głodny, więc pożarł mięso. I następny kawałek, i następny. Popijał sfermentowanym kobyliim mlekiem.

Pojawił się zespół tancerzy, kobiet i mężczyzn w przezroczywych, powiewnych szatach. Tańczyli, zonglując mieczami i płonącymi pochodniami. Kolejny eunuch przyniósł Gilgameszowi tacę osobliwych słodczy: heros niepomny już na konsekwencje, zajadał je całymi garściami. Miał wilczy apetyt. Jego ciało im zdrowsze, tym głośniej wołało o paliwo. Obok Howard pil kobyłe mleko, jakby to była woda i coraz bardziej się upijał. Ten drugi, Lovecraft, siedział nieruchomo, gapił się na tancerzy, ale nic nie brał do ust. I chyba drżał, jakby znalazł się w środku śnieżnej burzy.

Gilgamesz skinął, by podano mu kolejny dzban kumysu. W tej samej chwili pojawił się

doktor i z radością usadowił się na sąsiednim stosie futer. Uśmiechnął się z aprobatą, kiedy Gilgamesz pociągnął długi łyk.

**–Fiihlen Si sich besser, mein Held, eh? Ramię już cię nie boli? Rana się zasklepia. Bardzo szybko dochodzisz do zdrowia! Co za siła, co za moc! Robisz cuda, jak Bóg, Gilgameszu. Spoczęła na tobie dłoń Wszechmocnego. – Schweitzer wziął dzban od służącego, pociągnął łyk i skrzywił się. – Ach, to ich wino z mleka! I ta straszna *verfluchte* muzyka. Wszystko bym oddał za odrobinę dobrego wina mozelskiego i dźwięk toccaty i fugi *d-moll!* Bach... poznałeś go?**

**–Kogo?**

**–Bacha! Johanna Sebastiana Bacha. Największego kompozytora, poetę dźwięków, zesłanego nam przez samego Boga. Spotkałem go raz, tylko raz, całe lata temu. – Oczy**

**Schweitzera płonęły. – Byłem tu zupełnie nowy. Od niespełna dwóch tygodni. To się zdarzyło w willi króla Fryderyka... Fryderyka Wielkiego. Znasz go? Nie? Króla Prus? *Der***

***alte Fritz!* Nieważne. Nieważne. *Es macht nichts.* Wszedł mężczyzna, zwykły mężczyzna,**

**nawet nie zauważyłbyś go w tłumie. I zaczął grać na harfie. Po trzech taktach powiedziałem:**

**„To musi być Bach, to musi być prawdziwy Bach” i padłbym przed nim na kolana, gdybym**

**się nie wstydził. To był Bach. Zadałem sobie pytanie, dlaczego Bach jest w Piekło. Ale**

**później pomyślałem, pewnie ty się nad tym zastanawiałaś i każdy tu chyba przynajmniej raz**

**zadał sobie to pytanie: „Dlaczego Schweitzer jest w Piekło?” Wiem, że wyroki boskie są**

**niezbadane. Być może Bóg przysłał mnie tu jako kapłana potępionych? Być może ma być**

**nim także i Bach? A może my wszyscy jesteśmy potępieni albo też nikt tu nie jest potępiony?**

***Es macht nichts aus,* to tylko spekulacje. To pomyłka, a być może nawet grzech, wyobrażać**

**sobie, że przejrzało się zamysły Boga. Jesteśmy tutaj. Mamy dzieło do wykonania. Ta wiedza**

**nam wystarczy.**

**–Kiedyś też tak myślałem – powiedział Gilgamesz. – Kiedy byłem jeszcze królem Uruk, nadszedł dzień, w którym zrozumiałem, że muszę umrzeć, że nie zdołam ukryć się przed śmiercią. Po co więc żyję, zapytałem wówczas sam siebie. I odpowiedziałem: bogowie stworzyli nas, byśmy wykonali swe dzieło i po to żyjemy. A potem żyłem i umarłem. – Twarz Gilgamesza spoważniała. – Ale teraz... teraz...**

**–Tutaj też mamy dzieło do wykonania – stwierdził Schweitzer.**

**–Być może ty. Ja mogę jedynie obserwować upływ czasu. Kiedyś miałem**

przyjaciela, który dźwigał to brzemie wraz ze mną...

–Enkidu.

Gilgamesz złapał doktora za gruby przegub i ścisnął go mocno, gorączkowo.

–Wiesz coś o Enkidu?

–Znam go z poematu. Poemat jest bardzo sławny.

–No tak, poemat. Ale żywy człowiek...

–Nie wiem o nim nic, *nein*.

–Wygląda jak ja, jest bardzo duży. Ma gęstą brodę, rozczochrane włosy, ramiona szersze nawet od moich. Zawsze wędrowaliśmy razem. Ale później pokłóciliśmy się i Enkidu odszedł w gniewie. Powiedział: „Nigdy więcej nie wchodź mi w drogę”.

Powiedział: „Nie kocham cię już, Gilgameszu”. Powiedział: „Jeśli jeszcze kiedyś się spotkamy, odbiorę ci życie”. I od tej pory słuch o nim zaginął.

Schweitzer popatrzył Gilgameszowi prosto w oczy.

–Jak to możliwe? Cały świat wie, jak bardzo kochali się Gilgamesz i Enkidu.

Sumeryjczyk kazał podać kolejny dzban kumysu. Rozmowa budziła w jego sercu dużo większy ból niż rana w ramieniu. Picie nie mogło stłumić tego bólu, ale mimo to pił.

Pociągnął z dzbana i powiedział ponuro:

–Pokłóciliśmy się. Padły między nami złe słowa. Powiedział, że już mnie nie kocha.

–To nie może być prawda.

Gilgamesz wzruszył ramionami i milczał.

–Chcesz go odzyskać? – zapytał Schweitzer.

–Nie pragnę niczego innego.

–Wiesz, gdzie jest?

–Piekło jest większe nawet od świata. Może być wszędzie.

–Odnajdziesz go.

–Gdybyś wiedział, ile czasu go szukałem...

–Odnajdziesz go. Tyle wiem.

Gilgamesz potrząsnął głową.

–Jeśli Piekło jest miejscem kary, to moją karą jest to, że nigdy go nie odnajdę. A jeśli nawet, to znów mnie odrzuci. Albo podniesie na mnie rękę.

–To nie tak – powiedział Schweitzer. – Sądzę, że tęskni za tobą tak, jak ty tęsknisz za nim.

–Więc dlaczego mnie unika?

–Jesteś w Piekło – powiedział łagodnie Schweitzer. – I to jest próba, przyjacielu; ale żadna próba nie trwa wiecznie. Nawet w Piekło. I chociaż to Piekło, ufaj Panu.

Odzyskasz Enkidu już niedługo, *um Himmels Willen*. - Schweitzer uśmiechnął się i dodał: – Nasz pan cię wzywa. Idź do niego. Chyba ma ci do powiedzenia coś, czego rad wysłuchasz.

–Jesteś wojownikiem, prawda? – spytał Prester John.

–Byłem – odparł niedbale Gilgamesz.

–Generałem? Wodzem?

–Wszystko to od dawna mam za sobą – stwierdził Gilgamesz. – Żyję życiem po

życiu. Chodzę własnymi ścieżkami i nikt nie może mi rozkazywać. W Piekło jest wielu generałów.

–Powiedziano mi, że byłeś wodzem nad wodzami. Powiedziano mi, że walczyłeś jak bóg wojny. Kiedy wychodziłeś w pole, całe armie rzuciły broń i klękały przed twym obliczem.

Gilgamesz zbył to milczeniem.

–Brakuje ci chwały bitewnej, Gilgameszu.

–Doprawdy?

–A gdybym tak powierzył ci dowództwo mojej armii?

–Po co miałbyś to robić? Kim dla ciebie jestem? Kim są dla mnie twoi ludzie?

–W Piekło przyjmujemy obywatelstwo wedle własnego uznania. Co byś powiedział, gdybym ofiarował ci dowództwo?

–Powiedziałbym, że popełniasz wielką pomyłkę.

–To nie byle armia. Dziesięć tysięcy ludzi. Odpowiednie wsparcie powietrzne. Taktyczna broń jądrowa. Największa siła ognia na Pustkowiu.

–Nie zrozumiałeś. Sztuka wojenna mnie nie interesuje. Nie wiem nic o współczesnej broni i nie zamierzam wiedzieć. Trafiłeś na złego człowieka, Presterze Johnie. Jeśli potrzebujesz generała, poślij po Wellingtona. Poślij po lorda Marlborough. Po Rommla. Po Tiglath Pilesera.

–Albo po Enkidu?

Dźwięk tego imienia poraził Gilgamesza. Twarz zaczęła mu płonąć. Zadrżał konwulsyjnie.

–Co wiesz o Enkidu?

Prester John uniósł wypielegnowaną dłoń.

–Pozwól mi zadawać pytania, wielki królu.

–Wymieniłeś imię Enkidu. Co wiesz o Enkidu?

–Najpierw przedyskutujmy sprawy ważniejsze...

–Enkidu – powtórzył nieubłaganie Gilgamesz. – Dlaczego wymieniłeś to imię?

–Wiem, że był twoim przyjacielem...

–Jest.

–Doskonale, jest twoim przyjacielem. I mężczyzną o wielkiej odwadze i sile. Tak się składa, że twój przyjaciel jest w tej chwili gościem na dworze najgorszego wroga mojego królestwa, który, jak sądzę, przygotowuje się właśnie do wojny ze mną.

–Co? – wytrzeszczył oczy Gilgamesz. – Enkidu służy królowej Elżbiecie?

–Nie przypominam sobie, bym to powiedział.

–Czy to nie królowa Elżbieta wysłała armię, by wdrzeć się na twoje terytorium?

Yehlu Taszych roześmiał się.

–Raleigh i jego pięciuset głupców? Ta ekspedycja to absurd. Załatwię ich w jeden dzień. Mam na myśli zupełnie innego przeciwnika. Powiedz: wiesz coś o Mao Tse-tungu?

–Ci książęta z Nowych Zmarłych... jest ich tylu...

–Chińczyk. Człowiek Han. Cesarz dynastii marksistowskiej. Rządził dużo, dużo później niż ja. Zręczny, uparty i bardziej niż szalony. Rządzi czymś, co nazywa się



Niebiańska Republika Ludowa: graniczymy ze sobą od północy. Mówi swym poddanym, że Piekło można zmienić w Niebo dzięki kolektywizacji.

–Kolektywizacji? – powtórzył Gilgamesz, nic nie rozumiejąc.

–Chce zmienić wieśniaków w królów, a królów w wieśniaków. Powiedziałbym, jest bardziej niż szalony. Ale ma mnóstwo wiernych wyznawców, którzy robią, co im każe. Chce podbić całe Pustkowie, a zacząć ode mnie. A później wszyscy obywatele Piekła mają wyznawać jego szaleńcze idee. Obawiam się, że zawarł sojusz z Elżbietą, a te bzdury o znalezieniu wyjścia to zasłona dymna i w rzeczywistości Raleigh prowadzi misję szpiegowską dla Elżbiety, która z kolei powiadomi Mao o moich słabych punktach.

–Ale skoro ten Mao jest wrogiem królów, to dlaczego Elżbieta została jego sojuszniczką?...

–Najwyraźniej widzą w tym obopólną korzyść. Elżbieta wspomaga Mao w obaleniu mnie, Mao pomaga Elżbiecie obalić jej ojca. A potem, kto wie? Chcę uderzyć pierwszy.

–A co z Enkidu? Opowiedz mi o Enkidu!

Prester John rozwinął zwój wydruków komputerowych. Przejrzał je, znalazł właściwe miejsce i odczytał:

–Wojownik z Dawnych Zmarłych, Enkidu Sumeryjczyk – Sumerowie, tak się nazywał twój naród? – pojawił się na dworze Mao tego a tego dnia... powód wizyty: „wyprawa myśliwska na Pustkowie.” Towarzyszył mu amerykański szpieg udający dziennikarza i myśliwego, niejaki E. Hemingway... tajemne spotkanie z Kublai Chanem, ministrem wojny Niebiańskiej Republiki Ludowej... obecnie ćwiczy żołnierzy komunistycznych przygotowujących się do inwazji na Nowy KaraKitaj... – Prester John podniósł wzrok. – Czy to cię interesuje, Gilgameszu?

–Czego ode mnie chcesz?

–Ten człowiek to twój słynny przyjaciel. Znasz jego umysł, tak jak znasz swój. Obroń nas przed nim, a dam ci wszystko, czego zapragniesz.

–Pragnę tylko przyjaźni z Enkidu.

–A więc podam ci Enkidu na srebrnej tacy. Obroń mnie przed żołnierzami Mao. Pomóż mi, powiedz, jakiej strategii uczy ich Enkidu. Wytrzebimy tych markszystowskich drani, pojmiemy ich generałów i Enkidu będzie twój. Nie mogę zaręczyć, że zechce się z tobą przyjaźnić, ale będzie twój. Co ty na to, Gilgameszu? Co ty na to?

\* \* \*

Aż po horyzont bezbarwną równinę Piekła zajmowały legiony Prestera Johna. Na tle szarego nieba powiewały szkarłatnożółte chorągwie. W środek armii klinem wbijały się oddziały konnych łuczników w skórzanych zbrojach, których otaczały formacje ciężkozbrojnej piechoty: w awangardzie szły czołgi Prestera Johna, sunąc wolno przez nierówny, sfaldowany teren. Falanga transatmosferycznych uzbrojonych platform zapewniała osłonę z powietrza.

Wznosząca się w oddali chmura kurzu świadczyła, że armia Niebiańskiej Republiki Ludowej jest już blisko.

–Na wszystkie demony Stygii, widziałeś kiedyś coś bardziej zwariowanego? – krzyknął Robert Howard. I on, i Lovecraft mieli doskonały widok z punktu dowodzenia, wspaniałej pagody bronionej lśniącem polem siłowym. Był tu także Gilgamesz; stał obok Prester Johna i najwyższych dowódców KaraKitaju. Imperator wpatrywał się w rzędy monitorów, a jeden z jego doradców gorączkowo wystukiwał rozkazy na klawiaturze komputera. – To przecież nie ma sensu. Jeźdźcy, czołgi, platformy uzbrojone, wszystko pomieszane w jednym czasie – to tak te dranie toczą tutaj wojny?

Lovecraft przyłożył palec do ust.

–Nie krzycz, Bob. Chcesz, żeby cię Prester John usłyszał? Jesteśmy jego gośćmi, pamiętaj. I posłami króla Henryka.

–A niech mnie słyszy. Spójrz sam na ten bałagan. Czy Prester John nie zdaje sobie sprawy, że zaatakują go dwudziestowieczni bolszewicy chińscy dysponujący bronią swoich czasów? Na litość boską, po co mu konnica! Szarża kawalerii na ciężką artylerię? Łuki i strzały przeciw armatom? – Howard roześmiał się szyderczo. – Strzały o nuklearnych grotach – czy na tym ma polegać podstęp?

–Z tego, co wiemy, może właśnie na tym – stwierdził cicho Lovecraft.

–Wiesz, że to niemożliwe, H.P. Rozczarowujesz mnie. Ty, człowiek z takim przygotowaniem naukowym! Wiem, że broń nuklearna to jeszcze nie nasze czasy, ale z pewnością znasz teorię! Masa krytyczna na ostrzu strzały? Nie, H.P., wiesz równie dobrze jak ja, że to się nie da zrobić! A gdyby nawet...

Zirytowany Lovecraft gwałtownym gestem nakazał mu milczenie i wskazał główny monitor, przed którym siedział Prester John. Na ekranie pojawiła się czerwona twarz potężnie zbudowanego mężczyzny z gęstą, siwą brodą.

–Przecież to Hemingway – powiedział Lovecraft.

–Kto?

–Ernest Hemingway. Pisarz. *Pożegnanie z bronią, Słońce też wschodzi.*

–Nie znoś jego książek – oświadczył Howard. – Chore brednie o pijanych słabeuszach. Jesteś pewien, że to on?

–Słabeuszach, Bob? – zdumiał się Lovecraft.

–Czytałem tylko jedną jego książkę, o tych Amerykaninach w Europie, co chodzą na walki byków, upijają się i śpią z cudzymi żonami. Z niej dowiedziałem się, czego chciałem, o twórczości pana Hemingwaya. Mówię ci, H.P., to obrzydliwe. I jak napisane! Same krótkie zdania, żadnej magii, żadnej poezji...

–Bob, podyskutujemy o tym kiedy indziej?

–Nie wie nic o bohaterstwie... brak mu świadomości uczuć wyższych, które uszlachetniają i umożliwiają...

–Bob... proszę...

–Ma fioła na punkcie obrzydliwych łotrów, krętaczy, zdesperowanych...

–Mówisz bzdury, Bob. Nie zrozumiałeś nic z jego filozofii życia. Gdybyś tylko zadał sobie trud i przeczytał *Pożegnanie z bronią*... – Lovecraft gniewnie potrząsnął głową. – Teraz nie czas na dyskusje o literaturze. Patrz... patrz tam! – wskazał na przeciwny kąt pokoju. – Wzywa nas jeden z cesarskich doradców. Coś się zaczyna

**dziać.**

**Rzeczywiście, najwyraźniej coś się działo. Yehlu Taszych dyskutował z kilkoma doradcami. Gilgamesz, czerwony na twarzy, podniecony, chodził tam i z powrotem przed rzędem monitorów komputerowych. Na jednym z nich ciągle widać było twarz Hemingwaya; on też sprawiał wrażenie podnieconego.**

**Howard i Lovecraft przeszli pospiesznie przez salę.**

**–Chcą rozmawiać – oświadczył im władca.**

**–Ich negocjatorem będzie Kublai Chan. Moim – doktor Schweitzer. Hemingway ma być niezależnym obserwatorem, ich niezależnym obserwatorem. Też potrzebuję niezależnych obserwatorów. Czy wy dwaj, jako dyplomaci neutralnego państwa, zgodzicie się udać na miejsce rozmów i bacznie je śledzić?**

**–To dla nas honor – odparł z godnością Howard.**

**–A z jakiego powodu proszą o negocjacje, panie? – zapytał Lovecraft. Yehlu Taszych wskazał gestem na monitor.**

**–Hemingway miał pomysł, by rozstrzygnąć spór walką Gilgamesza z Enkidu. Nam oszczędziłoby to amunicji, a Stróżowi mnóstwa roboty. Ale są rozbieżności co do szczegółów. – Cesarz dyskretnie powstrzymał ziewnięcie. – Być może zdołamy rozstrzygnąć wszystko do obiadu.**

**Posłowie stanowili grupę dziwnie dobranych ludzi. Głównym negocjatorem Mao Tse-tunga był tłusty, bogato ubrany Kublai Chan, którego chytre, ciemne oczka zdradzały niemały spryt i siłę woli. W swoim czasie był on samodzielnym władcą, ale tu wybrał mniej wyczerpujące obowiązki. Obok niego stał Hemingway, wielki i ciężki, o głębokim głosie i bezpośrednim, wręcz aroganckim sposobie bycia. Mao wysłał także czterech drobnych ludzi w identycznych, niebieskich uniformach z czerwoną gwiazdą na piersi („działacze”, mruknął ktoś) oraz – co wydawało się dziwne – Włochatego Człowieka – istotę pozbawioną szyi, posiadającą za to niezwykle wypukłe łuki brwiowe, stworzenie z najdawniejszych czasów. Ono także nosiło znak komunistów na ubraniu.**

**Lecz był tu jeszcze ktoś: potężny mężczyzna o szerokiej piersi, ciemnej twarzy i płonących, okrutnych oczach. Ten najwyraźniej trzymał się na uboczu...**

**Gilgamesz nie potrafił zmusić się i spojrzeć mu prosto w oczy. Sam również trzymał się na uboczu, wystawiając twarz na ostry wiatr wiejący przez pole bitwy. Tak bardzo chciał podbiec do Enkidu, wziąć go w objęcia, uściskiem ukoić ból i udrękę rozstania...**

**Gdyby tylko było to takie proste!**

**Poprzez wycie wiatru dobiegały głosy negocjatorów Mao – i tych pięciu, których wysłał Prester John: Schweitzera, Lovecrafta, Howarda i dwóch oficerów KaraKitaju. Najwięcej mówił Hemingway.**

**–Więc panowie jesteście pisarzami? Pan Howard, pan Lovecraft? Bardzo mi przykro, że nie miałem przyjemności czytać dzieł panów.**

**–Pisaliśmy fantastykę – powiedział Lovecraft. – Baśnie, wizje.**

**–Doprawdy? Publikowaliście, w „Argosy”? W „Post”?**

**–Zamieściłem w „Argosy” pięć opowiadań, ale to były westerny – wyjaśnił**

Howard. – Pisaliśmy głównie dla „Weird Tales”, a H.P. opublikował też kilka tekstów w „Astounding Stories”.

–„Weird Tales” – powtórzył Hemingway. – „Astounding Stories”. – Po twarzy przemknął mu wyraz niesmaku. – Hmmm. Nie znam tych magazynów. Ale pisaliście, panowie, dobrze, prawda? Pisaliście o tyra, co naprawdę czujecie, pisaliście prawdę i nic nie kręciliście? Naturalnie, wiem, że tak! Byliście uczciwymi pisarzami, inaczej nie trafilibyście do Piekła. To się rozumie samo przez się. – Roześmiał się, radośnie zatarł dłonie i szerokim gestem zarzucił ręce na ramiona rozmówców. Howard wydawał się tym lekko zaniepokojony, a Lovecraft najwyraźniej pragnął zapaść się pod ziemię.

–No więc, panowie – ryknął Hemingway – mamy tu mały problem i musimy sobie z nim poradzić. Jeden z herosów chce walczyć gołymi rękami, a drugi chce używać – jak on to nazwał? Aha, pistoletu rozrywającego. Zapewne znacie się na tym lepiej ode mnie, bo dla mnie brzmi to jak coś wyjętego żywcem z „Astounding Stories”. Nie możemy na to pozwolić, prawda? Gołe ręce przeciw fantastycznej nauce przyszłości? Istnieje jeden tylko rodzaj uczciwej walki: równy z równym. Wszystkie inne są po prostu złe.

–Niech walczy ze mną na pieści – zawołał z dala Gilgamesz. – Tak jak walczyliśmy po raz pierwszy, w Uruk, kiedy moja droga przecięła jego drogę!

–On się boi używać nowych broni – odkrzyknął Enkidu. – Przyniosłem sztucer, doskonały, dwunastostrzałowy. To dla mego brata Gilgamesza. Ale on cofnął rękę, jakby sądził, że daję mu jadowitego węża.

–Kłamstwo! – ryknął Gilgamesz. – Nie bałem się! Brzydziłem się, bo to broń tchórzów!

–On się boi wszystkiego, co nowe. Kiedyś myślałem, że Gilgamesz z Uruk nie zna uczucia lęku, ale on boi się nieznanego. Nazwał mnie tchórzem, bo polowałem ze sztucerem. Ale sądzę, że to on jest tchórzem. Boi się walczyć ze mną nową bronią. Wie, że go zabiję. Nawet tu boisz się śmierci, prawda? Zawsze lękał się śmierci. I czemu? Bo obrażała jego dumę? Chyba tak. Jest zbyt dumny, by umrzeć... zbyt dumny, by przyjąć wyrok bogów...

–Połamię ci kości gołymi rękami! – ryknął Gilgamesz.

–Dajcie nam rozrywacze. Zobaczymy, czy ośmieli się tknąć tej broni.

–To broń tchórzów!

–Znów nazywasz mnie tchórzem? Ty, Gilgameszu, który sam trzęsiesz się ze strachu...

–Panowie, panowie...

–Boisz się mej siły, Enkidu!

–Boisz się mej zręczności. Ty, ze swym żalonym, starym mieczem, z nędznym łukiem...

–Czy to kpi ze mnie Enkidu, którego kochałem?

–Ty zakpiłeś pierwszy, kiedy wzgardziłeś moim sztucerem, wzgardziłeś moim darem i nazwałeś mnie tchórzem...

–Powiedziałem, że to broń tchórzów. Broń, nie ty!

–Nie ma różnicy.

–*Bitte, bitte* – wtrącił się Schweitzer. – Nie w ten sposób!

Poparł go Hemingway:

–Panowie, proszę!

Obaj przeciwnicy nie zwrócili na nich uwagi.

–Myślałem...

–Powiedziałaś...

–Wstyd...

–Strach...

–Trzy razy po trzykroć tchórz!

–Pięć razy po pięciokroć zdrajca!

–Falszywy przyjaciel!

–Próżny głupiec!

–Panowie, muszę was prosić...

Ale głos Hemingwaya, chociaż stanowczy i donośny, zginął całkowicie w ryku, który wydarł się z gardła Gilgamesza. Straszliwy gniew zaślepił herosa, pulsował mu pod czaszką, w skroniach, w klatce piersiowej. Nigdy więcej! Tak właśnie wszystko się zaczęło, kiedy Enkidu przyszedł do niego ze sztucerem, a on mu go oddał i zaczęli spór. Najpierw tylko rozmawiali, później kłócili się, później zaczęli krzyczeć, a jeszcze później padły wzajemne oskarżenia. Na końcu wykrzyczane w gniewie obelgi rozdzieliły bohaterów, którzy byli sobie bliscy jak bracia.

Ale do walki nie doszło. Enkidu po prostu odszedł, twierdząc, że nie są już przyjaciółmi. I teraz, słysząc znów te same słowa, podniecony kłótnią na temat wyboru broni, Gilgamesz nie mógł się powstrzymać. Opanowany nieprzytomną furią i rozpaczą, ruszył do ataku.

Enkidu, któremu płonęły oczy, był gotów.

Hemingway próbował ich rozdzielić, ale chociaż był potężnie zbudowanym mężczyzną, przy Gilgameszu i Enkidu sprawiał wrażenie dziecka i walczący odrzucili go bez wysiłku. Z impetem, który wydawał się wstrząsać samą ziemią, Gilgamesz zderzył się z Enkidu i złapał go obydwoma rękami.

Enkidu wybuchnął śmiechem.

–A więc jednak postawiłeś na swoim, królu. Bijemy się gołymi rękami.

–To jedyny sposób – odparł Gilgamesz.

Nareszcie. Nareszcie. Na tym i na innym świecie nie było zapaśnika, który mógłby równać się z Gilgameszem z Uruk. Złamię go, pomyślał Gilgamesz, jak on złamał naszą przyjaźń. Skręcę mu kark. Zgniotę żebra. I tak, jak już się kiedyś zdarzyło, walczyli jak wściekłe byki. Walczyli, patrząc sobie w oczy. Sapali, ryczeli, wyli. Gilgamesz wykrzykiwał obelgi w języku Uruk i we wszystkich innych językach, jakie mu przyszły do głowy. Enkidu obrzucał przeciwnika obelgami w języku bestii, którymi władał, kiedy był jeszcze dzikusem. Dobywał z piersi przerażający ryk pustynnego lwa.

Gilgamesz pragnął zabić Enkidu. Kochał tego człowieka bardziej niż samo życie, a jednak modlił się, by mógł skręcić mu kark, usłyszeć suchy trzask kruszonego

kręgosłupa, zgnieść i odrzucić Enkidu niczym znoszony płaszcz. Jego miłość była tak silna, że przemieniła się w czystą nienawiść. Niech znów trafi do Stróża, pomyślał Gilgamesz. Niech się wynosi z Piekła!

Lecz, chociaż walczył jak jeszcze nigdy przedtem, nie potrafił zdławić Enkidu. Na czole wystąpiły mu żyły, szwy rany pękły i po ramieniu pociekła krew. Za wszelką cenę chciał powalić przeciwnika, a Enkidu nie dawał się powalić. Był mu równy, odpowiadał siłą równą jego sile, potrafił go powstrzymać. Stali spleceni w morderczym uścisku i patrzyli sobie w oczy; żaden nie chciał ustąpić. W pewnej chwili Enkidu powiedział jak kiedyś, dawno temu:

–Ach, Gilgameszu! Na całym świecie nie ma drugiego jak ty! Chwała matce, która cię zrodziła!

Było to jak pęknięcie tamy, jak powódź świeżej wody zraszającej spękaną, suchą ziemię jego Krainy.

Gilgamesz, którego w jednej chwili opuściło napięcie i gniew, również powtórzył wypowiedziane już niegdyś słowa.

–Jest jeszcze jeden człowiek taki jak ja. Ale tylko jeden.

–Nie. To ciebie Enlil uczynił królem.

–Lecz ty jesteś moim bratem – odparł Gilgamesz i obaj jednocześnie zaczęli się śmiać, opuścili ramiona, odstąpili od siebie i jakby ujrzeni się po raz pierwszy, znów wybuchnęli śmiechem.

–To wielka głupota, ta walka między nami – krzyknął Enkidu.

–Rzeczywiście, wielka głupota, bracie.

–Ty nie potrzebujesz sztucerów i rozrywaczy, prawda?

–One mnie nie obchodzą, ale skoro ciebie bawią te zabawki, rób z nimi, co chcesz.

–Dobrze, bracie.

–Rzeczywiście!

Gilgamesz rozejrzał się. Ujrzał wlepione w siebie oczy: czterech działaczy, Lovecrafta, Howarda, Włochatego Człowieka, Kublai Chana, Hemingwaya. Stali z otwartymi ustami i wpatrywali się w herosów ze zdumieniem. Tylko Schweitzer promieniał radością. Doktor

podszedł do nich i powiedział cicho:

–Nie poraniliście się nawzajem? Nie. *Gut, Gut.* Więc odejdźcie stąd obaj. Razem. Natychmiast. Co was obchodzi wojna Prestera Johna z Mao? To nie wasza sprawa. Odejdźcie. Już.

Enkidu uśmiechnął się szeroko.

–Co na to powiesz, bracie? Będziemy razem polować?

–Wszędzie, aż do granic Pustkowia. Ty, ja i nikt inny.

–I będziemy polować wyłącznie z łukiem?

Gilgamesz wzruszył ramionami.

–Weź rozrywacz, jeśli ci na tym zależy. Armatę. Granaty jądrowe! Ech, Enkidu, Enkidu...

–Gilgameszu!

**–Idźcie – szepnął Schweitzer. – Idźcie. Opuście to miejsce i nie oglądajcie się za siebie. *Auf Wiedersehen! Gluttckliche Reise! Gottes narme.* Idźcie!**

**Widząc jak odchodzą, widząc jak znikają w kurzu, który wzbijał z ziemi ostry wiatr Pustkowie, Robert Howard poczuł nagły, przejmujący ból. Utracił coś na zawsze. Jacy byli piękni, ci dwaj herosi, ci dwaj giganci, kiedy zwarli się ze sobą w zapasach! I ta krótka, magiczna chwila, gdy pojęli całą głupotę swej kłótni, gdy przestali być wrogami i znowu stali się braćmi...**

**A teraz odeszli. A on pozostał tu, wśród innych, obcych... Chciał przecież zostać bratem Gilgamesza, a być może – ciągle jeszcze nie potrafił tego zrozumieć – kimś więcej niż bratem. Ale to nie mogło się zdarzyć. I wiedząc, że to się nigdy nie zdarzy, wiedząc, że na zawsze utracił człowieka, który tak bardzo przypominał mu Conana, Howard poczuł, jak ściska mu się gardło.**

**–Bob? – odezwał się Lovecraft. – Bob, dobrze się czujesz?**

**Cholera, pomyślał Howard. Mężczyzna nie płacze. A zwłaszcza w obecności innego mężczyzny.**

**Odwrócił twarz, wystawiając ją na ostre porywy wiatru i Lovecraft nie mógł zobaczyć jego oczu.**

**–Bob? Bob?**

**Cholera, pomyślał znów Howard. I rozplakał się.**

***Tłumaczył Krzysztof Sokołowski***

# Pasażerowie

Jestem zupełnie rozbity. Okruchy pamięci odpłynęły w siną dal jak dryfująca po rzece kra. Takie uczucie towarzyszy nam, kiedy opuszcza nas Pasażer. Nigdy nie możemy być pewni, co robiły nasze wypożyczone ciała. Pozostają tylko niewyraźne wspomnienia, drobne ślady.

Jak piasek przyklejony do butelki wrzuconej do oceanu. Jak czucie w amputowanych nogach.

Wstaję. Próbuję się pozbierać. Czeszę się, bo mam potargane włosy. Twarz mam bladą i wymiętą; za mało spałem. W ustach czuję kwaśny smak. Czyżby Pasażer jadł jakieś świństwa moimi ustami? Oni tak robią. Oni mogą zrobić wszystko.

Jest poranek.

Szary i nieokreślony. Wyglądam przez okno, ale po chwili drżącą ręką zasłaniam okno i przyglądam się szarym, nieokreślonym zasłonom. Mój pokój wygląda jak po przyjęciu. Czy była tu kobieta? Popielniczki są pełne. Oglądając niedopałki, znajduję kilka ze śladem szminki. Tak, najwyraźniej musiała tu być kobieta.

Dotykam pościeli, jest jeszcze ciepła. Obydwie poduszki są zgniecione. Jednak jej już nie ma, Pasażera też. Jestem sam.

Ile czasu trwało to tym razem?

Podnoszę słuchawkę i dzwonię do Centrali.

–Którego dzisiaj?

Bezosobowy i mechaniczny głos z komputera odpowiada:

–Piątek, czwarty grudnia 1987.

–Godzina?

–Dziewięta pięćdziesiąt jeden. Czasu wschodniego.

–Prognoza pogody?

–Przewidywana temperatura trzydzieści do trzydziestu ośmiu stopni. Obecnie temperatura wynosi trzydzieści jeden stopni. Wiatr północny, łagodny. Opadów nie przewiduje się.

Co proponujecie na kaca?

Jedzenie czy lekarstwo?

Wszystko jedno – mówię.

Komputer przez chwilę się zastanawia. Wreszcie decyduje się na jedno i drugie, i moja kuchnia buczy radośnie. Z małego kranu leje się zimny sok pomidorowy. Jajka zaczynają skwierczeć na patelni. Z apteczki dostaję czerwony płyn. Centralny komputer zawsze jest nadopiekuńczy. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek był opanowany przez Pasażera. Jakie to musiałyby być dla nich ekscytujące! Na pewno ciekawiej jest wypożyczyć sobie milion umysłów z Centrali, niż żyć przez chwilę w ułomnej, ograniczonej i zużytej duszy jednej ludzkiej istoty!

Czwarty grudnia, jak powiedziała Centrala. Piątek. A więc Pasażer był we mnie trzy doby.

Piję czerwony płyn z apteczki i próbuję ostrożnie uporządkować okruchy wspomnień. Przypomina to badanie otwartej rany.

Pamiętam wtorkowy poranek. Kiepski dzień w pracy. Żaden wykres mi nie



wyszedł, jak powinien. Szef był zdenerwowany; Pasażer bawił w nim trzy razy w ciągu ostatnich pięciu tygodni i jego dział pogrążył się w kompletnym chaosie, a bożonarodzeniowa premia przepadła bezpowrotnie. Mimo że zwyczajowo nie karze się nikogo za straty spowodowane obecnością Pasażerów umyśle, szef boi się chyba, że zostanie potraktowany nie najlepiej. Przechodzimy teraz trudny okres. Sprawdzanie wykresów, zmaganie się z nowym oprogramowaniem, weryfikowanie każdego danych po dziesięć razy. Wynikiem ma być szczegółowa prognoza wahań cen ubezpieczeń społecznych od lutego do kwietnia 1988. Po południu mamy spotkanie, podczas którego powinniśmy omówić wnioski wpływające z naszej pracy.

Nie pamiętam wtorkowego popołudnia. To wtedy musiał mnie opanować Pasażer. Może stało się to już w pracy? Może w wyłożonej mahoniem sali konferencyjnej, w czasie samego spotkania. Wokół mnie zmartwione twarze; krztuszę się, pochylam, spadam z krzesła. Smutno potrząsają głowami. Nikt do mnie nie podchodzi. Nikt mnie nie zatrzymuje. Przeszkodzenie komuś w opanowaniu przez Pasażera jest zbyt niebezpieczne. Istnieje możliwość, że obok czai się drugi Pasażer w swej bezcielesnej formie i też szuka ofiary. Wszyscy mnie omijają szerokim łukiem. Wychodzę z budynku.

A co potem?

Siedząc w swoim pokoju w szary, piątkowy ranek i jedząc jajecznicę, staram się odtworzyć trzy ostatnie noce z życia mego ciała.

Oczywiście, jest to niemożliwe. W czasie ataku świadomość funkcjonuje normalnie, ale kiedy Pasażer się wycofuje, prawie wszystkie wspomnienia znikają. Pozostają wyłącznie ścinki niewyraźnych i nierealnych obrazów. Ofiara nie jest już potem dokładnie tą samą osobą. Chociaż nie może sobie przypomnieć szczegółów własnych przeżyć, to te doświadczenia ją zmieniają.

Mimo to próbuję sobie przypomnieć.

Dziewczyna? Aha, szminka na niedopałkach papierosów. Seks w moim pokoju. Młoda?

Stara? Blondynka? Brunetka? Wszystko spowija mgła. Jak zachowywało się moje ciało? Czy byłem dobrym kochankiem? Kiedy jestem sobą, staram się. Ćwiczę, trzymam formę. Mam trzydzieści osiem lat i mogę rozegrać trzy sety na korcie tenisowym w letnie, upalne popołudnie. Umiem sprawić, by kobieta zabłysła, jak powinna. Nie chwalebę się, tylko stwierdzam fakty. Każdy ma jakieś zdolności. Ja posiadam właśnie takie.

Ale Pasażerowie, jak mi mówiono, czerpią złośliwą przyjemność z przeinaczania naszych talentów. A gdyby mojemu ostatniemu Pasażerowi sprawiło radość znalezienie mi kobiety i zmuszenie mnie do wielokrotnego niepowodzenia?

Nie podoba mi się ta myśl.

Mój umysł powoli odzyskuje jasność. Leki przepisane przez Centralę działają szybko. Posilam się, golę i długo stoję pod prysznicem, aż moja skóra staje się przesadnie czysta. Gimnastykuję się. Czy Pasażer odfajkował moje ćwiczenia w środę i w czwartek? Prawdopodobnie nie. Muszę to nadrobić. Zbliżam się już do

wieku średniego, kiedy trudniej utrzymać się w formie.

Dwadzieścia razy dotykam palcami stóp. Kolana mam proste.

Wyrzucam nogi w powietrze.

Robię pompki.

Moje ciało reaguje bólem, musiało być źle traktowane. To właśnie jest pierwszy moment pełnej świadomości: czuję ból, wiem, że znów jestem pełen energii.

Teraz potrzebuję tylko świeżego powietrza. Szybko ubieram się i wychodzę. Nie muszę dziś iść do pracy. Widzieli, że we wtorek zostałem opanowany przez Pasażera i nie muszą wiedzieć, że w piątek o świcie mnie opuścił. Zrobię sobie wolne.

Pochodzę po ulicach, poruszam się, wynagrodzę mojemu ciału nadużycia, których się dopuściłem.

Wchodzę do windy. Zjeżdżam pięćdziesiąt pięter w dół. Wychodzę na grudniowe powietrze. Wokół mnie wznoszą się drapacze chmur Nowego Jorku. Po ulicach przesuwają się wolno strumienie samochodów, ich kierowcy niespokojnie rozglądają się dookoła. Nigdy nie wiadomo, kiedy kierowca sąsiedniego samochodu zostanie opanowany. W chwili wejścia Pasażera zawsze następuje chwila dekoncentracji i utraty koordynacji ruchowej. Wiele osób ginie w ten sposób na naszych ulicach i autostradach, ale nigdy nie jest to Pasażer.

Ruszam bez celu. Przecinam Czternastą Ulicę, idę dalej w kierunku północnym, słuchając delikatnego mrużenia silników. Widzę chłopca wyskakującego na ulicę. Musiał zostać opanowany. Na rogu Piątej i Dwudziestej Drugiej zbliża się zamożnie wyglądający, gruby mężczyzna, ma przekręcony krawat, poranny „Wall Street Journal” wystaje mu z kieszeni płaszcza. Chichocze. Wystawia język. Kolejny opanowany. Omijam go szeroko. Szybko podchodzę do podziemnego przejścia pod Trzydziestą Czwartą Ulicą w kierunku Queens, zatrzymuję się, żeby popatrzeć na dwie młode dziewczyny, które kłócą się na brzegu chodnika. Jedna jest Murzynką. W jej oczach widzę strach. Druga spycha ją na jezdnię. Opanowana. Ale Pasażer nie ma zamiaru mordować, szuka tylko przyjemności. Czarna

dziewczyna upada skulona, cała drży. Zrywa się do ucieczki. Druga dziewczyna wkłada długie pasmo jasnych włosów do ust i zaczyna żuć. Budzi się. Wygląda na zdziwioną.

Odwracam oczy. Nie należy patrzeć, kiedy ktoś powraca do siebie. Taka jest nowa moralność; narodziło się dużo nowych zwyczajów w tych ciężkich czasach.

Spieszę się.

Gdzie ja tak szybko idę? Przeszedłem już ponad milę. Chyba idę w jakimś określonym kierunku, jakby Pasażer nadal krył się w mojej głowie i mnie popędzał. Ale wiem, że tak nie jest. Na razie jeszcze pozostaję wolny. Ale czy można być tego naprawdę pewnym? *Cogito ergo sum* nie da się już stosować wobec ludzi. Myślimy, nawet kiedy jesteśmy opanowani przez Pasażera, ale żyjemy w cichej desperacji, niezdolni do powstrzymania się od działań, choćby najbardziej strasznych, na przykład prowadzących do samozniszczenia. Z pewnością potrafię odróżnić, kiedy pozostaję we władaniu Pasażera, a kiedy jestem wolny. Ale może tylko tak mi się wydaje. Może jestem opanowany przez szczególnie złośliwego Pasażera, który w

ogóle mnie nie opuszcza, ale wycofał się w odległe zakamarki mojego mózgu, pozostawiając wrażenie wolności, podczas gdy przez cały czas kieruje mną z ukrycia, w sobie tylko znanych celach.

Czy w ogóle możemy osiągnąć więcej niż wrażenie wolności?

Szczególnie denerwujące jest, że mogę zostać opanowany, nie uświadamiając sobie tego faktu. Oblałem się potem i to nie od szybkiego marszu. Zatrzymaj się. Dokąd idziesz? Jesteś na Czterdziestej Pierwszej ulicy. Jest tu biblioteka. Nic cię nie gna. Zatrzymaj się na chwilę, odpocznij na schodkach biblioteki.

Siadam na zimnym kamieniu i wmawiam sobie, że decyzję podjąłem samodzielnie.

Czy aby na pewno? Stary problem: wolna wola czy determinizm, sprowadzony do najgłębszego wymiaru. Determinizm nie jest już abstrakcją powstałą w umyśle filozofa; to zimne, obce macki wślizgujące się między twoje zwoje mózgowe.

Pasażerowie przybyli na Ziemię trzy lata temu. Od tego czasu zostałem opanowany pięć razy. Nasz świat zmienił się. Ale dostosowujemy się nawet do tego. Przyzwyczailiśmy się. Mamy nowe zwyczaje. Życie toczy się dalej. Nasz rząd niby sprawuje dalej władzę, parlament zbiera się, a giełdy przeprowadzają transakcje. Znaleźliśmy metody na odrobienie okresów bezcelowego wyniszczenia. To jedyny sposób. Cóż innego możemy zrobić? Ugiąć się? To wróg, z którym nie można walczyć o zwycięstwo; tylko co najwyżej przetrwać. Więc staramy się przetrwać.

Kamienne stopnie są zimne. W grudniu niewiele osób tu siada.

Mówię sobie, że zrobiłem ten spacer z własnej woli, że zatrzymałem się z własnej woli, a żaden Pasażer mną nie steruje. Może. Nie mogę poddać się myśli, że nie jestem wolny.

Czy może się zdarzyć, zastanawiam się, że Pasażer zostawia po sobie jakiś imperatyw? Pójdź w to miejsce, zatrzymaj się tam albo tam? To też jest możliwe.

Rozglądam się wokół, patrząc na innych ludzi siedzących obok na stopniach biblioteki.

Stary człowiek, z oczami bez wyrazu, rozłożył sobie gazetę. Obok mniej więcej trzynastoletni chłopiec. Dalej brzydka kobieta. Czy oni wszyscy są opanowani? Pasażer wydaje się krążyć dziś wokół mnie.

Im uważniej obserwuję opanowanych, tym większą mam pewność, że chwilowo jestem wolny. Ostatnim razem miałem między atakami aż trzy miesiące bycia sobą. Niektórzy ludzie, jak słyszałem, prawie zawsze są opanowani przez obcych. Ich ciała cierpią, a oni doznają tylko krótkich chwil wolności, niekiedy dzień, innym razem tydzień albo godzinę. Nie udało nam się ustalić, ilu Pasażerów zamieszkuje nasz świat. Może miliony. A może tylko pięciu. Któż to może wiedzieć?

Drobne płatki śniegu padają z szarego nieba. Centrala zapowiedziała, że opadów ma nie być. Czy Centrala też jest opanowana?

Nagle zauważam dziewczynę.

Siedzi blisko, pięć schodków wyżej. Czarna sukienka podwinęła się lekko, odsłaniając zgrabne nogi. Dziewczyna jest młoda. Ma gęste rudobrazowe włosy. Z tej odległości nie mogę rozpoznać koloru oczu. Wiem tylko, że są jasne. Ubrana jest skromnie. Nie ma jeszcze trzydziestu lat. Otula się ciemnozielonym płaszczem.

Szerokie usta pomalowane lekko czerwoną szminką, wąski nos, starannie wyskubane brwi. Znam ją.

Wiem, że spędziłem z nią trzy ostatnie noce w moim pokoju. To była ona. Przyszła do mnie opanowana, a ja, opanowany, kochałem się z nią. Jestem tego pewien. Wspomnienia powracają; widzę jej szczupłe, nagie ciało na moim łóżku. Jak to się dzieje, że to pamiętam? Wrażenie jest zbyt silne, by mogło być iluzją. Najwyraźniej ten fakt pozwolono mi zapamiętać z niewiadomego powodu. Pamiętam nawet więcej. Przypominam sobie, jak cicho pojękiwała z rozkoszy. Wiem, że moje ciało nie zawiodło mnie przez te trzy noce i że potrafiłem zaspokoić jej potrzeby.

Jest jeszcze coś. Wspomnienie niewyraźnych dźwięków muzyki; zapach młodości w jej włosach; szum drzew. W jakiś sposób ona przenosi mnie do czasów niewinności, kiedy byłem młody, a dziewczyny stanowiły dla mnie wielką tajemnicę; czas przyjęć i tańców, czas ciepła i sekretów. Coś mnie do niej ciągnie.

To objaw złego wychowania. W złym stylu jest zbliżyć się do kogoś, kogo się spotkało, będąc pod rozkazami Pasażera. Takie zetknięcie nie daje żadnych przywilejów; obcy pozostaje obcym, niezależnie od tego, co ty i ona robiliście czy mówiliście przez czas, który nie z własnej woli spędziliście razem.

Mimo wszystko ciągnie mnie do niej.

Dlaczego chcę łamać przyjęte powszechnie zwyczaje? Dlaczego gwałcę obowiązujące prawa? Nigdy przedtem tego nie robiłem. Zawsze sumienny i praworządny.

Jednak wstaję i idę wzdłuż stopnia, na którym siedziałem, aż znajduję się naprzeciwko niej, patrzę do góry, a ona automatycznie krzyżuje nogi, jakby zdając sobie sprawę, że pozycja, w której siedziała, nie jest przyzwoita. Po tym geście poznaję, że nie jest opanowana.

Nasze oczy spotykają się. Jej źrenice są brązowozielone. Jest piękna i staram się odnaleźć w pamięci więcej szczegółów z naszego poprzedniego spotkania.

Wchodzę na kolejne stopnie, aż stoję tuż przed nią.

–Cześć – mówię.

Spogląda na mnie obojętnie. Chyba mnie nie rozpoznała. Jej oczy są jakby matowe, często tak bywa zaraz po odejściu Pasażera. Zaciska usta i patrzy na mnie taksującym wzrokiem.

–Cześć – odpowiada mi chłodno. – Chyba się nie znamy.

–Nie. Nie znamy się, ale mam wrażenie, że nie chcesz w tej chwili być sama. Ja na pewno nie. – Próbuję przekonać ją spojrzeniem, że mam uczciwe zamiary. – Chyba będzie padał śnieg. Może znajdziemy jakieś cieplejsze miejsce? Chciałbym z tobą porozmawiać.

–O czym?

–Chodźmy stąd, wtedy ci powiem. Nazywam się Charles Roth.

–Helen Martin.

Wstaje. Nadal jest chłodna, obojętna i podejrzliwa, czuje się niepewnie. Ale przynajmniej zgodziła się pójść ze mną. To dobry znak.

–Chyba za wcześnie na drinka? – pytam.

–Nie wiem. Właściwie nie mam pojęcia, która jest godzina.

Z pewnością przed dwunastą.

–Mimo wszystko napiję się – mówi i obydwójce uśmiechamy się.

Idziemy do baru po drugiej stronie ulicy. Siedząc naprzeciwko siebie, wolno sączymy drinki, ona daiquiri, ja ulubioną Krwawą Mary. Trochę się odprężyła. Zadaje sobie pytanie, czego właściwie od niej chce. Jej towarzystwo sprawia mi przyjemność. A łóżko? Przecież miałem już tę przyjemność, przez trzy noce, mimo że ona o tym nie wie. Jednak teraz chcę czegoś więcej. Czegoś więcej. Czego?

Ma zaczerwienione oczy. Niewiele spała przez ostatnie trzy doby.

–Czy to było bardzo nieprzyjemne? – pytam.

–Co?

–Pasażer.

Na jej twarzy widzę gwałtowną reakcję.

–Skąd wiesz, że miałam Pasażera?

–Wiem.

–Nie powinniśmy o tym mówić.

–Nie widzę w tym nic złego – odpowiadam. – Mój Pasażer opuścił mnie dziś w nocy. Byłem opanowany od wtorkowego popołudnia.

–Mój odszedł jakieś dwie godziny temu. Tak mi się przynajmniej wydaje. – Jej policzki okrywa rumieniec. Mówienie o tym wydaje się jej czymś wstydliwym. – Byłam opanowana od poniedziałku wieczorem. To mój piąty raz.

–Mój też.

Bawimy się szklankami. Nasz kontakt zacieśnia się, nie musimy nawet rozmawiać. Ostatnie wspomnienia związane z Pasażerem sprawiają, że mamy wiele wspólnego, chociaż Helen nie zdaje sobie sprawy, jak intymne doświadczenia dzieliliśmy pod wolą obcych.

Rozmawiamy. Zajmuje się projektowaniem wystaw. Ma małe mieszkanie kilka ulic stąd. Mieszka sama. Pyta, co ja porabiam.

–Analityk ubezpieczeniowy – mówię. Uśmiecha się. Ma nieskazitelne zęby. Zamawiamy kolejnego drinka. Jestem teraz pewien, że to ta sama dziewczyna, która była w moim pokoju.

Budzi się we mnie nadzieja. Szczęśliwy przypadek zetknął nas ze sobą tak szybko po tym, jak nieświadomie się rozstaliśmy. Równie szczęśliwy przypadek sprawił, że w mojej pamięci pozostało po niej wspomnienie.

Przeżyliśmy coś wspólnie, nikt nie wie co, ale musiało to być dobre, skoro pozostawiło we mnie tak wyraźny ślad. Teraz chcę się do niej zbliżyć świadomie, w pełni swoich władz umysłowych i odnowić tę znajomość, tym razem rzeczywistą. To nie jest do końca uczciwe, bo wykorzystuję wiedzę o obecności w nas Pasażerów. Mimo tego potrzebuję jej. Pragnę.

Wydaje się, że ona także mnie potrzebuje, nie zdając sobie sprawy z tego, kim jestem. Jednak strach ją powstrzymuje.

Boję się ją przestraszyć i nie próbuję wykorzystać tej mojej wiedzy. Może zabierze mnie dziś do swojego mieszkania, a może nie, ale sam tego nie proponuję.

Kończymy drinki. Umawiamy się na spotkanie następnego dnia, przed biblioteką. Nasze ręce przez moment dotykają się. Potem ona odchodzi.

W ciągu nocy zapełniam trzy popielniczki. Bez przerwy rozważam, czy moje postępowanie jest mądre. Dlaczego nie zostawię jej w spokoju? Nie mam prawa wchodzić w jej życie. W naszym świecie najrozsądniej jest żyć osobno.

A jednak gdy o niej myślę, przenikają mnie odległe wspomnienia. Na wpół zatarte obrazy dziewczęcego śmiechu na korytarzu drugiego piętra, skradzionych pocałunków, herbaty z ciasteczkami. Pamiętam dziewczynę z orchideą we włosach i drugą, w błyszczącej sukience, jeszcze inną z dziecinną twarzą i oczami dorosłej kobiety, wszystkie tak odległe, utracone dawno temu. Mówię sobie, że tej nie stracę, że nie pozwolę, by mi ją zabrano.

Nadchodzi rano, spokojna sobota. Wracam do biblioteki, prawie nie spodziewając się zastać tam dziewczynę, ale jest, siedzi na schodach i jej widok przynosi mi ulgę. Wygląda na zaniepokojoną, zmartwioną; najwyraźniej dużo myślała, a mało spała. Idziemy wzdłuż Piątej Alei. Przysuwa się blisko mnie, ale nie bierze mnie za rękę. Jej kroki są krótkie, szybkie, nerwowe.

Chcę zaproponować, żebyśmy poszli do jej mieszkania, zamiast do baru. Kiedy jesteśmy wolni, musimy działać bardzo szybko. Ale zdaję sobie sprawę, że z taktycznego punktu widzenia nie powinienem o tym myśleć. Zbyt ni pośpiech byłby fatalny, może przyniósłby mi zwycięstwo, które w rzeczywistości obróciłoby się w klęskę. W każdym razie jej zachowanie

nie jest specjalnie obiecujące. Patrzę na nią, myślę o łagodnej muzyce i o świeżym śniegu, a ona obserwuje szaroolowiane niebo.

–Czuję, że oni wciąż mnie obserwują. Jak sępy, które zbierają się w pobliżu ofiary i czekają gotowe do ataku.

–Jest sposób, żeby ich pokonać. Możemy łapać te momenty, kiedy na nas nie patrzą.

–Oni zawsze patrzą.

–Nie – mówię. – Niemożliwe, żeby było ich tak wielu. Czasami odwracają się w inną stronę. I wtedy dwoje ludzi może się zbliżyć i spróbować dać sobie trochę ciepła.

–Ale po co?

–Nie bądź taką pesymistką, Helen. Czasem zapominają o nas na całe miesiące. Mamy więc szansę. Naprawdę mamy szansę.

Nie mogę przebić się przez otaczający ją mur strachu. Jest wręcz sparaliżowana bliskością Pasażerów. Nie chce zaczynać związku w obawie, że zostanie to zniszczone przez naszych prześladowców. Dochodzimy do budynku, w którym mieszka i mam cichą nadzieję, że ulegnie i zaprosi mnie do środka. Waha się, ale trwa to tylko krótką chwilę; bierze moją dłoń w swoje drobne ręce, uśmiecha się, potem uśmiech blednie, a ona odchodzi, zostawiając mnie ze słowami:

–Spotkajmy się znowu jutro w południe. Może w bibliotece?

Wracam powoli do domu, jest mi zimno.

Tej nocy jej pesymizm udziela mi się. Wydaje mi się, że nasza próba uratowania

czegokolwiek jest z góry skazana na niepowodzenie. Co więcej, odszukanie dziewczyny było z mojej strony niegodziwe, powinienem się wstydzić, że ofiarowuję jej niepewną miłość, nie mogąc zapewnić wolności. W tym świecie, mówię sobie, powinniśmy trzymać się z dala od innych, tak, byśmy nikogo nie skrzywdzili, kiedy zostaniemy schwytani i opanowani. Rano nie idę na spotkanie. Tak będzie najlepiej, przekonuję sam siebie. Nie mam powodu, żeby ją zwodzić. Wyobrażam sobie Helen przed biblioteką, zastanawiającą się, dlaczego się spóźniam, zniecierpliwioną, potem zdenerwowaną. Będzie zła, ale jej gniew minie i szybko o mnie zapomni.

Nadchodzi poniedziałek. Wracam do pracy.

Oczywiście, nikt nie pyta o moją nieobecność w piątek. Zachowują się, jakby nic się nie stało. Ranek mam bardzo zajęty. Praca jest ciekawa, mija kilka godzin, zanim myślami wybiegam do Helen. Ale gdy już przypominam sobie o niej, to nie mogę już myśleć o niczym innym. Zastanawiam się nad własnym tchórzostwem. Nad tym, jak dziecinne były moje ponure nocne rozważania. Dlaczego tak łatwo przyjmujemy nasz los? Dlaczego się poddaliśmy? Chcę walczyć, żeby mimo wszystko coś uratować. Jestem głęboko przekonany, że to może się udać. Pasażerowie mogą już nigdy nam nie przeszkodzić. A sposób, w jaki się uśmiechnęła, kiedy staliśmy przed jej domem w sobotę, ten blask, który rozświetlił ją na chwilę – powinienem zgadnąć, że za murem jej strachu kryją się te same nadzieje. Czekala,

żebym ją poprowadził. A ja zostałem w domu.

W czasie lunchu idę do biblioteki przekonany, że robię to na próżno.

Ale ona czeka. Chodzi wzdłuż stopni; wiatr owiewa jej szczupłą sylwetkę.

Podchodzę do niej. Przez chwilę nie odzywa się. W końcu mówi:

–Cześć.

–Przepraszam za wczoraj.

–Długo na ciebie czekałam.

Wzruszam ramionami.

–Doszedłem do wniosku, że nie powinienem przychodzić. Ale potem zmieniłem zdanie.

Próbuje być zła. Ale wiem, że jest zadowolona, ponieważ znowu mnie widzi. Po co by tu inaczej przychodziła? Nie może ukryć radości. Ja też. Wskazuję ręką bar naprzeciwko.

–Daiquiri? – pytam. – Zamiast przeprosin?

–Dobrze.

Dziś bar jest pełen ludzi, ale udaje nam się znaleźć wolny kąt. W jej oczach zauważam światło, którego przedtem nie było. Czuję, że bariera wewnątrz niej pęka.

–Mniej się mnie dzisiaj boisz, prawda, Helen? – mówię.

–Nigdy się ciebie nie bałam. Boję się tego, co może się stać, jeżeli podejmiemy ryzyko romansu.

–Nie bój się.

–Próbuję. Ale czasami wszystko wydaje się takie beznadziejne. Od kiedy oni tu są.

–Wciąż możemy starać się mieć swoje własne życie.

–Może.

–Musimy próbować. Zawrzyjmy umowę. Koniec załamania się. Koniec martwienia się, że przydarzy się coś okropnego. Dobrze?

–Dobrze.

Kończymy drinki, płacę moją centralną kartą kredytową i wychodzimy z baru. Chcę, żeby mi powiedziała, bym poszedł za nią i nie wracał już do biura. Teraz to już nieuniknione, a im wcześniej się stanie, tym lepiej.

Idziemy kawałek dalej. Nie zaprasza mnie. Czuję, że toczy się w niej wewnętrzna walka, ale czekam, żeby sama, bez mojego udziału, znalazła rozwiązanie. Idziemy jeszcze kawałek. Jej ramię obejmuje mnie, ale mówi tylko o swojej pracy, o pogodzie, jest to obojętna rozmowa, prowadzona na odległość ramienia. Na następnym rogu skręca, oddalając się od swojego mieszkania, z powrotem w kierunku baru. Próbuje być cierpliwy.

Nie ma potrzeby przyspieszania naturalnego biegu rzeczy, wmawiam sobie. Jej ciało nie jest dla mnie tajemnicą. Nasza znajomość zaczęła się w odwrotnej kolejności, najpierw nastąpił kontakt fizyczny, a teraz trzeba cofnąć się i zbudować trudniejszą część, którą niektórzy zwą miłością.

Ale oczywiście ona nie wie, że już się znamy od tej strony. Wiatr pokrywa nasze twarze

płatkami śniegu, a zimne, przenikliwe powietrze budzi we mnie nagłą potrzebę szczerości. Wiem, co muszę jej powiedzieć. Muszę wyznać moją nieuczciwość.

Mówię jej:

–Kiedy w zeszłym tygodniu byłem opanowany, w moim mieszkaniu była dziewczyna.

–Po co teraz o tym rozmawiać?

–Helen, muszę ci to powiedzieć. To ty byłaś tą dziewczyną.

Zatrzymuje się. Odwraca się do mnie. Ludzie mijają nas. Jej twarz jest bardzo blada, na policzkach pojawiają się czerwone plamy.

–To nie jest śmieszne, Charles.

–To nie miało być śmieszne. Byłaś ze mną od wtorku wieczorem do piątku rano.

–Skąd możesz to wiedzieć?

–Wiem. Pamiętam to. W jakiś sposób pozostało to w mojej pamięci. Widziałem już twoje ciało.

–Przestań, Charles.

–Było nam bardzo dobrze razem – mówię. – Musiało się podobać naszym Pasażerom, skoro było tak dobrze. Kiedy cię znowu zobaczyłem, było to jak przebudzenie ze snu. Odkryłem, że ten sen jest prawdziwy, a dziewczyna istnieje naprawdę.

–Nie!

–Chodźmy do twojego mieszkania i zacznijmy jeszcze raz.

–Jesteś obrzydliwy. Przecież nie było żadnego powodu, żebyś wszystko psuł. Może byłem z tobą, a może nie, ale nie możesz tego wiedzieć, a jeżeli już wiesz, to nie powinieneś był tego mówić.



**–Masz znamię wielkości dziesięciocentówki, trzy cale pod lewą piersią – mówię.**

**Zaczyna łkać i rzuca się na mnie, na środku ulicy. Jej długie, pomalowane na srebrno paznokcie zostawiają ślady na moim policzku. Bije mnie. Próbuję ją powstrzymać. Kopie mnie. Nikt nie zwraca na nas uwagi. Przechodnie myślą, że jesteśmy opanowani i odwracają głowy. Jest wściekła, ale moje ramiona obejmują ją niczym żelazne kleszcze, więc może tylko tupać i prychać. Jej ciało przywiera do mojego. Jest sztywna i widać, że bardzo cierpi. Niskim, przekonującym głosem mówię:**

**–Pokonamy ich, Helen. Dokończymy to, co oni zaczęli. Nie walcz ze mną. Nie ma powodu. Wiem, że to przypadek, że cię pamiętam, ale pozwól mi pójść z tobą, a udowodnię ci, że należymy tylko do siebie.**

**–Puść mnie.**

**–Proszę cię. Proszę. Dlaczego mamy zostać wrogami? Nie chcę cię skrzywdzić, Helen. Kocham cię. Pamiętasz, jak w dzieciństwie bawiliśmy się w zakochane pary? Ja się tak bawiłem, ty z pewnością też. Kiedy miałaś szesnaście, siedemnaście lat. Szepty, tajemnice – wszystko to była gra, wiedzieliśmy o tym. Ale teraz gra się skończyła. Nie możemy już dalej oszukiwać siebie i wciąż uciekać. Mamy tak mało chwil wolności – musimy sobie ufać, otworzyć się przed sobą.**

**–To jest złe.**

**–Wcale nie. Tylko dlatego, że panuje głupi zwyczaj, by dwoje ludzi, którzy zetknęli się poprzez Pasażerów, unikało się potem. Nie musimy tak robić. Helen.**

**Coś w moim głosie porusza ją. Przestaje walczyć. Jej opór słabnie. Patrzy na mnie, jej zalana łzami twarz rozluźnia się, a oczy błyszczą.**

**–Zaufaj mi – mówię. – Zaufaj mi, Helen!**

**Waha się. Potem powoli na jej twarzy pojawia się uśmiech.**

**W tym momencie czuję chłód z tyłu czaszki, mam uczucie, jakby, metalowe ostrze zagłębiało się w kość. Sztywnieję. Moje ramiona już jej nie obejmują. Na moment tracę zmysł dotyku, a kiedy mgła ustępuje, otoczenie wydaje się odmienione.**

**–Charles? – słyszę jej głos. – Charles!?**

**Podnosi dłoń do ust. Odwracam się, nie patrząc już na nią i idę do baru. Młody mężczyzna siedzi przy jednym ze stolików. Jego ciemne włosy błyszczą od brylantyny, ma gładkie policzki. Nasze oczy spotykają się.**

**Siadam. On zamawia drinki. Nie rozmawiamy.**

**Moja dłoń dotyka jego ręki i tak już zostaje. Barman podaje drinki, patrzy na nas podejrzliwie, ale nic nie mówi. On niczemu się nie dziwi, taki zawód.**

**Pijemy i odstawiamy puste szklanki.**

**–Chodźmy – mówi mężczyzna. Wychodzę za nim.**

***Tłumaczył Piotr Gąsiewski***

# Skrzydła nocy

## 1

Miasto Roum wznosiło się na siedmiu wzgórzach. Mówią o nim, że kiedyś, w poprzednich cyklach, stanowiło stolice ludzkości. Nie wiem, czy tak było naprawdę – nie znam się na historii tak dobrze, jak Pamiętający, gdyż jestem zwykłym Obserwatorem – lecz gdy wędrując z południa dotarłem o zmierzchu w poblizsze miasta i ujrzałem je po raz pierwszy, zrozumiałem, że ongiś musiało być bardzo ważne. Do dziś zresztą pozostało potężnym, liczącym tysiące dusz grodem.

W oddali na tle zachmurzonego nieba widniały kanciaste bryły wież i murów obronnych, poza nimi zaś rozlewało się morze jasnego światła. Po mojej lewej ręce zachodzące słońce niknęło powoli za horyzontem, a błękitne, szkarłatne i fioletowe proporce chmur rozpościerały się w swoim wieczornym tańcu zwiastującym nadejście zmierzchu. Po prawej natomiast ciemności zadomowiły się już na dobre. Nie mogłem wprawdzie rozróżnić owych siedmiu wzgórz, lecz wiedziałem, że miasto, przed którym stoję, to na pewno ten słynny Roum, do którego prowadzą wszystkie drogi i patrzyłem nań pełen podziwu i szacunku dla wielkiego dzieła naszych praojców.

Przystanęliśmy na skraju długiej i prostej drogi, spoglądając na Roum.

–To piękne miasto – powiedziałem – i na pewno znajdziemy tu pracę.

Skrzydła siedzącej u mojego boku Avlueli poruszyły się nerwowo.

–I jedzenie? – zapytała dźwięcznym, wysokim głosem. – I dom? I wino?

–Będzie to wszystko.

–Jak długo tu szliśmy, Obserwatorze? – zapytała.

–Dwa dni. Trzy noce.

–Gdybym leciała, trwałoby to o wiele krócej, prawda?

–Dla ciebie. Prześcignęłabyś nas i nie zobaczylibyśmy się więcej. Czy chciałabyś tego?

Przysunęła się do mnie, tuląc twarz do szorstkiego materiału mojego rękawa. Zwinęła się niczym baraszkująca kotka i rozpostarła swoje skrzydła. Poprzez ich pajęczynowatą powierzchnie obserwowałem niknące za horyzontem słońce i ostatnie, igrające na niebie ogniki zmierzchu. Wdychałem zapach kruczoczarnych włosów dziewczyny, obejmując i

przygarniając do piersi jej smukłe, młode ciało.

–Czy będziemy szczęśliwi w Roumie?

–Będziemy szczęśliwi – odpowiedziałem i roześmieliśmy się.

–To dlaczego nie pójdziemy tam już teraz?

Potrząsnąłem głową.

–Lepiej poczekajmy na Gormona. Powinien już wrócić ze swoich poszukiwań.

Nie chciałem jej mówić o swoim zmęczeniu. Była jeszcze dzieckiem, liczyła zaledwie siedemnaście wiosen. A ja, ja jestem stary. Może nie tak stary jak Roum, ale mam już swoje lata.

–Czy mogę polatać, zanim on wróci? – zapytała.

**–Tak, leć.**

**Przykucnąłem przy swoim wózku i rozgrzewałem zmarznięte dłonie nad cicho pobrzękującym generatorem. Avluela tymczasem przygotowywała się do lotu. Najpierw zdjęła ubranie – jej skrzydła były zbyt słabe, nie zdołałyby wzbić się w niebo z dodatkowym obciążeniem – zwinnym ruchem pozbyła się okalających jej drobne stopy pęcherzy, ściągnęła szkarłatną tunikę i opinające łydki futrzane nagolenniki. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetliły jej zgrabną sylwetkę. Jak wszyscy Szybownicy, tak i ona była pozbawiona nadmiaru ciała. Miała małe piersi, płaskie pośladki i uda tak szczupłe, że wydawały się o wiele dłuższe niż były w rzeczywistości. Czy mogła ważyć pięćdziesiąt kilogramów? Wątpiłem. Kiedy tak na nią patrzyłem, poczułem się jak wstrętny, gruby i przykuty do ziemi poleć mięsa. A przecież wcale nie byłem taki ciężki!**

**Avluela klęknęła na poboczu, oparta końce palców na ziemi i pochyliła głowę, szepcząc rytualne formuły Klanu Szybowników. Odwróciła się do mnie plecami, a jej delikatne, tętniące życiem skrzydła zadrżały, łopocząc, niczym rozpostarte na wietrze żagle. Nie rozumiałem, jak te wątle skrzydła mogły unieść nawet tak szczupłą istotę, jak Avluela. W niczym nie przypominające skrzydeł ptasich – żyłkowane i przeźroczyste, ubarwione w kilku miejscach, hebanowe, turkusowe i szkarłatne – przywodziły na myśl raczej motyla. Mocne wiązania przytwierdzały je do smukłych pleców dziewczyny, która nie miała ani potężnego mostka, ani nadzwyczaj rozwiniętych mięśni, tak potrzebnych wszystkim skrzydlatym stworzeniom. Wiedziałem jednak, że Szybownicy potrzebują czegoś więcej niż mięśni; by móc latać.**

**Zakończywszy przygotowania Avluela wystartowała. Rozpostarła swoje skrzydła, chwytając w nie wiatr, wzniosła się na kilka stóp i zawisła na chwile pomiędzy niebem a ziemią, zagarniając nerwowo powietrze. Noc jeszcze nie zapadła, a skrzydła Avlueli były skrzydłami nocy. Dziewczyna nie mogła latać w dzień. Siła wiatru słonecznego przygniatała ją do ziemi, a pora, którą wybrała – pora psa i wilka – nie była najodpowiedniejszym czasem do lotów. Dzięki ostatnim, gasnącym już blaskom dnia dostrzegłem, jak opadła na ziemię bezradnie machając skrzydłami. Twarz wykrzywił jej grymas bólu i wysiłku. Dziewczyna**

**skoncentrowała się, raz jeszcze wyszeptała formuły swojego bractwa, skłoniła nisko, odbiła od ziemi na wysokość głowy i nagle... poszybowała, lecąc płasko nad ziemią i trzepocząc z wysiłkiem skrzydłami. LEĆ, AVLUELO! LEĆ!**

**Dziewczyna wzniosła się, jakby swoim lotem chciała pokonać ostatnie, słabe promienie zachodzącego słońca.**

**Z prawdziwą przyjemnością obserwowałem unoszące się w mrokach nocy nagie ciało dziewczyny. Widziałem ją wyraźnie: moje oczy, chociaż stare, zachowały spostrzegawczość Obserwatora. Avluela wzniosła się już na pięć wysokości człowieka, a jej rozpostarte do maksimum skrzydła zasłaniały część murów Roumu. Pomachała mi ręką. W odpowiedzi posłałem jej całusa i kilka czułych słów. Obserwatorom nie wolno wstępować w związki małżeńskie ani mieć dzieci. Niemniej Avluela była dla mnie jak córka i czułem durne obserwując jej powietrzne wyczyny.**

Wędrujemy ze sobą dopiero od roku – spotkaliśmy się w Egypcie – a wydawało mi się, że znam ją od bardzo dawna. Avluela dodawała mi sił. Nie wiedziałem natomiast, co ja jej mogłem dać. Może opiekę, może coś, co łączyło się z jej przeszłością. Wiedziałem tylko tyle, że kochała mnie tak, jak ja ją kochałem.

Tymczasem Avluela wzniosła się bardzo wysoko. Krążyła, pikowała, robiła świece i piruety, wręcz tańczyła po niebie. Jej smukłe ciało zdawało się być jedynie dodatkiem do dwóch ogromnych skrzydeł, które migotały, błyszcząły i drgały w ciemnościach nocy. Upojona wolnością wznosiła się coraz wyżej i wyżej, a ja czułem się cięższy niż kiedykolwiek. Nagle dziewczyna złożyła skrzydła i pomknęła w kierunku Roumu. Dostrzegłem tylko jej drobne stopy, końce skrzydeł i nic więcej. Westchnąłem.

Dlaczegoż musiałem się trząść z zimna, kiedy radosna i naga Avluela mknęła po niebie?

Minęła już dwunasta z dwudziestu godzin dnia i nadszedł czas mojego czuwania. Wdrapałem się do wozu, otworzyłem swoją skrzynię i przygotowałem instrumenty. Pożółkłe i wyblakłe tarcze, pozbawione osłon gołe igły wskaźników i plamy na obudowach przypominały mi o napadzie piratów, jaki przeżyliśmy na Oceanie Ziemi, lecz gdy rozpoczynałem przygotowania, zużyte, popękane dźwignie i suwaki ustępowały bez oporów pod naciskiem moich palców. Najpierw uczyniłem swój umysł czystym i wrażliwym, później dostroiłem się do aparatów. Rozpoczynałem czwanie czy też, jak zwykli o tym mówić inni: przetrząsanie gwiazdnych przestrzeni w poszukiwaniu wrogów ludzkości. Wcisnąłem kolejne przełączniki przeistaczając swój opróżniony umysł w integralną część aparatury.

Właśnie przełamywałem ostatnie bariery i wchodziłem w pierwszą fazę czuwania, gdy zza pleców dobiegł mnie czyjś dźwięczny głos.

–Jak leci, Obserwatorze?

Osunąłem się bezwładnie na burtę wozu. Ta brutalna ingerencja w moje zadanie spowodowała prawdziwy psychiczny nokaut. Przez kilka chwil zdawało mi się, że potężne imadło miażdży moje serce. Policzki zdawały się płonąć, wyschnięte gardło piekło, a załzawione oczy nie przystosowały się jeszcze do normalnych warunków. Szok minął po

chwili. Odłączyłem się od aparatury i odwróciłem, trzymając ją w drżących rękach.

To był Gormon – trzecie ramię naszego małego trójkąta. Stał spokojnie, spoglądając na mnie z uśmiechem. Najwidoczniej moje otępienie bawiło go, lecz nie miałem siły, by wszczynać z tego powodu awanturę. Zresztą nie należy wdawać się w spory z pozaklanowcami.

–Jesteś zadowolony z poszukiwań? – zapytałem z wysiłkiem.

–Nawet bardzo. A gdzie jest Avluela?

Uniosłem palec ku niebu. Podniósł głowę.

–I cóż odkryłeś, Gormonie? – zapytałem.

–To, że miasto, przed którym stoimy, to Roum.

–Nikt nigdy w to nie wątpił.

–Ja wątpiłem! A teraz jestem pewien.

–Tak?

–Spójrz.

Wyciągnął spod tuniki ultrakieszeń. Położył ją na stole; otworzył na tyle, by wsunąć do niej rękę i wydobył coś długiego, ciężkiego i przypominającego biały kamień. Rozpoznałem to. Gormon trzymał w ręku fragment zniszczonej przez czas, marmurowej kolumny.

–To pochodzi ze świątyni imperialnego Roumu.

Gormon tryumfował.

–Nie powinieneś tego zabierać – powiedziałem.

–Poczekaj! – krzyknął wyciągając z ultrakieszeni garść metalowych dysków, które z brzękiem spadły do moich stóp. – Spójrz, monety. To głowy Cezarów!

–Czyje?

–To byli dawni wodzowie. Nie znasz historii minionych cykli?

Spojrzałem z zaciekawieniem w oczy Gormona.

–Mówiłeś, że nie należałeś do żadnego bractwa, Gormonie. A czy przypadkiem nie ukryłeś przed nami tego, że byłeś Pamiętającym?

–Spójrz na mnie, Obserwatorze. Czy ja mógłbym zostać członkiem jakiegoś bractwa? Czy któreś z nich przyjęłoby Odmieńca?

–To prawda – przyznałem, spoglądając na jego złote włosy, grubą, woskową skórę, spękane usta i oczy o czerwonych źrenicach.

Gormon był potworem. Pięknym w swoim rodzaju, lecz mimo wszystko potwornym, pozbawionym praw panujących w trzecim cyklu ludzkości Odmieńcem. Nie posiadał nawet, swojego klanu, gdyż nigdzie takiego nie założono.

–To jeszcze nie wszystko – ciągnął dalej Gormon.

Pojemność ultrakieszeni jest nieskończona. Można by w razie potrzeby ukryć w tej niewielkiej, niewiele większej od dłoni ludzkiej sakiewce połowę świata i jeszcze znalazłoby się trochę miejsca. Gormon wyciągnął z niej fragmenty mechanizmów, zwoje papirusów,

wielkie, wykonane z czerwonego metalu przedmioty stanowiące niewątpliwie jakieś starożytne narzędzia, migocące szklane kwadraty, pięć kartek papieru – papieru! – i całe stopy innych zabytków.!

–Spójrz, Obserwatorze! Oto plon mojej wyprawy. Myślisz zapewne, że zabrałem je ot tak, dla własnej przyjemności. Mylisz się jednak. Wszystkie te przedmioty są zarejestrowane, oznaczone wskazówkami, skąd pochodziły, ile lat liczą i gdzie zostały znalezione. Spójrz. Tu, przed nami leżą tysiąclecia Roumu.

–Nie sądzisz, że postąpiłeś niewłaściwie zabierając te rzeczy? – zapytałem go z powątpiewaniem.

–Dlaczego? Komu ich zabraknie? Kto w naszym cyklu interesuje się przeszłością?

–A Pamiętający?

–Oni nie potrzebują do swoich prac dowodów materialnych.

–A dlaczego ty je wzięłeś?

–Przeszłość mnie interesuje, Obserwatorze. Nie należę do żadnego klanu, a w ten

sposób zdobywam wiedzę. Czy to źle? Czy dlatego, że jestem Odmieńcem, nie mogę mieć prawa do kultury?

–Oczywiście, że możesz. Ale rób to w taki sposób, żebyś nie przeszkadzał innym.

O świcie wejdziemy do Roumu. Muszę znaleźć tam jakieś zajęcie:

–To nie będzie takie łatwe.

–Dlaczego?!

–Wielu jest Obserwatorów w Roumie! Miasto może nie potrzebować twoich usług.

–Zdobędę względy Księcia Roumu.

–Książę Roumu jest człowiekiem twardym, nieczułym i okrutnym.

–Słyszałeś o nim?

Gormon wzruszył ramionami.

–Co nieco. – Zbierał ostrożnie swoje skarby i wkładał je do ultrakieszoni. – Ale to jest twoja szansa, Obserwatorze! Chyba że masz inne wyjście?

–Ani jednego!

Wybuchnął śmiechem.

–Ja nie.

Gormon znów zajął się swoimi skarbami. Jego słowa przygnębiły mnie do reszty. Jakiż on był pewny siebie w tym niezwykłym świecie! Ten pozaklanowiec, potwór, mutant. Człowiek o tak niesamowitym wyglądzie. Dlaczego był tak wesoły i bez troski! Nie obawiał się niczego i drwił sobie z każdego zagrożenia. Minęło zaledwie dziewięć dni od naszego spotkania w nadbrzeżnym mieście położonym u stóp wulkanu. Nie proponowałem mu wspólnej wędrówki. Gormon był sam sobie panem i nie pytając o zgodę ruszył z nami. A ja wobec nalegań Avlueli nie sprzeciwiałem się temu. O tej porze roku, kiedy zimno i wiatr grasowały po drogach na równi z dzikimi zwierzętami, taki towarzysz jak Gormon stanowił

wielką pomoc dla starca i młodej dziewczyny. Lecz zdarzały się chwile takie jak ta, kiedy żałowałem swojej decyzji.

Kiedy ruszyłem z wolna ku swoim instrumentom, Gormon zapytał, jakby dopiero teraz przyszło mu to do głowy:

–Czy przeszkodziłem ci w czuwaniu, Obserwatorze?

–Tak – odpowiedziałem mu najmilej, jak tylko potrafiłem.

–Wybacz mi i wracaj do swojego czuwania. Nie będę ci już przeszkadzał.

Uśmiechnął się swoim krzywym, lecz jakże olśniewającym uśmiechem, którym potrafił zatrzeć ślad naszej niedawnej sprzeczki.

Powróciłem do swoich przyrządów. Przystosowując się do tabulatorów połączyłem się z nimi, lecz nie udało mi się wznowić czuwania. Czułem obecność Gormona i nie miałem pewności, czy pomimo swoich zapewnień nie przerwie mi znowu w najważniejszym momencie. Zrezygnowałem. Gormon stał akurat po drugiej stronie drogi i spoglądał w niebo, wypatrując Avlueli. Po chwili zorientował się, że patrzę na niego.

–Czy coś jest nie tak, Obserwatorze?

–Nie! Nie jest to najodpowiedniejszy moment do czuwania. Muszę poczekać.

–Powiedz mi, czy twoja aparatura odkryje wrogów Ziemi, kiedy pojawią się wśród

**gwiazd?**

**–Tak sędę.**

**–I co dalej?**

**–Zawiadomię obrońców.**

**–I tym zakończysz dzieło swego życia?**

**–Być może.**

**–Ale dlaczego jest was tak wielu? Dlaczego nie ma jednego centrum poszukiwawczego? Po co trzyma się całą armię Obserwatorów?**

**–Im więcej jest kierunków obserwacji, tym większe są szanse natychmiastowego alarmu w razie inwazji.**

**–Zatem pojedynczy Obserwator może chodzić sobie po Ziemi nie wiedząc, że obcy są już na planecie?**

**–To mogłoby się zdarzyć. I właśnie dlatego jest nas tak wielu.**

**–Czasami myślę, że robicie to tylko dla własnego spokoju Gormon roześmiał się.**

**– Czy naprawdę wierzysz, że ta inwazja nastąpi?**

**–Wierzę – odpowiedziałem mu obrażonym tonem. – Gdyby tak nie było, już dawno rzuciłbym to wszystko.**

**–Ale po co kosmici mają podbijać Ziemię? Co mamy takiego prócz żalosnych pozostałości po dawnych imperiach? Czy chcieliby tego nędznego Roumu? Perrisu? Jorslem? Tych gnijących miast? Zdebiłałych książąt! Zrozum wreszcie, Obserwatorze. Inwazja jest mitem, a twoje czuwanie nie służy niczemu! No powiedz, czy tak nie jest.**

**–Czuwanie jest moim rzemiosłem, tak jak twoim jest żart! Każdy ma swoją specjalność, Gormonie.**

**–Wybacz mi zatem – odpowiedział z udaną pokorą – i wracaj do swojego czuwania.**

**–Idę.**

**Pochyliłem się nad swoimi przyrządami i postanowiłem czuwać, nie zwracając uwagi na najbardziej nawet brutalne przeszkody. Ujrzałem gwiazdy. Tysiące gwiazd układających się w świetliste gwiazdozbiory, a mój umysł rejestrował automatycznie miriady światów.**

**–Czuwaj! – napominałem sam siebie. – Prowadź dalej obserwacje wbrew szydercom.**

**Pogrążyłem się w czuwaniu.**

**Obejmując manetkę sprzęgła zespoliłem się z przenikającym przestrzeń promieniem energii i ruszyłem przez galaktykę w poszukiwaniu wrogich istot. Cóż to za ekscytujące uczucie! Cóż za niewypowiedziane piękno! Ja, który nigdy nie opuściłem naszej planety, mknąłem przez lodowatą pustkę kosmosu, prześlizgując się od jednej gwiazdy do drugiej i spoglądałem na wirujące wokół nich planety. Wokół mnie pojawiały się twarze zamieszkujących je istot. Twarze bez oczu i twarze o dziesiątkach oczu. Zasiedlona przez ogromną liczbę ras galaktyka ukazała mi całą ich różnorodność. Obserwowałem każdy jej zakątek, w którym mogły znaleźć schronienie wrogie siły. Sprawdzałem poligony, obozy wojskowe tak, jak to robiłem**

co dnia od czasu uzyskania pełnoletności. Cztery razy w ciągu doby poszukiwałem zapowiedzianych w przepowiedniach najeźdźców, którzy mieli objąć w posiadanie nasz świat.

Nie znalazłem niczego, a kiedy wyczerpany i spocony obudziłem się z transu, ujrzałem zstępującą z nieba Avluelę. Opadła lekko niczym piórko i podbiegła do wołającego ją Gormona. Potężne ręce Odmieńca objęły jej drżące ciało. Uścisk Gormona wydawał się pozbawiony uczuć, lecz zarazem biła z niego wielka radość. Kiedy ją puścił, Avluela podbiegła do mnie, krzycząc:

–Roum! Roum!

–Widziałaś go?

–Wszystko widziałam! Tysiące ludzi! Światła! Ulice! Targowiska! Ruiny liczące sobie kilka cykli! Roum jest wspaniały.

–Miałaś dobry lot?

–Cudowny.

–Pojedziemy tam o świcie. Muszę znaleźć pracę.

–Nie, Obserwatorze. Chodźmy teraz, teraz! – poczerwieniała z podniecenia Avluela buchając dziewczęcym wigorem. – To już tak blisko.

–Lepiej odpocznijmy tutaj. Nie chciałbym wchodzić do Roumu zmęczony.

–Odpocznijmy na miejscu. Zostaw to wszystko i chodź. Czuwałeś już, prawda?

–Tak.

–Więc chodź, w drogę. Do Roumu.

Spojrzałem na Gormona. Noc już zapadła i dawno nadszedł czas do rozłożenia obozu. Należało nam się kilka godzin snu. Tym razem Gormon stanął po mojej stronie.

–Obserwator ma racje – powiedział Avlueli. – Chwila odpoczynku jeszcze nikomu nie zaszkodziła. Wejdziemy do Roumu, kiedy wstanie dzień.



Droga była pusta. Ludzie, z wyjątkiem tych, którzy tak jak ja wędrowali z przyzwyczajenia i zawodowej konieczności, nie odczuwali już potrzeby podróży. Mimo to musieliśmy ustąpić z drogi, by przepuścić wóz członka Klanu Panów z tuzinem zerowców o pozbawionych wyrazu twarzach, zaprzęgniętych do dyszla. Podczas pierwszych dwóch godzin przepuściliśmy cztery takie szczelnie zamknięte zaprzęgi, kryjące Panów przed naszym wzrokiem. Wyprzedziło nas też kilka wypełnionych towarami sań, a ponad naszymi głowami przemykali od czasu do czasu Szybownicy.

Okolice Roumu były usiane śladami starożytności; pojedynczymi kolumnami, ruinami martwych akweduktów i fragmentami opuszczonych świątyń. To był Roum starożytny, lecz Roum następnych cykli również pozostawił tu swoje ślady: chałupy wieśniaków, kopuły dystrybutorów energii, szkielety domów mieszkalnych. Natknęliśmy się też przypadkiem na zwęglone szczątki jakiegoś starożytnego statku powietrznego. Gormon badał to wszystko skwapliwie, pobierając od czasu do czasu drobne próbki, a Avluela obserwowała go z szeroko otwartymi oczyma.

Wreszcie dotarliśmy do majestatycznych murów miasta. Wzniesione z wypolerowanego błękitnego kamienia, znakomicie dopasowane do siebie bloki wznosiły się na osiem wysokości człowieka. Droga wiodła wzdłuż murów aż do bramy. Wielkie wrota były otwarte. Kiedy zbliżyliśmy się, naprzeciw nas wyszedł zakapturzony człowiek, odziany w ciężkie szaty Pielgrzyma.

Wyglądał niesamowicie. W zasadzie nikt nie uznaje zwierzchnictwa Pielgrzymów, lecz gdy uczynią znak, należy ich wysłuchać.

Pielgrzym uczynił znak.

–Skąd przybywasz? – zapytał mnie zza kratownicy swojej maski.

–Z południa. Mieszkałem jakiś czas w Ogypcie. Później przebyłem Most Ziemi i wróciłem do Talii.

–Dokąd zmierzasz?

–Do Roumu. Mam zamiar zostać tu przez jakiś czas.

–Jak idzie czuwanie?

–Jak zwykle.

–Czy masz mieszkanie w Roumie?

Potrząsnął głową.

–Liczymy na przychylność Losu.

–Los nie zawsze jest przychylny – odpowiedział zamyślonym głosem – a w Roumie nie brak Obserwatorów. Dlaczego wędrujesz z Szybowniczką?

–Dla towarzystwa! Dlatego, że jest młoda i potrzebuje opieki.

–A kim on jest?

–Pozaklanowcem: to Odmieniec.

–Widzę. Ale dlaczego przebywa z tobą?

–Jest silny, a ja jestem już stary i dlatego wędrujemy razem.

Powiedz mi, Pielgrzymie, dokąd zmierzasz?

–Do Jorslem. Czy istnieje jakiś inny cel dla mojego Klanu?

Wzruszyłem ramionami. Wiedziałem przecież, że nie.

–Dlaczego nie wyruszysz ze mną do Jorslem? – zapytał Pielgrzym.

–Udaję się na północ, a Jorslem leży na południu, blisko Ogyptu.

–Byłeś w Ogypcie i nie odwiedziłeś Jorslem?

–Nie miałem czasu.

–Chodź zatem teraz. Wędrując w kompanii będziemy opowiadać o minionych czasach i o tych, które dopiero nadejdą. Będę ci towarzyszem w czuwaniu, a ty mnie w moich kontaktach z Losem. Zgadzasz się?

Ujrzałem przed oczyma obraz złotego Jorslem. Jego budynków, świętych ołtarzy, odmladzalni, w których starcy stawali się młodzieńcami, strzelistych wież i namiotów. Nie byłem jednak na tyle porywczy, by porzucić Roum i ruszyć do Jorslem.

–Ale moi towarzysze...

–Zostaw ich. Ja nie mogę podróżować z pozaklanowcami. Nie chciałbym też iść razem z kobietą. Możemy pójść sami do Jorslem, Obserwatorze. Ty i ja.

Avluela, która przysłuchiwała się naszej rozmowie stojąc u mojego boku, spojrzała na mnie z przerażeniem.

–Nie opuszczę ich – odpowiedziałem.

–Dobrze. Pójdę do Jorslem bez ciebie.

Pielgrzym wysunął spod swej szaty długą, bladą i kościstą rękę. Dotknąłem trwożliwie w geście pożegnania końców jego palców.

–Niech Los będzie łaskawy dla ciebie, przyjacielu – rzekł Pielgrzym. – A kiedy znajdziesz się w Jorslem, odz szukaj mnie.

Oddalił się.

–Miałeś ochotę pójść z nim, co? – zapytał mnie Gormon.

–Myślałem o tym.

–Jak sądzisz: co jest ważniejsze, Roum czy Jorslem? Jorslem to święte miasto. Roum również, ale ma tę przewagę, że możesz w nim odpocząć za chwilę. Wydaje mi się, że nie byłbyś w stanie wyruszyć teraz w dalszą drogę.

–Może masz racje – odpowiedziałem i zbierając resztki sił ruszyłem do bram miasta.

Spoza wybitego w murze wąskiego okienka obserwowały nas czyjeś czujne oczy. Kiedy pokonaliśmy niemal połowę drogi do bramy, pojawił się w niej gruby Strażnik o ospowatej

twarzy i obwisłych policzkach. Zatrzymał nas i zapytał, co chcemy robić w Roumie. Kiedy powiedziałem mu, do jakiego Klanu należę i w jakim celu przybyłem, chrząknął znacząco.

–Lepiej stąd idź, Obserwatorze! Potrzebujemy tutaj bardziej pożytecznych ludzi.

–Przecież czwanie jest pożyteczne – odpowiedziałem mu uprzejmym głosem.

–Niewątpliwie. Niewątpliwie. – Spoglądał na Avluela – A kim ona jest?

Obserwatorzy żyją samotnie, o ile się nie mylę.

–Ona towarzyszy mi tylko w drodze. Strażnik wybuchnął śmiechem.

–Myślę, że tę podróż będziesz zawsze mile wspominał. Przecież ona jest taka chlerlawa. Ileż może mieć lat – trzynaście, czternaście. Zbliź się ślicznotko, niech

**sprawdzę, czy przypadkiem nie przemycasz czegoś?**

**Obszukiwał ją pośpiesznie. Skrzywił się dotykając jej małych piersi i zmarszczył brwi, wyczuwając na plecach dziewczyny dwa pęcherze.**

**–Cóż to znaczy? Z tyłu jesteś lepiej wyposażona niż z przodu. Jesteś Szybowniczką? Czemu zgodziłaś się podróżować z tym starym, cuchnącym Obserwatorem...?**

**Mruknął coś jeszcze i zaczął obszukiwać Avluelę w taki sposób, że stojący za mną Gormon nie wytrzymał i rzucił się na niego z furią w ognistych oczach. Zdążyłem jednak zareagować na czas. Chwyciłem go za przegub i wyteżając wszystkie siły powstrzymałem przed atakiem na Strażnika. Próbował wprawdzie uwolnić się i o mały włos by mu się to udało, lecz uspokoił się i spoglądając wściekle na Strażnika obserwował w milczeniu jego poczynania. Strażnik tymczasem obmacywał systematycznie Avluelę w poszukiwaniu, jak to sam określił, „przemytu”. Wreszcie skończył. Odwrócił się do Gormona i powiedział z obrzydzeniem:**

**–A ty coś za jeden?**

**–Jestem pozaklanowcem, wasza łaskawość – odpowiedział Gormon chłodnym tonem. Musiał się upokorzyć. Pomimo swojego wynaturzenia on również był człowiekiem i pragnął dostać się do Roumu.**

**–Nie potrzebujemy potworów.**

**–Mało jem i dużo pracuję.**

**–Będiesz pracował jeszcze więcej, kiedy cię zneutralizują.**

**Gormon spojrzał na niego ze złością:**

**–Możemy wejść? – zapytałem Strażnika.**

**–Chwileczkę!**

**Włożył czepek kontaktowy i przymykając oczy usiłował połączyć się z silosem pamięciowym, krzywiąc się przy tym z wysiłku. Wreszcie skontaktował się i kilka sekund później otrzymał odpowiedź. Nie słyszeliśmy wprawdzie dialogu, lecz jego rozczarowana mina nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Jasne było, że nie znalazł żadnego powodu, dla którego mógłby nas zatrzymać i nie wpuścić do Roumu.**

**–Przechodzić – rzekł wreszcie – wszyscy troje. I pośpieszcie się.**

**Minęliśmy bramę.**

**–Mogłem go załatwić jednym ciosem – mruknął Gormon.**

**–Zneutralizowano by cię jeszcze przed zmierzchem. Wystarczyło trochę cierpliwości i jesteśmy w Roumie.**

**–Ale sposób, w jaki on...**

**–Wydaje mi się, że twój stosunek do Avlueli jest dosyć osobisty. Nie zapominaj jednak, że to Szybowniczka i obcowanie z pozaklanowcami jest jej zabronione.**

**Zignorował moją ripostę.**

**–Ona nie interesuje mnie bardziej niż ciebie, Obserwatorze, lecz nie mogłem znieść tego widoku. Zabiłbym go, gdybyś mnie nie powstrzymał.**

**–Teraz, kiedy weszliśmy już do Roumu, powinniśmy znaleźć sobie jakieś lokum – wtrąciła Avluela.**

**–Pozwólcie, że najpierw znajdę siedzibę swojego Bractwa. Powinienem zgłosić się**

w zajeździe Obserwatorów. Później poszukamy łoży Szybowników, żeby coś zjeść...

–Po czym udamy się do pozaklanowego bagna, by błagać o nocleg – dokończył oschle Gormon.

–Litowałem się nad tobą, ponieważ jesteś Odmieńcem, ale widzę, że sam nieźle potrafisz rozczulać się nad sobą. Chodźmy.

Minęliśmy bramę i ruszyliśmy krętą uliczką prowadzącą do serca Roumu. Znajdowaliśmy się w zewnętrznym kręgu miasta, dzielnicy mieszkalnej składającej się z niskich, przysadzistych budynków zwieńczonych ciężkimi ekranami instalacji obronnych. Wewnątrz tego kręgu wznosiły się lśniące wieże, które dostrzegliśmy poprzedniego wieczora, pieczołowicie strzeżone od ponad dziesięciu tysięcy lat zabytki starego Roumu, targowiska, strefy przemysłowe, kopce komunikacyjne, świątynie Losu, silosy pamięci, azyle snu, pozaziemskie lunaparki, gmachy administracyjne, siedziby centralne najróżniejszych klanów.

Za rogiem dostrzegłem budowlę z drugiego cyklu o kauczukowej fasadzie złożonej z czepków kontaktowych. Zbliżyłem się i założyłem jeden z nich. W tej samej chwili moje myśli pomknęły na spotkanie z jednym z mózgów zgromadzonych w banku pamięci. Ujrzałem pofałdowaną powierzchnię mózgu pogrążonego w zielonym półmroku swojego pomieszczenia. Jeden z Pamiętających powiedział mi, że kiedyś, w minionych cyklach, ludzie budowali specjalne maszyny, które myślały za nich, lecz były jednocześnie zbyt wielkie i kosztowne. Pożerały też mnóstwo tak potrzebnej energii. Nie było to wprawdzie największe głupstwo naszych przodków, ale po co produkować sztuczne mózgi, kiedy co dnia umierają całe tuziny znakomitych ludzkich mózgów, które wystarczy umieścić w silosach pamięci. Że też nasi ojcowie nie potrafili ich wykorzystać! Aż trudno pojąć.

Przekazałem mózgowi dane o swojej przynależności do Bractwa i zapytałem go o lokalizację naszego zajazdu. Otrzymałem ją w tej samej chwili i ruszyliśmy w dalszą drogę. Avluela szła po prawej stronie, Gormon po lewej, a ja w środku, ciągnąc swój nieodłączny

wózek z instrumentami.

Cóż za tłum! Nigdy nie widziałem takiego zamętu – ani w Ogypcie, ani w żadnym z miast, przez które wędrowałem ku północy. Ulice były wypełnione tłumem milczących i zamaskowanych Pielgrzymów, którzy przepychali się pomiędzy zaaferowanymi Pamiętającymi i zasepionymi Kupcami. Na sąsiednim pasażu mignęła nam lektyka jednego z Panów. Avluela zauważyła również kilku Szybowników, lecz stary obyczaj klanu zabraniał jej pozdrawiania ich przed oczyszczeniem. Z przykrością muszę stwierdzić, że i ja dostrzegłem wielu Obserwatorów, którzy spoglądając z niechęcią mijali mnie bez słowa powitania.

Oprócz nich zauważyłem też obecność Obrońców i całej gamy reprezentantów innych, mniej ważnych Bractw; Sprzedawców, Pomocników, Przemysłowców, Pisarzy, Łącznościowców i Transportowców. Wokół nich przemykał milczący tłum szarych ludzi i wszelkiego rodzaju kosmitów. W większości składali się nań turyści, lecz wśród nich krążyli też tacy, którzy przybyli tutaj, by pomóc mieszkańcom Ziemi. Widziałem też tajemniczo wyglądających, chromych Odmieńców, przemykających

skrajem dróg. Żaden z nich nie miał jednak tak okazałej postaci; jak Gormon, który zdawał się być wyjątkiem w swoim rodzaju. Wszyscy inni kryli się ze swoją nakrapianą skórą, różnobarwnością, brakiem lub nadmiarem członków. Zdeformowani na tysiące sposobów niczym postaci powstałe w chorej wyobraźni artyści, stanowili prawdziwą zezująco-pełzająco-pokraczną społeczność. Byli złodziejami, dawcami mózgow i handlarzami organów, sprzedawcami skruchy i kupcami wiedzy, lecz żaden z nich nie czuł się pewnie wobec ludzi.

Wskazówki mózgu okazały się prawdziwe. W przeciągu niecałej godziny udało się nam trafić do zajazdu Obserwatorów. Poprosiłem, aby Avluela i Gormon pozostali na zewnątrz i wszedłem doń sam, ciągnąc za sobą swój nieodłączny wózek.

W niewielkiej sali przebywało kilkunastu Obserwatorów. Przywitałem ich tradycyjnym znakiem rozpoznawczym. Odpowiedzieli mi z ociąganiem. Czy to mają być strażnicy, na których spoczywa obowiązek ochrony Ziemi? Banda niedołęgów i szmatławców.

–Gdzie mogę się wpisać? – zapytałem.

–Jesteś nowy? Skąd przybywasz?

–Ostatnio zapisywałem się w Ogypcie.

–Lepiej byś zrobił, gdybyś tam został. Tutaj nie potrzebują Obserwatorów.

–Gdzie mogę się wpisać? – powtórzyłem.

Jakiś młody lalusz wskazał mi palcem na umieszczony w końcu sali ekran.

Zbliżyłem się i położyłem dłoń na jego powierzchni. Zapytano mnie; podałem swoje imię (jedynie Obserwator może poznać imię drugiego Obserwatora i to tylko pod warunkiem, iż znajduje się na terenie zajazdu). Płyta odchyliła się i wyszedł spod niej młody mężczyzna o zapuchniętych oczach. Na prawym policzku nosił znak Obserwatorów, lewy zaś pozostawał czysty, co świadczyło, że jest uczniem w naszym klanie:

–Źle zrobiłeś przybywając do Roumu – powiedział. – Jest nas tutaj zbyt wielu.

–Niemniej proszę o schronienie i pracę.

–Ktoś, kto ma takie poczucie humoru jak ty, powinien wstąpić do Klanu Błaznów

– odpowiedział.

–Nie widzę w tym nic śmiesznego.

–Zapoznaj się z prawami ustalonymi na ostatnim zjeździe naszego klanu. Zajazd nie może przyjąć więcej lokatorów niż ma miejsc. Żegnam, przyjacielu.

Byłem przerażony.

–Gdzie mam się udać? Co robić?

–Dam ci dobrą radę – odpowiedział łagodnym głosem. – Zdaj się na łaskę Księcia Roumu.

Kiedy powtórzyłem te słowa Gormonowi, ów aż pokładał się ze śmiechu. Nagły wybuch wesołości zaróżowił mu policzki i poznał je setkami pęczniejących pod skórą naczyń krwionośnych.

–Miłosierdzie Księcia Roumu – powtarzał – Miłosierdzie Księcia Roumu...

Odpowiedziałem mu oschle:

–Obyczaj każe, by w nieszczęściu zwracać się do lokalnych władców.

–Książę Roumu nie zna miłosierdzia. Każe ci zjeść swoje własne członki.

–Może powinniśmy odszukać lożę Szybowników – zaproponowała nieśmiało Avluela. – Tam dostaniemy coś do zjedzenia.

–Gormon nie dostanie – zaproponowałem – a mamy wobec siebie jakieś zobowiązania.

–Możemy wynieść mu coś na zewnątrz – odpowiedziała.

–Wolałbym najpierw odwiedzić dwór. Kiedy zorientujemy się dokładnie, jak wygląda nasza sytuacja, może znajdziemy jakiś sposób, by pozostać tutaj.

Avluela nie opierała się dłużej i ruszyliśmy drogą wiodącą do pałacu Księcia Roumu; masywnego gmachu dominującego nad ogromnym placem otoczonym kolumnami, który rozciągał się na przeciwległym brzegu przecinającej miasto rzeki. Wchodząc na plac zmieszaliśmy się ze skłębionym tłumem oblegających go żebraków. Wielu spośród nich pochodziło spoza Ziemi. Jakaś okropna istota o lepkich mackach i żylastej, pozbawionej nosa twarzy rzuciła się na mnie bełkocząc prośby o datek tak nachalnie, iż potrzebowałem pomocy Gormona, by się od niej opędzić. Nie na długo jednak. Kilka minut później inny, równie niezwykły stwór przypadł mi do stóp prosząc o zmiłowanie w imię Losu. Miał skórę pocętkowaną świetlistymi kraterami i nakrapiane oczami kończyny.

–Jestem tylko ubogim Obserwatorem – odrzekłem wskazując na swój wózek – i też przybyłem tutaj, by prosić o litość.

Stwór jednak pogrążył się już w opisywaniu swojej niedoli głosem tak miękkim, delikatnym i przerywanym wybuchami płaczu, że za namową Gormona wrzuciłem mu kilka pastylek odżywczych do torby, którą miał zawieszoną na szyi. Ruszyliśmy dalej przeciskając się przez ciżbę, lecz tuż przed bramą pałacu zatrzymało nas nowe, jeszcze okropniejsze widowisko: okaleczony Szybownik o powykręcanych i zdeformowanych kończynach. Jedno z jego na wpół rozwiniętych skrzydeł było poważnie uszkodzone a drugie niemal zupełnie zniszczone. Nieszczęśnik ów przepychał się ku Avlueli wołając za nią jakimś imieniem i płacząc łzami tak rzewnymi, iż spływając plamiły jasne futro jego nagolenników.

–Pozwól mi wejść do loży ze sobą – Błagał ją. – Wyrzucono mnie stamtąd dlatego, że jestem ułomny, ale jeśli ty się mną zaopiekujesz...

Avluela usiłowała wytłumaczyć mu, że nie może nic dla niego uczynić, gdyż nie należy do tej loży, lecz nieszczęsny Szybownik nie opuszczał jej i dopiero kiedy Gormon odsunął delikatnie wychudzonego biedaka, mogliśmy ruszyć dalej.

Kiedy tylko minęliśmy bogato zdobiony portal, pojawiło się przed nami dwóch zerowców o dobrodusznym wyglądzie. Zapytali o cel naszej wizyty i odprowadzili nas

do nastopnych drzwi, przy których stało dwóch pomarszczonych Rejestratorów. Rejestratorzy przywitani nas tym samym pytaniem, wymawiając je jednocześnie.

–Przybyliśmy tu, by prosić o miłosierdzie Księcia – odpowiedziałem im.

–Audjencja rozpoczyna się za kilka dni – rzekł Rejestrator stojący po prawej stronie. – Zapiżemy waszą prośbę.

–Ale my nie mamy gdzie spać – krzyknęła Avluela. – Jesteśmy głodni! Jesteśmy...

Uciszyłem ją. Gormon sięgnął do swojej kieszeni. W jego ręce, gdy ją wyciągnął, błyszcząły jakieś przedmioty: złote monety, okruchy wiecznego metalu z wybitymi nań brodatymi obliczami o zakrzywionych nosach. Znalazł je podczas swoich wypraw w ruiny. Rzucił jedną z nich Rejestratorowi, który udzielił nam odmownej odpowiedzi. Człowiek ten schwycił ją w locie, potarł palcem jej powierzchnię i ukrył natychmiast w jakimś zakamarku swej odzieży. Drugi Rejestrator czekał. Gormon uśmiechnął się i podał mu następną monetę.

–Być może dostąpimy zaszczytu audjencji nadzwyczajnej powiedziałem.

–Być może – zgodził się jeden z Rejestratorów. – Przechodźcie.

Weszliśmy więc do właściwego wnętrza pałacu i znaleźliśmy się w obszernej nawie przylegającej do skrzydła zawierającego salę tronową. Tutaj też roiło się od żebraków – tych, którzy posiadali dziedziczne koncesje – i całych hord Pielgrzymów, Gońców, Pamiętających, Muzyków, Pisarzy i Strażników. Słyszałem szmery modlitw, wdychałem zapach kadzideł i czułem wibrację ukrytych pod ziemią gongów. W minionych cyklach przybytek ten stanowił jedno z miejsc praktykowania starej religii – chrześcijaństwa. Gormon opowiedział mi o niej tyle, że znów pomyślałem o nim jak o Pamiętającym ukrywającym się pod maską Odmieńca. Zachował do dziś coś ze swojej świętości, stając się równocześnie siedzibą świeckich władców Roumu.

Lecz co zrobić, by ujrzeć Księcia? Po lewej stronie dostrzegłem małą, wypełnioną po brzegi kapliczkę, przed którą przesuwiała się z wolna długa kolejka Sprzedawców i Gospodarzy. Zauważyłem też trzy czaszki umieszczone w budkach komunikacyjnych wyjścia silosów pamięci – i siedzącego przed nimi atletycznej budowy Pisarza. Poprosiłem Gormona i Avluelę, by poczekali na mnie i stanąłem na końcu ogonka.

Kolejka posuwała się powoli, krok po kroku i minęła dobra godzina, nim dotarłem do rozmównicy. Czaszki spoglądały na mnie z oburzeniem swoimi niewidzącymi oczyma. Spod ich szczelnie zamkniętych pokryw dobywał się cichy szum fluidów, dzięki którym funkcjonowały martwe mózgi, używając biliardów swoich komórek aparaturze mnemoniczej. Pisarz zdawał się również być zaskoczony widokiem Obserwatora w kolejce,

lecz zanim zdążył zaprotestować, przemówiłem do niego.

–Jestem wędrowcem, który przybył, by prosić Księcia o łaskę. Moi towarzysze i ja nie mamy gdzie się schronić. Moje własne Bractwo przegnało mnie. Co powinienem zrobić? Jak mogę uzyskać audjencje?

–Przyjdź za cztery dni...

–Minęło już więcej niż cztery dni od czasu, gdy śpię pod gołym niebem. Teraz chciałbym odpocząć w bardziej ludzkich warunkach.

–Zajazdy publiczne...

–Ależ ja jestem członkiem klanu – zaprotestowałem. – Nikt nie przyjmie mnie do publicznego zajazdu, dopóki moje Bractwo posiadać będzie swój własny zajazd; a w nim odmówiono mi miejsca, gdyż nie znałem nowych przepisów. Widzisz zatem, w jakiej sytuacji się znalazłem:

–Powinieneś się ubiegać o audiencję specjalną – odpowiedział Pisarz znudzonym głosem. – Odpowiedź będzie negatywna, ale możesz zapytać.

–Gdzie?

–Tutaj: Przedstaw swoją prośbę.

Wyjawiłem przed czaszką swoją przynależność, jak również imiona i stan moich towarzyszy, po czym przystąpiłem do omówienia mojego przypadku. Wszystkie dane, które jej podawałem, zostały zarejestrowane i przetransmitowane do umieszczonych gdzieś we wnętrzu miasta mózgów. Kiedy skończyłem, Pisarz powiedział:

–Jeśli twoja prośba zostanie przyjęta, zawiadomimy cię.

–Czy mam czekać tutaj?

–Nie oddalaj się zbyt od pałacu, jeśli chcesz mojej rady.

Zrozumiałem: teraz muszę dołączyć do legionów nieszczęśników tłoczących się na placu. Ilu z nich dostąpi łaski Księcia po trwającym miesiące (czy lata) czekaniu i zostanie wysłuchanych? Do tego czasu będę spać na bruku żebrząc o kawałek chleba i żywiąc się próżną nadzieją.

Kiedy ruszyliśmy w stronę wyjścia, mój czasomierz podszepnął mi, że nadszedł czas czuwania. Mogłem – był to mój przywilej – prowadzić czuwanie w każdym miejscu, bez względu na okoliczności. Zatrzymałem się więc, włączyłem przyrządy i ustawiłem wózek. Avluela i Gormon zatrzymali się u mojego boku. Przechodnie, którzy wchodzili bądź też wychodzili z pałacu, uśmiechali się znacząco na mój widok, nie mogąc drzwi otworzyć. Czuwanie stało się rzeczą raczej niemile widzianą. Minęło już wiele czasu, a żaden z Obserwatorów nie odkrył ani śladu wrogów. Ja uwaляłem jednak, że każdy powinien wykonywać do końca swoje zadanie, nawet jeśli wygląda ono niepoważnie.

Uparłem się i na złość wszystkim rozpocząłem czuwanie. Obraz otaczającego mnie świata rozmył się i ruszyłem w przestworza, pogrążając się w znajomej rozkoszy. Odwiedzałem miejsca dobrze mi znane i takie, o których miałem mgliste pojecie, a mój umysł

ogarniał całą przestrzeń galaktyki. Czy formuje się gdzieś armia wrogów? Czy wrogie oddziały ćwiczą, by podbić Ziemię?

Czuwałem cztery razy na dobę, a wraz ze mną wszyscy moi bracia – każdy o innej porze, by zapewnić ciągłość czuwania. I wierzcie mi, nie ma w tym nic śmiesznego.

Kiedy wychodziłem z transu, usłyszałem wysokie głosy.

–... dla Księcia Roumu. Miejsce dla Księcia Roumu.

Zmrużyłem oczy, wstrzymałem oddech i uwolniłem się od ostatnich skutków koncentracji. Z głębi pałacu wynurzała się tymczasem przyozdobiona złotem lektyka. Niesiona przez całą hordę zerowców przesuwawała się wzdłuż przestronnej nawy, otoczona przez czterech mężczyzn odzianych w bogate stroje i połyskliwe maski



klanu Panów i poprzedzana przez trójkę przysadzistych Odmieńców o długich ramionach i krtaniach zmienionych do tego stopnia, iż upodobniły się do gardzieli ropuch. Oni to też wydawali z siebie te wysokie, piskliwe tony. Zdziwiło mnie to bardzo, że Książę ma na swoich usługach Odmieńców, nawet tak utalentowanych, jak ci.

Mój wózek stał na drodze tego wspaniałego orszaku. Właśnie zabierałem się do zamknięcia go i usunięcia na bok, gdy procesja znalazła się na mojej wysokości. Podeszły wiek i przemożny strach przed gniewem Księcia spowodowały, iż zadrżały mi ręce i nie pozwoliły dokończyć tej czynności. Mocowałem się z moim wózkiem z rosnącą wciąż niezgrabnością, a Odmieńcy zbliżyli się już na taką odległość, że ich okrzyki stały się wprost ogłuszające. Widząc to, Gormon podszedł do mnie ofiarowując pomoc, lecz odrzekłem mu, iż zabronione jest, aby jakakolwiek osoba spoza mojego klanu dotykała instrumentów. Odepchnąłem go i w tej samej chwili ujrzałem, że zbliżają się do mnie zerowcy z wyraźnym zamiarem przepędzenia za pomocą batów.

–W imię Losu! Jestem Obserwatorem – krzyknąłem.

I nadeszła antyfoniczna, pochodząca jakby z głębi ziemi, głośna, a zarazem spokojna odpowiedź:

–Puście go! To Obserwator.

W tym samym momencie wszyscy zastygli w bezruchu. Przemówił Książę Roumu. Zerowcy cofnęli się. Odmieńcy umilkli. Tragarze postawili lektykę na ziemi, a wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu, usunęli w cień. Pozostaliśmy tylko my: Gormon, Avluela i ja. Połyskujące, plecione zasłony palankinu uniosły się. W tej samej chwili podbiegło dwóch Panów i wyciągnęło ręce w kierunku bariery sonicznej, by wspomóc swojego monarchę. Bariera rozproszyła się z cichym szmerem.

Ukazał się Książę Roumu.

Jakiż on był młody! Nie zdołał jeszcze w pełni osiągnąć wieku dorosłego; twarz miał gładką, a włosy czarne i gęste. Urodził się jednak, by rządzić i mimo swojego młodego wieku promieniował ogromnym autorytetem. Jego wąskie wargi wyglądały jak dwie cienkie nitki, zakrzywiony nos świadczył o agresywności, a zimne, niebieskie oczy przypominały jeziora

bez dna. Przyodziany w złocony strój klanu Władców, na piersiach nosił podwójny krzyż Obrońców, a szyje przyozdabiała mu czarna szarfa Pamiętających. Władca mógł należeć do tyłu Bractw, do ilu chciał, więc nie widziałem niczego zdrożnego w tym, że był Obrońcą, lecz zdziwiło mnie, że Książę nosił insygnia Pamiętających. Gwałtowność nigdy nie była cechą tego klanu.

Książę spojrzał na mnie z zaciekawieniem i powiedział:

–Wybrałeś złe miejsce do swego czuwania, starczę.

–To czas wybiera miejsce, Panie – odpowiedziałem. – Skąd mogłem wiedzieć, że zechcesz opuścić pałac.

–Nie odkryłeś wrogów podczas swojego czuwania?

–Nie, Panie.

Przygotowywałem się, by wykorzystać okazje, jaka się nadarzyła i poprosić

**Książca o pomoc, ale widząc te odrobino zainteresowania, jaką mnie obdarzył, speszyłem się i nie śmiałem zwrócić na siebie jego uwagi, gdy odwrócił głowo, by przyjrzeć się moim towarzyszom. Najpierw marszcząc brwi spoglądał chwile na Gormona, później przeniósł wzrok na Avluele. Jego oczy rozbłysły, usta zadrżały, a delikatne nozdrza rozdęły się:**

**–Zbliź się tu, mała Szybowniczo – rozkazał i skinął palcem w jej kierunku. – Jesteś przyjaciółką tego Obserwatora?**

**Przerażona Avluela skinęła głową.**

**Książce wyciągnął rękę, przygarnął ją i wszedł do palankinu, by po chwili – z demonicznym uśmiechem, którego nie powstydzilyby się nawet piekielne bestie – zniknąć za opuszczonymi zasłonami. W tej samej chwili Panowie włączyli ponownie barierę soniczną. Orszak nie ruszaj jednak dalej, ja również pozostałem. Milczałem, Gormon zaś wyglądał jak zacczarowany. Jego potężne, muskularne ciało było sztywne jak kłoda. Wolno wlokły się minuty, a milczący dworzanie nie pozwalali się zbliżyć do lektyki.**

**Wreszcie zasłony uniosły się i Avluela wyszła zza nich chwiejnym krokiem. Błada twarz dziewczyny miała dziwny wyraz; jej marmurowe policzki poczerwieniały. O mało nie upadła, lecz któryś z zerowców pochwycił ją i postawił obok lektyki. Skrzydła Avlueli rozwinęły się częściowo, napinając tunikę i to powiedziało mi, jak wielka była rozpacz dziewczyny: Zbliżyła się do nas chwiejnym krokiem, spojrzała na mnie smutnymi oczyma i z westchnieniem oparta się o potężną klatkę piersiową Gormona.**

**Tragarze podnieśli palankin i Książce opuścił swój pałac. Kiedy wyszli, dziewczyna rzekła ochrypłym głosem:**

**–Książce pozwolił nam zamieszkać w Królewskiej Bursie.**

Oczywiście obsługa Bursy nie uwierzyła nam.

Gości Księcia lokowano zazwyczaj w Królewskiej Bursie mieszczącej się pośrodku małego ogrodu kwiecistych paproci na tyłach pałacu.

Najczęstszymi klientami tej oazy spokoju byli Panowie, a czasami Władcy. Niekiedy zagościł tam również przybywający z misji poszukiwawczej Pamiętający, czy też dokonujący inspekcji punktów strategicznych Obrońca wysokiej rangi. Do niezmiernej rzadkości należało wpuszczenie do Bursy Szybownika. Przyjęcie Obserwatora było w zasadzie niemożliwe, a otwarcie drzwi przed Odmieńcem lub kimkolwiek z pozaklanowców zakrawało na skandal. Kiedy więc zawitaliśmy do Bursy, nasze pojawienie wzbudziło olbrzymią wesołość wśród służby. Najpierw śmiano się z nas. Później śmiech ustąpił miejsca irytacji i pogardzie.

–Wynoście się stąd! Żebracy! Kanalie! – zakrzyknięto w końcu.

–Książę ofiarował nam swoją gościnę – odpowiedziała Avluela obrażonym tonem.  
– Nie możecie wyrzucić nas za drzwi.

Wkrótce wszystko się wyjaśniło i wpuszczono nas do środka. Dostaliśmy osobne, lecz połączone ze sobą pokoje. Nigdy nie widziałem tak luksusowego wyposażenia i być może nigdy więcej nie uda mi się takiego ujrzeć. Nasze pokoje były długie, wysokie i przestronne. Wyposażono je w znakomicie ukrytą klimatyzację. Światła zapalały się na najmniejsze skinienie głowy, gdyż skupione pod sufitem kule zniewolonego światła importowanego z planet Spadającej Gwiazdy były przygotowane do służenia na każde, choćby najmniejsze skinienie. Okna otwierały się i zamykały na samą myśl gościa. Kiedy nie służyły niczemu, pokrywały się delikatną, półprzezroczystą mgiełką pozaziemskiego pochodzenia, która oprócz funkcji czysto dekoracyjnych służyła także jako emiter znakomitych perfum o zapachach, jakie tylko można sobie wymarzyć. Pokoje te wyposażono także w osobiste czepki myślowe połączone z centralnymi bankami pamięci, jak również w linie, za pomocą których można było wezwać Służących, Pisarzy, Rejestratorów czy też Muzyków – o ile zaszła taka potrzeba. Oczywiście ludzie z tak skromnych klanów, jak mój, nie myśleli nawet o wykorzystywaniu innych ludzi, bojąc się gniewu, jaki mogli ściągnąć tym na swoje głowy. Na szczęście nie potrzebowałem niczyich usług.

Powstrzymałem się od zapytania Avlueli o to, co zdarzyło się w pałance Księcia i czemu zawdzięczamy tę niezwykłą hojność. Mogłem sobie jednak wyobrazić bezgraniczną wściekłość Gormona, który gotów był przewyciężyć wszystkie przeciwności losu w niekrytej miłości, jaką żywił do małej i delikatnej Szybowniczkii.

Rozgościliśmy się. Ustawiłem swój wózek pod osłoniętym muślinowymi draperiami oknem, przygotowałem go do następnego czuwania i umyłem się, słuchając dyskretnych

tonów dobywających się ze ścian melodii. Potem położyłem się. Nieco później odwiedziła mnie Avluela – teraz już spokojna i wypoczęta. Rozmawialiśmy przez chwilę. Gormon nie odwiedził mnie jeszcze i nabrałem przekonania, że opuścił Bursę szukając towarzystwa wśród równych sobie pozaklanowców. Ale o zmierzchu, kiedy wyszedłem z Avlulą na dziedziniec Bursy, by podziwiać wschodzące na niebie Roumu

gwiazdy, natknąłem się na niego. Dyskutował półgłosem z jakimś wychudłym osobnikiem o szczupłej twarzy przyozdobionej szarfą Pamiętających.

Na mój widok Gormon skinął głową i rzekł:

–Pozwól, Obserwatorze, że ci przedstawia mojego nowego przyjaciela.

Wymieniony musnął palcami swoją szarfę.

–Jestem Basil. Pamiętający – przedstawił się śpiewnym głosem. – Przybyłem z Perrisu, by zbadać tajemnice Roumu i mieszkam tu już kilka lat.

–Ten Pamiętający zna wiele ciekawych historii – wtrącił Gormon. – Basil zalicza się do największych mistrzów swojego Bractwa. Właśnie opowiadał mi o metodach odkrywania przeszłości. Otóż drąży się otwór poprzez warstwy osadu z Trzeciego Cyklu i za pomocą zasysających świrdrów transportuje się grudki ziemi, aż dotrze się do najgłębszych warstw.

–Odkryliśmy właśnie katakumby imperialnego Roumu – uściślił Basil – oraz ruiny z czasów Wielkiego Niepokoju i wydrukowane na białym metalu księgi pochodzące z końca Drugiego Cyklu. Wszystkie te znaleziska zostaną wkrótce wysłane do Perrisu, by tam je zbadano, sklasyfikowano i zabezpieczono. Później je zwrócimy. Czy interesujesz się przeszłością, Obserwatorze?

–Oczywiście – odparłem z uśmiechem. – Ale ten oto Odmieniec pasjonuje się wtoz historią i zna ją tak dobrze, że czasami zaczynam wątpić w te jego odmienność. Powiedz mi, Basilu, czy potrafiłbyś rozpoznać ukrywającego się Pomiatającego?

Basil długo przyglądał się dziwnej twarzy Gormona i jego umięśnionej sylwetce.

–To nie jest Pamiętający – rzekł wreszcie. – Ale wiem, że interesuje go starożytność. Zadał mi wiele mądrych pytań.

–Na przykład?

–Chciał poznać przyczyny powstawania klanów. Zapytał mnie, jak nazywał się chirurg-genetyk, twórca pierwszych Szybowników. Chciał również wiedzieć, skąd się wzięli Odmieńcy i czy to prawda, że ciąży na nich klątwa Losu.

–Czy znasz odpowiedzi na te pytania?

–Na niektóre.

–A powstanie klanów?

–Struktury Bractw pomogły w powstrzymaniu upadku i zniszczenia, jakie zapanowało pod koniec Drugiego Cyklu. Ziemia znalazła się pod kontrolą obserwujących nasz upadek kosmitów. Koniecznością stało się stworzenie instytucji, która pozwoliłaby człowiekowi znaleźć się wśród innych istot. I tak powstały pierwsze Bractwa: Władców, Panów,

Gospodarzy, Sprzedawców i Sług. Później dołączyły do nich Klany Pisarzy i Muzyków, Błaznów i Gońców, a jeszcze później niezbędnymi stały się Bractwa Rejestratorów, a także Obserwatorów i Obrońców. Kiedy w Latach Magii stworzono Szybowników i Odmieńców, ich Bractwa dołączyły do reszty, a zerowcy...

W tym momencie wtrąciła się Avluela:

–Ależ Odmieńcy są pozaklanowcami!

Pamiętający dostrzegł ją dopiero teraz.

–Kim jesteś, moje dziecko? – zapytał.

–Jestem Avluela z Bractwa Szybowników. Podróżuję z tym Obserwatorem i Odmieńcem.

–Tak jak już wspomniałem obecnemu tutaj Gormonowi podjął Basil – jego współbracia utworzyli pełnoprawny klan, ale około tysiąca lat temu został on rozwiązany przez Radę Władców. Przyczyną tej decyzji była nieudana próba opanowania przez pewną frakcję Odmieńców świętego miasta Jorslem. Od tamtej pory Odmieńcy stali się pozaklanowcami. Obecnie stoją tylko o jeden stopień wyżej od zerowców.

–Nie wiedziałem o tym – powiedziałem.

–Nie jesteś Pamiętającym – odpowiedział Basil z uśmiechem i masz prawo o tym nie wiedzieć.

–Tak, to prawda.

–A ile jest klanów w tej chwili? – zapytał Gormon.

–Okolo setki, mój przyjacielu – rzekł Pamiętający. – Ale w większości są one bardzo małe, wręcz o zasięgu lokalnym. Ja zajmuję się jedynie Bractwami Pierwotnymi, nie wyłączając tych, które powstały na samym początku. To, co wydarzyło się podczas ostatnich stuleci, jest domeną innych Pamiętających. Czy chciałbyś się jeszcze czegoś dowiedzieć?

–Nic ważnego. Takie tam głupie pytania – odpowiedział Gormon.

–Wielka jest twoja ciekawość.

–Odkrywam świat i wszystko, co jest w nim interesującego! Czy to źle?

W tej samej chwili zbliżył się do nas Sługa i z respektem mieszającym się z pogardą przyklęknął przed Avluelą.

–Książę powrócił – rzekł do niej – i pragnie, byś towarzyszyła mu w pałacu.

Chociaż w oczach Avlueli pojawił się błysk strachu, jednak nie mogła odmówić...

–Czy mam iść za tobą? – zapytała.

–Jeśli sobie tego życzysz! Załóż odświętne szaty i uperfumuj się. Książę życzy sobie, byś ukazała mu się z rozpostartymi skrzydłami.

Avluela skinęła potakująco głową i ruszyła za Sługą. Pozostaliśmy jeszcze przez chwilę w ogrodzie, kontynuując rozmowę. Basil opowiadał nam o Roumie dni starożytnych. Słuchałem go z zaciekawieniem, Gormon zaś przeszukiwał ciemności nieuważnym spojrzeniem. Wreszcie Pamiętający przeprosił nas i odszedł, by przepłukać wyschnięte gardło.

Kilka chwil później wprost przed nami otworzyły się drzwi i wyszła z nich Avluela. Dziewczyna szła jak lunatyczka. Była naga, otulała się jedynie przezroczystą zasłoną, spod której pobłyskiwało blado w świetle gwiazd jej kruche ciało. Rozwinięte skrzydła drgały lekko w powolnym rytmie skurczy. Prowadziło ją dwóch Służących, ujmując pod łokcie. Czynili to jednak tak, jakby prowadzili do pałacu senny majak dziewczyny, a nie ją samą:

–Leć, Avluelo, leć! – mruknął Gormon. – Uciekaj, póki jeszcze czas.

Dziewczyna zniknęła we wnętrzu pałacu. Odmieniec odwrócił się do mnie.

–Oddała się Księżciu, by zapewnić nam schronienie.

–I mnie się tak zdaje.

–Gdybym tylko mógł, zniszczyłbym ten pałac!

–Kochałeś ją?

–To chyba oczywiste.

–Strzeż się tej miłości! – poradziłem mu. – Jesteś wprowadzie człowiekiem nie zrzeszonym, ale nie oznacza to wcale, że mógłbyś zdobyć Szybowniczkę. Tym bardziej taką, która została nałożnicą Księcia Roumu.

–Przeszła tam wprost z moich objęć.

–Posiadałeś ją?!!

Uśmiechnął się gorzko.

–I to nie jeden raz. W momencie największego uniesienia jej skrzydła drżały jak liście na wietrze!

Schwyciłem się balustrady, by nie upaść i nie roztrzaskać się o kamienie dziedzińca. Gwiazdy zawirowały mi przed oczyma, a stary Księżyc wraz ze swoimi dwoma bladolicymi towarzyszami wierzgał jak szalony po nocnym niebie. Byłem wstrząśnięty, niemal straciłem świadomość. Czy był to gniew przeciw Odmieńcowi, który pogwałcił kanony prawa? Czy też powodowała mną zazdrość o Gormona, który miał śmiałość dokonać tego, czego ja nie potrafiłem, a co było moim skrytym marzeniem?

–Mogliby za to wypalić ci umysł! Zniszczyć twoją duszę! A ty na dodatek uczyniłeś mnie swoim współnikiem.

–Cóż z tego. Książę rozkazał i został wysłuchany... Lecz nie był pierwszy. Musiałem o tym komuś powiedzieć.

–Zamilcz! Zamilcz!

–Czy zobaczymy ją jeszcze?

–Książęta często i szybko nudzą się swoimi nałożnicami. Może te potrwa kilka dni, a może wystarczy jedna noc, by do nas wróciła. Wtedy jednak skończy się książęca gościnność. Niemniej dodałem z westchnieniem – niemniej pozostaniemy tu przez kilka nocy.

–A dokąd udasz się później?

–Zamierzam zostać jeszcze przez jakiś czas w Roumie.

–I będziesz spał pod gołym niebem? Nie wydaje mi się, by Obserwatorzy byli tu bardzo poszukiwani.

–Dam sobie radę. Później, być może, udam się do Perrisu.

–Chcesz szkolić się u Pamiętających

–Chcę zobaczyć Penis. A ty? Co ciebie trzyma w Roumie?

–Avluela!

–Przestań o tym mówić!

–Dobrze – odpowiedział z gorzkim uśmiechem. – Ale ja poczekam, aż Avluela znudzi się Księżciu. Wtedy znów będzie moja i zadbam o nasze dalsze życie. Nam, pozaklanowcom, też nie brakuje konceptu. Na pewno. Pomieszkamy tu przez jakiś czas, a później udamy się z tobą do Perrisu... O ile zgodzisz się, by towarzyszyli ci w

tej podróży potwór i występna Szybownicza. Wzruszyłem ramionami.

–Porozmawiamy o tym, kiedy nadejdzie czas.

–Towarzyszyli ci już kiedyś Odmieńcy?

–Rzadko i raczej niedługo.

–Wyróżniasz mnie – zabębnił palcami o balustrada. – Ale nie chciałbym, byś mnie opuścił. Mam pewne powody, by wędrować razem z tobą.

–Jakież to?

–Chciałbym zobaczyć na własne oczy, co zrobisz, kiedy twoje przyrządy oznajmią ci, że inwazja już się rozpoczęła.

Skurczyłem się w sobie.

–To znaczy, że zamierzasz pozostać ze mną na dłużej.

–Nie wierzysz w to, że inwazja nastąpi wkrótce?

–Kiedyś nastąpi. Ale nie wkrótce.

Gormon parsknął śmiechem.

–Mylisz się. Najeźdźcy są już na Ziemi.

–Żartujesz chyba.

–Co z tobą, Obserwatorze? Straciłeś swoją wiarę? Przecież wiadomo już od tysiąca lat z okładem, że jakaś obca rasa pożądać będzie Ziemi, prowadzić mające rozmowy, a kiedy przybędzie na Ziemię, będzie zbyt późno, by stawić opór. Tak brzmi przepowiednia z końca Drugiego Cyklu.

–Wiem o tym dobrze, mimo iż nie jestem Pamiętającym odwróciłem się ku niemu i wypowiedziałem te słowa tak głośno, jak jeszcze nigdy dotąd. – Wsłuchiwałem się w życie gwiazd przez okres dwa razy dłuższy niż trwa twoje życie, Gormonie. Lecz wiem, że czynności powtarzane po wielokroć często tracą swój sens. Jeśli powtórzysz swoje imię tysiakkrotnie, stanie się ono jedynie pustym dźwiękiem. Ja czuвам, dobrze czuвам, lecz niekiedy podczas nowych seansów myślę, że to czuwanie jest zwykłą stratą czasu.

Gormon uściskał mi dłoń.

–Twoje wyznanie jest równie skandaliczne, jak to, którym dopiero co podzieliłem się z tobą. Strzeż się, Obserwatorze, inwazja jest bliska.

–Co ty możesz o tym wiedzieć.

–Pozaklanowcy mają również niejaki talenty.

Słowa te wprawiły mnie w zakłopotanie.

–Niezbyt przyjemnie jest być pozaklanowcem.

–Przyzwyczałem się. Taki stan ma też swoje dobre strony. Jestem wolny. Mogę rozmawiać swobodnie ze wszystkimi...

–Widziałem...

–Chodzę swoimi drogami, robię, co chce. Mam zawsze zapewnione jedzenie i miejsce do spania. Cóż z tego, że jedzenie jest marne, a mieszkanie niewiele od niego lepsze. Kobiety Igną do mnie mimo wszystkich zakazów. A może właśnie dzięki nim. Nigdy też nie dręczyła mnie ambicja.

–Czy nigdy nie pragnąłeś wzbić się ponad własną szarość?

–Nigdy.

**–Byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś został Pamiętającym.**

**–Jestem szczęśliwy taki, jaki jestem. Mogę mieć wszystkie radości Pamiętających bez brania na siebie cięższej na nich odpowiedzialności...**

**–Jesteś próżny! – krzyknąłem. – Czy uważasz, że nienależenie do klanów jest cnotą?**

**–Jak inaczej znieść ciężar Losu? – Gormon zwrócił swój wzrok w stronę pałacu. – Pokora rośnie w siłę, a potęga chyli się ku upadkowi. Możesz uważać te słowa za prorocze, Obserwatorze! Książę dostanie nauczkę, nim minie lato. Wyłupie mu oczy, by ukarać go za zniewolenie Avlueli!**

**–To mocne słowa! Zdrada przemawia przez twoje usta!**

**–Powtarzam ci, że to proroctwo.**

**–Nigdy nie zdołasz zbliżyć się do niego na wystarczającą odległość – w zdenerwowaniu ciągnąłem dalej tak, jakbym uznał te brednie za prawdę. – Bo cóż mu zarzucisz? Jest Księciem! To ją powinienes zganić! To ona powinna go odrzucić!**

**–Żeby kazał obciąć jej skrzydła albo, co gorsza, zabić. Nie, ona nie miała wyboru... Ale ja go dostanę – nagle, szybkim ruchem Odmieniec wysunął przed siebie swoje potężne umięśnione ręce i wbił je w wyimaginowane oczy. – Poczekaj, zobaczysz!**

**–Robi się późno – powiedziałem. – Musze trochę odpocząć. Niedługo znów podejmę czuwanie.**

**–Czuwaj uważnie – odpowiedział Gormon.**



Tej nocy, kiedy w moim pokoju rozpocząłem czuwanie czwarte i ostatnie tego dnia, odkryłem po raz pierwszy w swoim życiu pewną anomalie. Nie potrafiłem jej jednak wyjaśnić. Było to nieznane mi wrażenie, mieszanina dźwięków i smaków, uczucie kontaktu z przeogromną masą. Zatroskany czuwałem dłużej, niż zazwyczaj, lecz to, co zarejestrowałem, nie stało się dla mnie jaśniejsze pod koniec seansu, niż było na jego początku.

Kiedy zakończyłem czuwanie, zastanowiłem się nad ciążącym na mnie obowiązkiem.

Od dzieciństwa wpajano Obserwatorom, że należy reagować szybko. Obserwator nie powinien wahać się, gdy nad światem zawiśnie cień niebezpieczeństwa. Czy powinienem zatem powiadomić Obrońców? Podczas mojego życia ogłaszano alarm już czterokrotnie, za każdym razem okazywało się, że był to alarm fałszywy. Obserwatorzy, którzy ogłosili mobilizacje bez powodu, drogo zapłacili za swoją pomyłkę. Pierwszy oddał swój mózg do banku pamięci, drugi został upokorzony przez neutralizację, trzeciemu odebrano instrumenty i przepędzono z Bractwa, czwarty zaś pozostał w swojej profesji stając się zarazem obiektem kpin wszystkich kolegów. Ze swojej strony nie widziałem żadnego powodu do obciążania tego, który spowoduje fałszywy alarm – chyba lepiej będzie, jeśli Obserwator ogłosi alarm za wcześnie, niż za późno. Lecz takie były prawa mojego klanu i musiałem ich przestrzegać.

Przemyślałem całą te sytuacje jeszcze raz i doszedłem do wniosku, że nie ma podstaw do ogłaszania alarmu. Gormon naopowiadał mi dzisiejszego wieczora takich rzeczy, że uczucie to mogło stanowić jedynie konsekwencje jego słów o inwazji.

Zaniechałem alarmu.

Udręczony, zakłopotany, wydany na pastwę sprzecznych uczuć, zamknąłem swój wózek i usnąłem kamiennym snem. Obudziłem się o świcie i rzuciłem od razu do okna, oczekując widoku najeźdźców krążących po ulicach. Lecz wszystko pozostawało w spokoju. Zimowa szarówka zmroziła podwórzec, na którym zaspani Służący popędzali apatycznych zerowców. Z przepelnionym trwogą sercem rozpocząłem pierwsze czuwanie i zauważyłem z radością, że dziwne uczucia towarzyszące mi w poprzednim czuwaniu nie powtórzyły się. Nie wziąłem jednak pod uwagę tego, że w nocy mój umysł stawał się bardziej wyczulony, niż w dzień.

Zjadłem śniadanie i udałem się na podwórzec. Gormon i Avluela już tam byli. Mała Szybowniczka wyglądała na tak zmęczoną i osłabioną, że strzegłem się przed uczynieniem najmniejszej choćby aluzji do nocy, którą spędziła z Księciem. Odmieniec natomiast stał wsparty o bogato przyozdobiony motywami promienistych muszli mur. Gdy mnie spostrzegł, zapytał, jak przebiegało mi czuwanie.

–Nieźle – odparłem mu.

–Jakie masz plany na dzisiaj?

–Chciałbym zwiedzić Roum. Czy zechcecie mi towarzyszyć? – Oczywiście – odpowiedział Gormon, a Avluela skinęła głową. Jak turyści, którymi rzeczywiście byliśmy, ruszyliśmy w drogę, by zwiedzić wspaniałości goszczącego nas miasta.

Gormon służył nam za przewodnika, chociaż zarzekał się, że nigdy nie był w tym mieście. Z wielkim znanstwem, nie ustępującym niczym uczoneści Pamiętających, rozprawiał o wszystkim, co ujrzelśmy idąc krętymi uliczkami miasta. Naszym oczom ukazały się rozproszone zabytki tysiącleci. Oglądaliśmy kopuły energetyczne z Drugiego Cyklu, Koloseum, gdzie w niewiarygodnie odległej epoce ludzie walczyli ze zwierzętami, niczym bestie w dżungli. Wśród ruin areny tego przerażającego miejsca Gormon wyjawiał nam całą prawdę o okrucieństwie dawno minionych czasów.

Minęliśmy wzniesione u zarania Trzeciego Cyklu maszty fuzyjne służące do czerpania energii z wnętrza Ziemi. Maszty te działały jeszcze pomimo starości i pokrywającej je rdzy. Minęliśmy szczątki rozbitej maszyny meteorologicznej – potężnej kolumny wznoszącej się na dwadzieścia wysokości człowieka. Minęliśmy wzgórze, na którym spoczywały wykute w białym marmurze płaskorzeźby przedstawiające blade kielichy zimowych kwiatów – pozostałości Roumu Pierwszego Cyklu i skierowaliśmy się do centrum miasta. Wkrótce naszym oczom ukazało się zbocze najeżone strategicznymi amplifikatorami gotowymi do rzucenia całej potęgi Losu przeciwka najeźdźcom. Kilka chwil później dotarliśmy do targowiska, na którym goście z gwiazd nabywali odkopane przez krajowców okruchy starożytności. Gormon wmieszał się w tłum i zakupił kilka drobiazgów. Odwiedziliśmy także przeznaczony na użytek podróżników z przestrzeni Dom Rozkoszy, oferujący wszystko – od quasi-życia aż po lody namiętności. Później przekąsiliśmy w małej restauracyjce położonej na brzegu Tibru, gdzie obsługiwano również pozaklanowców. Gormon polecił nam dwie specjalności tego zakładu dziwną substancję o papkowatej konsystencji i skrapiane kwaśnym, złocistym winem słodocze.

Po posiłku spacerowaliśmy pod arkadami kryjącymi się wśród setek pasaży, na których królowali sprzedawcy oferujący na swoich straganach towary pozaziemskiego pochodzenia, kosztowne Frykańskie błyskotki i wytwory rodzimych manufaktur. Wkrótce wydostaliśmy się na mały placzyk przyozdobiony fontanną w kształcie łodzi, za którą wznosiły się spękane i zniszczone przez czas stopnie prowadzące na pokryty gruzem i chwastami taras. Posłuszni niememu rozkazowi Gormona przeszliśmy przez to ponure miejsce i zbliżyliśmy się do opuszczonego pałacu z początków Drugiego, jeśli nie Pierwszego Cyklu, wznoszącego się nad porośniętym dziką roślinnością wzgórzem.

–Oto miejsce, które nazywano środkiem świata – wyjaśnił nam Gormon. – Drugim miejscem pretendującym do tego tytułu jest Jorslem. Punkty te wyznaczono za pomocą mapy.

–Jak świat może mieć środek, skoro jest kulisty? – zapytała Avluela.

Gormon uśmiechnął się i wprowadził nas do wnętrza budynku. W chłodnej pustce pomieszczenia wznosił się ogromny globus wryty w szlachetnym kamieniu, błyszczącym

własnym, wewnętrznym światłem.

–Oto wasz świat – rzekł Gormon czyniąc górnolotny gest.

–Och! Tutaj jest wszystko! – zakrzyknęła Avluela. – Wszystko...

Globus był prawdziwym arcydziełem rąk ludzkich. Przedstawiał nadzwyczaj dokładnie kontury i ukształtowanie lądów, dna pozbawionych wody mórz i oceanów, wypalone powierzchnie pustyń, których sam widok wysuszał gardło oraz pełne życia i ruchu mrowiska miast. Spoglądałem na kontynenty: Eyrope, Frykę, Aje i Stralye. Później przeniosłem wzrok na olbrzymi Ocean Ziemi i przemierzyłem długi, złoty język Mostu Ziemi, po którym jeszcze nie tak dawno wędrowałem.

Avluela podbiegła do globusa i wskazała palcem na Roum, Ogypt, Jorslem, Perris. Dosięgnęła też wysokich gór Północnego Hindu i szepnęła:

–Oto miejsce moich urodzin. Kraina wiecznych lodów i sięgających Księżycy szczytów. Oto Królestwo Szybowników. – Jej palec ominął łukiem Fars i przesunął się aż po obrzeża przerażającej pustyni Arabskiej i Ogypt. – Tam smutną i zropaczoną spotkałam ciebie – uśmiechnęła się do mnie. – Pokaż nam miejsce twoich urodzin, Obserwatorze.

Nie bez zakłopotania obszedłem globus, z trudem prostując obolałe nogi. Avluela ruszyła za mną, a Gormon szedł powoli z tyłu, jakby go to wcale nie interesowało. Pokazałem małej Szybownicze odległe wyspy, tworzące dwie długie smugi na Oceanie Ziemi – pozostałości Zaginionego Kontynentu – i wskazałem palcem moją rodzinną wyspę, te zachodnią.

–Tutaj ujrzałem światło dnia.

–Jak daleko! – zdumiała się dziewczyna.

–I jak dawno! Niekiedy zdaje mi się, że działo się to co najmniej w połowie Drugiego Cyklu.

–Nie! To niemożliwe – krzyknęła Avluela przyglądając mi się, jakby mogło być prawdą to, że żyje od tysiącleci. Uśmiechnąłem się i pogładziłem delikatnie jej aksamitny policzek.

–Tylko tak mi się zdawało!

–Kiedy odszedłeś ze swoich stron?

–Miałem wtedy dwukrotnie więcej lat, niż ty masz teraz. Najpierw dotarłem tutaj – wskazałem na archipelag Południowych Wysp. – Przez dwanaście lat byłem Obserwatorem w Palasie. Później Los kazał mi przebyć Ocean Ziemi i udać się do Fryki. Usłuchałem. Mieszkałem przez czas jakiś w ciepłych krajach, po czym udałem się do Ogyptu, gdzie spotkałem tę oto małą Szybowniczkę.

Zamilkłem i spoglądałem jeszcze przez chwilę na wyspę, która były moją ojczyzną. W myślach nie byłem już starym i zmęczonym Obserwatorem; stałem się znowu młodym i pełnym życia człowiekiem wspinającym się na zielone stoki wzgórz; pływającym w chłodnych wodach mórz i czuwającym na białym piasku plaży obmywanej przez przyboje.

Pogrzyżyłem się w swoich myślach, a Avluela odwróciła się do Gormona.

–Teraz ty. Pokaż nam, skąd pochodzisz, Odmieńcze.

Gormor wzruszył ramionami.

–Na tym globusie nie ma miejsca moich urodzin.

–Ależ to niemożliwe!!!

–Tak sądzisz?

Avluela naciskała na niego, lecz nie odpowiedział na jej pytania. Opuściliśmy więc budynek i wyszliśmy na ulice Roumu. Ogarniało mnie już zmoczenie, lecz głód wiedzy Avlueli był tak duży, że chciała w ciągu zaledwie jednego dnia obejrzeć całe miasto. Znow pogrążyliśmy się w plątaninie uliczek. Przebyliśmy dzielnicę wspaniałych rezydencji należących do Panów, Kupców, strefę cuchnących nor Sług i Sprzedawców, przechodząc niepostrzeżenie w podziemne ciągi katakumb i dotarliśmy do miejsc odwiedzanych przez Błaznów i Muzyków. Później zwiedziliśmy nielegalne targowisko Somnambulików. Jeden z nich zapraszał nas, byśmy weszli do niego i odkryli prawdę, pogrążając się w narkotycznym transie. Avlueta pragnęła nas tam zatrzymać, lecz Gormon pokręcił przecząco głową. Ja uśmiechnąłem się tylko i ruszyliśmy dalej swoją drogą.

–Spójrzcie.! – krzyknęła Avluela. – Jakie to wspaniałe! Wskazała na lśniący łuk olbrzymiej sfery ochronnej, kryjącej w sobie jakiś relikwiarz przeszłości. Przysłoniłem dłonią oczy i dostrzegłem wewnątrz niej kamienny mur i tłoczących się przed nim ludzi.

–Oto Usta Prawdy – rzekł Gormon.

–Co to jest? – zapytała Avluela.

–Chodź, zobaczysz.

Przed sferą uformowała się długa kolejka ludzi. Przyłączyliśmy się do niej. Wkrótce też znaleźliśmy się przy wejściu i wkroczyliśmy w region wieczności panującej za rogiem. Nie wiedziałem, czym wyróżniał się ten zabytek wśród innych. Zapytałem więc Gormona mając pewność, że odpowiedź, jaką otrzymam, będzie równie wyczerpująca, jak odpowiedź Pamiętającego.

–To siedlisko prawdy – odpowiedział mi. – Wszystko, co mówi się w tym miejscu, musi być zgodne z prawdą.

–Nie rozumiem – rzekła Avluela.

–Nie można tu skłamać. Czy wyobrażacie sobie jakikolwiek inny zabytek wymagający większej ochrony?

Wszedł do tuby wejściowej i zniknął za barierą pola. Ruszyłem w jego ślady. Avluela wahała się. Długo zwlekała z decyzją i miałem wrażenie, że walczy z przeciwnym wiatrem owiewającym granice oddzielającą od zewnętrznego świata skrawek zamkniętej przestrzeni, w której się znaleźliśmy Gormon i ja.

Usta Prawdy mieściły się w małej niszy wykutej w murze. Kolejka zwiedzających wiła się wokół nich, słuchając poleceń dostojnego Rejestratora. Wkrótce nadeszła nasza kolej. Znaleźliśmy się przed obliczem okrutnego potwora wyrzeźbionego na starożytnym, nadgryzionym zębem czasu murze. Jego usta stanowiły mroczną, przerażającą czeluść.

Gormon oglądał ją, kiwając głową w zadumie, jakby potwierdzał tym, że widok Ust odpowiadał jego wyobrażeniom.

–Co należy teraz zrobić? – zainteresowała się Avluela.

–Włóż prawą rękę do Ust Prawdy, Obserwatorze – powiedział Gormon.

Usłuchałem go, marszcząc brwi.

–Teraz – wyjaśnił Gormon – któreś z nas zada ci pytanie. Jeśli twoja odpowiedź

okaże się nieprawdziwa, Usta zamkną się i zmiażdżą ci rękę.

–Nie! – krzyknęła Avluela.

Spojrzałem z zainteresowaniem na kamienne szczęki otaczające moją dłoń. Obserwator, który nie ma obu rąk przestaje być Obserwatorem. W czasach Drugiego Cyklu zrobiono by mi protezę sprawniejszą od oryginalnej ręki, lecz dzisiaj, kiedy Drugi Cykl stał się jedynie mglistym wspomnieniem, nie można znaleźć na Ziemi takich cudów.

–Jak to możliwe? – zapytałem.

–Los posiada szczególną władzę nad tym miejscem – wyjaśnił mi Gormon – i bezlitośnie oddziela fałsz od prawdy. Za tą ścianą odpoczywa trzech Somnambulików, którym się objawił, przez których kontroluje Usta. Czy obawiasz się Losu, Obserwatorze?

–Rzecz jasna.

–Odwagi. Nigdy jeszcze słowo kłamstwa nie padło przed tym murem, nikt nigdy nie stracił tu ręki.

–No dobrze – zacząłem – kto pyta?

–Ja – powiedział Gormon. – Powiedz mi, Obserwatorze, jak sądzisz, czy życie poświęcone czuwaniu jest życiem dobrze spełnionym?

Stałem przez dłuższą chwilę milcząc i rozmyślając. Wreszcie powiedziałem:

–Poświęcić się czuwaniu jest być może najszlachetniejszą rzeczą, jakiej może się poświęcić człowiek...

–Uważaj – ostrzegł mnie Gormon. – Jeszcze nie skończyłem.

–Mów zatem dalej.

–Ale poświęcić się czuwaniu, jeśli wróg jest tylko tworem naszej wyobraźni, cieszyć się, że przez tak długi czas strzeże się przed nieprzyjacielem, który nigdy nie nadejdzie, jest szaleństwem i grzechem. Zmarnowałem swoje życie!

Szczęki Ust nie zatrzasnęły się.

Wyjąłem rękę z otworu i spojrzałem na nią, jakby dopiero w tej chwili wyrosła z mojego ramienia. Czułem się, jakbym żył od wielu Cykli, Avluela zaś spoglądała na mnie z wytrzeszczonymi oczyma i rękoma złożonymi na ustach, wyraźnie przestraszona tym, co powiedziałem. Wtedy też wydało mi się, że chłodne słowa, które wypowiedziałem, wciąż jeszcze unoszą się w powietrzu tuż przed obliczem ohydneho idola.

–Przemawiałeś szczerze, ale bez pobłażania – powiedział Gormon. – Zbyt surowo się osądzasz, Obserwatorze.

–Mówiłem to, by ocalić rękę. Czy chciałbyś, abym skłamał? Uśmiechnął się i odwrócił ku Avlueli.

–Teraz twoja kolej.

Wyraźnie speszona mała Szybowniczką zbliżyła się do Ust. Jej ręka wyraźnie zdrząła, kiedy dotknęła zimnej powierzchni kamienia. W tejże chwili gotów niemal byłem podbiec do dziewczyny i wyrwać jej dłoń z przeraźliwie wykrzywionej paszczy.

–Kto pyta?

–Ja – rzekł Gormon.

Skrzydła Avlueli zadrżały lekko pod tuniką. Dziewczyna zbladła, powieki zadrgały jej nerwowo i przygryzła wargi. Spoglądała na mur potnym przerażenia wzrokiem, drżąc o swoją rękę. Na zewnątrz widać było twarze obserwujących nas ludzi, którzy mówili coś, chcąc bez wątpienia wyrazić swoje oburzenie, bowiem przebywaliśmy przy Ustach już dość długo. Nie zwracaliśmy jednak na nich uwagi. Powietrze, które nas otaczało, było ciepłe, gęste i przesiąknięte stęchlizną pleśni, jakby pochodziło wprost ze studni wydrążonej w otchłani czasu.

–Tej nocy – zaczął Gormon spokojnie – pozwoliłaś Księżciu Roumu posiąść swoje ciało. Przedtem oddałaś się Odmieńcowi Gormonowi nie bacząc na żadne prawa czy zakazy. A jeszcze wcześniej połączyłaś się z nieżyjącym już dzisiaj Szybownikiem. Być może znałaś także innych mężczyzn, o których nic nie wiem. Ale nie to bodzie przedmiotem mojego pytania. Powiedz mi zatem, Avluelo, który z tych trzech mężczyzn dał ci największą rozkosz fizyczną? Który wzbudził w tobie największe uczucie? Którego z nich wybrałabyś, gdyby dano ci możliwość wyboru?

Chciałem zaprotestować, gdyż Odmieniec postawił trzy pytania zamiast jednego, usiłując wyciągnąć z tego osobiste korzyści, lecz nie zdążyłem tego uczynić, gdyż Avluela z ręką uwięzioną w otchłani Ust Prawdy odpowiedziała z pewnością w głosie:

–Książę Roumu dał mi poznać prawdziwą rozkosz, jakiej dotąd nie zaznałam. Lecz jest on okrutny i niedostępny. Odrzucam go. Kochałam zmarłego Szybownika bardziej niż kogokolwiek przedtem czy potem, ale on był słaby, a ja nie chciałabym mieć słabego partnera. Natomiast ty, Gormonie, jesteś mi jeszcze zbyt obcy. Nawet teraz wydaje mi się, że nie znam twojego ciała ani duszy. Lecz pomimo dzielącej nas przepaści z tobą chciałabym dopełnić swoich dni.

Wyjęła rękę z Ust Prawdy.

–Dobrze powiedziałaś – rzekł Gormon po trosze zraniony słowami Avlueli, lecz w pełni z niej zadowolony. – Stajesz się elokwentna, jeśli sytuacja tego wymaga. Teraz ja zaryzykuję swoją rękę.

Przysunął się do Ust Prawdy: – Sformułowałeś już dwa pierwsze pytania – powiedziałem. Czy zechcesz zatem doprowadzić do końca tę sprawę i zadać ostatnie, trzecie pytanie?

–Nie! – uczynił lekceważący gest wolną ręką. – Oddalcie się i wymyślcie wspólnie pytanie.

Naradziłem się z Avluelą. Dziewczyna nastawała z zawziętością, jakiej się po niej nie spodziewałem na pytanie, które i mnie chodziło po głowie. Zgodziłem się i Avluela zadała mu je.

–Gormonie, kiedy staliśmy przed globusem przedstawiającym nasz świat poprosiłam cię, byś pokazał miejsce, z którego pochodzisz. Odpowiedziałeś, że nie ma go na nim. Twoja odpowiedź wydała mi się nieco dziwna i dlatego teraz pytam: czy jesteś tym, za kogo się podajesz? Czy jesteś Odmieńcem wędrującym bez celu po naszej planecie?

–Nie – odpowiedział Gormon i w pewnym sensie dał odpowiedź na pytanie zadane przez Avluelę. Lecz wiedział, że to nie wystarczy i ciągnął dalej nie wyjmując ręki z Ust Prawdy. – Nie pokazałem ci miejsca moich urodzin, gdyż nie ma go na tym

**globusie. Nie urodziłem się na Ziemi, moją ojczyzną jest planeta, której nazwy nie mogę wam wyjawić. Nie jestem Odmieńcem, a przynajmniej nie w tym sensie, jaki nadajecie temu słowu, gdyż noszę przebranie, a moja postać wygląda nieco inaczej na planecie, z której pochodzę. Przebywam tutaj już od dziesięciu lat.**

**–Dlaczego przybyłeś na Ziemię? – zapytałem go.**

**–Miałem odpowiedzieć tylko na jedno pytanie. Niemniej ciągnął dalej z uśmiechem – zaspokoję twoją ciekawość. Zostałem wysłany na Ziemię jako obserwator wojskowy. Mam przygotować inwazję, której od tak dawna wypatrujesz i w którą przestałeś już wierzyć! A teraz dzieli nas od niej zaledwie kilka godzin!**

**–Kłamiesz! – krzyknąłem. – Kłamiesz!**

**Wybuchnął śmiechem i wyciągnął swoją nienaruszoną rękę z Ust Prawdy.**

Z mieszanymi uczuciami opuszczałem błyszczącą sferę, ciągnąc za sobą wózek z instrumentami. Na ulicach szarzało już i robiło się coraz chłodniej. Noc zapadała błyskawicznie, tak jak to zwykle bywa zimą. Zbliżała się godzina dziewiętnasta. Wkrótce nadejdzie czas mojego czuwania.

Szydercze słowa Gormona wypełniały mi głowę jak ryk gromu. Wszystko to ukartował! Zwodził nas, by doprowadzić do Ust Prawdy! Zmusił mnie do wyznania, że zwątpiłem w swoją misję i wymusił na Avlueli inną, równie bolesną odpowiedź. Dał nam bezlitosne i śmiało dowody, że nie obawia się użyć wyrachowanych słów, by zranić nasze serca.

Czy Usta Prawdy to oszustwo? Czy mógł skłamać i wyjść bez szkody?

Nigdy jeszcze nie zdarzyło mi się czuć, zanim nadeszła wyznaczona godzina. Lecz dzisiejsze wydarzenia prowadziły do takich wniosków, że nie mogłem się doczekać, kiedy minie dziewiętnasta.

Schyliłem się, otworzyłem wózek, włączyłem instrumenty i pogrążyłem w czuwaniu, jak nurek w wodzie.

Moja wzmocniona świadomość pomknęła ku gwiazdom. Ogarniałem przestrzeń niczym Bóg. Czulem napór wiatru słonecznego, lecz nie obawiałem się go, gdyż nie byłem Szybownikiem i nie mogłem zostać przezeń pokonany i przygnieciony. Mknąłem więc z gigantyczną szybkością, idąc w zawody z cząsteczkami światła i pogrążałem się w nieskończonej głębi czarnej pustki kosmosu, oddalając od Imperium Słońca.

Nagle pojawiło się przede mną inne, nowe odczucie.

Zbliżały się statki kosmiczne.

Nie były to zwykłe liniowce, wypełnione turystami spragnionymi widoku naszego upadłego świata. Nie były to też należycie oznakowane towarowce kupieckie czy przerabiające międzygwiazdny pył fabryki i orbitujące w przestrzeni platformy rozrywkowe.

Zbliżały się okręty wojenne. Czarne, obce i przerażające. Nie mógłbym powiedzieć, tle ich było i skąd pochodziły. Wiedziałem jedynie, że mkną ku Ziemi z szybkością wielu jednostek świetlnych, roztaczając przed sobą stożek zakrzywionej energii, na który natknąłem się podobnie, jak podczas ostatniego czuwania minionej nocy.

Na to właśnie czekałem przez całe życie. „Szkolono mnie, bym odkrył ich, lecz modliłem się, by nie było mi dane tego uczynić. Później – zniecierpliwiony – pragnąłem czegoś wręcz przeciwnego. Jeszcze później przestałem o tym myśleć. A teraz dzięki Odmieńcowi Gormonowi odkryłem ich gdyż czuwałem przed czasem, przykucnąwszy na chłodnej ulicy Roumu opodal Ust Prawdy.

Podczas nauk wpajano Obserwatorom, by w razie odkrycia wroga natychmiast przerwali

czuwania i sprawdzwszy dane ogłosili alarm. Podporządkowałem się tym zasadom, sprawdziłem dane, przełączając się z kanału na kanał. Na każdym z nich zarejestrowałem to samo dziwne uczucie, towarzyszące olbrzymiej potędze kierującej



się z niewyobrażalną wprost prędkością ku Ziemi.

Albo się myliłem, albo była to inwazja. Niestety, nie mogłem wyjść w tej chwili z transu i ogłosić alarmu.

Z utęsknieniem i zamiłowaniem przedłużałem obcowanie z tymi bodźcami czuciowymi na całe godziny – jak mi się zdawało. Pieściłem instrumenty znajdując w tej czynności całkowite spełnienie odczuć przepływających przez moje przeguby. Potępiłem się, mówiłem sobie, że tracę cenny czas, że powinienem skończyć z tym niecnym zaniedbaniem i powiadomić Obrońców, aż w końcu przerwałem czuwanie i znalazłem się znów w świecie, którego miałem obowiązek strzec.

Avluela stała przy mnie otępiała, przerażona, z dzikim błyskiem w oku i zaciśniętymi pięściami.

–Obserwatorze! Obserwatorze! Słyszysz mnie? Co się stało? Co się dzieje?

–Inwazja! Jak długo znajdowałem się w transie?

–Sama nie wiem... Może pół minuty... Miałaś zamknięte oczy. Myślałam, że nie żyjesz!

–Gormon mówił prawdę. Najeźdźcy są u naszych bram! Gdzie on jest? Gdzie się podział?

–Zniknął, kiedy tylko wyszliśmy z miejsca, które nazwał Ustami Prawdy – odpowiedziała ze szlochem. – Obserwatorze, ja się boję! Mam wrażenie, że wszystko się wali. Muszę lecieć. Nie mogę zostać na ziemi.

–Zaczekaj! – chciałem chwycić ją za rękę, ale umknęła mi. Nie odchodź jeszcze. Muszę ogłosić alarm, zanim...

Lecz ona już się rozbierała. Jej blade, obnażone ciało błyszczało w półmroku. Wokół nas przemykali spóźnieni przechodnie, pogrążeni w słodkiej niewiedzy o nadchodzących wypadkach. Chciałem, by Avluela pozostała przy mnie, lecz nie mogłem już zwlekać z ogłoszeniem alarmu. Wróciłem do swojego wózka.

Niczym niewolnik zbyt długo śnionego majaku sięgnąłem ku przełącznikowi, którego nigdy jeszcze nie użyłem. Przełącznikowi mającemu zaalarmować wszystkich Obrońców aż po krańce naszej planety.

A może już ogłoszono alarm? Inny Obserwator mógł odkryć to, co odkryłem i nie zważając na wątpliwości, z którymi przyszło mi się borykać, wykonał ostatnią czynność Obserwatorów.

Nie! Jeszcze nie! W takim wypadku słyszałbym już wycie syren z umieszczonych nad miastem megafonów. Musnąłem przełącznik, kątem oka dostrzegając, jak naga Avluela przyklęka i szepce formuły potęgujące siłę jej wątłych skrzydeł. Kiedy zorientowałem się, że dziewczyna ma zamiar wzlecieć, powróciłem do mojego zadania.

Szybkim ruchem włączyłem sygnalizację alarmową.

W tej samej chwili dostrzegłem zbliżającą się ku nam szybkim krokiem zwałistą postać. Myśląc, że to Gormon, podniosłem się i ruszyłem w jej kierunku. Nie był to jednak Odmieniec, lecz jakiś gorliwy. Sługa o ciastowatym obliczu. Zbliżył się i rzekł do Avlueli:

–Uspokój się, Szybowniczo! Złóż swoje skrzydła. Książę Roumu wysłał mnie,

bym sprowadził cię przed jego oblicze. Schwycił ją wpół. Drobną pierś Avlueli wzniosła się spazmatycznie, a w oczach dziewczyny pojawił się błysk gniewu. – Puszczaj mnie! – krzyknęła. – Chcę lecieć.

–Książę Roumu wzywa cię – powtórzył Sługa zaciskając wokół niej swoje potężnie umięśnione ramiona.

–Książę Roumu będzie miał inne zajęcia dzisiejszego wieczoru – rzekłem mu. – Nie będzie jej potrzebował.

Kiedy wymawiałem te słowa syreny rozpoczęły swój śpiew w przestworzach nieba.

Sługa puścił dziewczynę. Przez chwilę poruszał wargami, lecz żaden dźwięk nie wydobył się z jego krtani. Uczynił jeden ze znaków, jakimi ludzie zazwyczaj zjednują sobie przychylność Losu, po czym spojrzał na niebo i wybełkotał:

–Alarm?! Kto go ogłosił? Czy to ty, starcze?

Ulica zarojła się biegnącymi sylwetkami. Avluela podbiegła do mnie tak szybko, jak tylko mogła i ukryła się za moimi plecami. Jej skrzydła na skutek strachu rozwinęły się tylko w połowie. Ponad wszechobecne zawodzenie syren wybijały się głosy Mówców instruujących ludzi o wymogach obrony i bezpieczeństwa publicznego. Tuż obok nas przebiegł ulicą szczupły osobnik z emblematem Obrońców, wykrzykując coś, czego nie mogłem zrozumieć.

Świat pograżył się w szaleństwie.

Jedynie ja pozostawałem spokojny. Przeszukiwałem firmament w nadziei ujrzania ciemnych sylwetek statków, krążących nad wieżami Roumu. Lecz nie dostrzegłem niczego prócz nocnych świateł i obiektów, które widzi się zazwyczaj po zapadnięciu zmierzchu.

Gormonie! – zawołałem – Avluelo!

Byłem sam.

Doznałem dziwnego uczucia pustki. Ogłosiłem alarm! Zbliżali się najeźdźcy. Straciłem swoje zajęcie. Teraz już nikt nie będzie potrzebował Obserwatorów. Przesunąłem ręką pieszczotliwym gestem po burcie mojego starego wózka i ruszyłem ciemną uliczką Roumu” pozostawiwszy go za sobą razem z ciężącym na mnie obowiązkiem. Ja, człowiek, dla którego życie straciło, a zarazem zyskało sens w jednej i tej samej chwili.

Wokół mnie narastał chaos.

Słyszałem, że w chwili decydującej bitwy zostaną zmobilizowane wszystkie Bractwa z wyjątkiem Obserwatorów. My, którzy służyliśmy przez tak długi czas, nie mieliśmy wyznaczonej żadnej roli w strategii walki. Naszym zadaniem było ogłoszenie alarmu – prawdziwego alarmu. Teraz swoimi zdolnościami popisać się mieli członkowie Bractwa Obrońców. Już od ponad pół wieku przygotowywali się na dzień wybuchu wojny. Jaki plan wybiorą teraz? Jakie operacje przeprowadzą?

Wiedziałem tylko jedno: wrócę do Bursy Królewskiej, by czekać końca wydarzeń. Nie musiałem już martwić się o odszukanie Avlueli. Pozwoliłem jej przecież uciec; nagiej i bezbronnej w momencie największego zamieszania. Gdzie teraz była? Któż mógł się nią opiekować?

Na najbliższym zakręcie wpadł na mnie mój brat Obserwator ciągnący za sobą w szaleńczym pędzie swój wózek.

–Uważaj – krzyknąłem. Zatrzymał się i wbił we mnie zdziwione spojrzenie.

–Czy to prawda? – zapytał po chwili. – To alarm?

–Nie słyszysz?

–Ale czy on jest prawdziwy? Wskazałem ręką na jego wózek.

–Najlepiej będzie, jak sam sprawdzisz.

–Mówią, że ten, który ogłosił alarm był pijanym czy też szalonym starcem wypędzonym z zajazdu.

–Możliwe.

–A jeśli ten alarm jest prawdziwy?

–Jeśli jest prawdziwy, możemy wreszcie odpocząć – przerwałem mu ze śmiechem. – Bywaj, Obserwatorze.

–Twój wózek! – krzyknął za mną. – Gdzie jest twój wózek?

Lecz ja byłem już daleko. Zbliżałem się właśnie do gigantycznej kamiennej kolumny – pozostałości z czasów Imperialnego Roumu. Jej powierzchnię pokrywały starożytne płaskorzeźby: walki i zwycięstwa, obcy władcy kroczący w łańcuchach i hańbie ulicami Roumu, zwycięskie orły głoszące chwałę wielkiego imperium. Korzystając z chwilowego spokoju ducha przystanąłem na moment, podziwiając piękno tego wszystkiego.

Nagle spostrzegłem, że ktoś zbliża się do mnie. Poznałem go. To był Basil Pamiętający.

–Przybyłeś w dobrym momencie – powiedziałem i pozdrowiłem go. – Czy zechciałbyś objaśnić mi znaczenie tych figur? Zafascynowały mnie i wzbudziły moją ciekawość.

–Czyś oszalał?! Nie słyszysz syren?

–To ja ogłosiłem alarm.

–Uciekaj! Nadchodzą najeźdźcy! Musimy walczyć!

–Nie ja, Basilu. Moja rola już się skończyła. Opowiedz mi o tych scenach. O pokonanych królach i upadłych władcach. Człowiek w twoim wieku nie powinien myśleć o wojaczce.

–Wszyscy zostali zmobilizowani.

–Wszyscy prócz Obserwatorów – odrzekłem. – Poczekaj chwilę. Zrodziło się we mnie pragnienie poznania przeszłości. Gormon zniknął, pozostań więc moim przewodnikiem w odkrywaniu tajemnic minionych Cykli.

Pamiętający pokręcił głową ze złością, wyminął mnie i ruszył dalej. Chciałem go zatrzymać, lecz złapałem jedynie jego czarną szarfę, która rozsypała się i pozostała w mojej dłoni. Basil zniknął w perspektywie ulicy.

Moje nogi – nie tak dawno jeszcze niezdolne do utrzymania mojego ciężaru – znowu odzyskały sprężystość. Ożywiony, ruszyłem ulicą wiodącą przez wydane na łup chaosu miasto. Nie musiałem szukać drogi; zszedłem nad rzekę, przekroczyłem ją i znalazłszy się na drugim brzegu stanąłem przed Pałacem Księcia.

Noc zdawała się być ciemniejsza niż zwykle, gdyż mocą rozkazów mobilizacyjnych wygaszono większość świateł. Raz po raz głucho eksplozje ogłaszały, że w przestworzach wybuchały coraz to nowe bomby kamuflujące, rozpylając obłoki pyłu unieszkodliwiającego niemal wszystkie systemy wczesnego ostrzegania. Na ulicach pozostało niewiele przechodniów. Nadal wyły syreny. Do akcji włączały się jedna za drugą umieszczone na dachach budynków instalacje obronne. Wycie expulsatorów wciąż narastało, a z każdej wieży unosiły się ku niebu pajęczne ramiona amplifikatorów. Nikt już nie wątpił w prawdziwość inwazji. Mogłem się omylić – zważywszy na sytuację, w jakiej się znalazłem – ale zaawansowane przygotowania poczynione przez obrońców wskazywały, że setki moich braci potwierdziły fakt inwazji.

U bram pałacu doścignęło mnie dwóch zdyszanych Pamiętających. Ich na wpół rozwinięte szarfy łopotały na wietrze. Powiedzieli do mnie coś, czego nie rozumiałem. Miałem na sobie szarfę Basila, więc odezwali się do mnie w swoim języku. Nie mogłem im odpowiedzieć. Wciąż mamrocząc zbliżyli się do mnie i zapytali ponownie, tym razem zrozumiale:

–Co się z tobą dzieje? Wracaj na swój posterunek. Musimy rejestrować, obserwować, komentować!

–Pomyliliście się – odpowiedziałem z uprzejmością. – Szarfa, którą noszę, jest własnością waszego brata Basila. Dał mi ją na przechowanie. Nie mam już posterunku, na którym mógłbym czuwać.

–Obserwator! – zakrzyknęli chórem i pozostawili mnie samego, uchodząc swoją drogą.

Wrota pałacu stały otworem. Nigdzie nie zauważyłem śladu pilnujących ich zerowców ani obu Rejestratorów ze straży wewnętrznej. Oblegające dotychczas zewnętrzny plac legiony żebraków runęły w poszukiwaniu łupów do środka pałacu. Tutaj jednak spotkali się z

gwałtowną reakcją swoich nieco bardziej uprzywilejowanych współbraci, którzy rzucili się do walki z nieoczekiwaną siłą i zawziętością. Ujrzałem kaleki władające swoimi kulami niczym maczugami. Ujrzałem ślepców okładających przeciwników z zadziwiającą precyzją. Ujrzałem, jak do niedawna pokorni i łagodni zamieniali się w krwiożercze bestie, walczące najprzeróżniejszymi rodzajami broni – od noży aż po pulsatory soniczne. Ominąłem to zasmucające widowisko i prześlizgnąłem się do

wnętrza pałacu. Szedłem opustoszałymi korytarzami rozglądając się po celach, w których Pielgrzymi błagali o łaskę, gdy nagle usłyszałem dźwięki trąb i następujące po nich okrzyki.

–Z drogi! Z drogi!

Oczom moim ukazała się kolumna muskularnych Sług kierująca się w stronę apartamentów władcy. Kilku z nich trzymało jakąś skrzydlatą istotę o na wpół otwartych skrzydłach. Przecież to Avluela!!! Krzyknąłem, lecz mój głos zagubił się w ogólnym hałasie. Nie mogłem się do niej zbliżyć. Słudzy przeszli obok mnie i zniknęli w pokojach Księcia. Zanim to jednak zrobili, zdołałem raz jeszcze dostrzec moją małą Szybowniczkę uwięzioną w ich mocarnych uściskach.

Zatrzymałem puszącego się swoją ważnością zerowca, który niezbyt pewnym krokiem podążał za procesją.

–Ta Szybownicza... Co ona tu robi?

–No, ona... Oni...

–Mów!

–Księżę... Jego kobieta... W jego wozie... N...n...na... najeżdźcy.

Pozostawiłem jękającego się zerowca i ruszyłem ku komnatom Księcia. Nie dotarłem tam jednak. Stałem u stóp wysokiej na dziewięć ludzi spiżowej ściany, oddzielającej mnie od nich i tłukąc w nią pięściami zawołałem, ile sił w płucach:

–Avluelo! AV-LU-ELO!!!

Nie usłyszano mnie. Nie wpuszczono. Po prostu zignorowano. Tymczasem wrzawa czyniona przez walczących u zachodniego wejścia do pałacu stała się już słyszalna w całej nawie i rezonowała we wszystkich jej krużgankach. Nie chcąc ryzykować następnego spotkania z zaciętrzewioną tłuszcą zwróciłem się szybko ku bocznym drzwiom, wiodącym do Królewskiej Bursy.

Znieruchomiałem. Na niebie pojawiły się dziwne wyładowania. Przez chwilę myślałem, iż są to efekty działania któregoś z systemów obronnych mających ustrzec miasto przed atakiem, lecz wkrótce udałem sobie sprawę z omyłki, jaką popełniłem.

Na niebie pojawiły się gwiazdoloty wroga.

Kiedy widziałem je podczas czuwania, wydały mi się czarne jak dno nieskończonej otchłani. Teraz błyszcząły niczym złote tarcze słońc. Całe niebo przyozdobione było koliają pobłyskujących twardo globów, przypominających szlachetne kamienie. Burta przy burcie, bez początku i bez końca, od wschodu aż po zachód nieboskłon zajęto mrowie statków. I

kiedy tak opuszczały się z wolna, usłyszałem huk i poczułem pulsację niewidzialnej symfonii, zwiastującej przybycie Zdobyców. Nie wiedziałem, na jakiej wysokości znajdowały się statki, ile ich było i z czego zostały zrobione. Wszystko, co o nich mogłem powiedzieć, to to, że pojawiły się nagle na niebie, w całej okazałości i majestacie. Oraz to, że gdybym był Obrońcą, utraciłbym wolę walki na sam ich widok:

Niebo przeszywały wielokolorowe błyskawice. Rozpoczęta się walka. Nie mogłem powiedzieć niczego o działaniach Obrońców i chcąc nie chcąc, musiałem obserwować

manewry przybyszów usiłujących objąć w posiadanie naszą głęboko zakorzenioną w bieg historii planetę. Tę, której czas dobiegał już końca. Z dumą stwierdziłem, że jestem nie tylko poza, ale i ponad zamieszaniami, jakby cały ten konflikt zupełnie mnie nie dotyczył. Chciałbym wprawdzie mieć u swojego boku Avluelę, przebywającą teraz gdzieś w głębi pałacu Księcia Roumu. Chociaż... Obecność Gormona, Gormona-Odmieńca, Gormona-szpiega, Gormona, który niegodziwie zdradził nasz świat, również przyniosłaby mi ulgę.

Obok mnie zabrzmiały fantastycznie podwyższone głosy.

–Miejsce dla Księcia Roumu! Książę Roumu poprowadzi obrońców do walki o ojczyznę.

Z pałacu wynurzył się błyszczący wehikuł w kształcie łyzy. W jego dach wmontowano przezroczystą płytę, by lud mógł ujrzeć swojego wodza i nabrać odwagi korzystając z jego obecności. Książę Roumu dowodził z dumnie wypiętą pierśią, wyrazem zawziętości i zdecydowania na swojej młodzieńczej, ale jakże okrutnej twarzy: obok niego dostrzegłem drobną sylwetkę przystrojonej w iście cesarskie szaty Avlueli. Dziewczyna wyglądała na zahipnotyzowaną.

Pojazd Księcia wzbił się w ciemnościach i zniknął. Zdawało mi się, że podążyła za nim jednak druga maszyna, że Książę dostrzegł ją i że obie poczęły krążyć wokół siebie przygotowując się do śmiertelnego starcia. Nagle oba pojazdy skryły się w roju błękitnych błysków i wyprysnęły w górę nikiąc za jednym ze wzgórz Roumu.

Czy walki rozciągnęły się na całą planetę? Czy zagrażały Perrisowi? Świętemu Jorslem i uśpionym wyspom Zaginionego Kontynentu? Czy wszędzie statki pokrywają całe niebo?

Nie wiedziałem. Znałem jedynie ciąg zdarzeń, których teatrem było niebo Roumu. A to, co działo się w tak małym sektorze mogło być mylące, niewystarczające i niepewne. W rozkwitających błyskach wyładowań dostrzegłem całe chmury Szybowników mknących w otwartej przestrzeni. Po chwili jednak ciemność powróciła, okrywając miasto aksamitnym całunem. Na szczytach wież najcięższe z maszyn obronnych otworzyły ogień, lecz statki obcych trwały niewzruszenie, jakby wokół nich nic się nie działo. Podwórzec, na którym się znajdowałem, świecił pustkami, ale wciąż jeszcze słyszałem dobiegające z oddali głosy przepełnione strachem i przerażeniem. Głosy przechodziły w tak wysokie tony, że z powodzeniem mogły dorównać ptasim trelom.

Panika rosła w mieście z minuty na minutę. Tuż koło mnie przemknęła grupa Somnambulików. Na jednej z esplanad pałacu dostrzegłem trupę Kłownów – tak przynajmniej myślałem rozwijającą błyszczącą sieć o niewątpliwie wojskowym przeznaczeniu.

Nagły rozbłysk eksplozji pozwolił mi też odkryć trójkę Pamiętających, unoszących się na platformie antygravitacyjnej i notujących skwapliwie wszystko, co mogli zaobserwować. Wydawało mi się także – chociaż nie byłem tego pewien – że ujrzałem znów pojazd Księcia i ścigającego go przeciwnika. „Avluelo” – jęknąłem, gdy owe okruchy światła rozplynęły się w oddali.

Czy statki desantowały już swoje oddziały? Czy ogromne pylony energii

**tryskającej ze statków błyszczących na orbicie dosięgnęły powierzchni Ziemi?  
Czemu Książę uniósł z sobą Avluelę? Gdzie był Gormon? Co robili Obrońcy?  
Dlaczego jeszcze żaden statek nie zniknął z nieba?**

**Przez całą długość tej, zda się, nieskończonej nocy, siedziałem na starożytnych kamieniach podwórca i obserwowałem przebieg toczącej się nade mną kosmicznej walki, niczego z niej nie rozumiejąc.**

**Wstał dzień. Wątle promyki światła przeskakiwały z wieży na wieżę. Przetarłem oczy, zdając sobie sprawę, że powinienem wreszcie się przespać, gdyż w innym wypadku – jak sobie ironicznie powiedziałem – mogę zgłosić się do Bractwa Somnambulików.**

**Obcych statków już nie było. Widziałem tylko zwykłe, szaropomarańczowe niebo poranka. Machinalnie poszukałem wzrokiem wózka, lecz przypomniałem sobie, że nie muszę już czuwać. Czułem się zresztą bardziej rozbity niż kiedykolwiek o tej porze.**

**Czy bitwa się skończyła?**

**Czy wróg został pokonany?**

**Czy statki najeźdźców zamieniły się w zwęglone szczątki zalegające wokół Roumu?**

**Wokół panowała cisza. Nie słyszałem już gwiazdnej symfonii. Nagle w panującą nadnaturalną ciszę wdarł się nowy dźwięk. Dźwięk podobny do huku pojazdu toczącego się ulicami miasta. Po chwili dołączyli doń niewidzialni muzycy, uderzając ostatni akord: nutę ciężką i smutną, która zamarła raptownie, jakby wszystkie struny instrumentu zerwały się w tej samej chwili.**

**Z megafonów przeznaczonych do masowych transmisji popłynął spokojny głos:  
–Roum upadł! Roum upadł!**

Bursa Królewska opustoszała. Zarówno zerowcy, jak i członkowie klanu Sług uciekli. Obrońcy, Panowie i Władcy musieli zginąć gdzieś na polach walki.

Nigdzie też nie było śladu Pamiętającego Basila ani jego braci.

Wróciłem do swojego pokoju, przebrałem się i odświeżyłem, po czym zebrałem skromne rzeczy i pożegnałem się z luksusem, który był mi dany na tak krótki czas. Żałowałem, że moja wizyta w Roumie już się kończyła. Niemniej Gormon był dobrym przewodnikiem i udało mi się dzięki niemu zobaczyć wiele ciekawych rzeczy.

Teraz byłem już gotów do drogi.

Niezbyt roztropnym wydawało mi się pozostawanie w podbitym mieście. Czepek myślowy mojego pokoju nie odpowiadał na pytania, nie znałem przeto rozmiarów klęski. Stało się jednak dla mnie oczywiste, że Roum przestał być własnością ludzkości. Woląłem go opuścić. Myślałem wprawdzie o podróży do Jorslem tak, jak poradził mi Pielgrzym napotkany u wrót Roumu – lecz po przemyśleniu zdecydowałem się iść na zachód, do Perrisu i to nie tylko dlatego, że leżał bliżej. W nim to bowiem znajdowała się siedziba Bractwa Pamiętających. Jedyne zajęcie, jakie znałem, nie istniało już, lecz dzisiaj, pierwszego dnia po podboju Ziemi odczułem nieodpartą chęć zgłoszenia się na służbę do Pamiętających i poszukiwania wraz z nimi śladów minionej sławy naszej planety.

W południe opuściłem Bursę i udałem się do pałacu. Jego wrota nadal pozostawały otwarte. Wokół leżeli żebracy, niektórzy uśpieni, lecz w większości martwi. Sądząc z brutalności, z jaką prowadzili walkę, prawdopodobnie wybili się sami, powodowani paniką i szaleństwem. Przed kapliczką zawierającą czaszki komunikatorów siedział skulony Rejestrator. Kiedy zbliżyłem się do nich, rzekł:

–Nie wysilaj się. Mózgi nie odpowiedzą.

–Co się stało z Księciem Roumu?

–Zginął. Najeźdźcy strącili go z nieba.

–Towarzyszyła mu młoda Szybowniczka. Czy wiesz coś o niej?

–Nie. Prawdopodobnie ona też zginęła.

–A miasto?

–Miasto padło. Najeźdźcy są wszędzie.

–Zabijają?

–Nie. Nawet nie grabią. Są bardzo uprzejmi. Można by powiedzieć, że wzięli nas pod swoją opiekę.

–Czy tylko Roum padł ich ofiarą?

Rejestrator wzruszył ramionami i począł rytmicznie kołysać się w przód i w tył. Zostawiłem go i wszedłem do środka pałacu.

Ze zdziwieniem spostrzegłem, że apartamenty książęce stoją otworem. Wszedłem tam. Przepych i bogactwo wewnątrz osłupiło mnie. Przechodziłem z komnaty do komnaty, aż znalazłem się przy łożu Księcia. Za pościel służyła tu ogromna muszla pochodząca z planety obcego słońca. Kiedy podszedłem, rozchyliła się i mogłem dotknąć nieskończenie delikatnej substancji, wśród której odpoczywał Książę.

Nagle przypomniałem sobie, że Avluela również spała w tym łożu. Gdybym był



młodszy, mógłbym zapłakać.

Wyszedłem z pałacu i przebyłem długimi krokami plac, rozpoczynając tym samym podróż do Perrisu.

Wtedy też po raz pierwszy ujrzałem naszych zwycięzców. Przy końcu esplanady zatrzymał się pojazd o dziwnym, nieziemskim wyglądzie i zeskokczyło zeń tuzin stworzeń. Najeźdźcy przypominali ludzi. Byli wysocy, mieli szerokie bary i klatki piersiowe równie potężne, jak Gormon. Jedynie długość rąk zdradzała ich nieziemskie pochodzenie. Skóra, oczy, wargi i nozdrza miały obcy, nieludzki wyraz. Nie zwracając na mnie uwagi pokonali esplanadę skokami raczej niż krokami – co znów przypominało mi Gormona – i zniknęli we wnętrzu pałacu. Nie sprawiali jednak wrażenia ani pyszałkowatych, ani wojowniczych.

To ciekawe! Majestatyczny Roum raz jeszcze wywarł swój magnetyczny wpływ na obcych.

Zostawiwszy naszych nowych panów oddaliłem się ku peryferiom miasta. Chłód zimy zmroził mą duszę. Czy to upadek Roumu tak mnie zasmucił? Czy strata Avlueli? Czy było to uczucie wywołane brakiem trzech kolejnych czuwań? Zapewne złożyło się na to wszystkiego po trochu, ale najbardziej niepokoiło mnie to ostatnie.

Na ulicach nie widziałem żywej duszy. Najwidoczniej mieszkańcy ukryli się, lękając się najeźdźców. Od czasu do czasu widziałem przejeżdżające z szumem pojazdy obcych, lecz ani razu nie zatrzymano mnie. Późnym popołudniem dotarłem do Zachodniej bramy miasta. Była otwarta i mogłem przez nią zobaczyć wzgórze przystrojone koronami drzew o zielonych szczytach. Kiedy wyszedłem poza mury miasta, dostrzegłem w niewielkiej odległości sylwetkę idącego wolnym krokiem Pielgrzyma.

Dogoniłem go bez trudu. Zdziwił mnie nieco nerwowy i ostrożny krok, jakim się poruszał, gdyż gruba, brązowa szata, w którą był odziany nie mogła ukryć jego młodego i zdrowego ciała. Pielgrzym szedł sztywno z wysuniętymi do przodu ramionami, chwiejnym i niepewnym krokiem starca. Kiedy zrównałem się z nim i zajrzałem pod jego kaptur, zrozumiałem. Na brązowej masce, którą nosił jak wszyscy Pielgrzymi, tkwił przyrząd ostrzegający ślepców przed przeszkodami i niebezpieczeństwami. Kiedy wyczuł moją obecność, odezwał się:

–Jestem niewidomym Pielgrzymem. Proszę, nie czyn mi krzywdy. Jego głos – wysoki, twardy – w niczym nie przypominał głosu Pielgrzymów.

–Nikom nie robię krzywdy – odpowiedziałem mu. – Jestem Obserwatorem, który utracił tej nocy swoje stanowisko.

–Wielu je straciło tej nocy, Obserwatorze.

–Masz rację.

–Dokąd zmierzasz?

–Byle dalej od Roumu.

–Nie masz określonego celu?

–Nie. Idę przed siebie.

–Moglibyśmy zatem pójść razem – zaproponowałem mu, gdyż podróż z Pielgrzymem mogła mi dobrze zrobić, a pozbawiony Szybowniczeki i Odmieńca

musiałem iść sam. – Udaję się do Perrisu. Czy zechcesz tam pójść ze mną?

–Tam, czy gdzie indziej – westchnął z goryczą. – Chodźmy do Perrisu. Ale co może robić Obserwator w Perrisie?

–Nigdzie nie ma już zajęcia dla Obserwatorów. Idę do Perrisu, by wstąpić na służbę do Pamiętających.

–Och, należałem do tego Bractwa, ale tylko tytułarnie.

–Teraz, kiedy Ziemia została pokonana, chciałbym poznać jej wielką przeszłość.

–Cała Ziemia upadła, czy tylko Roum?

–Cała...

Umilkł i zachwiał się. Zaoferowałem mu swoją pomoc i nie musząc już sprawdzać drogi mógł ruszyć długimi krokami, jak przystało na młodzieńca. Chwilami zdawało mi się, że słyszę ciche westchnienia czy też zduszony szloch. Kiedy pytałem o sprawę związane a jego pielgrzymką, odpowiadał pytaniem albo milczał. Po upływie godziny, kiedy znajdowaliśmy się w środku lasu, odezwał się nagle:

–Ta maska uwiera. Pomożesz mi ją poprawić? – i, ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu, począł ją ściągać. Byłem zdumiony, albowiem Pielgrzymom nie wolno pokazywać twarzy. Czyżby zapomniał, że ja nie jestem ślepy?

–To, co zobaczysz, nie będzie zbyt piękne – powiedział ściągając maskę.

Brązowa kratownica uchyliła się i ujrzałem jego oczy. Musiał je stracić niedawno. W jego twarzy ziały dwie otwarte rany – dzieło nie chirurgicznego skalpela, lecz ludzkich palców. Po chwili dostrzegłem arystokratyczny nos i wąskie, wykrzywione usta Księcia Roumu.

–Wasza wysokość! – krzyknąłem.

Strużki wyschniętej krwi barwiły jego policzki, a skrwawione oczodoły nosiły ślady maści. Z całą pewnością niewiele cierpiał, bo chociaż rany były jeszcze świeże, zielonkawy balsam musiał przynieść mu ulgę.

–Nie ma już majestatu – odpowiedział. – Pomóż mi dopasować maskę – podał mi ją trzęsącą się ręką. – Trzeba wygiąć te pręty. Uciskają mnie zbyt mocno. Tu... i tu...

Pośpiesznie zrobiłem to, o co prosił, by nie widzieć już jego okaleczonej twarzy. Założył

maskę na swoje miejsce.

–Teraz jestem Pielgrzymem – powiedział spokojnym głosem. – Roum nie ma już Księcia. Możesz mnie zdradzić, jeśli chcesz, a jeśli nie, poprowadź mnie do Perrisu. Jeżeli kiedykolwiek odzyskam władzę, zostaniesz sownie wynagrodzony.

–Nie jestem zdrajcą.

Ruszyliśmy dalej w milczeniu. Nie mogłem przecież rozmawiać z nim o byle błahostkach. Zapowiadała się długa i smutna podróż, lecz podjąłem się służyć mu za przewodnika. Idąc myślałem o Gormonie i jego spełnionych słowach. Myślałem też o Avlueli i setki razy chciałem zapytać Księcia o jego nałożnicę, ale za każdym razem powstrzymałem się przed postawieniem pytania, które parzyło mi język.

Nadchodził zmierzch, lecz czerwono-złote słońce błyszczało jeszcze na zachodzie. Wtem na ziemi przed nami pojawił się cień. Zatrzymałem się i wydałem okrzyk zdumienia.

Wysoko na niebie mknęła Avluela. Promienie zachodzącego słońca ślizgały się po jej ciele, a rozwinięte skrzydła błyszcząły wszystkimi kolorami tęczy. Dla jej oczu byłem jedynie drobnym punktem zagubionym w bezmiarze drzew.

–Co się dzieje? – zapytał Książe. – Co zobaczyłeś?

–Nic.

–Powiedz, co zobaczyłeś?

Nie mogłem skłamać.

–Szybowniczkę, wasza wysokość. Małą dziewczynę wysoko na niebie.

–To znaczy, że noc zapadła.

–Nie. Słońce jest jeszcze nad horyzontem.

–Jak to możliwe? Przecież ona ma skrzydła nocy. Słońce powinno strącić ją na ziemię.

Zawahałem się. Nie mogłem się zdecydować na wyjaśnienie, czemu Avluela lata w świetle dnia, kiedy jej skrzydła są skrzydłami nocy. Nie mogłem powiedzieć Księżciu, kto towarzyszy jej w przestworzach, przygarniając do siebie szczupłe ramiona małej Szybowniczki, która z tą pomocą przewyciężała ciśnienie słonecznego wiatru. Nie mogłem powiedzieć, że nad naszymi głowami przelatuje jego kat w towarzystwie ostatniej z jego nałożnic.

–No, Obserwatorze. Jak to możliwe, że ona lata w ciągu dnia?

–Nie wiem. To dla mnie tajemnica. Wiele jest rzeczy, których nie mogę pojąć.

Wydawał się być zadowolony z mojej odpowiedzi.

–Tak, Obserwatorze. Wiele jest rzeczy, których nikt z nas pojąć nie może.

Znów zamilkł. Ja zaś płonąłem chęcią zawołania Avlueli, lecz wiedziałem, że nie mogłaby i nie chciałaby mnie usłyszeć. Tak więc kontynuowałem marszrutę ku słońcu, ku Perrisowi i usługiwałem oślepijonemu Księżciu. Ponad nami zaś Gormon i Avluela odlatywali coraz szybciej i oświetleni ostatnimi promieniami dnia wznosili się coraz wyżej, aż straciłem ich z oczu.

*Tłumaczył Robert Szmidt*

# Na scenę wkracza żołnierz. A po nim wkracza drugi

Być może to właśnie niebo. Z pewnością nie Hiszpania i wątpił, by było to Peru. Wydawał się płynąć w powietrzu, zawieszony w pół drogi pomiędzy niczym a niczym. Wysoko nad nim było lśniące złote niebo, daleko pod nim mgliste wzburzone morze wirujących chmur. Kiedy spojrzał w dół widział swe nogi i stopy zwisające jak dziecinne zabawki nad niezmierną otchłanią i na ten widok dostał mdłości, ale nie było w nim nic, czym mógłby zwymiotować. Był pusty, Składał się z powietrza. Znikł nawet dawny ból w kolanie, tak jak znikło zawsze obecne tępe uczucie gorąca w mięśniach ramienia tam, gdzie traciły go strzałki Indian; dawno temu, na wybrzeżach tej wyspy pereł, niedaleko Panamy.

Miał uczucie jakby się znów narodził, sześćdziesięcioletni lecz wyzwolony od ran zadanych ciału i od miliardów sumujących się urazów; wyzwolony, można by rzek od samego ciała.

–Gonzalo? – krzyknął. – Hernando?

Odpowiedziały mu niewyraźne, senne echa. A po nich cisza.

–Matko Boga, czy umarłem?

Nie. Nie. Nigdy nie potrafił wyobrazić sobie śmierci. Kres walki? Miejsce, w którym jest tylko bezruch? Wielka pustka, jama bez dna? A więc – czy to miejsce było miejscem śmierci? Tego nie mógł wiedzieć. O to musiał zapytać świątobliwych ojców.

–Chłopcze, gdzie księża? Chłopcze?

Rozejrzał się szukając pazia. Dookoła widział tylko oślepiające spirale światła, skręcające się w nieskończoność. Widok był piękny, lecz niepokojący. Kiedy patrzył na samego siebie wiszącego tak w królestwie powietrza i światła trudno mu było zaprzeczyć, że umarł. Umarł i poszedł do nieba. Do nieba, tak, oczywiście, oczywiście. Bo i czymże mogło być to coś?

A więc to prawda, że jeśli chodzisz na mszę i z wiarą przyjmujesz Chrystusa, i dobrze Mu, służysz, grzechy zostają ci odpuszczone, doznajesz przebaczenia, zostajesz oczyszczony. Czasami w to wątpił. Ale mimo wszystko nie był jeszcze gotów na śmierć. Myśl o śmierci była obrzydliwa, doprowadzała do wściekłości. Tyle jeszcze trzeba dokonać. I nie pamiętał żadnej choroby. Szukał w swym ciele ran. Nie znalazł żadnej. Nawet najmniejszej. Dziwne. Znów rozejrzał się dookoła. Był sam. Nie widział nikogo; ani pazia, ani brata, ani De Soto. „Fray Marcos! Fray Marcos! Słyszycie mnie! Do diabła, gdzie jesteście? Matko Boska!

Święta Matko, błogosławiona między niewiastami! Niech cię diabli, Fray Vincente, powiedz mi... powiedz...”

Jego głos brzmiał nie tak: zbyt twardy, zbyt głęboki; głos nieznanego. Słowa walczyły z językiem i wychodziły z ust zdeformowane, kalekie; nie była to dobra jędrna hiszpańszczyzna z Estramadury lecz coś dziwnego i zawstydzającego. To, co słyszał, przypominało fircykowatą gadaninę Madrytu lub nawet szybki bełkot, którym mówili w Barcelonie; Jezu, mógłby prawie być Portugalczykiem, tak ochryple i

**blazeńsko kształtował słowa.**

**Powiedział ostrożnie i powoli:**

**–Jestem gubernatorem i generałem – kapitanem Nowej Kastylii.**

**Wciąż to samo, śmieszne dźwięki.**

**–Adelantado – Alguacil Mayor – Marques de la Conquista...**

**Obcość tej nowej wymowy była obrazą nadanych mu tytułów. Jakby zapomniał języka w gębie. Czuł, jak z wysiłku wkładanego we właściwe kształtowanie słów gorący pot strumieniami spływa mu po ciele lecz kiedy potarł ręką czoło, by wytrzeć pot nim spłynie do oczu, dotknął palcami suchej skóry i nie był wcale pewny, czy w ogóle może poczuć siebie.**

**Wciągnął głęboko oddech.**

**–Jestem Francisco Pizarro – krzyknął, rozpaczliwie wyrzucając z siebie swe imię tak, jak woda przerywa zgniłą tamę.**

**Echo wróciło, głębokie, dudniące, kpiące. Francicio Piziarro.**

**Nawet to. Nawet imię, idiotycznie zniekształcone.**

**–O wielki Boże! – krzyknął. – Święci i aniołowie.**

**Więcej zniekształconych dźwięków. Nic nie brzmi tak, jak powinno. Nie poznał nigdy sztuki czytania i pisania, a teraz wydawało się, jakby odebrano mu sztukę prawdziwej mowy. Zaczął się zastanawiać, czy słusznie wziął to za niebo, mimo nadnaturalnego blasku i wszystkiego innego. Na jego język spadło przekleństwo; być może demon trzymał go w swych kleszczach. Czyżby więc było to piekło? Piękne miejsce, ale mimo wszystko piekło?**

**Wzruszył ramionami. Piekło czy niebo, nie ma różnicy. Uspokajał się, zaczynał akceptować, przyjął warunki gry. Wiedział, nauczył się tego dawno temu, że nikt niczego nie zyska wściekając się na coś, na co nie można poradzić, a panika w obliczu nieznanego może spowodować wyłącznie klęskę. Był tu i to wszystko, niezależnie od tego, czym był tu, i musi znaleźć sobie miejsce ale nie to, w którym tkwił zawieszony między niczym i niczym. Już kiedyś trafiał do piekieł, małych piekieł, piekieł na ziemi. Ta jałowa wyspa nazywana Gallo, gdzie słońce gotowało człowieka w jego własnej skórze i nie było nic do jedzenia oprócz krabów smakujących jak kozie gówno. I te ponure bagna przy ujściu Rio Biru, gdzie deszcz padał rzeką i drzewa sięgały w dół gałęziami tnącymi jak miecze. I te góry, które przekroczył ze swą armią, gdzie śnieg był tak zimny, że aż parzył a powietrze przy każdym wdechu cięło gardło jak sztylet. Ze wszystkich wyszedł cało, a wszystkie były gorsze niż to. Tu nie było**

**bólu i niebezpieczeństwa, tutaj było tylko kojące światło i dziwna nieobecność jakiegokolwiek niewygody. Ruszył przed siebie. Szedł po powietrzu. „Popatrz no, popatrz,” powiedział sobie, „idziesz po powietrzu”. Powiedział to głośno; „idę po powietrzu” – oznajmił i roześmiał się z tego, jak brzmiały jego słowa. „Santiago! Idę po powietrzu! Czemu nie? Jestem Pizarro!” Krzyknął ile sił w płucach: „Pizarro! Pizarro!” i czekał, aż jego imię wróci do niego echem.**

**Piziarro! Piziarro!**

**Roześmiał się. Poszedł dalej.**

Pochylony do przodu Tanner siedział w wielkiej, migającej światłkami półkuli – laboratorium obrazów na dziewiątym piętrze. Obserwował, jak mała figurka w centrum holotanku kroczy; dostojna, napuszczona. Skulony obok niego Lew Richardson, z dłońmi wciśniętymi w rękawice systemu danych, by móc bezustannie przesyłać informacje sieci permutacyjnej, wydawał się niemal nie oddychać – w rzeczywistości sprawiał wrażenie, jakby był tylko jedną więcej częścią sieci.

Ale Richardson jest właśnie taki, pomyślał Tanner, całkowicie poświęca się najbliższemu celowi. Pozazdrościć. Należeli do dwóch różnych gatunków. Richardson żył, by programować i tylko programować. Taką miał wielką pasję. Tanner nigdy nie potrafił zrozumieć do końca ludzi kierujących się wielkimi pasjami. Richardson był reliktem wcześniejszej epoki, epoki, w której coś się jeszcze liczyło, w której można było zachować wiarę w znaczenie własnych osiągnięć.

–Jak ci się podoba zbroja? – zapytał Richardson. – Mam wrażenie, że wyszła doskonale. Skopiowaliśmy ją ze starych grafik. Klasa!

–Akurat strój na tropiki – odparł Tanner. – Błaszany garniturek i hełm do kompletu.

Kaszlnął i niecierpliwie poruszył się w fotelu. Pokaz trwał już pół godziny i nie zdarzyło się jeszcze nic, co miałoby jakieś znaczenie – maleńka brodata postać w hiszpańskiej zbroi maszerowała po prostu tam i sam poprzez świetliste pole – i Tanner zaczynał się niecierpliwić.

Richardson najwyraźniej nie zauważył ostrego tonu Tannera i niecierpliwości, z jaką drgnął on w fotelu. Po prostu dalej dostrajał aparaturę drobnymi ruchami. Sam był drobny, schludnie ubrany i schludnie wyglądający; miał spłowiałe, jasne włosy, bladoniebieskie oczy i cienkie, proste usta. Tanner wydawał się przy nim wielki i niechlujny. W teorii był szefem Richardsona i jego projektów badawczych, lecz w rzeczywistości zawsze pozwalał mu robić to, na co Richardson akurat miał ochotę. Tym razem – pomyślał – może trzeba będzie w końcu nieco przykrócić cugli.

Od czasu, gdy Richardson zaczął się bawić w te symulacje historyczne, była to dwunasta lub trzynasta demonstracja, do oglądania której go zmusił. Poprzednie skończyły się różnego

rodzaju katastrofami i Tanner zaczynał się poważnie niepokoić i o tę, i o projekt, któremu udzielił swej aprobaty kiedyś, dawno temu. Coraz trudniej przychodziło mu wierzyć, że te prace mogą służyć jakimukolwiek użytecznemu celowi. Jak to się stało, że pozwolił, by grupa Richardsona straciła tyle czasu i tyle pieniędzy? Jaką miało to mieć praktyczną wartość? Jaki przynieść pożytek?

To tylko gra, pomyślał Tanner. Kolejny desperacki, pozbawiony jakiegokolwiek znaczenia, kaskaderski wyczyn, kolejny absurdalny piruet w bezsensownym balecie. Marnowanie ogromnych środków na pokaz pomysłowości dla samej pomysłowości, nic innego; masz tu przykład dekadencji w sam raz dla siebie.

Maleńki obraz w holotanku zaczął tracić kształt i kolor.

–Ocho – powiedział Tanner. – Znika. Jak wszystkie poprzednie. Lecz Richardson potrząsnął głową.

–Tym razem jest inaczej, Harry.

–Tak sądzisz?

–Nie tracimy go. Po prostu porusza się tam według własnej woli i wychodzi poza nasze parametry dostrojenia. Co oznacza, że osiągnęliśmy ten stopień autonomii, o który nam chodziło.

–Wola, Lew? Autonomia?

–Przecież wiesz, że postawiliśmy je sobie za cel.

–Tak. Wiem, jaki cel sobie postawiliśmy – Tanner był nieco zirytowany. Tylko nie jestem przekonany, że utrata ostrości oznacza osiągnięcie woli.

–Patrz – powiedział Richardson. – Odetnę stochastyczny program dostrajający. On porusza się gdzie chce, a my śledzimy go bez przeszkód. – W mikrofon komputera, wpięty w klapę fartucha, powiedział: – Daj mi przyśpieszenie dojścia, – dobra? – Środkowym palcem lewej dłoni uczynił jednocześnie drobny ruch, oznaczając poziom wielkości.

Maleńka postać w bogatej zbroi i spiczastych butach znów się wyostrzyła. Tanner dostrzegał delikatne ozdoby pancerza, pierzasty hełm, stożkowaty napierśnik, nałokietniki, ozdobną gałkę rękojeści miecza. Maszerowała z lewa na prawo, równo, wysoko podnosząc kolana, jak człowiek, który wspina się na najwyższą górę i nie ma zamiaru zwolnić dopóki nie przekroczy szczytu. To, że najwyraźniej maszeruje przez powietrze, nie wydawało się sprawiać jej najmniejszej różnicy.

–Oto jest – powiedział tryumfalnie Richardson. – Odzyskaliśmy go, nie? Masz przed sobą zdobywcę Peru we własnej osobie, jeśli można się tak wyrazić.

Tanner skinął głową. Tak, miał przed sobą Pizarra. I musiał przyznać, że sprawiało to pewne wrażenie, a nawet jakoś wzruszało. W pośpiechu, z jakim poruszała się po błyszczącym, perłowym wnętrzu holotanku mała figurka w zbroi, było coś, co budziło pewien rodzaj sympatii. Maleńki człowieczek był w całości wyobrażony, ale zdawał się o tym nie wiedzieć, a nawet jeśli wiedział, to nie miało go to zatrzymać; szedł przed siebie, coraz dalej i

dalej, jakby rzeczywiście chciał gdzieś dojść. Patrząc na to Tanner doznawał dziwnego uczucia fascynacji i z zaskoczeniem zorientował się nagle, że znów zaczyna się interesować tym całym projektem.

–Możesz go powiększyć? – zapytał. – Chcę zobaczyć twarz.

–Mogę go powiększyć. Może być wielki jak świat: A nawet większy. Każdego rozmiaru, wedle życzenia. Już.

Poruszył palcem i hologram Pizarra rozrósł się nagle; miał ponad dwa metry wysokości. Hiszpan zatrzymał się w pół kroku, jakby jakimś cudem zdał sobie sprawę ze zmiany skali obrazu.

To niemożliwe, pomyślał Tanner. Tam nie ma żywej świadomości. A może jest?

Pizarro stał, łatwo utrzymując równowagę choć wisiał w powietrzu. Opuścił głowę i osłonił oczy jakby patrzył w oślepiające światło. Powietrze wokół niego błyszczało kolorowymi pasmami, jak zorza polarna. Był wysokim, szczupłym mężczyzną w późnym średnim wieku, z rozwichrzoną brodą i twardą, kanciastą twarzą. Usta miał cienkie, nos ostry, oczy zimne, bystre, uważne. Tannerowi wydawało się, że oczy te

**spoczęły na nim i poczuł chłód.**

**Mój Boże, pomyślał, on jest prawdziwy.**

**\* \* \***

**Na początku był program francuski, napisany w Centre Mondial de la Computation w Lyonie około 2119 roku. W tych czasach we Francji nad oprogramowaniem pracowały naprawdę świetne mózgi. Ci ludzie pisali zdumiewające cudeńka, z którymi nikt nic nie robił. To była ich wersja *malaise* XXII wieku.**

**Pomysłem francuskich programistów było użycie hologramów rzeczywistych postaci historycznych jako ozdoby turystycznych son et lumiere przed pomnikami ich historii narodowej. Nie zamierzali tworzyć z góry zaprogramowanych robotów – modeli w rodzaju starego Disneylandu, stojących sobie przed Notre Dame, przed Łukiem Tryumfalnym lub Wieżą Eifla i wygłaszających mowy z puszek, lecz prawdziwe reinkarnacje rzeczywistych wielkich tego świata, mogące chodzić, mówić, odpowiadać na pytania i żartować. Wyobraźcie sobie państwo Ludwika XIV pokazującego fontanny w Wersalu, mówili, albo Picassa oprowadzającego wycieczkę po paryskich muzeach, albo Sartre’a siedzącego w lewobrzeżnej kawiarni i wymieniającego egzystencjalne bon mots z wchodzącymi na kawę” turystami. Napoleon! Joanna d’Arc! Aleksander Dumas! Być może symulacje mogłyby dokonać czegoś jeszcze większego; być może można by je zaprojektować wystarczająco dobrze, by potrafiły rozszerzyć i dopełnić osiągnięcia dokonane w swym oryginalnym życiu; powódź nowych arcydzieł malarstwa, literatury, filozofii i wizji architektonicznych wprost z warsztatów starych mistrzów.**

**Zasada tego projektu była całkiem prosta: napisać program samouczący, zdolny wchłonąć informacje, przetrawić je, skorelować i generować kolejne programy oparte na wprowadzonych danych. Z tym nie było żadnych poważnych problemów. Następnie daj programowi dzieła zebrane na piśmie (jeśli jakieś zostały) postaci, która ma być symulowana; dostarczy to nie tylko ogólnego wycucia jej idei i pomoże w zrozumieniu jej punktu widzenia, lecz także da bazowy wzór określający podejście do sytuacji, styl myślenia – bowiem te style mimo wszystko est le homme meme. A jeśli nie było akurat dzieł zebranych, no to co? Trzeba znaleźć wspomnienia o człowieku, zapisane przez jego współczesnych, i użyć ich. Następnie dorzuć zapiski historyczne o dziełach obiektu, wliczając w nie wszystkie kolejne uczone analizy i biorąc odpowiednie poprawki na niezgodność w interpretacjach – w rzeczywistości wykorzystaj owe niezgodności by stworzyć pełniejszy, bogatszy portret, pełen różnic i sprzeczności, nieuniknionych cech każdej ludzkiej istoty. Teraz wbuduj w to zbiór generalnych danych kulturowych odpowiedniego okresu tak, by obiekt miał bogactwo odnośników i słownika, z których może generować myśli odpowiednie dla swego miejsca w czasie i w przestrzeni. Zmieszaj. Et voila! Dodaj nieco skomplikowanej techniki obrazów i dostajesz symulację zdolną myśleć, rozmawiać i zachowywać się jakby była właściwym ja, na podstawie którego ją stworzono...**

**Oczywiście, wymaga to znaczących mocy komputerowych. Lecz to nie problem w świecie, w którym stu pięćdziesięcio-gigaflopowe sieci są standardowym**



wyposażeniem laboratorium a dziesięcioletnie dzieciaki noszą komputery wielkości ołówka o mocy daleko przekraczającej wielkie urządzenia z czasów ich prapradziadków. Nie, nie było żadnego teoretycznego powodu, by projekt Francuzów się nie powiódł. Kiedy już programiści z Lyonu rozpracowali podstawowy schemat programu samouczącego, wszystko powinno pójść całkiem gładko.

Popelniono dwa błędy. Jeden wywodził się z nadmiaru ambicji, będącej być może produktem francuskiej osobowości samych programistów, drugi miał coś wspólnego z typową dla wielkich narodów w XXII wieku, z których jednym była Francja, niemożliwością pogodzenia się z klęską.

Pierwszy polegał na tragicznej zmianie kierunku we wczesnej fazie tworzenia programu. Do Paryża miał przybyć z oficjalną wizytą król Hiszpanii i programiści zdecydowali, że na jego cześć zsyntetyzują na próbę Don Kichota. Chociaż program samouczący przeznaczony był wyłącznie do symulowania osób, które rzeczywiście istniały, nie było poważnych zastrzeżeń co do wyprodukowania zamiast nich postaci tak doskonale udokumentowanej jak Don Kichot. Do dyspozycji stała długa powieść Cervantesa, nie brakowało danych o czasach, w których Don Kichot miał żyć, istniała wielka biblioteka krytycznych analiz książki i charakterystycznej, bogatej osobowości Dona. Więc czemu przywołanie do życia Don Kichota miałyby być trudniejsze niż, powiedzmy, Ludwika XIV, Moliere lub kardynała Richelieu? To prawda, oni kiedyś rzeczywiście istnieli, a rycerz z la Manczy był tylko

wymysłem; lecz czyż Cervantes nie dostarczył znacznie większej ilości szczegółów dotyczących umysłu i duszy Don Kichota od znanych nam szczegółów dotyczących Richelieu, Moliere lub Ludwika XIV?

Oczywiście, tak. Don – jak Edyp, jak Odyseusz, jak Otello, jak David Copperfield – nabrał realności znacznie głębszej i bardziej namacalnej niż większość ludzi, którzy rzeczywiście żyli. Postaci takie jak on przerosły swe fikcyjne pochodzenie. Lecz nie według komputerów. Jasne, komputer zdołał wyprodukować przekonującą namiastkę Don Kichota: wychudzony, dziwaczny, holograficzny obraz ze wszystkimi właściwymi oryginałowi manierami; postać ta deklamowała z patosem i bredziła dokładnie tak, jak należało się po niej spodziewać i rozprawiała ze znajomością rzeczy o Dulcynei, Rosynancie i hełmie Mambrina. Króla rozbawiło to i zainteresowało. Lecz dla Francuzów eksperyment okazał się klęską. Wyprodukowali Don Kichota beznadziejnie uwięzionego w Hiszpanii końca XVI wieku i w książce, z której wyrósł. Brak mu było zdolności do niezależnego życia i niezależnego myślenia – Don Kichot w żaden sposób nie odbierał świata, który powołał go do życia, nie miał o nim zdania, nie reagował nań. Nie było w tym nic nowego i interesującego. Każdy aktor mógłby ubrać się w zbroję, nakleić rzadką bródkę i recytować fragmenty Cervantesa. To, co wyszło z komputera po trzech latach pracy było niczym więcej niż przewidywalnym przetworzeniem tego, co weń wprowadzono, sterylnym, niezmiennym.

Co doprowadziło Centre Mondial de la Computation do podjęcia kolejnego tragicznego kroku: zarzucenia całej sprawy. Zut! – i projekt skreślono bez żadnych kolejnych prób. Nie symulowano Picassów, nie symulowano Napoleonów, nie

**symulowano Joann d'Arc. Sprawa Don Kichota zwarzyła wszystkich i nikt już nie miał serca, by podjąć pracę w tym punkcie i poprowadzić ją dalej. Do projektu przyłgnęło nagle piętno klęski i Francja – jak Niemcy, jak Australia, jak Strefa Handlowa Han, jak Brazylia, jak wszystkie centra nowoczesnego świata, strasznie bała się klęski. Klęska to było coś dla narodów zacofanych lub dekadencjonalnych – jak Islamski Związek Socjalistyczny, powiedzmy, lub Ludowa Republika Sowiecka, lub ten śpiący gigant, Stany Zjednoczone Ameryki. Tak więc schemat symulacji postaci historycznych odłożona na półkę.**

**W rzeczywistości Francuzów do tego stopnia przestał on obchodzić, że po kilku latach, w trakcie których leżał odłogiem, wydano nań licencję bandzie Amerykanów, którzy jakoś o nim usłyszeli i poczuli, że fajnie byłoby się tym pobawić.**

**–W końcu chyba rzeczywiście ci się udało – powiedział Tanner. – Tak. Chyba tak. Po tych wszystkich falstartach.**

**Tanner skinął głową. Jakże często przychodził do tego pokoju z wielkimi nadziejami tylko po to, by zobaczyć jakąś fuszerkę, jakąś bezmyślność, jakąś beznadziejną partaninę? Richardson potrafił wytłumaczyć wszystko. Z Sherlockiem Holmesem nie udało się, bo to postać fikcyjna; trzeba było koniecznie sprawdzić francuski projekt Don Kichota, zademonstrować, że postaciom fikcyjnym brakuje właściwej i dotykanej rzeczywistości, nie**

**mogą właściwie wykorzystać programu, brak im sprzeczności, brak starć. Król Artur padł z tego samego powodu. Juliusz Cezar? Może zbyt odległy w czasie; niesprawdzone dane, zatracające o fikcję. Mojżesz? Ditto. Einstein? Zbyt skomplikowany, być może, dla projektu w tej fazie rozwoju; potrzeba mnóstwa doświadczeń. Królowa Elżbieta I? George Washington? Mozart? Po każdej klęsce Richardson naciskał: uczymy się za każdym razem. Nie zajmujemy się czarną magią, wiesz? Nie paramy się czarną magią lecz pisaniem programów i musimy się dowiedzieć, jak dać programowi to, czego potrzebuje.**

**I ten Pizarro.**

**–A dlaczego chcesz pracować właśnie z nim? – zapytał Tanner pięć, może sześć miesięcy temu. – Bezlitosny hiszpański imperialista, pamiętam to ze szkoły. Krwiożerczy kat wielkiej kultury, człowiek bez moralności, honoru, wia...**

**–Możesz być niesprawiedliwy – stwierdził Richardson. – On od stuleci ma kiepską prasę. I jest w nim coś, co mnie fascynuje.**

**–Na przykład?**

**–Zapał. Odwaga. Absolutna pewność siebie. Odwrotną, dobrą stroną braku litości jest całkowita koncentracja na celu, absolutna pewność, że nic nie zdoła cię powstrzymać. Niezależnie od tego, czy to pochwalasz, czy nie, musisz podziwiać człowieka, który dokonał...**

**–W porządku – powiedział Tanner, którego cała ta sprawa nagle zmęczyła. – Zrób Pizarra. Kogo tylko zechcesz.**

**Mijały miesiące. Richardson składał mu wymijające raporty z podjętych prac; nic, co budziłoby jakieś nadzieje. Lecz teraz Tanner patrzył na małą dumną figurkę w holotanku i rosnęło w nim przekonanie, że Richardson w końcu odkrył jak użyć**

programów symulacyjnych by robiły to, co do nich należało.

–Więc sądzisz, że go właściwie odtworzyłeś, co? Człowieka, który żył... ile? Pięćset lat temu?

–Zmarł w 1541 roku.

–Więc niemal sześćset.

–I nie przypomina innych. To nie tylko odtworzenie wielkiej postaci z przeszłości, która wygłosi kilka zaprogramowanych z góry mów. Mamy tutaj, jeśli się nie mylę, sztucznie stworzoną inteligencję, zdolną myśleć za siebie modułami różnymi od wprowadzonych przez programistów. Postać, która, mówiąc innymi słowami, dysponuje większą ilością informacji niż jej dostarczyliśmy. To dopiero prawdziwe osiągnięcie! To podstawowy jakościowy skok, o którym myśleliśmy, i kiedy po raz pierwszy zajęliśmy się tym projektem. Użyć programu, który da nam programy zdolne do autonomicznego myślenia – programu zdolnego myśleć jak Pizarro a nie jak to, co Lew Richardson myśli o tym co jakiś historyk myśli o tym, co mógłby pomyśleć Pizarro.

–Tak – przytaknął Tanner.

–Co oznacza, że nie otrzymamy wyłącznie tego, czego się spodziewamy i co możemy przewidzieć. Będą niespodzianki. Niczego nie można się nauczyć inaczej, jak tylko przez niespodzianki, wiesz? Przez nagłą kombinację znanych czynników w coś najzupełniej nowego. I wydaje mi się, że po długich i ciężkich cierpieniach udało się stworzyć tu właśnie to. Harry, to może być największy w historii przełom w dziedzinie sztucznej inteligencji.

Tanner zamyślił się. Czy to prawda? Czy naprawdę tego dokonali? A jeśli tak, to... Za wiele postawił w tej grze nim zaczął rozumieć coś nowego i kłopotliwego. Wpatrywał się w holograficzną figurkę unoszącą się w centrum zbiornika, w brutalnego starca o surowej twarzy i zimnych, okrutnych oczach. Myślał, jakim musiał być człowiekiem, ten, na wzór którego wymodelowano obraz. Ten, który w wieku pięćdziesięciu, sześćdziesięciu, czy ile tam miał lat, zechciał wylądować w Południowej Ameryce, ten tępy, niepiśmienny, hiszpański wieśniak w źle dopasowanej zbroi, wymachujący zardzewiałym mieczem, wyruszający by podbić wielkie imperium milionów ludzi rozciągające się na przestrzeni tysięcy mil.

Zastanawiał się, kim był człowiek zdolny dokonać czegoś takiego. A teraz człowiek ten – patrzył mu wprost w oczy i trzeba było walczyć, by nie opuścić wzroku przed jego nieubłaganym spojrzeniem.

Po chwili Tanner odwrócił wzrok. Lewa noga zaczęła mu drżeć. Niepewnie zerknął na Richardsoria.

–Spójrz w te oczy, Lew. Jezu, są przerażające.

–Wiem. Zaprojektowałem je sam, ze starych grafik.

–Myślisz, że on nas teraz widzi? Może nas dostrzec?

–To tylko programy, Harry.

–Sprawiał wrażenie jakby wiedział, że powiększasz obraz.

Richardson wzruszył ramionami.

–To doskonałe programy. Mówiłem ci, on dysponuje autonomią, ma wolę. Ma

elektroniczny umysł, właśnie to chcę powiedzieć. Mógł odebrać momentalny skok napięcia. Ale mimo wszystko jego percepcja jest ograniczona. Nie sądzę, żeby w jakikolwiek sposób mógł zobaczyć cokolwiek spoza holotanku jeśli nie przekaże mu się tego za pomocą danych, które mógłby przetworzyć a tego nie zrobiłem.

–Nie sądzisz? Nie jesteś pewien?

–Harry, proszę.

–Ten człowiek podbił całe ogromne imperium Inków mając pięćdziesięciu żołnierzy, prawda?

–W rzeczywistości było ich chyba stu pięćdziesięciu.

–Pięćdziesięciu, stu pięćdziesięciu, co za różnica? Kto wie, co tu rzeczywiście masz? A jeśli zrobiłeś lepszą robotę niż przypuszczasz?

–O czym ty mówisz?

–Mówię o tym, że nagle się zdenerwowałem. Przez dłuższy czas nie myślałem, by z tego projektu w ogóle miało coś wyjść. I nagle nabrałem przekonania, że może z niego wyjść coś, z czym sobie nie poradzimy. Nie chciałbym, żeby któraś z twoich cholernych symulacji wydostała się z holotanku i podbiła nas.

Richardson obrócił się w stronę Tannera. Twarz miał zaczerwienioną, ale uśmiechał się.

–Harry, Harry! Na litość Boską! Pięć minut temu myślałeś, że nie mamy tu nic oprócz małego, i na dodatek nieostrego, obrazka. Teraz nagle zmieniłeś zdanie tak całkowicie, że wyobrażasz sobie najgorszą...

–Widziałem jego oczy, Lew. I boję się, że jego oczy widziały mnie.

–Nie patrzysz w prawdziwe oczy! To, na co patrzysz, to tylko program graficzny rzutowany na holotank. Nie ma zdolności wizualnych w sensie, w jakim ty rozumiesz to słowo. Jego oczy będą widziały tylko wtedy, kiedy tego chcesz. Akurat teraz nie widzą.

–Ale możesz sprawić, by widziały mnie?

–Mogę sprawić, by widziały wszystko co chcę, by widziały. Ja go stworzyłem, Harry.

–Z wolą. Z autonomią.

–Tyle czasu minęło i dopiero teraz zaczynasz się o to martwić?

–Ja nałożę głowę jeśli coś, co stworzyliście wy, chłopcy z technicznego, dostanie szau. Ta autonomia zaczęła mnie nagle martwić.

–Mam ciągle na rękach rękawice danych. Poruszam palcem i on tańczy. Ten tam to nie prawdziwi Pizarro, pamiętaj. I nie potwór Frankensteina. Po prostu symulacja. Zwykła suma danych, zbiór impulsów elektromagnetycznych, który mogę wyłączyć jednym drgnięciem małego palca.

–No to go wyłącz.

–Wyłączyć go? Nawet nie zacząłem ci pokazywać...

–Wyłącz go, a później włącz z powrotem – powiedział Tanner.

Richardson sprawiał wrażenie zakłopotanego.

–Jeśli tak mówisz, Harry.

Poruszył palcem. Obraz Pizarra w holotanku znikł. Wir szarej mgły poruszał się

przez chwilę a później została tylko biała chmura. Tanner poczuł nagle ukłucie winy, jakby właśnie przeprowadził egzekucję tego człowieka w średniowiecznej zbroi.

Richardson powtórzył gest, w holotanku błysły kolory i Pizarro znów się pojawił.

–Chciałem tylko zobaczyć, ile autonomii ma naprawdę ten twój człowieczek stwierdził Tanner. – Czy jest wystarczająco szybki, by cię wyprzedzić i uciec przed wyłączeniem w jakiś inny kanał.

–Tak naprawdę ty wcale nie rozumiesz jak to działa, nie, Harry?

–Chciałem tylko zobaczyć – powtórzył ponuro Tanner. A po chwili ciszy dodał: – Czy kiedyś czułeś się jak Bóg?

–Jak Bóg?

–Tchnąłeś w niego życie. W każdym razie jakiś rodzaj życia. Tchnąłeś w niego także wolną wolę. Właśnie o to chodzi w tym eksperymencie, prawda? Po to ta cała gadka o woli i autonomii? Próbujesz odtworzyć ludzki umysł – co oznacza stworzenie go od nowa – umysł, mogący myśleć na swój własny, unikalny sposób i znaleźć unikalne odpowiedzi na sytuacje, które niekoniecznie będą odpowiedziami, które mógł przewidzieć programista, a w rzeczywistości będą prawie na pewno tymi, których nie przewidział, i które także wcale nie muszą być takie pożądane i łagodne i po prostu trzeba podjąć to ryzyko, dokładnie jak Bóg; kiedy Bóg dał człowiekowi wolną wolę wiedział, że najprawdopodobniej będzie świadkiem wszystkich możliwych złych uczynków, których dokona jego stworzenie ćwicząc tę swoją wolną wolę...

–Harry, proszę...

–Słuchaj, czy mogę pogadać z tym twoim Pizarrem?

–Dlaczego?

–A dlatego, by odkryć co tu właściwie mamy. By zdobyć bezpośrednią relację o tym, co osiągnęliśmy. Możesz też powiedzieć, że po prostu chciałem sprawdzić jakość symulacji. Bez różnicy... Poczuję głębszy związek z tym projektem, lepiej zrozumieć o co tu właściwie chodzi, jeśli będę miał z` tym człowiekiem bezpośredni kontakt. Czy to niczym nie grozi?

–Nie. Oczywiście, że nie.

–Czy muszę z nim rozmawiać po hiszpańsku?

–Możesz wybierać. W końcu jest interfejs. Będzie myślał, że słyszy swój język; niezależnie od wszystkiego i tak usłyszy szesnastowieczną hiszpańszczyznę. I odpowie ci w tym, co jest dla niego hiszpańskim, ale ty usłyszysz angielski.

–Jesteś pewien?

–Oczywiście.

–I nie przeszkadza ci, że się z nim skontaktuję?

–Rób co tylko chcesz.

–To nie wpłynie na jego kalibrację ani nic?

–To mu wcale nie zaszkodzi, Harry.

–Dobrze. Chcę pogadać z Pizarrem.

\* \* \*

Powietrze przed nim skłębiło się, poruszyło, zakręciło, jak mały wir. Zatrzymał się i przez chwilę patrzył zastanawiając się, co teraz nastąpi. Może przybywa demon, żeby

go torturować. Lub anioł. Cokolwiek miało się pojawić, był gotów.

Nagle z wiru rozległ się głos, mówiący tą samą komicznie przesadzoną kastylijską hiszpańszczyzną, którą – jak się o tym niedawno przekonał – mówił on sam.

–Czy mnie słyszysz?

–Słyszę, tak. Ale nie widzę. Gdzie jesteś?

–Dokładnie przed tobą. Poczekaj chwilę. Pokażę ci.

W wirze pojawiła się dziwna twarz wisząca pośrodku niczego, twarz bez ciała, szczupła, wygolona, bez brody, bez wąsów, z krótko przyciętymi włosami i ciemnymi, umieszczonymi blisko siebie oczami. Nigdy przedtem nie widział twarzy takiej jak ta.

–Czym jesteś? – zapytał Pizarro. – Demonem czy aniołem?

–Ani jednam, ani drugim. – Rzeczywiście, ten głos wcale nie brzmiał demonicznie.

– Jestem człowiekiem, jak ty.

–Chyba nie całkiem jak ja. Czy masz tylko twarz, czy może także i ciało?

–Widzisz tylko mą twarz?

–Tak.

–Zaczekaj chwilę.

–Będę czekał jak długo zechcesz. Mam mnóstwo czasu.

Twarz znikła. Po chwili powróciła, złączona z ciałem wysokiego barczystego mężczyzny, ubranego w luźną, szarą szatę, podobną do księżej sutanny lecz znacznie ozdobniejszą, ze świecącymi na niej licznymi małymi światełkami. Później ciało znikło i Pizarro znów mógł widzieć tylko twarz. Nie potrafił doszukać się w tym żadnego sensu. Zaczynał pojmować, jak musieli się czuć Indianie kiedy zza horyzontu wypadli pierwsi Hiszpanie, konno, ze strzelbami, w zbrojach.

–Wyglądasz bardzo dziwnie. Jesteś może Anglikiem?

–Amerykaninem.

–Ach – powiedział Pizarro, jakby przez to wszystko stało się prostsze.

Amerykanin. A co to takiego?

Twarz zadrżała i rozmyła się na chwilę. W otaczających ją ciężkich białych chmurach pojawił się dziwny, nerwowy ruch. Później twarz znieruchomiała i powiedziała:

–Ameryka to kraj na północ od Peru. Bardzo duży kraj, w którym żyje wielu ludzi.

–Masz na myśli Nową Hiszpanię, niegdyś nazywaną Meksykiem, której Generałem

– Kapitanem jest mój krewniak Cortez?

–Na północ ód Meksyku. Daleko na północ. Pizarro wzruszył ramionami.

–Nic o tym nie wiem. Albo niewiele. Tam jest wyspa nazywana Florydą, prawda? I legendy o miastach ze złota; ale myślę, że to tylko legendy. Znalazłem złoto w Peru. Znalazłem go tyle, że można się nim było udławić. Powiedz mi to: czy jestem teraz w niebie?

–Nie.

–A więc to piekło?

–Także nie. Jesteś... to bardzo trudno wyjaśnić...

–Czy jestem w Ameryce?

–Tak. Tak, w Ameryce.

–A czy nie żyję?

Przez chwilę panowała cisza.

–No... żyjesz – w głosie brzmiała niepewność.

–Sądzę, że mnie okłamujesz.

–Jak moglibyśmy ze sobą rozmawiać, gdybyś nie żył?

Pizarro roześmiał się ochryple. – Mnie o to pytasz? Nie rozumiem nic z tego, co zdarza mi się w tym miejscu. Gdzie moi księża? Gdzie mój paż? Przyślij mi mojego brata. – Jego oczy rozbłysły. – No i co? Dlaczego ich tu dla mnie nie sprowadzisz?

–Ich tu nie ma. Jest pan całkowicie sam, Do Francisco.

–W Ameryce. Zupełnie sam w Ameryce. No, to pokaż mi swą Amerykę. Czy to coś istnieje? Czy Ameryka to tylko chmury i kręgi światła? Gdzie jest Ameryka? Chcę zobaczyć Amerykę. Dowiedz mi, że jestem w Ameryce.

Zapadła cisza, tym razem dłuższa. Później twarz znikła, a ściana białych chmur zaczęła się burzyć i kotłować bardziej niż poprzednio. Pizarro patrzył na to wszystko czując rosnącą ciekawość i rozdrażnienie. Twarz nie pojawiła się. Nie widział nic. Bawiono się nim. Był więźniem w jakimś dziwnym miejscu i traktowali go jak dziecko, jak psa, jak... jak Indianina. Więc może płaci za to, co zrobił królowi Atahualpie, temu wspaniałemu, szlachetnemu głupcowi, który oddał mu się w swej niewinności i którego on skazał na śmierć, by zdobyć złoto jego królestwa?

Niech i tak będzie, pomyślał Pizarro. Atahualpa zaakceptował to, co go spotkało, bez skargi i bez strachu, więc i ja postąpię podobnie. Chrystus będzie mym strażnikiem, a jeśli nie ma Chrystusa, cóż nie będę miał strażnika i niech tak będzie. Niech się tak stanie.

Głos z wiru przemówił nagle.

–Spójrz, Don Francisco. Oto Ameryka.

Na ścianie chmur pojawił się obraz. Był to rodzaj obrazu, którego Pizarro nigdy przedtem nie spotkał i którego nawet sobie nie wyobrażał; taki, który wydawał się otwierać przed nim jak wrota, wessał go i włączył w perspektywę zmieniających się scen znaczonych jaskrawymi smugami żywych kolorów. Było tak, jakby leciał wysoko nad ziemią, patrząc w dół na nieskończony zwój cudów. Widziała ogromne miasta bez murów, drogi, które rozciągały się jak nieskończona płatanina białych wstążek; wielkie jeziora, potężne rzeki, gigantyczne góry, a wszystko przemykało pod nim tak szybko, że zaledwie mógł coś rozpoznać. Po chwili wszystko co dostrzegł, spletało mu się w głowie: budynki większe niż wieże najwyższej katedry, kłębiące się masy ludzi, lśniące, metalowe powozy, których nie ciągnęły żadne zwierzęta, oszałamiające krajobrazy, ciasnota i złożoność świata na dole. Patrząc na ten świat poczuł wspaniały, stary głód opanowujący go znowu – chciał chwycić to, dziwne, ogromne miejsce, zdobyć je, przycisnąć i wydusić wszystko, co miało do ofiarowania. Ta myśl ogarnęła go całego. Oczy zaszklily mu się a serce zaczęło bić tak mocno, że sądził, iż mógłby usłyszeć jego bicie gdyby przyłożył dłoń do zbroi. Odwrócił się, szepcząc: „Dość, dość!”

Przerażający obraz znikł. Łomot serca przycichł powoli. I wtedy Pizarro zaczął się śmiać.

–Peru! – krzyknął. – Przy waszej Ameryce Peru to nic, to pustka, to błoto! Jakim byłem ignorantem! Poszedłem do Peru, kiedy była tu Ameryka, dziesięć tysięcy razy wspanialsza! Ciekawe, co mógłbym znaleźć w Ameryce.

Młasnął ustami i mrugnął. Później, chichocząc, dodał:

–Ale nie martwcie się. Nie spróbuję podbić waszej Ameryki. Na to jestem o wiele za stary. I może Ameryka to byłoby dla mnie zbyt wiele, nawet wtedy. Może.

Uśmiechnął się dziko do wpatrzonej w niego, zakłopotanej twarzy wygolonego mężczyzny o krótkich włosach, Amerykanina.

–Naprawdę nie żyję, co? Nie czuję głodu, nie czuję bólu, pragnienia, a gdy przyłożę dłoń do ciała, nie czuję nawet ciała. Jestem jak ktoś, kto leży i śni. Ale to nie sen. Czy jestem duchem?

–Nie... nie całkiem.

–Nie całkiem duchem! Nie całkiem! Nawet ktoś z połową mózgu świni nie powiedziałby czegoś takiego. O co tu chodzi?

–Niełatwo to wytłumaczyć słowami, które mógłby pan zrozumieć. Don Francisco.

–Nie, oczywiście że nie. Jestem strasznym głupcem, o czym wszyscy wiedzą, i właśnie dlatego podbiłem Peru, bo byłem strasznym głupcem. Ale dajmy temu spokój. Jestem niecałkiem duchem, ale mimo wszystko nie żyję, prawda?

–Cóż...

–Nie żyję, tak. Lecz jakimś cudem nie poszedłem do piekła ani nawet do czyśćca, lecz ciągle jestem na świecie, tylko że minęło już wiele czasu. Spałem jak śpią martwi, a teraz obudziłem się w roku dalekim od mego czasu, i jest to czas Ameryki. Czy nie tak? Kto jest teraz królem? Kto jest papieżem? Który to rok? 1750? 1800?

–Jest rok 2130 – odpowiedział głos po krótkiej chwili wahania.

–Ach! – Pizarro przygryzł z namysłem dolną wargę. – A król? Kto jest królem?

Długa przerwa.

–Ma na imię Alfonso – odpowiedział głos.

–Alfonso? Królowie Aragonii nosili imię Alfonso. Ojciec Ferdynanda nosił imię Alfonso. To był Alfonso V.

–Teraz królem Hiszpanii jest Alfonso XIX.

–Ach, ach. A papież? Kto jest papieżem?

Nowa przerwa. Nie pamiętać imienia papieża i nie podać go od razu, natychmiast. Jakie to dziwne. Demon nie demon, ale ten ktoś jest głupcem.

–Pius – powiedział głos po dłuższej przerwie. – Pius XVI.

–Szesnasty Pius – powiedział ponuro Pizarro. – Jezus, Maria, szesnasty Pius! Co się ze mną stado? Jestem starym trupem – oto, czym jestem. I ciągle nie obmytym z grzechów. Nawet teraz czuję, jak lepią się do mej skóry jak błoto. A ty jesteś czarownikiem, ty Amerykaninie, i przywołałaś mnie znowu do życia. Co? Co? Czy nie mam racji?

–To mniej więcej tak, Don Francisco – zgodziła się twarz.

–Więc mówisz dziwnie po hiszpańsku bo już nie wiecie, jak mówić prawidłowo. Co? Nawet ja mówię dziwnie po hiszpańsku i mówię głosem, który nie brzmi jak mój głos. Już nikt nie mówi po hiszpańsku, co? Co? Mówią tylko po amerykańsku. Co?



**Ale ty próbujesz mówić po hiszpańsku, tylko że to brzmi głupio. I sprawiłeś, że też mówię głupio myśląc, że tak właśnie mówiłem, chociaż nie masz racji. Cóż, potrafisz robić cuda, ale przypuszczam, że nie wszystko potracisz zrobić doskonale, nawet w tym, kraju cudów w 2130 roku. Co? Co? – Pizarro czujnie pochylił się do przodu. – I co powiesz? Myślałeś, że jestem głupcem, bo nie potrafię czytać i pisać? Nie jestem aż takim głupcem, co? Myślę szybko.**

**–Myślisz bardzo szybko.**

**–Ale ty znasz wiele rzeczy, których ja nie znam. Na przykład musisz wiedzieć, jak umarłem. Jakie to dziwne, mówić z tobą o tym, jak umarłem, ale ty musisz o tym wiedzieć, co? Kiedy przyszła do mnie śmierć? Jak? Czy przyszła we śnie? Nie, nie, to się nie mogło zdarzyć. W Hiszpanii umiera się we śnie, ale nie w Peru. Więc jak to się stało? Zostałem wystawiony przez tchórzy, prawda? Jakiś brat Atahualpy, atakujący mnie kiedy wyszedłem z domu? Niewolnik wysłany przez Inca Manco, albo któregoś z nich? filie. Nie. Indianie nie skrzywdziliby mnie, mimo tego, co im zrobiłem. Załatwił mnie młody Almagro, prawda, mszcząc się za ojca, lub Juan de Herrada, co? A może nawet Picado, sekretarz... nie, nie Picado, on był moim człowiekiem, zawsze... lecz może Alavarado, młody Diego... nooo, jeden z nich i to musiało nastąpić nagle, bardzo szybko, inaczej zdołałbym ich powstrzymać... czy mam rację, czy mówię prawdę? Ty to wiesz. Powiedz mi, jak umarłem.**

**Nie było odpowiedzi. Pizarro osłonił oczy i spojrzał w oślepiającą, perłową biel. Nie widział już twarzy Amerykanina.**

**–Jesteś tam? Dokąd odszedłeś? Czy byłeś tylko snem? Amerykaninie! Amerykaninie! Dokąd odszedłeś?**

**\* \* \***

**Zerwanie kontaktu wstrząsnęło nim. Tanner siedział sztywny; ramię mu się trzęsło, usta miał mocno zaciśnięte. W holotanku Pizarro był tylko dalekim, maleńkim chlapnięciem koloru, nie większym od kciuka, gestykulującym wśród wirujących chmur. Jego siła życiowa, jego arogancja, jego gwałtowna, nienasycona ciekawość, potęga nienawiści i zazdrości, siła pochodząca z dalekich podróży podejmowanych z niecierpliwością i desperacko prowadzonych do tryumfu, wszystkie te cechy, które tworzyły Francisca Pizarro, wszystko, co Tanner czuł jeszcze przed momentem... wszystko to znikło od drgnięcia palca.**

**Po kilku chwilach poczuł, jak szok łagodnieje. Obrócił się do Richardsona.**

**–Co się stało?**

**–Musiałem cię stamtąd wyciągnąć. Nie chciałem, żebyś mi powiedział coś o jego śmierci.**

**–Nie wiem nic o jego śmierci.**

**–On też, a ja nie chciałem ryzykować, że coś mu powiesz. Nie sposób przewidzieć, jak taka wiedza mogłaby wpłynąć na jego psychikę.**

**–Mówisz o nim jakby żył.**

**–A nie żyje? – spytał Richardson.**

**–Gdybym to ja powiedział ci coś takiego uznałbyś, że jestem ignorantem, i nie mam pojęcia o nauce.**

**Richardson uśmiechnął się słabo.**

**–Masz rację. Lecz jakoś ufam, że kiedy sam stwierdzam, iż on żyje, to wiem co mówić. Wiem, że nie mówię tego dosłownie, a Ciebie nie jestem pewien. W każdym razie, co o nim myślisz?**

**–Jest zdumiewający – powiedział Tanner. – Doprawdy zdumiewający. Ta jego siła – czułem, jak uderza we mnie falami. I ten mózg! Tak szybko się we wszystkim zorientował. Domyślił się, że jest w przyszłości. Chciał wiedzieć, który papież sprawuje urząd. Chciał zobaczyć, jak wygląda Ameryka. I ta jego buta! Powiedział mi, że nie ma zamiaru podbijać Ameryki, że parę lat temu mógłby spróbować tego zamiast Peru, lecz nie teraz, teraz jest na to Trochę za stary! Nic nie zbije go z tropu na dłużej, nie zmieszał się nawet wtedy, kiedy zorientował się, że od dawna nie żyje. Chciał się dowiedzieć, jak umarł. – Tanner zmarszczył czoło. A w jakim wieku właściwie go stworzyłeś, kiedy pisałeś ten program?**

**–Okolo sześćdziesiątki. Pięć czy sześć lat po konkwisie, rok czy dwa lata przed śmiercią. Innymi słowy, u szczytu potęgi.**

**–Przypuszczam, że nie mogłeś pozwolić mu na to, by wiedział o swej własnej śmierci. Za bardzo przypominałby jakiegoś ducha.**

**–Tak właśnie myśleliśmy. Zaprogramowaliśmy zaporę w czasie, ustawioną kiedy już dokonał wszystkiego, co sobie zamierzył, kiedy był już pełnym Pizarrem. Ale przed końcem. O tym nie potrzebował wiedzieć. Nikt nie potrzebował o tym wiedzieć. Dlatego musiałem Cię wyłączyć, rozumiesz? Na wypadek, gdybyś wiedział. I chciał mu powiedzieć.**

**Tanner potrząsnął głową.**

**–Jeśli nawet wiedziałem, to już zapomniałem. Jak to się stało?**

**–Dokładnie tak, jak się domyśla: zginął z rąk towarzyszy.**

**–Więc wiedział, co nadchodzi.**

**–W wieku, w którym go stworzyliśmy wie już, że w Południowej Ameryce zaczęła się wojna domowa, że konkwistadorzy pokłócili się o podział łupów. Tyle w niego wbudowaliśmy. Wie, że jego towarzysz, Almagro, obrócił się przeciw niemu i został zwyciężony w bitwie i skazany na śmierć. Czego nie wie, lecz najwyraźniej się domyśla, to to, że przyjaciele Almagra włamią się do jego domu i będą próbowali go zabić. Wyobraził sobie wszystko prawie dokładnie tak, jak ma się zdarzyć.**

**Powinienem powiedzieć, jak się zdarzyło.**

**–Niesamowite. Ktoś tak sprytny...**

**–Tak, niezły z niego sukinsyn. Lecz także geniusz.**

**–Doprawdy? Czy może zrobiłeś go takim w opracowanym dla niego programie?**

**–W program włożyliśmy tylko szczegóły jego życia, wzór zdarzeń i reakcji. Plus mnóstwo komentarzy osób trzecich, jego współczesnych i późniejszych historyków znających źródła, którzy dostarczyli nam dodatkowego wymiaru przy określeniu stopnia nasycenia charakteru. Kiedy zbierzesz wystarczającą ilość tego rodzaju danych, najwyraźniej sumują się one w pełnię osobowości. To nie moja osobowość lub czyjakolwiek spośród tych, którzy uczestniczyli w projekcie, Harry. Jeśli włożysz**

łańcuch zdarzeń i reakcji charakterystycznych dla Pizarra, otrzymasz Pizarra. Genialnego i bezlitosnego. Inny łańcuch i dostajesz kogoś innego. A to, co teraz widzimy świadczy, że jeśli dobrze wykonasz, robotę otrzymasz z komputera coś, co przekracza sumę tego, co weń włożyłeś.

–Jesteś pewien?

–A czy zauważyłeś – powiedział Richardson – że skarżył się na hiszpańszczyznę, którą, jak sądzi, mówi?

–Tak. Powiedział, że brzmi dziwnie, że wydaje się, jakby nikt już nie wiedział, jak mówić poprawnie po hiszpańsku. Nie całkiem to rozumiem. Czy ten interfejs, który wbudowałeś, kiepsko mówi po hiszpańsku?

–Najwyraźniej kiepsko mówi szesnastowiecznym hiszpańskim. W rzeczywistości nikt nie wie, jak brzmiała szesnastowieczna hiszpańszczyzna. Możemy się tylko domyślać. Najwyraźniej nie domyślamy się za dobrze.

–To jak on może o tym wiedzieć? Po pierwsze, to ty go zsyntetyzowałeś. Jeśli ty nie wiesz, jak wtedy mówiono po hiszpańsku, to skąd on to wie? Wszystko, co wie o hiszpańskim, czy o czymkolwiek innym, to to, co w niego wbudowałeś.

–No właśnie – odpowiedział Richardson.

–Ale to najzupełniej bez sensu, Lew!

–Powiedział też, że hiszpański, którym mówi sam, jest niedobry i że jego własny głos brzmi mu źle. Że sprawiliśmy, by mówił w ten sposób, myśląc, że on rzeczywiście tak mówił, lecz myliliśmy się.

–A skąd może wiedzieć, jak naprawdę brzmiał jego głos, jeśli jest tylko symulacją złożoną przez ludzi, którzy nie mają najmniejszego pojęcia, jak jego głos naprawdę...

–Nie mam pojęcia – powiedział cicho Richardson. – Ale on wie.

–Wie? A może to tylko jakaś diabelska, pizarrowska gra, w którą zagrał by nas zaniepokoić, ponieważ taki jest jego charakter, który zaprojektowaliście?

–Sądzę, że wie – powiedział Richardson.

–Więc jak się o tym dowiedział?

–Jakoś. Nie wiemy jak, ale wie. Jest to gdzieś w danych, które wprowadziliśmy do sieci

permutacyjnej, chociaż o tym nie wiemy i nie potrafilibyśmy znaleźć ich nawet, gdybyśmy rozpoczęli poszukiwania. On potrafi je znaleźć. Nie potrafi wytworzyć tej wiedzy magią, lecz potrafi złożyć to, co jest dla nas najwyraźniej nic nie znaczącymi okruchami informacji i otrzymać z tego nową informację, która ma dla niego ogromną wartość. To właśnie nazywamy sztuczną inteligencją, Harry. Mamy w końcu program, który pracuje podobnie jak ludzki mózg: dzięki skokom intuicji tak nagłym i szerokim, że wydają się niewytłumaczalne i nie kwantyfikowalne, nawet jeśli w rzeczywistości można je tłumaczyć i kwantyfikować. Daliśmy mu wystarczającą ilość danych, by mógł przyswoić sobie mnóstwo pozornie niezwiązanych ze sobą informacji i otrzymać z tego nową informację. W tym zbiorniku nie siedzi lalka brzuchomówcy. Mamy coś, co myśli, że jest Pizarrem i myśli jak Pizarro i wie o tym, o czym wiedział Pizarro a my nie wiedzieliśmy. Co oznaczają, że osiągnęliśmy jakościowy skok w zdolnościach sztucznej inteligencji, który założyliśmy sobie w tym

projekcie. To zdumiewające. Kiedy o tym myślę mrówki chodzą mi po plecach.

–Mnie też – powiedział Tanner. – Ale nie ze zdumienia. Raczej ze strachu:

–Strachu?

–Jak możesz być tak absolutnie pewny, że nie zdobędzie jakoś władzy na twą siecią i nie uwolni się; przecież wie, że posiada zdolności przekraczające te, które w niego zaprogramowano?

–To technicznie niemożliwe. On składa się tylko z impulsów elektromagnetycznych. Mogę mu wyciągnąć wtyczkę, kiedy tylko zechcę. Nie ma powodów do paniki. Uwierz mi, Harry.

–Właśnie próbuję.

–Mogę ci pokazać schematy. Mamy w tym komputerze fenomenalną symulację, to prawda. Ale to tylko symulacja. Nie wampir ani wilkołak, to nic nadnaturalnego. To po prostu najlepsza cholerna symulacja, jaką kiedykolwiek stworzono.

–To mnie niepokoi. On mnie niepokoi.

–A powinien. Ta jego potęga, ta jego nieposkromiona natura... a dlaczego przywołałem właśnie jego, jak myślisz, Harry? Ma coś, czego my, w tym kraju, już nie rozumiemy. Chcę, żebyśmy go studiowali. Chcę, żebyśmy spróbowali nauczyć się, jak naprawdę wygląda taki zapał, taka determinacja. Teraz, kiedy z nim rozmawiałeś, kiedy dotknąłeś jego duszy, to cię – oczywiście – wstrząsnęło. Bije z niego niesamowita pewność. Bije z niego niesamowita wiara w siebie. Człowiek taki jak on może osiągnąć wszystko – nawet podbić całe imperium Inków ze stu pięćdziesięcioma żołnierzami, czy ilu ich tam miał. Lecz ja nie boję się tego, co tu stworzyliśmy. I ty też nie powinieneś się tego bać. Powinniśmy być z tego cholernie dumni. I ludzie, którzy zajmowali się sprawami technicznymi, i ty. Jeszcze poczujesz dumę.

–Mam nadzieję, że się nie mylisz.

–Zobaczysz.

–Czy ta twoja nowa zabawka z paralaksą jest gotowa do prób? Ta, która ma kompensować zakłócenia czasowe i zanieczyszczenie mitem? – Prawie. Ale nie testowaliśmy... – Dobrze – powiedział Tanner. – To masz szansę. A gdybyśmy tak spróbowali Sokratesa?

\* \* \*

Poniżej i wokół kłębiła się biel, jakby cały świat zrobiony był z owczego runa. Zastanawiał się, czy to może śnieg. Śnieg był czymś, czego tak naprawdę nie znał. Od czasu do czasu, z rzadka, padał w Atenach, tak, lecz zazwyczaj był tylko lekkim pyłem, który topił się w porannym słońcu. Oczywiście, widział mnóstwo śniegu kiedy był na wojnie na północy, w Potydei, w czasach Peryklesa. Ale to było dawno i śnieg, o ile dobrze pamiętał, niezbyt przypominał to, co widział tutaj. W bieli, która go teraz otaczała, nie było chłodu. Równie dobrze mogły to być wielkie ławice chmur.

Lecz co chmury miały do roboty pod nim? Chmury, myślał, to tylko para, powietrze i woda, nie ma w nich żadnej substancji. Ich naturalne miejsce jest w górze. Chmury zbierające się u stóp nie mają w sobie prawdziwej jakości.

Śnieg bez zimna? Chmury, które nie ulatują? Żadna z rzeczy znajdujących się w

tym miejscu nie posiadała najwyraźniej właściwych sobie jakości; także on sam. Wydawało się, że idzie – ale jego stopy niczego nie dotykały. Przypominało to bardziej poruszanie się w powietrzu. Lecz jak człowiek może poruszać się w powietrzu? Arystofanes, w tej swojej bezlitośnie kpiącej sztuce, wysłał go w koszu na lot pośród chmur i kazał mu mówić rzeczy takie jak: „Przemierzam powietrze i kontempluję słońce”. W ten sposób Arystofanes podkpiwał sobie z niego, co go wcale nie zdenerwowało, chociaż przyjaciele czuli się w jego imieniu poważnie skrzywdzeni. Cóż, to był tylko teatr. A tu miał rzeczywistość, jeśli w ogóle coś miał.

Być może śnił, a natura jego snu była taka, że sądził, że robi naprawdę to, co robił w sztuce Arystofanesa. Jakież była to cudowne zdanie: „Musiałem zawiesić działanie mózgu i zmieszać delikatną esencję mego umysłu z tym oto powietrzem, mającym tę samą naturę, by móc jasno zbadać rzeczy niebieskie”. Dobry, stary Arystofanes! Dla niego nie było nic świętego! Oczywiście, z wyjątkiem tego, co jest rzeczywiście święte: mądrości, prawdy, cnoty. „Nie odkryłbym niczego gdybym pozostał na ziemi i rozważał od dołu rzeczy, które są w górze, bowiem ziemia przez swą siłę odciąga od siebie soki mózgu. To samo dzieje się z rzeżuchą”. I Sokrates zaczął się śmiać.

Wyciągnął przed siebie ręce i przyglądał się im uważnie: krótkie palce, grube, potężne przeguby. Tak, to jego ręce. To jego zwykłe ręce, które tak dobrze służyły mu przez całe życie – kiedy, jak ojciec, zajmował się murarką, kiedy walczył w wojnach swego miasta, kiedy ćwiczył w gimnazjum. Lecz teraz: kiedy przyłożył je do twarzy, nie czuł nic. Tu powinien być podbródek, tu czoło, tak, szeroki, spłaszczony nos, szerokie usta; lecz nie było

nic. Dotykał powietrza. Mógł przełożyć dłoń przez miejsce, w którym powinna być jego twarz. Mógł przyłożyć dłoń do dłoni, zacisnąć je z całej macy – i nie czuł nic.

To rzeczywiście dziwne miejsce – pomyślał.

Może jest to miejsce czystych form, o którym tak lubił spekulować młody Platon – miejsce, gdzie wszystko jest doskonałe i nic nie jest całkiem rzeczywiste. Chmury wokół mnie są idealne, nie realne. Idę po idealnym powietrzu. Sam jestem idealnym Sokratesem, wyzwolonym z mego niekształtnego, zwykłego ciała. Czy to możliwe? Cóż, może. Przystanął na chwilę rozważając tę możliwość. Przyszła do niego myśl, że noże jest to życie po życiu i jeśli tak, to może spotkać kogoś z bogów, jeśli – po pierwsze – byli tu jacyś bogowie, i jeśli zdoła ich znaleźć. Chciałbym spotkać bogów, pomyślał. Być może mieliby ochotę na rozmowę. Atena rozmawiałaby ze mną o mądrości, lub Hermes o szybkości, lub Ares o naturze odwagi, lub Zeus o... nooo, o wszystkim, o czym chciałby rozmawiać.

Oczywiście – im wydałbym się najnędniejszym głupcem, ale to dobrze każdy, kto spodziewa się rozmawiać z bogami, jakby były im równy, jest głupcem. Ja nie mam złudzeń. Jeśli bogowie w ogóle istnieją, z pewnością przewyższają mnie ogromnie pod każdym względem, bo inaczej dlaczego ludzie uważaliby ich za bogów? Oczywiście, miał poważne wątpliwości czy bogowie w ogóle istnieją. Lecz jeśli tak, rozsądnym przypuszczeniem było, że znajdują się w miejscu takim jak to.

Spojrzał w górę. Niebo lśniło jaskrawym, złotym światłem. Odetchnął głęboko,

uśmiechnął się i ruszył przez wełnistą nicość tego powietrznego świata by przekonać się, czy zdoła odnaleźć bogów.

\* \* \*

–I co teraz myślisz? – zapytał Tanner. – Ciągłe pesymista?

–Za wcześnie przesądzać – odparł chmurny Richardson.

–Wygląda jak Sokrates, prawda?

–To najłatwiejsze. Mamy mnóstwo opisów Sokratesa pochodzących od ludzi, którzy go znali: szeroki, płaski nos, łysa głowa, szerokie usta, krótka szyja. Typowa twarz Sokratesa, którą rozpoznają wszyscy, tak jak rozpoznają Sherlocka Holmesa czy Don Kichota: Więc takim go stworzyliśmy. To niczego nie przesądza. Czy jest Sokratesem dowiemy się po tym, co się dzieje w jego głowie.

–Wydawał się spokojny i w dobrym humorze, kiedy sobie tam wędrował. Tak powinien wyglądać filozof.

–Pizarro sprawiał wrażenie dokładnie takiego samego filozofa, kiedy wywołaliśmy go w zbiorniku.

–Pizarro może być dokładnie takim samym filozofem. Żaden z nich nie należy do ludzi, którzy ulegliby panice, znajdując się w jakimś tajemniczym miejscu stwierdził Tanner.

Pesymizm Richardsona zaczął działać mu na nerwy. Sprawiał wrażenie, jakby zmienili się na miejsca; teraz Richardson nie był pewny zasięgu i mocy własnego programu a on zmierzał przebojem ku rzeczom większym i wspanialszym.

Richardson stwierdził ponuro:

–Jestem ciągle mocno sceptyczny. Wypróbowaliśmy nowe filtry paralaksyczne, to prawda. Ale obawiam się, że możemy spotkać te same problemy, które Francuzi mieli z Don Kichotem, a my z Holmesem, Mojżeszem i Cezarem. Dane są zbyt zanieczyszczone przez mit i fantazję. Sokrates, który tu się nam pojawił jest zarówno prawdziwy, jak fikcyjny; być może wyłącznie fikcyjny. Z tego, co wiem, to Plato wymyślił o nim wszystko tak, jak Conan Doyle wymyślił Sherlocka Homlesa. I obawiam się, że dostaniemy coś z drugiej ręki, coś bez życia, coś pozbawionego właściwej iskry inteligencji, której szukamy.

–Lecz nowe filtry...

–Być może, być może.

Tanner uparcie potrząsał głową.

–Holmes i Don Kichot to fikcja i tylko fikcja. Istnieją tylko w jednym wymiarze, skonstruowani dla nas przez ich twórców. Przebijasz się przez zakłócenia spowodowane przez późniejszych czytelników i komentatorów i to, co znajdujesz na dnie to tylko sztuczna postać. Sporo Sokratesa Platon mógł wymyśleć dla swych własnych celów, lecz sporo nie wymyślił. Sokrates istniał naprawdę. Rzeczywiście był aktywny jako obywatel Aten V wieku. Wzmianki o nim znajdujemy w wielu książkach jego współczesnych, nie tylko w dialogach Platona. To nam daje paralaksę, której szukasz, prawda – obserwujemy go więcej niż z jednego punktu widzenia?

–Być może tak. Może nie. Z Mojżeszem nie doszliśmy do niczego. Czy to fikcyjna

postać?

–Kto wie? Możesz się posiłkować wyłącznie Biblią. I tonami komentarzy biblijnych, nie wiadomo ile warty: Najwyraźniej niewiele.

–A Cezar? Nie próbuj mi tłumaczyć, że Cezara nie było – powiedział Richardson. – Lecz wszystko, co o nim wiemy najwyraźniej zanieczyszczone jest przez mit. Kiedy go zsyntetyzowaliśmy otrzymaliśmy karykaturę i nie muszę ci przypomina, jak szybko nawet to zmieniło się w czysty bełkot.

–Nieistotne – stwierdził Tanner. – Cezar to początkowa faza projektu. Teraz o wiele lepiej wiesz, co robisz. Myślę, że ci się uda.

Głęboki pesymizm Richardсона – zdecydował Tanner – musi być mechanizmem obronnym, stworzonym dla uodpornienia przeciw możliwości nowej klęski. W końcu Sokrates to nie był wymysł Richardсона. I po raz pierwszy użył nowych metod wzmacniania programu paralaksycznego, ostatniego dodatku do procesu.

Tanner spojrzal na Richardсона. Richardson milczał.

–Dalej – powiedział Tanner. – Przywołaj Pizarra i pozwól im pogadać. Wtedy zobaczymy, jakiego to Sokratesa tu stworzyłeś.

\* \* \*

Jeszcze raz, w dali poruszyło się powietrze – mały, ciemny wir na perłowym horyzoncie, plama, skaza na lśniącej bieli. Przybywa kolejny demon, pomyślał Pizarro. A może to ten sam, co przedtem, Amerykanin, ten, który lubił pokazywać się jako twarz o krótkich włosach i bez brody.

Lecz, gdy postać się zbliżyła, Fizarro zobaczył, że to ktoś inny, niewysoki i potężny, o szerokich ramionach i wypukłej piersi, niemal łysy, z gęstą, rozczochraną brodą. Ktoś wyjątkowo brzydki z tymi wypukłymi oczami, płaskim nosem o szerokich ruchliwych nozdrzach i szyją tak krótką, że zbyt wielka głowa wydawała się wyrastać wprost z korpusu, ubrany wyłącznie w cienką, poszarpaną, brązową szatę. Nogi miał bosc.

–Hej, ty – krzyknął Pizarro. – Ty! Demonie! Czy ty też jesteś Amerykaninem, demonie?

–Przepraszam? Czy powiedziałaś Ateńczykiem?

–Powiedziałem Amerykaninem. Ten poprzedni był Amerykaninem. Czy ty też przybywasz stamtąd, demonie? Ameryka?

Wzruszenie ramion.

–Nie, chyba nie. Pochodzę z Aten. – W oczach demona tlił, się dziwny, kpiący płomyk.

–Grek? Demon jest Grekiem?

–Pochodzę z Aten – powtórzył brzydal. – Nazywam się Sokrates, syn Sofroniusza. Nie mogę ci powiedzieć, co to Grek, więc być może jestem nim lecz raczej nie, chyba, że Grekiem nazywasz człowieka z Aten.

Mówił powoli, z wysiłkiem, jak ktoś niesłuchanie głupi. Pizarro spotykał już ludzi mówiących w ten sposób i wiedział z doświadczenia, że z reguły nie są tak głupi, na jakich pozują. Poczował, jak rodzi się w nim ostrożność.

–I nie jestem demonem, tylko zwykłym człowiekiem, bardzo zwykłym, co z

**pewnością zauważyłeś.**

**Pizarro zachnął się.**

**–Lubisz igrać ze słowami, prawda?**

**–To nienajgorsza zabawa, przyjacielu – powiedział nowoprzybyły, założył obie ręce za plecy najzupełniej zwykłym gestem i stał spokojnie, uśmiechając się, patrząc w przestrzeń, kołysząc się na piętach tam i z powrotem.**

**\* \* \***

**–No i co? – zapytał Tanner. – Mamy tu Sokratesa, czy nie? Powiedziałbym, że to oryginał.**

**Richardson spojrział w górę i skinął głową. Sprawiał wrażenie, jakby mu ulżyło i jednocześnie był zakłopotany.**

**–Muszę stwierdzić, że na razie jest nieźle. Wydaje się rzeczywisty i prawdziwy.**

**–Tak.**

**Być może rzeczywiście rozpracowaliśmy problem zanieczyszczenie informacji, który zrujnował niektóre wcześniejsze symulacje. Nie ma żadnej degradacji sygnału, co się nam już zdarzało.**

**–To dopiero ktoś, nie? – powiedział Tanner. – Podoba mi się, jak tak podszedł wprost do Pizarra bez najmniejszej niepewności. Zupełnie się go nie boi.**

**–A czego miałby się bać?**

**–A ty byś się nie bał? Gdybyś maszerował przez nie wiadomo jakie, niesamowite miejsce, nie wiedząc gdzie jesteś ani jak się tu dostałeś i nagle zobaczyłbyś takiego groźnego sukinsyna jak Pizarro, stojącego przed tobą w pełnej zbroi i z mieczem... – Tanner potrząsnął głową. – No, może nie. W końcu ta Sokrates, a Sokrates nie był się niczego oprócz nudy.**

**–A Pizarro to tylko symulacja. Nic oprócz programu.**

**–Cały czas mi to powtarzasz. Ale Sokrates o tym nie wie.**

**–Prawda – przytaknął Richardson. Przez chwilę wydawał się pogrążony w myślach. – Być może to jednak ryzyko.**

**–Co?**

**–Jeśli nasz Sokrates jest chociaż trochę taki, jak u Platona, a z pewnością i powinien być, to może być prawdziwą zarazą. Pizarro nie musi kochać jego słownych gier. Jeśli nie będzie w nastroju do zabawy to przypuszczam, że istnieje teoretyczna możliwość, że odpowie jakimś agresywnym ruchem.**

**To zaskoczyło Tannera, który obrócił się i powiedział:**

**–Czy próbujesz mi powiedzieć, że może on w jakiś sposób skrzywdzić Sokratesa?**

**–Kto wie? – odparł Richardson. – W rzeczywistym świecie jeden program z pewnością może zmiążdżyć inny. Wszyscy poruszamy się po nieznanym gruncie, Harry. Włączając w to ludzi w zbiorniku.**

**\* \* \***

**Wysoki siwy mężczyzna powiedział krzywiąc się:**

**–Mówisz mi, że jesteś Ateńczykiem, lecz nie Grekiem. Jak mam to rozumieć?**

**Chyba mógłbym spytać o to Pedra de Candia, który jest Grekiem, lecz nie Ateńczykiem. Ale jego tu nie ma. Może jesteś po prostu głupcem, co? Albo sądzisz,**



że ja nim jestem.

–Nie mam pojęcia kim jesteś. Czy możliwe, byś był bogiem?

–Bogiem?

–Tak – powiedział Sokrates. Przyglądał się spokojnie rozmówcy. Twarz miał surową,

wzrok zimny. – Być może jesteś Aresem. Sprawiasz wrażenie groźnego wojownika i masz na sobie zbroję, lecz nie taką, jaką kiedykolwiek widziałem. To miejsce jest tak dziwne, że z pewnością może być siedzibą bogów i przypuszczam, że możesz mieć na sobie zbroję boga. Jeśli jesteś Aresem, pozdrawiam cię z szacunkiem ci należnym. Jestem Sokrates Ateńczyk, syn murarza.

–Gadasz głupstwa. Nie słyszałem o twoim Aresie.

–Przecież to bóg wojny! Wszyscy o tym wiedzą. Oczywiście z wyjątkiem barbarzyńców. Czy więc jesteś barbarzyńcą? Muszę powiedzieć, że mówisz jak barbarzyńca – ale ja też mówię jak barbarzyńca, a mówiłem językiem Hellady całe życie. Rzeczywiście, mnóstwo tu tajemnic.

\* \* \*

–Masz znów swój problem językowy – powiedział Tanner. – Czy nie potrafisz nawet odtworzyć klasycznej greki? Czy może rozmawiają ze sobą po hiszpańsku?

–Pizarro myśli, że rozmawiają po hiszpańsku. Sokrates myśli, że rozmawiają po grecku. A greka jest oczywiście językiem martwym. Nie wiemy, jak mówiono jakimkolwiek językiem przed wprowadzeniem zapisu dźwiękowego. Możemy się tylko domyślać.

–To czy nie...

–Ciii – powiedział Richardson.

\* \* \*

Mówił Pizarro:

–Mogę być bastarden, ale nie jestem barbarzyńcą, przyjacielu, więc miarkuj swój język. I nie wolno ci już bluźnić.

–Wybacz jeśli bluźniłem. To niewinność. Powiedz mi, gdzie pobłądziłem, a więcej tego nie uczynię.

–To, co mówiłeś o bogach – to szaleństwo. O tym, że jestem bogiem. Spodziewałem się, że może tak mówić poganin; ale nie Grek. Lecz być może jesteś pogańskim rodzajem Greka i nie można cię za to winić. To poganie wszędzie widzą bogów. Czy przypominam ci Boga? Jestem Francisco Pizarro z Trujillo w Estremadurze, syn słynnego żołnierza Gonzalo Pizarro, pułkownika piechoty, który służył w wojnach Gonzala z Kordoby, nazywanego przez ludzi Wielkim Kapitanem. Sam walczyłem w kilku wojnach.

–A więc nie jesteś bogiem, lecz zwykłym żołnierzem? To dobrze. Jak też byłem żołnierzem. Czuję się swobodniej w towarzystwie żołnierzy niż w towarzystwie bogów, myślę, że tak jest z większością ludzi.

–Żołnierzem? Ty? – Pizarro uśmiechnął się. Ten nędzny, zwykły, mały człowieczek,

bardziej zszargany niż którykolwiek z ceniących się chłopców stajennych, miałby

**być żołnierzem? – W jakich wojnach?**

**–W wojnach Aten. Walczyłem w Potydei, kiedy Koryntczycy sprawiali nam kłopoty i nie płacili należnej daniny. Było tam bardzo zimno a nudne oblężenie ciągnęło się długo, ale wypełniliśmy nasz obowiązek. Walczyłem znów kilka lat później pod Dekum przeciw Beotyjczykom. Naszym dowódcą był wtedy Laches, ale wyprawa nie powiodła się i zrobiliśmy, co mogliśmy walcząc w odwrocie. A później – mówił Sokrates – kiedy Brasidas był w Amfipolis i posłał Kleona, żeby go wyparł, ja...**

**–Dosyć – Pizarro niecierpliwie machnął ręką. – Nie mama tych wojen. Ochotnik, niewątpliwie wysoki rangą. – No, przypuszczam, że w takim razie jest to miejsce, do którego wysyłają martwych żołnierzy.**

**–Czyżbyśmy byli martwi?**

**–Od dawna. Jest tu król Alfonso i papież Pius, nie uwierzyłbyś w ich numery. Pius XVI – tak chyba powiedział ten demon. I Amerykanin powiedział też, że jest rok 2130. Ostatni rok, który pamiętam, to 1539. A co z tobą?**

**Ten, który nazywał się Sokratesem, jeszcze raz wzruszył ramionami.**

**–W Atenach używamy innej miary czasy. Lecz powiedzmy, dla dobra dyskusji, że umarliśmy. Myślę, że to bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę, jakie wrażenie sprawia to miejsce i jakie lekkie jest moje ciało. Więc umarliśmy i to jest życie po życiu. Zastanawiam się, czy w to miejsce wysyłają ludzi cnotliwych, czy też niecnotliwych? Czy też może po śmierci wszyscy idą w to samo miejsce, niezależnie czy są cnotliwi, czy nie? Co sądzisz?**

**–Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem – odparł Pizarro.**

**–Cóż, czy w swym życiu byłeś cnotliwy, czy nie?**

**–Masz na myśli, czy grzeszyłem?**

**–Tak, możemy użyć tego słowa.**

**–Chce wiedzieć, czy grzeszyłem? – Pizarro był zdumiony. – Pyta, czy byłem grzesznikiem? Czy prowadziłem cnotliwe życie? A co to go obchodzi?**

**–Zrób mi przyjemność – powiedział Sokrates. – A jeśli wolisz, to dla dobra dyskusji pozwól mi zadać kilka małych pytań...**

**\* \* \***

**–A więc zaczyna się – powiedział Tanner. – Widzisz? Naprawdę tego dokonałeś. Sokrates wciąga go w dialog. Richardsonowi płonęły oczy.**

**–Tak. Jakie to cudowne, Harry. – Sokrates załatwi go w dyskusji. – Nie jestem tego taki pewien – powiedział Richardson.**

**–Oddawałem oko za oko – mówił Pizarro. – Kiedy otrzymałem ranę, sam raniłem. W tym nie ma grzechu, to tylko zdrowy rozsądek. Mężczyzna robi to, co konieczne by przetrwać i bronić swego miejsca w świecie. Czasami mogłem zapomnieć o dniu świętym, lub użyć imienia bożego nadaremno – to chyba grzechy? Ksiądz Vincente zawsze karmił mnie za tego rodzaju rzeczy – ale czy robi to ze mnie grzesznika? Odprawiałem pokutę, a ja nie różnię się niczym od innych ludzi, więc dlaczego trzeba traktować mnie szczególnie surowo? Co? Bóg uczynił mnie, kim jestem. Uczynił mnie na swój obraz, wierzę w Jego Syna.**

**–Więc jesteś cnotliwym człowiekiem?**

–W każdym razie nie jestem grzesznikiem. Mówiłem ci już, że kiedy zgrzeszyłem, odprowadzałem pokutę a to przecież tak, jakbym wcale nie zgrzeszył.

–Rzeczywiście – stwierdził Sokrates. – jesteś więc cnotliwym człowiekiem a ja trafiłem w dobre miejsce. Lecz chcę mieć całkowitą pewność. Powiedz mi jeszcze raz: czy sumienie masy całkowicie czyste?

–A kim ty jesteś? Spowiednikiem?

–Tylko ignorantem szukającym oświecenia. Którego możesz mi udzielić, biorąc ze mną udział w tych poszukiwaniach. Jeśli trafiłem w miejsce ludzi cnotliwych, to kiedy żyłem, sam musiałem być cnotliwy. A więc ulżyj mej głowie i wyjaśnij mnie, czy na twojej duszy ciąży jakiś uczynek, którego żałujesz.

Pizarro poruszył się niespokojnie.

–No... – powiedział. – Zabiłem króla.

–Złego władcę? Wroga twego miasta?

–Nie. Był dobry i łagodny.

–A więc masz czego żałować. Z pewnością grzechem jest zabić mądrego króla.

–Lecz to był poganin.

–Kto?

–Wyparł się Boga?

–Wyparł się swego boga? – zapytał Sokrates. – Więc może zabicie go nie było takim złem?

–Nie, wyparł się mojego Boga. Wolał swojego. A więc był poganinem. I wszyscy jego ludzie byli poganami, ponieważ szli jego drogą. Ryzykowali wiecznym potępieniem, ponieważ poszli za nim. Poświęciłem go dla duszy jego ludu. Zabiłem go z miłości Boga.

–Lecz czy nie powiedziałaś, że wszyscy bogowie są odbiciem jednego Boga?

Pizarro zastanowił się nad tym.

–Przypuszczam, że w jakiejś mierze to prawda.

–A czy służba Bogu nie jest dziełem bożym?

–Jak może być czymkolwiek innym, Sokratesie?

–A czy nie powiedziałabyś, że ten, kto wiernie służy swemu Bogu zgodnie z naukami tego Boga, uczestniczy w dziele bożym?

Pizarro zmarszczył brwi i powiedział:

–No... jeśli stawiasz sprawę w ten sposób... tak...

–Więc sądzę, że król, którego zabiłeś był człowiekiem bożym i zabijając go zgrzeszyłeś przeciw Bogu.

–Zaraz, zaraz...!

–Pomyśl tylko: służąc swemu bogu król musiał także służyć twemu, bowiem każdy służący bogu służy prawdziwemu Bogu, który obejmuje wszystkich waszych wyobrażonych bogów.

–Nie – powiedział ponuro Pizarro. – Jak on mógł służyć Bogu? Nie wiedział nic o Jezusie. Nie rozumiała Trójcy Świętej. Kiedy ksiądz dał Triu Biblię, rzucił ją na ziemię z pogardą. Był poganinem, Sokratesie. Tak, jak i ty. W ogóle nic nie wiesz o tych sprawach, jeśli myślisz, że Atahualpa był człowiekiem bożym. Lub jeśli myślisz, że

skłonisz mnie, żebym ja tak myślał.

–Rzeczywiście, wiem w ogóle bardzo niewiele. Lecz to ty powiedziałeś, że był to mądry i łagodny człowiek.

–Na swój pogański sposób.

–I był dobrym królem dla swego ludu?

–Tak mi się wydawało. Kraj kwitł, kiedy ich odkryłem.

–A jednak nie był człowiekiem bożym?

–Mówiłem ci. Nigdy nie przyjmował sakramentów i w rzeczywistości odrzucał je z pogardą aż do chwili śmierci, kiedy przyjął chrzest. Lecz wtedy wydano na niego wyrok śmierci i było już zbyt późno, by coś mogło mu pomóc.

–Chrzest? Powiedz mi, co to jest, Pizarro?

–Sakrament.

–A sakrament to...?

–Święty rytuał. Prowadzony przy pomocy wody święconej, przez księdza. Włącza człowieka do Świętej Matki Kościoła i przynosi wybaczenie grzechów, poprzednich i obecnych i daje człowiekowi dar Ducha Świętego.

–Musisz mi kiedyś opowiedzieć więcej o tych sprawach. Więc uczyniłeś tego dobrego króla człowiekiem bożym chrzcząc go? A potem go zabiłeś?

–Tak.

–Lecz był człowiekiem bożym, kiedy go zabiłeś. A więc zabicie go było grzechem...

–Musiał umrzeć, Sokratesie.

–A to czemu? – zapytał Ateńczyk.

–Sokrates załatwi go lada chwila – powiedział Tanner. – Uważaj. – Uważam. Ale nikt tu nikogo nie załatwi – odparł Richardson. – Mają zupełnie inne systemy wartości. – Zobaczysz. – Czyżby?

\* \* \*

Pizarro mówił:

–Już ci tłumaczyłem, dlaczego musiał umrzeć. Dlatego, że jego ludzie naśladowali cokolwiek robił. Więc modlili się do słońca, bo powiedział im, że słońce jest bogiem. Ich dusze poszłyby do piekła, gdybyśmy pozwolili sprawom rozwijać się w ten sposób.

–Lecz jeśli naśladowali go we wszystkim – mówił Sokrates – to z pewnością naśladowaliby go także we chrzcie, i staliby się ludźmi bożymi, i w ten sposób dokonali tego, co zadowoliloby ciebie i twojego Boga! Czy nie mam racji?

–Nie! – Pizarro wplótł palce w brodę.

–A dlaczego tak myślisz?

–Ponieważ król zgodził się na chrzest dopiero po tym, kiedy skazaliśmy go na śmierć. Stał nam na drodze, rozumiesz? Był przeszkodą dla naszej potęgi! Więc musieliśmy się go pozbyć! Z własnej, wolnej woli nigdy nie poprowadziłby swych ludzi do prawdy. To dlatego musieliśmy go zabić. Ale nie chcieliśmy zabić jego duszy z jego ciałem, więc powiedzieliśmy mu: „Słuchaj, Atahualpa, zamierzamy skazać cię na śmierć, lecz jeśli pozwolisz się ochrzcić, udusimy cię szybko, a jeśli nie to spalimy

cię żywcem i będziesz umierał długo”. Więc oczywiście zgodził się na chrzest i udusiliśmy go. Nikt tu nie miał żadnego wyboru, prawda? Musiał umrzeć. Ciągłe nie wierzył w prawdziwą wiarę i wszyscy o tym wiedzieliśmy. W sercu był ciągle takim samym wielkim poganinem. Ale, mimo wszystko umarł jako chrześcijanin.

–Jako co?

–Chrześcijanin, Chrześcijanin! Ten, kto wierzy w Syna Bożego.

–Syna Bożego? – w głosie Sokratesa brzmiało zaskoczenie. – A czy chrześcijanie wierzą także w Boga, czy tylko w jego syna?

–Jakimże jesteś głupcem!

–Temu nie zaprzeczę.

–Istnieje Bóg Ojciec, Syn Boży i jest też Duch Święty.

–Ach! A więc w którego wierzył twój Atahualpa, kiedy zbliżał się do niego kat?

–W żadnego.

–A jednak umarł jako chrześcijanin? Nie wierząc w żadnego z twoich trzech bogów? Jak

to możliwe?

–Przez chrzest – mówił Pizarro z rosnącym gniewem. – Jakie to ma znaczenie, w co wierzył? Ksiądz spryskał go wodą! Ksiądz wypowiedział słowa! Jeśli odpowiednio dokona się obrzędu, dusza zostaje zbawiona niezależnie od tego, co człowiek myśli i w co wierzy! Jakże inaczej mógłbyś ochrzcić dziecko? Dziecko niczego nie rozumie i w nic nie wierzy – a jednak staje się chrześcijaninem dzięki wodzie!

–Wiele z tego jest dla mnie tajemnicą – powiedział Sokrates. – Ale widzę, że uważasz króla, którego zabiłeś, za człowieka bożego i za człowieka mądrego, ponieważ został obmyty wodą wymaganą przez twoich bogów, a więc zabiłeś dobrego króla, który z powodu chrztu żyje teraz na łonie twych bogów. Co wydaje mi się niegodziwe, a więc to nie może być miejsce, do którego trafiają po śmierci ludzie cnotliwi, więc musi być tak, że ja też nie jestem cnotliwy – albo nie zrozumiałem niczego z tego miejsca ani z tego, dlaczego tu jesteśmy.

–Niech cię diabli, chcesz mnie doprowadzić do szaleństwa? – wrzasnął Pizarro, sięgając ręką do boku. Wyciągnął miecz i wymachiwał nim z wściekłością. Zamknij gębę, albo cię poćwiartuję!

\* \* \*

–Oho! – powiedział Tanner. – To tyle jeśli chodzi o dialektykę.

\* \* \*

–Nie miałem najmniejszego zamiaru cię zdenerwować, przyjacielu – powiedział Sokrates łagodnie. – Chcę się tylko czegoś nauczyć.

–Jesteś głupcem!

–To oczywiście prawda, co przyznałem już kilka razy. Cóż, jeśli zamierzasz uderzyć mnie mieczem, zrób to. Tylko nie myśl, że coś przez to osiągniesz.

–Niech cię diabli. – mruknął Pizarro. Spojrzał na miecz i potrząsnął głową. Nie. To do niczego nie doprowadzi, prawda? Ostrze przejdzie przez ciebie jak przez powietrze. Lecz ty, tylko stałbyś w miejscu i pozwolił się przeciąć na pół, nawet nie mrugnawszy okiem, prawda? Prawda? – Potrząsnął głową. – A jednak nie jesteś

głupcem. Spierasz się jak najcwańszy ksiądz, nikogo takiego jeszcze nie spotkałem.

–W rzeczywistości jestem głupcem – powiedział Sokrates. – Nie wiem niemal nic. Lecz bezustannie walczę, by zrozumieć coś ze świata, albo przynajmniej zrozumieć siebie.

Pizarro spojrział na niego gniewnie.

–Nie – powiedział. – Nie kupię tej twojej fałszywej dumy. Ja też wiem sporo o ludziach, stary człowieku. Rozumiem twoją grę.

–A co to za gra, Pizarro?

–Potrafię dostrzec twoją arogancję. Widzę, że sądzisz, że jesteś najmądrszym człowiekiem na świecie i że twoją misją jest wędrować po świecie, ucząc biednych, wymachujących mieczami głupców, takich jak ja. I że pozujesz na durnia by ich rozbroić nim ich poniżysz.

\* \* \*

–Jeden zero dla Pizarra – stwierdził Richardson. – Jasne, nie daje się nabierać na sztuczki Sokratesa.

–Może czytał Platona – podsunął Tanner.

–Był analfabetą.

–Wtedy, tak. A teraz?

–Niewinny – powiedział Richardson. – On stosuje tylko chłopski spryt i ty doskonale o tym wiesz.

–Nie mówiłem serio – przyznał Tanner. Pochylił się, patrząc w holotank. Boże, jakie to zdumiewające, słuchać jak tak rozmawiają. Wydają się całkowicie rzeczywisci.

–Bo są – powiedział Richardson.

\* \* \*

–Nie, Pizarro, wcale nie jestem mędrzem. Jestem głupcem, ale może nie największym głupcem na świecie.

–Myślisz, że jesteś mądrzejszy ode mnie, prawda?

–Skąd mogę to wiedzieć? Powiedz mi, jaki jesteś mądry.

–Wystarczająco, by zacząć życie jako bastard i świniarczyk, a skończyć je jako generał – kapitan Peru.

–Ach, więc musisz być bardzo mądry.

–Tak. Tak sądzę.

–A jednak zabiłeś mądrego króla, który nie był wystarczająco mądry by czcić Boga w sposób, który uznałeś za najlepszy. Czy to było takie mądre, Pizarro? Jak to przyjęli jego ludzie, kiedy dowiedzieli się, że ich król został zabity?

–Powstali przeciw nam. Zniszczyli swe własne świątynie i pałace, schowali przed nami swe złoto i srebro, spalili mosty i walczyli z nami zawzięcie.

–Być może użyłbyś go lepiej, gdybyś go nie zabił, nie sądzisz?

–Na dłuższą metę i tak ich podbiliśmy i uczyniliśmy chrześcijanami. A to zamierzaliśmy zrobić.

–Lecz to samo moglibyście osiągnąć mądrzejszym sposobem?

–Być może – zgodził się opornie Pizarro. – A jednak osiągnęliśmy cel. To

**najważniejsze,**

**prawda? Osiągnęliśmy to, co zamierzaliśmy osiągnąć. Jeśli był lepszy sposób, to dobrze. Aniołowie robią wszystko najlepiej. Nie jesteśmy aniołami, lecz osiągnęliśmy to, co zamierzaliśmy więc nich ci będzie, Sokratesie, niech ci będzie.**

**\* \* \***

**–Uznałbym to za remis – powiedział Tanner. – Zgoda.**

**–Grają wspaniałą grę.**

**–Zastanawiam się, kogo jeszcze moglibyśmy w niej wykorzystać. – A ja się zastanawiam, jak moglibyśmy użyć ich do czegoś więcej niż gra powiedział Tanner:**

**\* \* \***

**–Pozwól, że opowiem ci pewną historię – powiedział Sokrates. – Wyrocznia delfijska powiedziała kiedyś mojemu przyjacielowi: „Nie ma człowieka mędrszego od Sokratesa”, ale bardzo w to wątpiłem i martwiło mnie, że wyrocznia powiedziała coś, o czym wiedziałem, jak jest dalekie od prawdy. Więc zdecydowałem, że poszukam człowieka, który jest mędrszy ode mnie. W Atenach był polityk słynny ze swej mądrości; poszedłem do niego i zapytałem go o wiele rzeczy. Kiedy przez pewien czas posłuchałem jego odpowiedzi, doszedłem do wniosku, że chociaż wielu ludzi i – co najważniejsze – on sam sądzi, że jest mądry, to jednak nie jest mądry. Tylko wyobraża sobie, że jest mądry. Więc zrozumiałem, że muszę być mądrzejszy od niego. Żaden z nas nie wiedział tego, co naprawdę warto wiedzieć, ale on nie wiedział nic i myślał, że wie podczas gdy ja zarówno nic nie wiedziałem jak i wiedziałem, że nic nie wiem. Więc przynajmniej w jednej sprawie byłem od niego mądrzejszy – nie myślałem, że wiem, kiedy nie wiedziałem.**

**–Czy chciałeś ze mnie zakpić, Sokratesie?**

**–Czuję do ciebie tylko najwyższy szacunek, przyjacielu Pizarro. Lecz pozwól mi skończyć. Poszedłem do innych mądrych ludzi lecz oni też, chociaż pewni swej mądrości, nie potrafili udzielić mi jednej jasnej odpowiedzi. Ci, którzy cieszyli się opinią najmędrzych, sprawiali wrażenie najgłupszych. Poszedłem do wielkich poetów i tragiczków. W ich dziełach była mądrość, bowiem natchnęli ich bogowie, ale to, nie uczyniło ich mądrymi, chociaż oni myśleli inaczej. Poszedłem do murarzy, garncarzy innych rzemieślników. Byli mądrzy w tym, co robili, lecz większość z nich wydawała się myśleć, że czyni ich to mądrymi we wszystkim, co nie okazywało się prawdą. Więc szukałem dalej. I nie udało mi się znaleźć nikogo, kto byłby prawdziwie mądry. Więc może wyrocznia miała rację: chociaż jestem prawdziwym ignorantem, nie ma człowieka mędrszego ode mnie. Lecz wyrocznie często mają rację w sposób, który nie jest zbyt praktyczny i sądzę, że powiedziała tylko, że nie ma człowieka mądrego, że mądrość zarezerwowana jest dla bogów. Co na to powiesz, Pizarro.**

**–Powiem, że jesteś głupcem i w dodatku bardzo szpetnym.**

**–Mówisz prawdę. A więc mimo wszystko jesteś człowiekiem mądrym. I uczciwym.**

**–Powiedziałeś, uczciwym? Nie uważam się za człowieka uczciwego. Uczciwość to zabawa dla głupców. Kiedy tylko zaszła konieczność kłamałem. Oszukiwałem. Łamałem dane słowo. Zwróć uwagę, nie jestem z tego dumny. Po prostu musisz to**

robić, żeby utrzymać się na świecie. Myślisz, że chciałem być świniarzem do końca życia? Chciałem złota, Sokratesie! Chciałem mieć władzę nad ludźmi! Chciałem sławy!

–I otrzymałeś to wszystko?

–Otrzymałem to wszystko.

–Czy dało ci to zadowolenie, Pizarro?

Pizarro patrzył na Sokratesa przez dłuższą chwilę. Potem zacisnął usta. Splunął.

–Nie miało żadnej wartości.

–Sądź, że nie miało żadnej wartości?

–Ani odrobiny. Nie mam co do tego najmniejszych złudzeń. Ale i tak lepiej było mieć to wszystko niż tego nie mieć. Na dłuższą metę nic nie ma żadnego sensu, starcze. Na dłuższą metę wszyscy jesteśmy martwi, człowiek uczciwy i złoczyńca, król i głupiec. Życie jest oszustwem. Mówi się nam, że mamy walczyć, że mamy podbijać, że mamy zyskiwać – i po co? Po co? Żeby puszyć się przez kilka lat. A później odbiera się nam wszystko, jakbyśmy nigdy tego nie mieli. Mówię: oszustwo. – Pizarro zamilkł. Spojrzał na swe dłonie, jakby ich nigdy nie widział. – Czy powiedziałem to wszystko przed chwilą? Czy mówiłem szczerze? – Roześmiał się. – Tak, chyba byłem szczerzy. Ale – tylko życie jest rzeczywiste i chcesz go mieć tyle, ile tylko możesz. Co oznacza złoto, potęgę i władzę.

–Które miałeś. I których najwyraźniej już nie masz. Gdzie teraz jesteście, przyjacielu Pizarro?

–Chciałbym wiedzieć.

–Ja też – stwierdził trzeźwo Sokrates.

\* \* \*

–Jest prawdziwy – powiedział Richardson. – Obaj są prawdziwi.

Wyeliminowaliśmy usterki systemu i osiągnęliśmy coś wspaniałego. Będzie to miało znaczenie nie tylko dla uczonych – sądzę, że będzie też wspaniała rozrywka.

–Czymś znacznie większym – powiedział Tanner dziwnym głosem.

–Co masz na myśli?

–Jeszcze nie jestem pewien. Ale z pewnością coś wielkiego. Coś wpadło mi do głowy zaledwie kilka minut temu i jeszcze nie nabrało kształtu. Ale mogłoby zmienić cały ten

cholerny świat.

Richardson sprawiał wrażenie zaskoczonego i zdumionego.

–O czym ty do diabła mówisz, Harry?

–Może o nowym sposobie rozstrzygnięcia dyskusji politycznych. Co byś powiedział o czymś w rodzaju pojedynku między dwoma narodami? Powiedzmy, na wzór średniowiecznego turnieju. A obie strony używają wojowników, których dla nich zsymulujemy – największych umysłów w historii, walczących ze sobą... potrząsnął głową. – Coś takiego. Wiem, że trzeba to dokładnie rozpracować. Ale rysuje się sporo możliwości.

–Średniowieczny turniej – walka zbroja przy użyciu symulacji? To masz na myśli?

–Walka słowna. Przecież nie rzeczywisty turniej, na miłość boską!



–Nie wiem, jak... – zaczął Richardson.

–Ja też nie. Jeszcze nie. Szkoda, że w ogóle o tym powiedziałem.

–Ale...

–Później, Lew. Później. Niech jeszcze trochę o tym pomyślę.

\* \* \*

–Nie masz pojęcia, co to za miejsce? – zapytał Pizarro.

–Najmniejszego. Ale jestem najzupełniej pewien, że to nie ten świat, w którym kiedyś mieszkaliśmy. A więc, czy umarliśmy? Jak możemy to stwierdzić? Sprawiasz na mnie wrażenie żywego.

–Ty na mnie też.

–A jednak myślę, że żyjemy jakimś innym rodzajem życia. Tak, podaj mi rękę, czy czujesz moją dłoń w swojej?

–Nie. Niczego nie czuję.

–Ja też. A jednak widzę nasze zaciśnięte dłonie. Dwóch starych mężczyzn stojących na chmurze ściska się za rękę – Sokrates roześmiał się. – Jakim strasznym łotrem jesteś, Pizarro!

–Tak, oczywiście. Ale wiesz co, Sokratesie? Ty też. Gadatliwy, stary łotr. Podobasz mi się. Chwilami doprowadzałeś mnie do szału tym swoim gadaniem, ale też mnie rozbawiłeś. Naprawdę byłeś żołnierzem?

Kiedy wymagało tego ode mnie moje miasto, tak.

–Muszę powiedzieć, że jak na żołnierza jesteś cholernie niewinny. Nie wiesz nic o mechanizmach świata. Ale przypuszczam, że mógłbym cię nauczyć tego i owego.

–Nauczysz mnie?

–Z przyjemnością – powiedział Pizarro.

–Będę twoim dłużnikiem.

–Weź Atahualpę. Jak mam sprawić byś zrozumiał, dlaczego musiałem go zabić? Nas nie było nawet dwustu, a ich dwadzieścia cztery miliony i jego słowo było prawem i kiedy

odszedł nie mieli nikogo, kto by im rozkazywał. Więc oczywiście musieliśmy się go pozbyć, jeśli chcieliśmy ich podbić. Więc zrobiliśmy to i wygraliśmy.

–Jakie to proste w twoich ustach!

–Bo to było takie proste. Słuchaj, starcze, on musiał umrzeć prędzej czy później, prawda? W ten sposób uczyniliśmy jego śmierć użyteczną: dla Boga, dla Kościoła, dla Hiszpanii. I dla Francisco Pizarra. Czy potrafisz to zrozumieć?

–Chyba tak – powiedział Sokrates. – Lecz czy sądzisz, że zrozumiał to król Atahualpa?

–Každy król rozumiałby coś takiego.

–Więc powinien zabić cię w chwili, w której postawiłeś stopę na jego ziemi.

–Chyba, że Bóg chciał, byśmy ich podbili i dał mu to do zrozumienia. Tak. Tak, to właśnie musiało się zdarzyć.

–Może on jest gdzieś tutaj i będziemy mogli go zapytać – powiedział Sokrates. Oczy Pizarra rozbłysły.

–Matko Boga, tak! Doskonały pomysł! A jeśli nie zrozumiał, to co! Spróbuję mu

**wszystko wytłumaczyć. Może ty mi pomożesz? Wiesz, jak mówić, jak sprawiać, by słowa tańczyły. Co o tym sądzisz? Pomożesz mi?**

**–Jeśli go spotkamy, chciałbym z nim porozmawiać – powiedział Sokrates.**

**Oczywiście chciałbym wiedzieć, czy zgadza się z tobą na temat przydatności swojej śmierci z twych rąk...**

**–Uśmiechnięty Pizarro stwierdził:**

**–Przewrotny jesteś! Ale lubię cię. Bardzo cię lubię. Chodź. Poszukamy Atahualpy.**

***Przełożył Krzysztof Sokołowski***

# Rodzimy się zmarłymi

## Rozdział 1

*A to, na co umarli nie znaleźli słów żyjąc, Mogą powiedzieć ci jako umarli: obcowanie Umarłych łączy ogniste języki ponad mową Żyjących.*

*T. S. Eliot, Little Gidding (Tłum. Władysław Dulęba)*

Jego nieżyjąca żona Sybille znajdowała się prawdopodobnie w drodze na Zanzibar. Tak mu powiedziano, a on im uwierzył. Jorge Klein był aktualnie na takim etapie swoich poszukiwań, że uwierzyłby we wszystko, co mogłoby doprowadzić go do Sybille. Fakt, że mogła udać się na Zanzibar, nie był taki absurdalny, bo zawsze chciała tam pojechać. To miejsce już dawno zawładnęło jej świadomością w niewyjaśniony, zagadkowy sposób. Nie mogła pojechać tam za życia, ale teraz, po zerwaniu wszelkich więzi, Zanzibar przyciągał ją, jak gniazdo przyciąga ptaka, jak łtaka przyciągała Odyseusza, jak płomień przyciąga ćmę.

\* \* \*

Samolot, mały i zwrotny Havilland FP-803 wystartował w połowie pusty z Dar es Salaam o 9.15 czasu miejscowego w łagodny, jasny poranek. Zatoczył krąg nad gęstymi masami drzew mango, ponad strzelistymi krzewami obsypanymi czerwonym kwieciem i wysokimi palmami kokosowymi rosnącymi wzdłuż wybrzeża Oceanu Indyjskiego, po czym skierował się na północ, by wykonać krótki skok nad cieśniną do Zanzibaru. Ten dzień, dziewiąty dzień marca 1993 roku, miał być niezwykłym dniem dla Zanzibaru. Na pokładzie samolotu siedziało pięcioro zmarłych – pierwsi goście tego rodzaju na tej pachnącej wyspie. Daud Mahmoud Barwani, oficer sanitarny na lotnisku Karume na Zanzibarze, został o tym powiadomiony przez władze imigracyjne ze stałego lądu. Nie wiedział, jak ma w podobnej sytuacji postąpić. Niepokoił się. Na Zanzibarze od jakiegoś czasu panowało napięcie. Czy powinien odmówić im wjazdu? Czy zmarli stanowili jakiegokolwiek zagrożenie dla delikatnej równowagi politycznej wyspy? A inne zagrożenia? Zmarli mogą być nosicielami niebezpiecznych chorób duszy. Czy było cokolwiek w nowym Kodeksie Administracyjnym o odmowie wizy na podstawie podejrzeń o możliwość skażenia duszy? Daud Mahmoud Barwani w zadumie przeżuwał śniadanie – zimne chapatti i zimne ziemniaki w ostrym sosie curry – i bez entuzjazmu czekał na przybycie zmarłych.

\* \* \*

Minęło prawie dwa i pół roku od czasu, kiedy Jorge Klein widział Sybille po raz ostatni. Było to sobotnie popołudnie, 13 października 1990 roku – dzień pogrzebu. Tego dnia leżała w trumnie, wyglądała jak we śnie, jej uroda nieskażona była ostatnimi przejściami: blada skóra, lśniące ciemne włosy, delikatne nozdrza, wydatne usta. Lśniąca złotofioletowa tkanina spowijała jej ciało. Drżąca elektrostatyczna mgiełka, uperfumowana z lekka zapachem jaśminu, chroniła je przed rozkładem. Przez pięć godzin spoczywała na katafalku w trakcie odprawiania obrzędów pożegnalnych i składania kondolencji. Te ostatnie składano ukradkiem, jakby jej śmierć była rzeczą zbyt okropną, by potwierdzać ją dodatkowo okazywaniem gwałtownych uczuć. Na koniec, gdy pozostała już tylko grupka najbliższych

przyjaciół, Klein pocałował ją delikatnie w usta i przekazał milczącym, ciemno ubranym mężczyznom przysłanym przez Zimne Miasto. W swoim testamencie poprosiła, by ją ożywiono. Zabrali ją czarnym karawanem, by odprawić swe magiczne obrzędy nad jej ciałem. Kleinowi wydawało się, że oddalająca się trumna, wsparta na szerokich ramionach żałobników, ginie w jakimś szarym wirze, którego on nie może przebyć. Prawdopodobnie nigdy się już z nią nie skontaktuje. W tych czasach zmarli izolowali się rygorystycznie, pozostając za murami utworzonych przez siebie gett. Rzadko spotykało się kogoś z nich poza Zimnymi Miastami, a jeszcze rzadziej nawiązywali kontakt ze światem żywych.

W taki właśnie sposób został zmuszony do zmiany ich wzajemnego stosunku. Przez dziewięć lat istnieli jako Jorge i Sybille, Sybille i Jorge, ja i ty stanowiące my, przede wszystkim my, transcendentalne my. Kochał ją aż do bólu. W życiu byli nierozłączni, wszystko robili wspólnie, razem prowadzili badania i wykłady, myśleli identycznie i mieli prawie taki sam gust. Do tego stopnia nawzajem się przenikali. Ona była częścią jego, a on częścią jej i aż do chwili jej nagłej śmierci zakładał, że tak będzie wiecznie. Byli wciąż młodzi – on miał trzydzieści osiem lat, ona trzydzieści cztery. Mieli jeszcze wiele dziesięcioleci przed sobą. I nagle odeszła. Teraz stali się dwiema anonimowymi osobami – ona nie była już Sybille, ale zmarłą, on nie był Jorgem, tylko żywym. Przebywała gdzieś na kontynencie północnoamerykańskim, chodziła, rozmawiała, jadła, czytała, a jednak jej nie było, była dla niego stracona. Najlepiej dla niego byłoby, gdyby się z tym pogodził. Z pozoru akceptował tę sytuację, a jednak, chociaż wiedział, że przeszłość nie wróci, pozwalał sobie na luksus marzenia, że ją kiedyś odzyska.

\* \* \*

Można już było zobaczyć samolot – ciemny punkt na jasnym niebie, zawieszony pyłek, drażniące źdźbło w oku Barwaniego powodujące odruch mrugania i kichania. Barwani nie był jeszcze gotów na jego przybycie. Kiedy Ameri Kombo, kontroler lotów, powiadomił go telefonicznie o lądowaniu, Barwani odparł:

–Przeznacz pilotowi, by nie wypuszczał pasażerów, dopóki nie otrzyma ode mnie zgody. Muszę jeszcze przejrzeć przepisy. Istnieje możliwość zagrożenia dla zdrowia publicznego.

Pozwolił, by samolot stał przez dwadzieścia minut z zamkniętymi włazami na rozgrzanym pasie startowym. Błąkające się po lotnisku kozy wyszły z krzaków i przyglądały mu się beznamiętnie. Barwani nie zajrzał do żadnych przepisów. Skończył swój skromny posiłek, a następnie złożył ręce i starał się odzyskać spokój. Zmarli, mówił sobie, nie powinni właściwie przynieść żadnej szkody. Byli ludźmi jak wszyscy inni, tyle że poddano ich niezwykłym zabiegom medycznym. Musiał tylko pokonać zabobonny strach. Nie był wieśniakiem ani jakimś tam ciemnym zbieraczem goździków. Zanzibar nie był siedliskiem ludzi prymitywnych. Wpuści ich. Przydzielili im pastylki antymalaryczne, jakby byli zwykłymi turystami. Tak ich potraktuje. Bardzo dobrze. Był gotów. Zadzwoił do Ameri Kombo.

–Nie ma niebezpieczeństwa – powiedział. – Pasażerowie mogą wysiadać. Było ich dziewięcioro. Niewielka grupa. Czworo żywych wysiadło najpierw.

Wyglądali ponuro i byli spięci, jak ludzie, którzy odbyli podróż z wypuszczonymi na wolność kobrami. Barwani znał ich wszystkich: żona niemieckiego konsula, syn kupca Chowdhary'ego i dwóch chińskich inżynierów. Wszyscy wracali z krótkiego urlopu w Dar. Skinął im ręką, by przechodzili bez formalności.

Po upływie minuty nadeszli zmarli. Siedzieli prawdopodobnie razem w drugim końcu samolotu. Grupa składała się z dwóch kobiet i trzech mężczyzn. Wszyscy wyglądali zaskakująco zdrowo. Oczekiwał, że będą się chwiać, powłóczyć nogami, kuleć jak zombi. Poruszali się jednak elastycznym, energicznym krokiem sportowców, jak gdyby byli w lepszym zdrowiu niż za życia. Kiedy doszli do bramki, Barwani wyszedł, aby ich powitać.

–Kontrola sanitarna. Proszę tędy – powiedział spokojnie. Oddychali. To nie budziło wątpliwości. W oddechu rudowłosego mężczyzny poczuł alkohol i jakiś tajemniczy, miły, słodki aromat w oddechu ciemnowłosej kobiety, może anyż. Barwaniemu wydało się, że ich skóra ma taką dziwną, jakby woskową konsystencję i nierzeczywisty połysk. Może jednak było to tylko złudzenie. Skóra białych zawsze wydawała mu się sztuczna. Jedyna wyraźna różnica, jaką udało mu się dostrzec, tkwiła w oczach. Był to sposób, w jaki wpatrywały się intensywnie w jeden punkt, zanim się poruszyły. Były to oczy ludzi, którzy patrzyli w Wielką Pustkę i nie zostali przez nią wchłonięci – pomyślał Barwani. W głowie kłębiły mu się

pytania: jak się czujecie, co pamiętacie, gdzie naprawdę byliście? Nie wypowiedział ich jednak na głos.

–Witam na wyspie goździków. Proszę pamiętać, że malaria została tu wytępiona poprzez zastosowanie nadzwyczajnych środków profilaktycznych i dlatego, by nie dopuścić do ponownego pojawienia się tej niepożądaney choroby, proszę zażyć te tabletki – powiedział, siłąc się na uprzejmość.

Turyści zwykle oponowali. Ci jednak połknęli tabletki bez słowa protestu. Barwani zapragnął nagle nawiązać z nimi kontakt, który może mógłby mu pomóc dźwigać ogromny ciężar życia. Jednakże owa aura, wręcz tarcza niesamowitości otaczająca tych pięcioro sprawiła, że chociaż był miłym w obejściu człowiekiem i z łatwością nawiązywał kontakt z obcymi, to skierował ich bez słowa do Mpondy, urzędnika imigracyjnego.

Wysokie czoło Mpondy całe lśniło od potu. Przygryzał dolną wargę. Było widać, że zmarli wyprowadzili go z równowagi, podobnie jak Barwaniego. Grzebał nieprzytomnie w formularzach, przystawił wizę w niewłaściwym miejscu, jękał się, informując zmarłych, że musi zatrzymać ich paszporty do następnego ranka.

–Przekażę je przez posłańca do hotelu jutro rano – obiecał im Mponda i skierował ich do okienka odbioru bagażu z niepotrzebnym pośpiechem.

\* \* \*

Klein miał tylko jednego przyjaciela, któremu mógł się zwierzyć. Był to kolega z uniwersytetu kalifornijskiego, bardzo ugrzeczny i łagodny socjolog, pars z Bombaju, Framji Jijibhoi, który jak czerw w ziemię zagłębił się w wyszukaną subkulturę zmarłych.

–Jak mogę się z tym pogodzić? – zapytywał Klein. – Po prostu nie mogę tego

zaakceptować. Ona tam gdzie jest, żyje...

Jijibhoi przerwał mu machnięciem dłoni.

–Nie, drogi przyjacielu – powiedział smutno. – Ona nie żyje, a jest ożywiona. Nie dostrzegasz różnicy.

To była prawda. Klein nie mógł dostrzec niczego, co potwierdzałoby śmierć Sybille. Nie mógł pogodzić się z myślą, że przeszła do innej formy egzystencji, do której on nie miał wstępu. Jego jedynym celem stało się odnaleźć ją, porozmawiać, uczestniczyć w jej doświadczeniu śmierci i egzystencji po śmierci. Był z nią nierozzerwalnie związany, jak gdyby nadal była jego żoną, jakby jego związek z Sybille wciąż istniał.

Czekał na jakiś znak od niej, ale go nie było. Po kilku miesiącach był coraz bardziej zakłopotany tym istniejącym w nim przymusem i oczywistym zerwaniem z etykietą obowiązującą wdowca. Wędrował od jednego Zimnego Miasta do drugiego – Sacramento, Boise, Ann Arbor, Louisville – nie wpuszczano go tam, nie odpowiadano nawet na jego pytania. Przyjaciele przekazywali mu pogłoski, że mieszkała jakoby wśród zmarłych w

Tucson, w Roanoke, w Rochester, w San Diego, ale nic z tego nie wynikało. Wtedy Jijibhoi, który miał kontakty w świecie ożywionych i pomagał Kleinowi w poszukiwaniach (choć tego nie pochwalał), przyniósł mu wiadomość, że przebywa w Zimnym Mieście Zion w Utah. Tam również go nie wpuścili, nie byli jednak tak okrutni i udało mu się uzyskać dowód, że Sybille rzeczywiście tam mieszkała.

Latem 1992 roku Jijibhoi powiedział mu, że Sybille wyszła z izolacji Zimnego Miasta. Widziano ją w Newark, Ohio, na miejskim polu golfowym w Octagon State Memorial w towarzystwie zadufanego w sobie archeologa Kenta Zachariasza, również ożywionego, który za życia był specjalistą od kurhanów z doliny Ohio.

–To nowa faza, którą można było przewidzieć – powiedział Jijibhoi. – Zmarli zaczynają powoli odrzucać swój pierwotny izolacjonizm. Coraz częściej widzimy ich jako turystów zwiedzających nasz świat, badających kontakt pomiędzy życiem a śmiercią. Drogi przyjacielu, to bardzo interesujące.

Klein udał się natychmiast do Ohio i chociaż jej nie spotkał, wędrował jej śladem z Newark do Chillicothe, z Chillicothe do Marietty, z Marietty do Zachodniej Wirginii i tam, gdzieś pomiędzy Moundsville a Wheeling, ślad się urwał. Dwa miesiące później otrzymał wiadomość, że widziano ją w Londynie, później w Kairze i w Addis Abebie. W początkach 1993 roku Klein dowiedział się od kolegi uniwersyteckiego pracującego obecnie na Uniwersytecie Nyerere w Arusha, że Sybille odbyła safari w Tanzanii i zamierzała polecieć za kilka tygodni na wyspę Zanzibar.

To było oczywiste! Dziesięć lat ślęczała nad doktoratem na temat ustanowienia arabskiego sułtanatu na Zanzibarze w początkach dziewiętnastego wieku. Pracę przerywały jej inne zajęcia uniwersyteckie, romanse, małżeństwo, kłopoty finansowe, choroba i wreszcie śmierć, i nigdy nie miała możliwości odwiedzić tej wyspy, mającej przecież dla niej tak wielkie znaczenie. Teraz była wolna od wszelkich zobowiązań. Dlaczego więc nie miałyby pojechać na Zanzibar? Zrobiła to, a Klein pojedzie tam przed nią i będzie na nią czekać.

**Kiedy pięcioro zmarłych wsiadało do taksówki, coś przypomniało się Barwaniemu. Poprosił Mpondę o paszporty i przyglądał się nazwiskom. Były dziwne: Kent Zachariasz, Nerita Tracy, Sybille Klein, Anthony Gracchus, Laurence Mortimer. Nigdy nie mógł przyzwyczać się do brzmienia europejskich nazwisk. Bez fotografii nie mógłby zorientować się, kto jest kobietą, a kto mężczyzną. Zachariasz, Tracy, Klein... właśnie Klein! Sprawdził w papierach sprzed dwóch tygodni, leżących na biurku. Właśnie, Klein. Barwani połączył się z hotelem „Shirazi”. Zajęło mu to kilka minut. Poprosił o rozmowę z Amerykaninem, który przybył przed dziesięcioma dniami, szczupłym mężczyzną o ściągniętych napięciem ustach, którego oczy błyszczały zmęczeniem, z tym, który prosił Barwaniego o drobną i specjalną przysługę, popartą stuszylingowym banknotem.**

**Nastąpiła dłuższa przerwa, podczas której portier szukał go prawdopodobnie na terenie hotelu – w toalecie, w barze, w hallu, w ogrodzie. Wreszcie Amerykanin odezwał się.**

**–Osoba, o którą pan pytał, właśnie przyleciała – powiedział Barwani.**

## Rozdział 2

*Taniec się zaczyna. Mrowienie pod opuszkami palców, wargi zaczynają pulsować, rozterki, ściśnięte gardła. Wszystko jakby nie w rytmie i nie w tonacji, każdy we własnym tempie. Wolno, wolniutko następuje połączenie. Usta przy ustach, serce przy sercu, znajduwanie się wzajemne, przerażająco, przejściowo płonące... nutki łączą się w akordy, akordy w melodię, kakofonia zmienia się w polifoniczny chór w kontrapunkcie, diapazon święta.*

*R. D. Laing, Rajski ptak*

Sybillę stoi potulnie na skraju pola golfowego w Octagon State Memorial w Newark. Trzyma w ręku sandały i ukradkiem porusza palcami stóp w obfitym, nieskazitelnie gęstej, krótko przystrzyżonej trawy. Jest letnie, gorące popołudnie 1992 roku. Powietrze idealnie przejrzyste, leciutko drży, jak zawsze na środkowym zachodzie. Krople wody pozostałe po porannym podlewaniu jeszcze nie zdążyły wyparować z trawnika. Jakże niezwykła jest ta trawa! Nieczęsto widywała podobną w Kalifornii; w Zimnym Mieście Zion w cierpiącym na brak wody Utah takich luksusów się nie spotykało. Kent Zachariasz stojący obok niej potrząsa głową ze smutkiem.

– Pole golfowe – mruczy. – Pod nami znajduje się jedno z najważniejszych stanowisk do wykopalisk prehistorycznych w Ameryce Północnej, a oni robią tu pole golfowe! Co prawda mogło być gorzej. Mogli wyrównać teren buldożerami pod miejski parking. Patrz, czy widzisz roboty ziemne, o tam?

Sybillę drży. To jej pierwsza dłuższa wyprawa poza Zimne Miasto, pierwsza wyprawa do świata żywych od czasu ożywienia i czuje groźne wibracje toczącego się wokół życia. Park otoczony jest miłymi domkami, starannie utrzymanymi. Dzieci przemykają na rowerach uliczkami. Przed nią gracze wesolo uderzają w piłki. Małe, elektryczne wózki golfowe z niezmordowaną energią wędrują po wzniesieniach i zapadliskach pola. Wokół gromadzą się tłumy turystów, którzy podobnie jak ona i Zachariasz przyszli obejrzeć indiańskie kurhany. Biegają psy. Wszystko to wydaje jej się groźne, nawet roślinność – gęsta trawa, równo przycięte krzewy, drzewa z burzą listowia i zwisającymi nisko gałęziami. Wszystko ją niepokoi. Obecność Zachariasza wcale nie dodaje otuchy. On sam wydaje się zbyt podekscytowany. Twarz ma rozpaloną, a gesty gwałtowne, gdy wskazuje na pagórki o płaskich szczytach, pokryte trawą garby i grzbiety układające się w ogromne koło i ośmiokąt pradawnego sanktuarium. Te pagórki stanowią istotę jego życia, nawet teraz, w pięć lat po śmierci. Ohio jest jego Zanzibarem.

–...kiedyś zajmowało sześć kilometrów kwadratowych. Ogromny ośrodek ceremonii

pogrzebowych odpowiadający wielkością Chichen Itza, Luksorowi... – przerwał. Wreszcie dotarło do niego, że ona źle się tu czuje. Świadomość tego rozproszyła jego zapal oratorski.

– Jak się tu czujesz? – pyta łagodnie.

Ona uśmiecha się odważnie. Zwilża językiem wargi. Odwraca głowę w kierunku grających w golfa, w kierunku turystów, w stronę pięknych, małych domków na



obrzeżu parku. Wstrząsa nią dreszcz.

–To wszystko jest zbyt radosne, prawda?

–Zbyt radosne – potwierdza.

Radosne. O tak. Małe, pogodne miasteczko jak z okładki tygodnika, miasteczko izby handlowej. Newark spoczywa spokojnie na łonie oceanu czasu. Po wyglądzie samochodów może to być rok 1980, 1960 lub 1940. Tak. Macierzyństwo, baseball, szarlotka, kościół w niedziele. Tak. Zachariasz kiwa głową i wykonuje gest, który ma ją pocieszyć.

–Chodź – mówi szeptem. – Wejdzmy do środka kompleksu. Po drodze opadnie z nas wiek dwudziesty.

Brutalnym, energicznym krokiem rusza przez pole golfowe. Długonoga Sybille musi co chwilę podbiegać, żeby dotrzymać mu kroku. Po chwili są już wewnątrz sanktuarium. Wchodzą do świętego ośmiokąta. Wtargnęli w lochy przeszłości i od razu Sybille czuje, że udało się im przekroczyć przesłonek między życiem i śmiercią. Jak tu spokojnie! Czuje wszechobecne siły śmierci i te ciemne duchy łagodzą jej niepokój. Wtargnięcie do świata żywych na terenach należących do umarłych staje się symboliczne. Nie widać już domków otaczających park, grający w golfa są już tylko głupkowatymi, bezcielesnymi cieniami, wózki golfowe przypominają pracowite owady, a wędrujący tu i ówdzie turyści są niewidoczni. Ogrom i symetria tego pradawnego miejsca robią na niej wielkie wrażenie. Jakie duchy tu śpią? Zachariasz przywołuje je, wymachując rękami niczym magik. Słyszała od niego tak wiele o tych ludziach. Jak oni siebie nazywali? Czy kiedykolwiek się dowiemy? Kto wznosił te kurhany dwadzieścia wieków temu? Teraz on przywołuje ich dla niej gestami i niecierpliwymi słowami. Szepcze gwałtownie:

–Czy ich widzisz?

A ona rzeczywiście ich widzi. Opada mgła i pagórki ożywają. Pojawiają się ich budowniczości. Wysocy, szczupli, silni, prawie nadzy, odziani tylko w lśniące miedziane napierśniki, noszą naszyjniki z krzemienych kółek, ozdoby z kości, kwarcu i skorupy żółwia, ciężkie łańcuchy lśniących pereł, pierścienie z kamienia, naramienniki z zębów niedźwiedzia i pantery, metalowe kolczyki i przepaski na biodra z futer. Są wśród nich kapłani w szatach tkanych w skomplikowane wzory, wodzowie w koronach z miedzianych prętów, stąpający z lodowatą powagą aleją. Oczy tych ludzi lśnią czystą energią. Jakaż to była niezmiernie żywotna i bogata kultura! Sybille nie odpycha ich pulsujący wigor, ponieważ jest to wigor zmarłych, witalność tych, którzy zniknęli. Zachariasz szepcze do niej:

–Chodź, pójdziemy za nimi.

Sprawia, że to wszystko staje się dla niej rzeczywiste. Swoimi przebiegłymi umiejętnościami otwiera jej dostęp do wspólnoty zmarłych. Jak łatwo było jej cofnąć się w czasie! Oto dowiedziała się, że teraz może w dowolnym miejscu dotrzeć do przeszłości. To tylko teraźniejszość jest otwarta i trudna do przewidzenia. Ona i Zachariasz płyną przez zamgloną łąkę. Nie odczuwają, że ich stopy dotykają łąki, płynąc opuszczają ośmiokąt, wędrując długą trawiastą drogą do kurhanów na skraju dębowego lasu. Wpływają na rozległą polanę. Pośrodku ziemia została pokryta gliną

przysypaną następnie piaskiem i drobnym żwirem. Na tym fundamencie stoi dom śmierci, czworoboczna budowla bez dachu, ściany tworzą powbijane w ziemię pale. Wewnątrz znajduje się niska, gliniana platforma, na której stoi prosta trumna wyciosana z pnia drzewa, a w niej widać dwa ciała. Młodzi mężczyzna i kobieta leżą obok siebie. Ciała są wyprostowane, piękne nawet po śmierci, odziane w miedziane napierśniki. Mają miedziane kolczyki, bransolety i naszyjniki ze lśniących, żółtawych zębów niedźwiedzia.

Czterech kapłanów staje w czterech rogach domu śmierci. Ich twarze zasłonięte są groteskowymi maskami z drewna, z których sterczą wielkie rogi. W rękach mają dwumetrowe różdżki, podobne do pewnego gatunku trujących grzybów, wykonane z drewna obitego miedzianą blachą. Jeden z kapłanów rozpoczyna chrapliwą, rytmiczną pieśń. Wszyscy podnoszą swoje różdżki i gwałtownie je opuszczają. To sygnał do składania przedmiotów przeznaczonych do grobu. Szeregi żałobników, ugiętych pod ciężkimi pakunkami, zaczynają zbliżać się do domu śmierci. Nie płaczą. Są wręcz radośni. Na twarzach maluje się ekstaza, oczy im błyszczą. Ci ludzie wiedzą to, o czym zapomnieli późniejsze kultury, że śmierć nie jest zakończeniem, a naturalną kontynuacją życia. Należy zazdrościć przyjaciółom, którzy odeszli. Honorują ich bogatymi darami, aby w przyszłym świecie żyli jak królowie. Z worków wyłaniają się samorodki miedzi, żelazo z meteorytów, srebro, tysiące pereł, paciorków z muszli, drewniane i kamienne guziki, okruchy obsydianu, podobizny zwierząt wyrzeźbione z kości i skorupy żółwia, ceremonialne krzemienne siekiery i noże, ludzkie szczęki wyłożone turkusami, ciemne, prymitywne wyroby garncarskie, kościane igły, zwoje tkanin, skręcone węże wyrzeźbione w ciemnym kamieniu, cały stos prezentów układanych wokół ciał, a nawet bezpośrednio na nich.

Wreszcie prezenty zapełniają grób. Kapłani znowu dają znak. Podnoszą różdżki i żałobnicy cofają się na skraj polany, tworząc krąg i zaczynają śpiewać posępny, wibrujący hymn pogrzebowy. Zachariasz zaczyna śpiewać z nimi bez słów, upiększając melodię melizmatami. Jego głos to bogaty *basso cantante*, tak niezwykle dźwięczny, że Sybille jest wzruszona i patrzy na niego z podziwem. Nagle przerywa śpiew, zwraca się do niej, dotykając jej ramienia:

–Śpiewaj z nami.

Sybille przytakuje z wahaniem. Przyłącza się do śpiewu. Z początku niepewnie, z gardłem ściśniętym zakłopotaniem, ale po chwili czuje, że staje się częścią rytuału i odczuwa

przyływ pewności siebie. Jej czysty sopran wznosi się świetliście ponad inne głosy.

Rozpoczyna się kolejny rytuał. Chłopcy wypełniają dom śmierci łatwopalnymi materiałami – patykami, gałęziami, grubymi konarami. Składają je na stos, aż dom śmierci niknie z oczu, a kapłani dają znak zakończenia rytuału. Wtedy z lasu wychodzi kobieta niosąca zapaloną pochodnię. Jest całkiem naga. Jej szczupłe ciało pomalowano w zielone i czerwone poziome pasy na piersiach, pośladkach i udach, a długie czarne włosy spływają na plecy jak płaszcz. Podbiega do domu śmierci. Dotyka pochodnię chrustu w kilku miejscach, tańcząc dziko, aż wreszcie rzuca

plonąca pochodnię na sam szczyt stosu. Płomienie buchają gwałtownie ku niebu. Sybille czuje żar. Ogień szybko trawi stos i dom śmierci. Węgla jeszcze się żarzą, kiedy ludzie zaczynają znosić ziemię. Cała społeczność bierze udział w obrzędzie, z wyjątkiem kapłanów, którzy stoją nieruchomo w centralnym punkcie polany i dziewczyny, która leży jak odrzucony łachman na jej skraju. Za ścianą pobliskich drzew widnieje głęboki dół. Żałobnicy całymi szeregami udają się do dołu, nabierają ziemię w kosze, skórzane worki lub niosą jej bryły gołymi rękami do spalonego domu śmierci. W milczeniu zrzucają swój ciężar w popioły i wracają po więcej.

Sybille patrzy na Zachariasza, który daje znak. Stają w szeregu. Sybille schodzi do dołu, wrywa ze ściany grudę wilgotnej, czarnej, gliniastej ziemi i niesie ją do szybko rosnącego kurhanu. Wznosi się już na dwie stopy nad poziomem łąki, na trzy, wreszcie na cztery. Puchnący bąbel, którego zarys wyznaczają czterej stojący nieruchomo kapłani. Jego kształt formowany jest depczącymi go bosymi stopami. Tak – myśli Sybille – to odpowiedni sposób uczczenia śmierci, właściwy rytuał. Pot ścieka po jej ciele, ubranie ma brudne i zabłocone, ale wciąż biega od stosu do dołu w ziemi i od dołu do stosu, przemieniona, w ekstazie.

Nagle urok pryska. Coś się nie udało. Nie wie co. Mgła rzednie. Słońce razi ją w oczy. Kapłani, budowniczo kurhanu i nie zakończony kurhan znikają. Sybille i Zachariasz stoją ponownie w centrum ośmiokąta. Wózki golfowe mijają ich ze wszystkich stron. Troje dzieci z rodzicami stoją zaledwie o kilka stóp od niej, wpatrując się w nią. Chłopiec ma może dziesięć lat, wskazuje na Sybille i pyta głosem, który rozbrzmiewa chyba na pół stanu Ohio:

–Tato, coś z nimi jest nie w porządku. Dlaczego wyglądają tak dziwnie?

–Spokój, Tommy – wykrztusiła matka. – Czemu nie umiesz się zachować?

Ojciec, wściekły, wymierza mu końcami palców siarczystego klapsa, chwyta za rękę i ciągnie w drugą stronę parku. Reszta rodziny rusza za nimi.

Sybille drży, odwraca się, zasłania oczy rękami. Zachariasz obejmuje ją.

–Już dobrze – mówi łagodnie. – Ten chłopczyk niczego nie rozumie.

–Zabierz mnie stąd!

–Chciałem ci pokazać...

–Innym razem. Zabierz mnie do motelu, nie chcę nic więcej oglądać. Nie chcę, żeby ktokolwiek się na mnie gapił.

Zabiera ją do motelu. Przez godzinę Sybille leży na łóżku z twarzą w poduszce, wstrząsana szlochem. Kilkakrotnie powtarza Zachariaszowi, że nie może kontynuować wycieczki i pragnie wracać do Zimnego Miasta. On nic nie mówi, gładzi tylko spięte mięśnie na jej karku. Po chwili smutny nastrój mija. Sybille odwraca się do niego, ich oczy się spotykają. Dotyka jej i zaczynają się kochać tak, jak to zwykli czynić ożywieni.

## Rozdział 3

**Nowość to odnowienie: ad hoc enim venit, ut renovemur in illo; uczynienie tak nowym, jak pierwszego dnia; herrlich wie om ersten Tag. Metamorfoza lub renesans; odrodzenie. Życie jest jak feniks. Zawsze odrodzi się ponownie z własnej śmierci. Prawdziwą istotą życia jest zmartwychwstanie. Totus hic ordo revolubilis testatio est resurrectionis mortuorum. Układ powtórzeń świadczy o zmartwychwstaniu.**

**Norman O. Brown, Love's Body**

**–Deszcze rozpoczną się niebawem, proszę państwa – powiedział taksówkarz, prowadząc wóz wąską szosą prowadzącą do miasta Zanzibar. Gadał bez przerwy, zupełnie nie żywiąc obaw wobec swoich pasażerów. Pewnie nie wie, kim jesteśmy – pomyślała Sybille.**

**–Zaczną się za tydzień lub dwa. To będzie długa pora deszczowa. Krótka trwa pod koniec listopada i w grudniu.**

**–Tak, wiem – powiedziała Sybille.**

**–Pani już była na Zanzibarze?**

**–Tak, w pewnym sensie – odparła.**

**W pewnym sensie to na Zanzibarze była wiele razy, a teraz spokojnie przyjmowała to, że prawdziwy Zanzibar zaczynał powoli odciskać piętno na jej umyśle i wyśnionym obrazie Zanzibaru, który nosiła w swoim sercu tak długo. Obecnie wszystko przyjmowała ze spokojem – nic jej nie podniecało ani nic nie mogło wzburzyć. W jej poprzednim życiu postój na lotnisku doprowadziłby ją do furii. Dziesięciominutowy przelot po to, by siedzieć w puszcze samolotu na pasie startowym dwa razy dłużej! Cały czas jednak zachowała spokój, siedząc prawie bez ruchu i słuchając przemowy Zachariasza, włączając się od czasu do czasu do dyskusji, jak gdyby wysyłała wiadomości z daleka, z innej planety. A teraz z podobnym spokojem przyjmowała Zanzibar. Dawniej, za życia, odczuwała pewien rodzaj paradoksalnego zdumienia, gdy stykała się z czymś, co знаła z lekcji geografii, filmów czy z turystycznych plakatów: Wielki Kanion Kolorado, panorama Manhattanu czy Taos Pueblo, które w rzeczywistości wyglądały dokładnie tak, jak sobie je wyobrażała. A obecnie była na Zanzibarze, który otwierał się przed nią zgodnie z jej oczekiwaniami, ale ona patrzyła nań chłodnym okiem kamery, bez wzruszenia i emocji. Gorące, wilgotne powietrze było ciężkie od zapachów, i to nie tylko z powodu wszechobecnego, ostrego zapachu goździków, ale także od łagodniejszych aromatów, które pochodziły prawdopodobnie od hibiskusa, czerwonego jaśminu i innych krzewów oraz pnączy, wlewających się przez okno taksówki niczym macki. Wyczuwało się bliskość pory deszczowej. W każdej chwili kurtyna mogła się podnieść, by nastąpił potop. Wzdłuż szosy rozciągały się włochate ściany palm, przerywane gdzieniegdzie**

**szopami krytymi blaszanym dachem. Za nimi ciągnęły się tajemnicze, ciemne zagajniki, gęste i obce. Wzdłuż drogi można było napotkać przeszkody normalne dla krajów tropikalnych – kury, kozy, nagie dzieci, stare kobiety o pomarszczonych twarzach i bezzębnych ustach, absolutnie nie zwracające uwagi na przejeżdżającą**

taksówkę. Samochód zaś mknął równiną w kierunku półwyspu, na którym wyrosło miasto Zanzibar. Wydawało się, że temperatura rośnie z minuty na minutę. Pięć wilgotnego upału powoli zaciskała się nad wyspą.

–Tu bulwar nadbrzeżny – powiedział kierowca. Jego głos brzmiał niczym chrapliwe mruczenie, natrętne, mające w sobie nutkę wyższości. Piasek na plaży był olśniewająco biały, a woda miała kolor rażącego w oczy błękitu. Dwie arabskie łodzie wypływały sennie z portu. Ich łacińskie żagle wyginały się lekko pod naporem łagodnej bryzy.

–Proszę państwa, a po tej stronie...

Ogromny czteropiętrowy, biały, drewniany budynek, i cały udekorowany długimi werandami i balustradami z kutego żelaza, przykryty był obszerną kopułą. Sybille rozpoznała go i wiedziała, co za chwilę powie kierowca. Słuchała go podświadomie.

–...Beit al-Ajaib, Dom Cudów, dawniej budynek rządowy. To tutaj sułtan urządzał swoje słynne bankiety. Tu zjeżdżały się znakomitości z całej Afryki. Teraz jest nie zamieszkały. Obok stoi pałac sułtana, obecnie Pałac Ludu. Czy chcecie państwo obejrzeć Dom Cudów? Jest otwarty. Możemy się zatrzymać. Oprowadzę państwa.

–Innym razem – powiedziała Sybille obojętnie. – Zostaniemy tu jakiś czas.

–Nie przyjechaliście tu na jeden dzień?

–Nie. Na tydzień lub dłużej. Przyjechałam studiować historię waszej wyspy. Na pewno odwiedzę Beit alAjaib, ale nie dzisiaj.

–Tak, tak. Nie dzisiaj. Bardzo dobrze. Proszę mnie wezwać. Zaprowadzę wszędzie. Nazywam się Ibuni.

Uśmiechnął się do niej przez ramię, pokazując białe zęby i nagłym ruchem kierownicy wcisnął taksówkę; w labirynt wijących się uliczek i zaułków składających się na Stonetown – dawną dzielnicę arabską.

Panowała tu niezwykła cisza. Masywne, białe, kamienne budynki zwrócone były ślepyimi ścianami do ulicy, bo wąskie okna zasłaniały drewniane okiennice. Większość drzwi – sławnych ozdobnych drzwi ze Stonetown, bogato rzeźbionych, przemyślnie inkrustowanych mosiądzem, każde stanowiące dzieło islamskiej sztuki – było zamkniętych. Sklepy wyglądały nędznie, a ich okna wystawowe pokrywała gruba warstwa kurzu i naniesionego wiatrem piasku. Większość szyldów była tak wyblakła i nieczytelna, że Sybille z trudem mogła niektóre odczytać.

# PREMCHAND'S EMPORIUM

MONOS CURIOS

ABDULLAH'S BROTHERHOOD

MOTILAL'S BAZAAR

Arabów już dawno nie było na Zanzibarze. Wyjechało także wielu Hindusów, chociaż mówiło się, że wracają chyłkiem małymi grupkami. Od czasu do czasu, w miarę jak taksówka jechała krętymi uliczkami Stonetown, napotykali długie limuzyny produkcji rosyjskiej lub chińskiej, prowadzone przez szoferów i mające za pasażerów ciemnoskórych mężczyzn w białych szatach. Urzędnicy, jak przypuszczała Sybille, załatwiający sprawy państwowe. Innych pojazdów nie było widać. Nie widziała wielu przechodniów, z wyjątkiem kilku czarno odzianych kobiet. Stonetown nie tryskało życiem, tak jak okoliczne pola uprawne. Sprawiało na niej wrażenie miejsca przeznaczonego dla duchów i idealnie pasującego na wakacje dla ożywionych. Spojrzała na Zachariasza, który skinął jej głową i uśmiechnął się. Był to szybki, przelotny uśmiech, wyrażający zrozumienie dla jej odczuć, potwierdzający, że odczuwa to samo. Porozumienie pomiędzy zmarłymi następowało szybko, a rzeczy oczywiste nie wymagały słów.

Droga do hotelu wydawała się niezmiernie zawiła, a kierowca często zatrzymywał się przed sklepami z pamiątkami, pytając z nadzieją:

–Czy nie potrzebujecie mosiężnych szkatulek, miedzianych naczyń, srebrnych pamiątek, chińskich talizmanów?

Chociaż Sybille delikatnie odmawiała jego propozycjom, on wciąż wskazywał im bazyry i sklepy, na poważnie zachwalając ich wysoką jakość i umiarkowane ceny. Stopniowo Sybille zdała sobie sprawę, że niektóre skrzyżowania minęli już kilkakrotnie. Właściciele sklepów musieli chyba płacić kierowcy prowizję od sprowadzonych turystów.

–Proszę zawieźć nas do hotelu – powiedziała Sybille, kiedy kierowca w dalszym ciągu zachwalał różne towary: najlepsza kość słoniowa, najlepsze koronki... Powiedziała to w sposób zdecydowany, ale wciąż nie straciła cierpliwości. Taka zmiana z pewnością sprawiłaby Jorge'owi przyjemność. Zbyt często padał ofiarą wybuchów jej temperamentu. Był to zapewne produkt uboczny jej nowego metabolizmu albo skutek dwóch lat opieki Ojca Opiekuna w Zimnym Mieście, a może wynik jej nowej świadomości, wykazującej logicznie, że wszelki pośpiech w jej sytuacji jest absurdem?

–Oto wasz hotel – powiedział wreszcie Ibuni.

Był to stary arabski dom: wysokie łuki, niezliczone balkony, zatęchłe powietrze, leniwie obracające się elektryczne wentylatory w ciemnych holach. Sybille i Zachariasz dostali rozległy apartament na trzecim piętrze z oknem wychodzącym na ogród pełen palm i ozdobnych krzewów. Mortimer, Gracchus i Nerita, którzy przybyli znacznie wcześniej inną taksówką, mieli podobny apartament piętro niżej.

–Wykąpię się – powiedziała Sybille do Zachariasza. – Będziesz w barze?

–Pewnie tak albo przejdę się po ogrodzie.

Wyszedł. Sybille szybko zrzuciła swoje przepecone ubranie podróżne. Łazienka

była urządzona z łańcuchem bizantyjskim przepychem. Kolorowe kafelki ułożone były w wyszukane wzory. Ogromna, żółta wanna wznosiła się wysoko na nóżkach z brązu w kształcie orlich

szponów. Ciepła woda zaczęła ciec niewielkim strumieniem po odkręceniu kranu do końca. Uśmiechnęła się do swego odbicia w wysokim, owalnym lustrze. Podobne lustro miała w domu, w którym dokonywano zabiegów ożywienia. Następnego ranka po ożywieniu kilku zmarłych przyszło do jej pokoju, by uczcić udaną transformację i przynieśli ze sobą wielkie zwierciadło. Delikatnie i z wielką ceremonią zdjęli z niej kołdrę, żeby mogła się w lustrze ujrzeć naga, wąska w talii, szczupła, z wysokimi piersiami; piękno jej ciała pozostało niezmiennym w wyniku śmierci i ożywienia, a nawet jeszcze udoskonalone, więc po tych strasznych przejściach wyglądała młodziej i promiennie.

–Jesteś bardzo piękną kobietą.

To powiedział Pablo. Później poznała ich imiona.

–Czuję ogromną ulgę. Obawiałam się, że po obudzeniu będę wyglądała okropnie.

–Tak się nigdy nie dzieje – powiedział Pablo.

–I nigdy się nie stanie – powiedziała młoda kobieta. Miała na imię Nerita.

–Ale zmarli również się starzeją, prawda?

–O tak, starzejemy się, ale nie w sposób, jak żyjący.

–Wolniej?

–Znacznie wolniej, a także inaczej. Wszystkie nasze procesy biologiczne są spowolnione, z wyjątkiem działania mózgu, który działa szybciej niż za życia.

–Szybciej?

–Sama się przekonasz.

–To wszystko brzmi idealnie.

–Mamy niezwykle szczęście. Życie było dla nas niezmiernie łaskawe. A nasza obecna pozycja jest wręcz idealna. Jesteśmy nową arystokracją.

–Nowa arystokracja...

\* \* \*

Sybillie wolno zanurzyła się w wannie i czując chłodną porcelanę, ułożyła się wygodnie, pozwalając, by letnia woda sięgnęła jej podbródka. Zamknęła oczy. Ogarnął ją spokój. Zanzibar czekał na nią. Te wszystkie ulice. Nigdy nie myślałam, że je kiedykolwiek zobaczę. Niech sobie Zanzibar poczeka. Niech poczeka. Te wszystkie słowa. Nigdy nie myślałam, że je kiedykolwiek wypowiem. Pozostawiłam swe ciało na dalekim brzegu, a teraz mam czas na wszystko. Wszystko we właściwym czasie.

–Jesteś bardzo piękną kobietą – powiedział jej Pablo i to wcale nie było pochlebstwo.

Tamtego poranka chciała im wyjaśnić, że wcale nie przejmowała się wyglądem swego ciała, że zależało jej na czymś ważniejszym. Nie trzeba było jednak nic wyjaśniać. Rozumieli wszystko bez słów. Mimo to przejmowała się jednak trochę swoim ciałem. Piękno było dla niej rzeczywiście mniej ważne niż dla kobiet, dla których uroda była jedynym atutem.

Niemniej ciało sprawiało jej przyjemność i wiedziała, że wywoływało podobne

wrażenie u innych. Ułatwiało jej kontakty z ludźmi, zawieranie znajomości i była za to wdzięczna. Jednak w poprzednim życiu, przyjemność wynikającą z posiadania pięknego ciała psuła świadomość jego nieuniknionego i powolnego starzenia, świadomość utraty tego przypadkowego atutu, jaki dawała jej uroda. Obecnie jej to nie groziło. Będzie się zmieniać w miarę upływu czasu, ale bez uczucia, jakie mają osoby żyjące, że ulega powolnemu rozkładowi. Ożywione ciało nie zdradzi jej, stając się brzydkie.

–Jesteśmy nową arystokracją...

Po kąpieli stała przez kilka minut w otwartym oknie, wystawiając swe nagie ciało na działanie wilgotnej bryzy od morza. Zaczęły dobiegać do niej różne odgłosy – odległe dzwonki, jazgot tropikalnych ptaków, głosy dzieci śpiewających w niezrozumiałym języku. Zanzibar! Kraj sułtanów i przypraw, Livingstone’a i Stanleya, Tippu Tiba – handlarza niewolników. Może sir Richard Burton spędził noc właśnie w tym pokoju. Odczuła suchość w gardle i budzące się w niej podniecenie. Miała poczucie oczekiwania, ciekawości. Przed nią leżał Zanzibar! Bardzo dobrze. Rusz się, Sybille, ubierz się, zjedz obiad i rozejrzyj po mieście.

Wyjęła z walizki lekką bluzkę i szorty. Wtedy do pokoju wrócił Zachariasz.

–Kent, czy myślisz, że kobieta może tutaj nosić takie szorty? – zapytała, nie podnosząc oczu. – One są...

Zamilkła, kiedy ujrzała jego twarz.

–Co się stało?

–Właśnie rozmawiałem z twoim mężem.

–On jest tutaj?

–Podszedł do mnie w holu. Znał moje nazwisko. Powiedział: „Pan nazywa się Zachariasz” z taką lekką chrypką Humphreya Bogarta w głosie, jak zdradzony filmowy mąż do tego trzeciego. „Gdzie ona jest? Muszę się z nią zobaczyć”.

–Och, nie, Kent.

–Pragnąłem się dowiedzieć, czego od ciebie chce, ale odpowiedział, że jest twoim mężem. Ja odparłem, że może był twoim mężem kiedyś, ale sytuacja się zmieniła i wtedy...

–Nie mogę sobie wyobrazić, żeby Jorge mógł się tak zachować. – Przerwała mu. – Był zawsze delikatny i dobrze wychowany. Jak wyglądał?

–Jak szaleniec – powiedział Zachariasz. – Niewidzące oczy, napięte mięśnie twarzy, oznaki szalonego stresu. Przecież wie, że nie powinien tego robić.

–Doskonale wie, jak ma się zachować. Co za głupia historia! Gdzie jest teraz?

–Wciąż na dole. Rozmawia z Neritą i Laurencem. Nie chcesz się z nim spotkać, prawda?

–Naturalnie, że nie.

–Napisz mu liścik, a ja mu go przekażę. Powiedz, żeby splywał.

Sybille pokręciła przecząco głową.

–Nie chcę mu sprawić przykrości.

–Sprawić mu przykrości? Włókł się za tobą przez pół świata niczym chory z miłości chłopczyk. Narusza twoją prywatność. Przerwał nam ważną podróż. Nie



stosuje się do zwyczajowych zasad regulujących stosunki pomiędzy żywymi a zmarłymi, a ty...

–On mnie kocha, Kent.

–Kochał cię. Rozumiem to. Na to się zgodzę. Jednakże osoba, którą kochał, już nie istnieje. Musi sobie zdać z tego sprawę.

Sybille zamknęła oczy.

–Nie chcę mu sprawiać przykrości. Nie chcę również, abyś ty sprawił przykrość jemu.

–Nie sprawię tego. Spotkasz się z nim?

–Nie.

Mruknęła coś w zakłopotaniu i rzuciła ubranie na krzesło. Poczowała gwałtowne pulsowanie w skroniach. Takiego zagrożenia nie pamiętała od czasu tego straszego dnia przy kurhanach w Newark. Wyrzała przez okno. Może miała wrażenie, że ujrzy Jorge'a rozmawiającego z Neritą i Laurencem na podwórzu. Nikogo jednak nie zobaczyła poza boyem hotelowym, który popatrzył na jej nagie piersi i obdarzył szerokim uśmiechem. Sybille odwróciła się do niego tyłem i powiedziała bezbarwnym głosem:

–Zejdź na dół. Powiedz mu, że nasze spotkanie jest niemożliwe. Użyj dokładnie takiego sformułowania. Nie mów, że nie chcę się z nim spotkać, nie mów, że takie spotkanie nie jest właściwe, ale że jest niemożliwe. Zadzwoń na lotnisko. Chcę wrócić do Dar jeszcze dziś wieczorem.

–Przecież dopiero przyjechaliśmy!

–To nie ma znaczenia. Wrócimy innym razem. Jorge jest bardzo uparty. Nie pogodzi się z niczym oprócz brutalnej odmowy, a tego nie chcę mu zrobić. Musimy zatem wyjechać.

\* \* \*

Klein jeszcze nigdy nie widział ożywionych z tak bliska. Ostrożnie i z zakłopotaniem rzucał ukradkowe spojrzenia na Kenta Zachariasza siedzącego obok niego w wyplatany fotelu wśród doniczkowych palm hotelowego holu. Jijibhoi uprzedził go, że to właściwie nie rzucało się w oczy, ale odbierało się podświadomie, a nie w wyniku obserwacji oznak zewnętrznych. I rzeczywiście tak było. Charakterystyczny wyraz oczu, ten typowy utkwiony w jeden punkt wzrok zmarłych, a także dziwna bladość skóry pod żywymi rumieńcami Zachariasza były czymś nietypowym. Gdyby jednak Klein nie wiedział, kim jest Zachariasz, pewnie by tego nie zauważył. Próbował wyobrazić sobie tego rudego, rumianego archeologa, tego kreta ziemnych kurhanów w łóżku z Sybille, robiących to, co robili zmarli w czasie aktu miłości. Nawet Jijibhoi nie znał szczegółów. Były dotyki, spojrzenia, szepty i uśmiechy, jak uważał Jijibhoi, ale genitalia nie brały w tym udziału. Przecież rozmawiam z kochankiem

Sybille! Jakie to dziwne, że się tym tak denerwował. Miała przecież swoje przygody za życia, podobnie jak on; zresztą jak chyba wszyscy. Taka była norma. Teraz czuł się jednak zagrożony, pokonany i zniszczony przez tego chodzącego trupa, jej kochanka.

**–Niemożliwe? – zapytał Klein.**

**–Tak właśnie powiedziała.**

**–Czy nie mogę zobaczyć się z nią choć przez dziesięć minut?**

**–Niemożliwe.**

**–Nawet przez kilka chwil? Chciałbym wiedzieć, jak ona wygląda.**

**–Czy nie uważa pan za upokarzające tak zabiegać o jeden rzut oka na nią?**

**–Tak.**

**–Ale w dalszym ciągu pan tego chce?**

**–Tak.**

**–Przykro mi, nie mogę nic dla pana zrobić – powiedział Zachariasz z westchnieniem.**

**–Może Sybille jest zmęczona po podróży. Czy nie myśli pan, że jutro będzie w lepszym nastroju?**

**–Może – powiedział Zachariasz. – Niech pan przyjdzie jutro.**

**–Dziękuję panu bardzo.**

**–*De nada.***

**–Czy mogę panu postawić drinka?**

**–Nie, dziękuję – powiedział Zachariasz. – Nie piję od czasu, gdy... – uśmiechnął się.**

**Klein czuł alkohol w oddechu Zachariasza. No cóż, pójdzie sobie. Kierowca taksówki czekającej w pobliżu hotelu wychylił głowę z okna wozu i zapytał z nadzieją w głosie:**

**–Może panowie chcą zwiedzić wyspę? Plantacje goździków, stadion...?**

**–Już je widziałem – powiedział Klein. – Zawieź mnie na plażę.**

**Popołudnie spędził, obserwując małe turkusowe fale muskające różowy piasek. Następnego dnia wrócił do hotelu, w którym mieszkała Sybille, ale wszyscy zmarli odlecieli ostatnim wieczornym samolotem do Dar, jak poinformował go zakłopotany recepcjonista. Klein zapytał, czy może zatelefonować i recepcjonista wskazał mu stary aparat w niszy koło baru. Zadzwoił do Barwaniego.**

**–Co się dzieje? – zapytał. – Powiedział pan, że zostaną tu co najmniej tydzień.**

**–No cóż, sytuacja się zmieniła – odparł Barwani łagodnie.**

## Rozdział 4

*Jakie są perspektywy? Co przyniesie przyszłość? Nie wiem. Nie mam przeczuć. Kiedy pająk rzuca się w dół z jakiegoś punktu, zgodnie ze swoją naturą, widzi zawsze przed sobą tylko pustą przestrzeń, gdzie nie może znaleźć oparcia dla nóg niezależnie od tego, jak szeroko je rozstawi. Tak samo jest ze mną. Przedemną zawsze jest pusta przestrzeń. To, co pcha mnie naprzód, to czynnik leżący poza mną. Życie jest postawione na głowie i straszne. Nie można tego wytrzymać.*

*Søren Kierkegaard, Albo-albo*

–Drogi przyjacielu, jeżeli chodzi o cały złożony problem śmierci, to kto może stwierdzić, co jest słuszne? – powiedział Jijibhoi. – Kiedy byłem chłopcem w Bombaju, nasi sąsiedzi hinduiści praktykowali zwyczaj sati, to znaczy spalenie wdowy na stosie pogrzebowym jej męża. Na jakiej podstawie możemy nazwać ich barbarzyńcami? Oczywiście – jego ciemne oczy błysnęły figlarnie – nazywaliśmy ich barbarzyńcami, ale nigdy wtedy, kiedy mogli nas usłyszeć. Chcesz jeszcze curry?

Klein opanował westchnienie. Był już syty, a curry było bardzo ostre, ostrzejsze niż zazwyczaj jadał. Jednakże gościnność Jijibhoia miała w sobie coś takiego, że odmowa wydawała się Kleinowi niemal bluźnierstwem. Uśmiechnął się i skinął potakująco głową, a Jijibhoi nałożył górę ryżu na talerz Kleina, ukrył ją pod gęstym baranym curry i udekorował hinduskimi przyprawami. Bez słowa żona Jijibhoia wyszła do kuchni i wróciła z butelką zimnego piwa. Przesłała Kleinowi wstydlivy uśmiech, stawiając butelkę przed nim na stole. Tych dwoje parsów, jego gospodarze, świetnie ze sobą współpracowało.

Stanowili elegancką parę, nawet bardzo. Jijibhoi był wysoki, prosty jak trzcina, z wydatnym orlim nosem, ciemną, lewantyńską skórą, włosami czarnymi jak skrzydło kruka i ogromnymi wąsami. Jego dłonie i stopy były bardzo małe. Sposób bycia miał uprzejmy i powściągliwy. Ruchy szybkie, wręcz nerwowe. Klein przypuszczał, że przekroczył już czterdziestkę, ale równie dobrze mógł mylić się o dziesięć lat w obie strony. Jego żona (dziwne, ale Klein nigdy nie poznał jej imienia) była młodsza i dorównywała mu wzrostem. Miała jaśniejszą cerę o lekko oliwkowym odcieniu i zmysłową figurę. Zawsze była ubrana w zwiewne, jedwabne sari. Jijibhoi ubierał się po europejsku w garnitur i koszulę z krawatem, które wyszły z mody dwadzieścia lat temu. Klein żadnego z nich nie widział nigdy z odkrytą głową. Ona zawsze nosiła białą lnianą chusteczkę, a on krymkę, która powodowała, że mylono go z orientalnym Żydem. Byli bezdzietni i samowystarczalni. Tworzyli zamkniętą idealną jednostkę składającą się z dwóch części tej samej całości, połączonych i niepodzielnych, tak jak kiedyś Klein i Sybille. Ich harmonijna wymiana myśli i gestów trochę peszyła i krępowała innych, podobnie było kiedyś z Kleinem i Sybille.

–W twoich stronach... – zaczął Klein.

–Och, zupełnie inaczej i całkiem wyjątkowo. Czy znasz nasze zwyczaje pogrzebowe?

–Pozostawiacie zmarłych na otwartym powietrzu, prawda?

–Najstarszy program ponownego wykorzystania – zaśmiał się Jijibhoi. – Wieże Milczenia...

Wstał i podszedł do okna. Stał plecami do Kleina, wpatrując się w liczne światła Los Angeles. Dom z drewna tropikalnego i szkła stał wsparty na podporach na skraju Benedict Canyon, tuż poniżej Mulholland. Panorama obejmowała Hollywood po Santa Monica.

– Jest takich wież w Bombaju pięć – ciągnął Jijibhoi. – Położone są na Wzgórzu Malabarskim, z którego widać Morze Arabskie. Liczą setki lat. Są okrągłe. Mają po kilkaset stóp w obwodzie. Otoczone są murem wysokim na dwadzieścia lub trzydzieści stóp. Kiedy umiera pars... Wiedziałaś coś o tym?

– Niewiele. Opowiedz mi.

– Kiedy umiera pars, odnosi się go do wieży na żelaznych marach. Żałobnicy idą za nim w procesji parami, a każda trzyma białą chustę. To piękna scena. W kamiennym murze jest brama, przez którą przechodzą tylko ludzie niosący mary. Nikt poza nimi nie może wejść do wieży. W środku znajduje się okrągły postument wyłożony kamiennymi płytami, na nim zaś rozmieszczone są zagłębienia w trzech rzędach. W zagłębieniach rzędu zewnętrznego składa się ciała mężczyzn, w następnym rzędzie kobiet, a w rzędzie najbliższym środkowi – dzieci. Z wysokich palm w ogrodach otaczających wieże zlatują się sępy. Po godzinie lub dwóch, z ciał pozostają jedynie kości. Później nagi, wysuszony przez słońce szkielet wrzucony zostaje do wnętrza wieży. Bogaci czy biedni rozpadają się w proch razem.

– Czy wszystkie pogrzeby parsów odbywają się w ten sposób?

– Nie, wcale nie – powiedział Jijibhoi z uśmiechem. – Wszystkie stare tradycje obecnie zanikają. Nie wiedziałaś o tym? Nasza młodzież opowiada się za kremacją czy zwykłym pochówkiem. A jednak jeszcze wielu dostrzega piękno tego zwyczaju.

– Piękno?

– Chowanie zmarłych w ziemi – spokojnym głosem wyjaśniła żona Jijibhoia – w tropikalnych krajach narażonych na wiele zakaźnych chorób, wydaje się nam niezbyt higieniczne. Kremacja oznacza zmarnowanie jego substancji. Oddanie ciał zmarłych głodnym ptakom szybko, czysto i bez zamieszania jest dla nas formą uczczenia natury i oszczędności. Zmieszanie się kości we wspólnym dole jest dla nas ostatecznym wyrazem demokracji.

– A sępy nie roznoszą chorób, żywiąc się ciałami...

– Nigdy – powiedział Jijibhoi zdecydowanie. – Ani nie zapadają na ludzkie choroby.

– Jak rozumiem, wy oboje zamierzacie... – Klein, przerwał skonsternowany, odkaszlnął i uśmiechnął się słabo. – Widzicie, co wasze radioaktywne curry zrobiło z moim dobrym wychowaniem? Przepraszam. Jestem tu gościem i wypyuję, co zamierzacie zrobić ze swoim pogrzebem!

– Drogi przyjacielu – zaśmiał się Jijibhoi – śmierć dla nas nie straszna. To, nie muszę chyba tego podkreślać, zjawisko naturalne. Przez pewien czas jesteśmy tutaj, a później odchodzimy. Kiedy przyjdzie pora, ja i moja żona udamy się do Wież Milczenia.

– Lepiej tam niż do Zimnych Miast! Znacznie lepiej! – dodała jego żona ostro. Klein jeszcze nigdy nie widział u niej takiej gwałtownej reakcji.

Jijibhoi odwrócił się od okna i spojrzął na nią gniewnie. To też Klein zaobserwował po raz pierwszy. Wydawało się, że delikatna pajęczyna wyszukanej grzeczności, jaką tych dwoje snuło przez cały wieczór wokół niego, zaczęła się nagle rwać, a nawet stosunki pomiędzy Jijibhoiem i jego żoną stały się napięte. Podniecony i roztrzęsiony Jijibhoi zaczął zbierać puste naczynia i dopiero po dłuższym, kłopotliwym milczeniu powiedział:

–Ona nie chciała cię urazić.

–Dlaczego miałbym się czuć urażony?

–Osoba, którą kochasz, wybrała Zimne Miasto. Mogłeś to pojąć jako krytykę pod jej adresem.

Klein wzruszył ramionami.

–Przecież miała prawo mieć swoje poglądy na temat ożywiania. Zastanawiam się tylko... – przerwał, rozważając, czy może być aż tak dociekliwy.

–Tak?

–Już nieważne.

–Proszę cię, dokończ... Przecież jesteśmy przyjaciółmi.

–Zastanawiałem się – powiedział Klein powoli – czy nie jest ci trudno spędzać cały czas ze zmarłymi, badając ich sposób spędzania czasu, poświęcając im swoją karierę w sytuacji, gdy twoja żona najwyraźniej pogardza Zimnymi Miastami i wszystkim, co reprezentują. Jeżeli twoja praca jest dla niej odrażająca, to przecież nie możesz dzielić się z nią swymi problemami.

–Och – powiedział Jijibhoi i widać było, że jego napięcie zupełnie znikło. – Jeśli o mnie chodzi, to osobiście jeszcze mniej podziwiam proces ożywiania niż ona.

–Naprawdę? – Tego Klein nigdy nie podejrzewał. – Odpycha cię to? Dlaczego zatem się tym zajmujesz?

–Czy uważasz, że należy kochać przedmiot swych badań? – Jijibhoi wyglądał na szczerze ubawionego. – Spójrz na siebie. Jesteś z pochodzenia Żydem, a swoją pracę doktorską poświęciłeś wczesnemu okresowi Trzeciej Rzeszy, prawda?

–*Touche!* – przyznał Klein.

–Jako socjolog uważam subkulturę zmarłych za fascynującą – kontynuował Jijibhoi. – To niezwykle farta dla naukowca, kiedy pojawia się w trakcie jego kariery zupełnie nowy aspekt ludzkiej egzystencji. Nie istnieje dla mnie bogatszy materiał badawczy. A jednak nie mam najmniejszego zamiaru decydować się na ożywienie. Dla nas przeznaczone są Wieże

Milczenia, gorące słońce, sępy i koniec, *finis*, ostatnia stacja.

–Nie wiedziałem, że tak to odbierasz. Myślę, że gdybym wiedział więcej o teologii parsów, zrozumiałbym...

–Nie. Wciąż nie rozumiesz. Nasze wątpliwości nie mają religijnego podłoża. Po prostu mamy życzenie, aby nie kontynuować życia poza wyznaczony mu termin. Mam również poważne zastrzeżenia, co do samego wpływu ożywiania na nasze społeczeństwo. Odczuwam poważne zaniepokojenie cielesną obecnością zmarłych wśród nas. Obawiam się ich prywatnie, podobnie jak i samej ich subkultury. Czuję wręcz odrazę... – Jijibhoi zawahał się. – Może użyłem zbyt mocnego słowa.

Przepraszam, ale widzisz, jak skomplikowana jest moja postawa wobec tego zjawiska. To mieszanina fascynacji i obrzydzenia. Żyję w ciągłym napięciu między dwoma biegunami. Ale po co ci to mówię? Jeżeli cię to nie denerwuje, to pewnie nudzi. Pomówmy lepiej o twojej wyprawie na Zanzibar.

–Co można powiedzieć. Pojechałem, czekałem parę tygodni na jej pojawienie się, ale nie mogłem się z nią spotkać i wróciłem do domu.

–Co za rozczarowanie!

–Była w swoim pokoju. Nie pozwolili mi pójść do niej.

–Nie pozwolili?

–Jej towarzystwo. Była w towarzystwie czworga innych ożywionych. Była to kobieta i trzech mężczyzn. Sybille mieszkała w jednym pokoju z tym archeologiem, Zachariaszem. To właśnie on uniemożliwił mi spotkanie z nią i zrobił to bardzo przebiegle. Zachowywał się tak, jakby do niego należała. Choć może tak jest. Co możesz mi o tym powiedzieć, Framji? Czy zmarli zawierają małżeństwa? Czy Zachariasz jest nowym mężem?

–To wątpliwe. Pojęcia „żona” i „mąż” nie są używane wśród zmarłych. Nawiązują stosunki wzajemne, ale nie łączą się w pary. Tworzą natomiast grupy udające rodziny, składające się z trzech, czterech, a nawet więcej osób, które...

–Czy chcesz powiedzieć, że jej czworo towarzyszy na Zanzibarze, to jej kochankowie?

Jijibhoi wykonał wiele mówiący gest.

–Któż może wiedzieć? Jeżeli masz na myśli znaczenie czysto fizyczne, to wątpię, ale nigdy nie można być tego pewnym. Wydaje mi się, że Zachariasz jest jej jakimś specjalnym towarzyszem. Pozostali również mogą należeć do jej nowej rodziny, może nie wszyscy, ale może i żadne z nich. Mam podstawy do twierdzenia, że w pewnych sytuacjach każdy zmarły może powołać się na związki rodzinne z innymi. Któż może jednak wiedzieć to na pewno? Widzimy postępowanie tych istot, jakbyśmy obserwowali je przez przydymione szkło. Niejasno.

–Ja nie zobaczyłem Sybille nawet w taki sposób. Nawet nie mam pojęcia, jak teraz wygląda.

–Nic nie straciła ze swej urody.

–To mi już mówiłeś. Chcę jednak zobaczyć ją na własne oczy. Ty nigdy nie zrozumiesz,

Framji, jak bardzo chcę ją znowu ujrzeć. Czuję ból, nie mogąc...

–Chciałbyś zobaczyć ją w tej chwili?

Klein aż zatrząsł się ze zdumienia.

–Co to znaczy? Czy ona...

–Ukryła się w sąsiednim pokoju? Nie. Nic podobnego. Ale mam dla ciebie niespodziankę. Przejdźmy do biblioteki.

Uśmiechając się z dumą, Jijibhoi poprowadził go z jadalni do sąsiadującego z nią niewielkiego gabinetu, wypełnionego od podłogi aż po sufit książkami w różnych językach – nie tylko we francuskim, angielskim i niemieckim, ale także w sanskrycie, hindi, gudżarati i w farsy. Jijibhoi nauczył się tych języków, żyjąc w małej

społeczności parsów w Bombaju. Odsunawszy na bok stos fachowych czasopism, wydobył lśniący sześcian holo, ruchem kciuka uaktywnił jego wewnętrzne światło i wręczył go Kleinowi.

Wyraźny i jasny obraz przedstawiał trzy ludzkie postaci na rozległej, trawiastej równinie ciągnącej się po zakrzywiony horyzont, bez drzew, głązów i żadnych innych nierówności, jak niekończący się zielony dywan pod błękitnym niebem. Zachariasz stał po lewej stronie. Nie patrzył w stronę kamery, ale w dół, majstrując przy zamku ogromnego sztucera. Po prawej stronie stał krępy, potężnie wyglądający mężczyzna o grubo ciosanych rysach, ciemnych włosach i twarzy, w której dominowały nos i broda. Klein rozpoznał go. Był to Anthony Gracchus, jeden z ożywionych towarzyszących Sybille na Zanzibarze. Żona Kleina stała obok niego. Ubrana była w spodnie koloru khaki i białą bluzkę. Gracchus wyciągał rękę. Wyraźnie wskazywał jej cel, w który mierzyła ze sztucera prawie tak wielkiego, jak broń Zachariasza.

Klein obracał hologramem, studiując jej twarz pod różnymi kątami, a oglądany widok spowodował, że jego palce stały się niezgrabne, a powieki zaczęły drżeć. Jijibhoi mówił prawdę. Nic nie straciła ze swej urody. Nie była już jednak tą Sybille, którą znał. Kiedy widział ją po raz ostatni, leżącą w trumnie, wydawała się bezbłędną marmurową kopią żywej Sybille. Teraz sprawiała to samo posągowe wrażenie. Jej twarz była maską pozbawioną wyrazu, spokojną, odległą i obojętną. Jej oczy lśniły tajemniczo. Na ustach błąkał się zagadkowy, prawie nieuchwytny uśmiech. Przeraził się, widząc ją taką obcą i zimną, jakby była jakąś nieznaną. Może to siła koncentracji, z jaką oddawała się strzelaniu, nadawała jej tę odpychającą, marmurową powierzchowność. Przechylając sześcian, Klein ujrzał, że mierzyła do ptaka trochę większego od indyka, przemieszczającego się w trawie w lewej części obrazu. Ptak miał okrągłe, workowate ciało, szare upierzenie z jaśniejszą piersią i ogonem oraz żółtobiałymi skrzydłami. Poruszał się komicznie na krótkich, żółtych nogach. Miał ogromną głowę, zwieńczoną czarnym, zakrzywionym dziobem. Wyglądał dystygownie i nieco absurdalnie. Nie zdawał sobie sprawy, jaki los go czeka. Było dziwne, że Sybille miała za chwilę go zabić. Przecież zawsze była zdecydowanie przeciwna zabijaniu. Sybille – łowczyni. Sybille – księżycowa bogini. Sybille – Diana!

Wstrząśnięty obrazem, Klein spojrzał na Jijibhoia.

–Gdzie zrobiono to holo? Na safari w Tanzanii?

–Tak. W lutym. Ten człowiek na zdjęciu jest ich przewodnikiem, myśliwym.

–Widziałem go na Zanzibarze. Nazywa się Gracchus.

–Prowadzi rezerwat myśliwski położony pod Kilimandżaro. Przeznaczony wyłącznie dla zmarłych. Jeden z bardziej niezwykłych przejawów ich subkultury. Polują tylko na te zwierzęta, które...

–Jak zdobyłeś to zdjęcie? – przerwał mu Klein niecierpliwie.

–Zrobiła je Nerita Tracy, jedna z towarzyszek twojej żony.

–Ją także spotkałem na Zanzibarze. Ale jak...

–Jej przyjaciel jest moim znajomym albo, nazywając rzecz po imieniu, moim informatorem. Bardzo przydatne źródło w moich badaniach. Kilka miesięcy temu

poprosiłem go o coś takiego. Oczywiście nie powiedziałem mu, że potrzebuję holo dla ciebie. – Jijibhoi spojrzał uważnie na Kleina. – Wydajesz się tym zdenerwowany, przyjacielu.

Klein skinął głową. Zamknął oczy, jakby chciał je ochronić przed światłem padającym z sześcianu. W końcu powiedział bezbarwnym głosem:

–Muszę się z nią bezwzględnie zobaczyć.

–Chyba byłoby lepiej, gdybyś zrezygnował z...

–Nie!

–Czy w żaden sposób nie dasz się przekonać, że ta pogoń za nią może być niebezpieczna?

–Nie – powiedział Klein. – Nawet nie próbuj mnie przekonać. Muszę się z nią spotkać.

–A jak masz zamiar to zrobić?

–Pojadę do Zion – powiedział Klein mechanicznie.

–Już raz tam byłeś. Nie wpuścili cię.

–Tym razem mnie wpuszczą. Nie wyrzucają przecież zmarłych. – Oczy parsa rozszerzyły się.

–Pragniesz umrzeć? Na tym polega twój plan? Co ty mi tu opowiadasz, Jorge?

–Nie. Wcale nie mam takiego zamiaru – roześmiał się Klein.

–Nic nie rozumiem.

–Zakradnę się tam. Ucharakteryzuję na zmarłego. Dostanę się do Zimnego Miasta tak, jak niewierny dostaje się do Mekki.

Klein chwycił Jijibhoia za rękę.

–Możesz mi pomóc? Nauczysz mnie ich zachowania, slangu, przyzwyczajajeń?

–Natychmiast cię rozszyfrują.

–Może tak, może nie. Może spotkam się z Sybille, zanim to nastąpi.

–To czyste szaleństwo – powiedział Jijibhoi spokojnie.

–W każdym razie dysponujesz odpowiednią wiedzą. Pomożesz mi?

Jijibhoi delikatnie wycofał rękę z uścisku Kleina, podszedł do półki i zaczął przestawiać

ułożone tam książki. Wreszcie odezwał się:

–Nawet sobie nie mogę pomóc. Moja wiedza jest rozległa, ale powierzchowna. Jeżeli jednak będziesz nalegał, skontaktuję cię z kimś, kto może zdoła ci pomóc. To jeden z moich informatorów, ożywiony, który wyzwolił się spod autorytetu Ojców Opiekunów. Wywodzi się ze zmarłych, ale nie jest z nimi. Możliwe, że nauczy cię wszystkiego, czego będziesz potrzebował.

–Wezwij go – powiedział Klein.

–Muszę cię ostrzec, że nie można na nim polegać. Jest niestały, może nawet zdradziecki. W jego obecnym zachwianym stanie psychicznym zwykłe wartości ludzkie nie mają najmniejszego znaczenia.

–Wezwij go.

–Gdybym tylko mógł ci to wyperswadować...

–Wezwij go.



## Rozdział 5

***Kłótnie prowadzą do kłopotów. W tym okresie lwy dużo ryczą. Radość następuje po smutku. Niedobrze jest bić dzieci. Lepiej odejść i wróć do domu. Dziś nie można pracować. Powinienesz chodzić codziennie do szkoły. Nie należy iść tą ścieżką. Przegradza ją woda. Nie przejmuj się, dam sobie radę. Wracajmy prędko. Te lampy zużywają za wiele nafty. W Nairobi nie ma komarów. Nie ma też lwów. Tu są ludzie. Szukają jej. Czy w studni jest woda? Nie, nie ma. Jeżeli jest tylko troje ludzi, to nie będzie można dzisiaj pracować.***

***D. V. Perrott, Teach Yourself Swahili***

**Gracchus daje gwałtowne sygnały tragarzom i wrzeszczy:**

**–Shika njia hii hii! – Trzech zawraca, dwóch idzie dalej. – Ninyi nyote! – woła. – Fanga karna hivi! – Kręci głową, spluwa na ziemię i ociera pot z czoła. Mówi już ciszej, po angielsku, tak, żeby tragarze go nie słyszeli:**

**–Róbcie, jak mówię, leniwe, czarne sukinsyny, albo jeszcze przed wieczorem będziecie bardziej martwi niż ja!**

**–Czy zawsze odzywasz się do nich w ten sposób? – śmieje się nerwowo Sybille.**

**–Staram się obchodzić z nimi delikatnie, ale to nic nie daje. Chodź, dogonimy ich.**

**Niecała godzina minęła od wschodu słońca, ale na równinie rozciągającej się pomiędzy**

**Kilimandżaro a Serengeti jest już bardzo gorąco. Gracchus prowadzi ich grupę na północ, przez równinę pokrytą wysoką sztywną trawą, śladem kwagi. Torowanie drogi przez trawy to ciężka praca i tragarze próbują skierować się ku wąwozowi, gdzie kępy ostrokrzewów dają nieco upragnionego cienia. Gracchus musi bez przerwy pokrzykiwać na nich, aby szli wytyczoną drogą. Sybille zauważyła, że Gracchus traktuje ich jak zwierzęta pociągowe i mówi o nich z pogardą, ale odniosła też wrażenie, że robi to na pokaz, żeby nie wyjść z roli białego myśliwego. Zauważyła także, że w sytuacjach, które oglądała z ukrycia, Gracchus staje się łagodny i otwarty, żartując z tragarzami w płynnym swahili i wymieniając z nimi wesołe kuksy. Tragarze również grali narzuconą im rolę. Zachowywali się w sposób typowy dla ich zawodu, podchodząc do klientów jednocześnie z szacunkiem i z wyższością, występując na przemian w roli wszytkowiedzących znawców buszu lub nieokrzęsanych dzikusów zdolnych wyłącznie do dźwigania ciężarów. Klienci, których obsługują, nie są jednak tak wysportowani, jak myśliwi z czasów Hemingwaya, ponieważ to ożywieni, i w skrytości ducha tragarze są przerażeni dziwnymi istotami, którym służą. Sybille widziała, jak szepczą modlitwy i nieustannie dotykają amuletów, unikając jakiegokolwiek cielesnego kontaktu ze zmarłymi. Czasami też udało się jej dostrzec ukradkowe spojrzenie wyrażające nieklamany strach, a może nawet odrazę. Gracchus nie jest ich przyjacielem, mimo że z nimi żartuje. Wydają się traktować go jako przerażającego czarownika, a klientów jak uosobienie demonów.**

**Spoceni myśliwi w milczeniu idą gęsiego. Forpocztę stanowią tragarze z bronią i zapasami, za nimi Gracchus, Sybille i Zachariasz. Nerita bez przerwy fotografuje. Pochód zamyka Mortimer. Białe chmurki płyną powoli po bezkresnym niebie. Trawa**

jest bujna i gęsta, dlatego, że krótsza z pór deszczowych, grudniowa, była obfita. Drobne gryzonie i drapieżniki buszują w trawie i można czasem je dostrzec przez ułamek sekundy – wiewiórki, szakale, perliczki. Czasem można zobaczyć i większe zwierzęta. Trzy wyniosłe strusie, parę hien, stadko gazeli Thompsona płynących jak brązowy strumień przez równinę. Wczoraj Sybille wypatrzyła dwa guźce, kilka żyraf i kilka dzikich kotów z wielkimi uszami, poruszających się z gracją niczym miniaturowe gepardy. Na żadne z tych zwierząt nie wolno polować. Do tego służą specjalne zwierzęta, sprowadzone przez strażników rezerwatu na potrzeby klientów. Naturalna fauna afrykańska, to znaczy zwierzęta, które tu żyły, zanim zmarli wydzierżawili te tereny od Masajów, chronione są dekretem rządowym. Masajom wolno polować na lwy, ponieważ to ich rezerwat, ale Masajów jest tak mało, że nie mogą wyrządzić poważniejszych szkód. Wczoraj, po spotkaniu z guźcami, ale jeszcze przed wypatrzeniem żyraf, Sybille zobaczyła po raz pierwszy Masajów. Pięciu szczupłych, bardzo wysokich mężczyzn, skąpo odzianych w czerwone szaty. Szli w ciszy przez busz. Często zatrzymywali się, stając w zadumie na jednej nodze i podpierając się dzidą. Z bliska okazali się mało przystojni. Byli bezzębni, mieli przepukliny, a wokół nich unosiły się roje much. Proponowali sprzedaż dzid i naszyjników z paciorków za kilka szylingów. Uczestnicy safari zaopatrzyli się już jednak w masajskie wyroby w sklepach pamiątkarskich Nairobi po zaskakująco wyższych cenach.

Przez cały rano podchodzili kwagi. Gracchus wskazywał na ślady kopyt i świeży nawóz. To Zachariasz chciał polować na nie.

–Skąd wiesz, czy nie idziemy po śladach zebry? – pytał poirytowany.

–Możesz mi zaufać – mówi Gracchus, puszczając oko do Sybille. – Spotkamy i zebry, ale znajdziesz też swoją kwagę, gwarantuję.

Ngiri, przywódca tragarzy, odwraca się i uśmiecha.

–*Piga aqagga m'uzuri, bwana* – mówi do Zachariasza i również mruga, ale zaraz, co Sybille wyraźnie widzi, jego jowialny, pewny siebie uśmiech znika, jak gdyby odwagi starczyło mu tylko na chwilę, a w oczach zaraz pojawia się strach.

–Co on powiedział? – pyta Zachariasz.

–Że ustrzelisz piękną kwagę – odpowiada Gracchus.

Kwaga. Ostatnie dzikie zwierzę tego gatunku zabito około 1870 roku. Na świecie pozostały tylko trzy samice w europejskich ogrodach zoologicznych. Burowie wytępilli to zwierzę prawie całkowicie, polując na nie, by zdobyć mięso dla swoich hotentockich niewolników i pasiastą skórę do wyrobu worków na ziarno i butów, wystarczająco

wytrzymałych do wędrówek po afrykańskich bezdrożach – *veldschoen*. Kwaga z londyńskiego ZOO zdechła w 1872 roku, z berlińskiego w 1875, a z amsterdamskiego w 1883 roku i od tej pory nikt nie widział żywej kwagi aż do roku 1990, kiedy to udało się odtworzyć gatunek poprzez dobór hodowlany i manipulacje genetyczne. Teraz otworzono rezerwat, gdzie mogła na nie polować wybrana klientela.

Jest już prawie południe, a od rana nie padł ani jeden strzał. Zwierzęta zaczęły szukać schronienia przed słońcem. Pojawiają się znowu, gdy cienie się wydłużają. Czas na sjęstę. Trzeba rozbić namioty, wydobyć z bagaży piwo i kanapki, zacząć

wspominać niebezpieczne przygody z rozszalałymi bawołami lub złośliwymi słoniami. Ale jeszcze nie teraz. Karawana dochodzi do szczytu niewysokiego wzgórza. W dolince dostrzegają stado strusi i kilkaset pasących się zebra. Na ich widok strusie zaczęły oddalać się wolno i dostojnie. Zebry zupełnie nie zareagowały. Pasty się nadal. Ngiri wskazuje ręką.

–*Piga auagga, bwana.*

–To stadko zebra – mówi Zachariasz. Gracchus kręci przecząco głową.

–Nie. Posłuchaj. Czy słyszysz ten dźwięk?

Z początku nikt nie słyszy nic nadzwyczajnego, ale po chwili... Tak! Sybille słyszy przenikliwe, szczekliwe rżenie, głos z zaświatów, należący do zwierzęcia, którego nigdy przedtem nie słyszała. To pieśń zmarłych. Nerita słyszy ją również. Słyszy ją Mortimer i wreszcie Zachariasz. Gracchus wskazuje na oddalony koniec niecki. Wśród zebra widać pół tuzina zwierząt, które mogłyby być uznane za zebry, ale nimi nie są. To niedorobione zebry z pręgami tylko na głowie i przedniej części tułowia. Reszta tułowia ma jednolitą żółtawobrazową barwę. Nogi mają białe, grzywy ciemnobrazowe z jaśniejszymi pasmami. Ich sierść lśni w blasku słońca. Od czasu do czasu podnoszą głowy, wydają dziwne, wibrujące parsknięcia i znów schylają się ku trawie. Kwagi. Zwierzęta zablakane z przeszłości, żywe artefakty, ożywione zjawy. Na sygnał Gracchusa grupa rozprasza się po grzbiecie wzgórza. Ngiri podaje Zachariaszowi ogromny sztucer. Zachariasz przyklęka i długo celuje.

–Nie ma pośpiechu – mruczy Gracchus. – Mamy całe popołudnie.

–Czy ja wyglądam na kogoś, kto się spieszy? – pyta Zachariasz.

Zebry przesuwiają się i zasłaniają kwagi. Zebry nie wolno mu zastrzelić, inaczej byłyby kłopoty ze strażnikami rezerwatu. Mijają kolejne minuty. Nagle pojawia się luka i Zachariasz naciska spust. Huk eksplozji. Zebry rozbiegają się we wszystkie strony, aż oczy bolą od gwałtownego stroboskopowego efektu poruszających się czarnych i białych pasów. Kiedy zamieszanie mija, dostrzegam, że jedna kwaga leży na boku sama w pustej dolinie. Przeszła na drugą stronę. Sybille patrzy na to ze spokojem. Śmierć dawniej ją przerażała, teraz już nie.

–*Piga m'uzri!* – krzyczą w podnieceniu tragarze.

–*Kufa* – mówi Gracchus. – Dobry strzał. Masz swoją zdobycz.

Ngiri szybko obdziera zwierzę ze skóry. Tego wieczoru w obozie u podnóża Kilimandżaro zmarli i tragarze wspólnie jedzą pieczoną kwagę. Mięso jest soczyste, jędrne,

czuć je lekko dymem.

\* \* \*

Następnego dnia późnym popołudniem, kiedy wędrowali terenami nieco chłodniejszymi, bo poprzecinanymi licznymi strumieniami i pokrytymi szarozielonymi, przysadzistymi drzewami, natknęli się na potwora, kosmate, niezgrabne zwierzę, wysokie na piętnaście stóp, stojące na tylnych, potężnych nogach i podpierające się niezmiernie grubym, ciężkim ogonem. Zwierzę opierało się o drzewo i zagarniało jego gałęzie długimi, przednimi nogami zakończonymi groźnie wyglądającymi pazurami, podobnymi do małych sierpów. Łapczywie pożerało liście i gałązki. Gdy ich

zauważyło, zaczęło przyglądać się im małymi, głupimi oczkami, a następnie wróciło do przerwanego posiłku.

–Wielka rzadkość – wyjaśnił Gracchus. – Znam myśliwych, którzy przemierzili cały rezerwat wszerz i wzdłuż i nie natrafili na to zwierzę. Czy widzieliście kiedykolwiek coś równie brzydkiego?

–Co to jest? – pyta Sybille.

–Megaterium. Ogromny leniwiec. Właściwie pochodzi z Ameryki Południowej, ale nie przejmowaliśmy się specjalnie geografiami, wprowadzając zwierzęta do rezerwatu. Mamy ich tylko cztery i nawet nie wiem, ile tysięcy dolarów kosztuje upolowanie jednego. Nikt jeszcze nie chciał na nie polować i wątpię, czy kiedykolwiek zapoluje.

Sybille zastanawia się, gdzie takie zwierzę należałoby trafić. Na pewno nie w ten maleńki, otępiały mózdzek. Zastanawia się również, jaki myśliwy znalazłby przyjemność w ich zabijaniu. Tymczasem powolny potwór rozdziera drzewo na strzępy. Ruszają dalej.

\* \* \*

O zachodzie słońca Gracchus pokazuje im następną ciekawostkę – białawą kopułę widoczną w kępie gęstej trawy przy strumieniu.

–Jajo strusia? – zgaduje Mortimer.

–Ciepło. Bardzo blisko. To jajo ptaka moa z Nowej Zelandii. Wyginęły w osiemnastym wieku.

Nerita schyla się i delikatnie puka w skorupę jaja.

–Ależ omlet można by z tego zrobić!

–Starczyłoby na siedemdziesiąt pięć osób – wyjaśnia Gracchus. – Jajo zawiera dwa galony płynu. Nie powinniśmy go jednak ruszać. Przyrost naturalny to najwspanialszy czynnik utrzymania rezerwatu.

–A gdzie mama moa? – pyta Sybille. – Czy powinna zostawiać jajo samo?

–Moa są głupie. Prawdopodobnie to była przyczyna ich wyginięcia. Musiała pójść coś zjeść i...

–O Boże! – bełkoce Zachariasz.

Mama moa właśnie wróciła, wylaniając się nagle z krzaków. Stoi nad nimi niczym pierzasta góra oświetlona zachodzącym na czerwono słońcem. Podobna do ogromnego strusia, wysoka na dwanaście stóp. Ciężkie cielsko wsparte na nogach potężnych jak konary drzewa. Długa, gruba szyja. Zupełnie jak ptak rukh, który mógł unieść w szponach słońca, widziany przez Sindbada Żeglarza. Ptak ze smutkiem przygląda się grupce niewielkich istot zebranych wokół jego jaja. Wygina szyję, jakby szykował się do ataku. Zachariasz sięga po jeden ze sztucerów, ale Gracchus powstrzymuje go, ponieważ moa wyraża w ten sposób jedynie swój protest. Wydaje głęboki, ponury dźwięk i nie porusza się.

–Cofajcie się powoli – mówi Gracchus. – Nie zbliżajcie się do jego nóg. Kopniak może być śmiertelny.

–A już chciałem prosić o wydanie licencji na odstrzał moa – mówi Mortimer.

–Polowanie na nie to żadna przyjemność – odpowiada Gracchus. – Zazwyczaj

stoją bez ruchu, zachowując się jak tarcza strzelnicza. Masz licencję na coś lepszego.

\* \* \*

Mortimer wykupił licencję na tura, dawno wytępionego bawoła europejskich puszczy, znanego Cezarowi i Pliniuszowi. Polował na niego Siegfried. Wytępiono go ostatecznie w 1627 roku w Polsce. Równiny Afryki Wschodniej nie są dla nich najlepszym środowiskiem. Stado stworzone przez nekrogenetyków trzymało się więc zalesionych terenów wyżynnych, oddalonych o kilka dni marszu od rejonu polowań na kwagi i leniwce. W gęstym lesie myśliwi napotykają stadka hałaśliwych pawianów, samotne słonie, a w miejscu, gdzie słońce przedziera się przez korony drzew, widzą samca antylopy bongo o wspaniałych, wygiętych rogach. Gracchus prowadzi ich coraz głębiej w las. Wydaje się spięty. Wyczuwa niebezpieczeństwo. Tragarze przemykają wśród drzew jak czarne duchy. Rozproszyli się po lesie i porozumiewają się między sobą i z Gracchusem gwizdami. Wszyscy trzymają broń w pogotowiu. Sybille spodziewa się, że w każdej chwili ujrzy lamparta przyczajonego wśród gałęzi lub węża pełzającego wśród trawy. Nie boi się jednak. To uczucie jest jej obce. Zbliżają się do polany.

–Tury – mówi Gracchus.

Około tuzina zwierząt obgryza krzewy. Wielkie, długorogie zwierzęta o krótkiej sierści. Muskularne i czujne. Czują zapach myśliwych. Podnoszą ciężkie głowy, węszą, wypatrują. Gracchus i Ngiri porozumiewają się oszczędnymi gestami.

–Za dużo ich – szepce Gracchus do Mortimera. – Poczekajmy, aż stado trochę się rozejdzie.

Mortimer uśmiecha się. Wygląda na zdenerwowanego. Wiadomo, że tury potrafią zaatakować bez ostrzeżenia. Cztery, pięć, sześć zwierząt oddala się. Inne przesuwały się na skraj polany, jakby odbywały naradę wojenną. Jeden byk toczący wokół gniewnym, ponurym wzrokiem pozostaje jednak na miejscu. Gracchus unosi się na palcach. Jego krępe ciało kojarzy się Sybille ze studium ruchu i gotowości.

–Teraz! – mówi.

W tej samej chwili byk rozpoczyna atak. Porusza się z niezwykłą szybkością, ze schyloną głową. Wysunięte do przodu rogi wyglądają jak dwie dzidy. Mortimer strzela. Słychać głośnie uderzenie kuli. Trafienie w łopatkę. Wspaniały strzał. Zwierzę jednak nie pada i Mortimer strzela ponownie. Tym razem mniej celnie. Trafienie w brzuch. Gracchus i Ngiri również strzelają, jednak nie do tura, którego wybrał Mortimer, ale ponad głowami stada, żeby je rozproszyć. Taktyka przynosi owoce. Zwierzęta uciekają w głąb lasu. Tur Mortimera wciąż szarżuje w jego kierunku, chwieje się jednak, traci rozpęd i pada prawie u jego stóp, tarza się, ryje ziemię kopytami.

–Kufa – mówi Ngiri. – *Piga nyati m'uzuri, bwana.*

–Piga – uśmiecha się Mortimer.

–To bardziej podniecające niż polowanie na moa – mówi Gracchus i salutuje Mortimerowi.

\* \* \*

–One są moje – mówi Nerita trzy godziny później, wskazując na drzewo stojące na skraju lasu. Kilkaset dużych gołębi rozsiadło się na jego gałęziach. Było ich tak wiele, iż zdawało się, że drzewo zamiast liści ma ptaki. Samiczki są gładko upierzone, mają jasnobrązowe grzbiety i szare brzuszki. Samce są bardziej kolorowe. Mają lśniące, błękitne pióra na skrzydłach i grzbietach, piersi czerwonobrązowe z opalizującymi zielonymi i brązowymi cętkami na szyi. Ich oczy były niesamowite, ruchliwe i pomarańczowe.

–Tak – stwierdza Gracchus. – Znalazłaś swoje gołębie wędrownie.

–Cóż za przyjemność strzelać do gołębi siedzących na drzewie? – pyta Mortimer. Nerita patrzy gniewnie na niego.

–Co za przyjemność strzelać do szarżującego byka?

–Daje sygnał Ngiri, który strzela w powietrze. Przerażone gołębie zrywają się z gałęzi i krążą nisko nad ziemią. W dawnych czasach, sto, sto pięćdziesiąt lat temu, nikt nie przejmował się nakazem strzelania do gołębi wędrownych tylko w locie. Gołębie były pokarmem, a nie sportem w lasach Ameryki Północnej. Łatwiej było strzelać do gołębi siedzących i jeden myśliwy mógł w ten sposób zabić ich tysiące. Wystarczyło pięćdziesiąt lat, by zredukować populację gołębi wędrownych, których miliardowe stada potrafiły całkowicie przysłonić niebo. Nerita postępuje po sportowemu. Ostatecznie to próba jej umiejętności. Celuje, strzela, ładuje, strzela, ładuje. Ptaki spadają na ziemię. Nerita i strzelba stanowią

jedność. Łączą się w jednym zadaniu. Po chwili wszystko się kończy. Tragarze zbierają ptaki z ziemi. Nerita ma licencję na dwanaście gołębi – parka zostanie wypchana, resztę przeznaczy na dzisiejszą kolację. Ocalałe gołębie wróciły na drzewo i patrzą spokojnie, bez wyrzutu, na swych oprawców.

–Bardzo szybko się rozmnażają – mruczy Gracchus. – Jeżeli nie będziemy uważać, wydostaną się z rezerwatu i rozplenią po całej Afryce.

–Nie martw się. Damy sobie radę – śmieje się Sybille. – Raz już udało się je wytępić, to i drugi raz się uda, jak się postaramy.

\* \* \*

Sybille wybrała dodo. W Dar, gdy występowali o licencje, jej towarzysze śmiali się z dokonanego przez nią wyboru. Dodo był tłustym bezlotem, nie potrafiącym szybko biegać ani walczyć, a przy tym tak głupim, że nie bał się niczego. Zignorowała ich. Chciała upolować dodo, ponieważ dla niej był to symbol zagłady, uosobienie wszystkiego, co martwe i zaprzepaszczone. W polowaniu na głupiego dodo nie było nic ze sportu, ale to nie miało większego znaczenia dla Sybille. Samo polowanie również.

Przez wielki rezerwat wędruje jak we śnie. Widzi leniwce, wielkie alki, kwagi, ptaki moa, cietrzewie, nosorożce Javana, ogromne pancerniki i wiele innych rzadkich okazów. To miejsce jest pełne duchów. Umiejętności nekrogenetyków są nieograniczone. Może pewnego dnia rezerwat zaroi się trylobitami, tyranozaurami, mastodontami, afrykańskimi tygrysami, a może nawet grupami australopiteków i szczepami neandertalczyków. Wszystko dla rozrywki zmarłych, których zabawy bywają z natury ponure. Sybille zastanawia się, czy rzeczywiście można to nazwać

zabijaniem. Przecież to są produkty laboratoriów. Czy te zwierzęta są de facto prawdziwe, czy sztuczne? Czy to istoty żyjące, czy przemyślnie uruchomione konstrukcje? Są prawdziwe – decyduje Sybille. Żyją, podlegają metabolizmowi, rozmnażają się. Dla nich samych są rzeczywistością. Są może jeszcze bardziej prawdziwą rzeczywistością niż ożywieni zmarli, którzy krążą po świecie w swych odrzuconych niegdyś ciałach.

–Sztucer – mówi Sybille do najbliższego tragarza. Widzi swą ofiarę. Brzydki ptak, śmiesznie przedzierający się na krótkich nogach przez wysokie trawy. Sybille bierze broń i celuje.

–Poczekaj – woła Nerita. – Zrobię ci zdjęcie.

Odsuwa się od grupy z przesadną ostrożnością, żeby nie spłoszyć dodo. Ptak jednak chyba nawet nie zdaje sobie sprawy z ich obecności. Niczym emisariusz z krainy ciemności, niosący radosną nowinę o śmierci istotom jeszcze nie wytępionym, idzie im naprzeciw.

–Świetnie – mówi Nerita. – Anthony, wskaż ręką na dodo, jakbyś go w tej chwili zobaczył. Kent, chciałabym, żebyś patrzył na swoją broń, jakbyś oglądał jej zamek, czy coś takiego. Świetnie. I jeszcze, Sybille, utrzymaj tą pozycję, celuj... właśnie tak! Nerita robi zdjęcie.

Sybille strzela, zachowując zimny spokój.

–*Kazi imekwisha* – mówi Gracchus. – Robota skończona.

## Rozdział 6

*Chociaż koncentracja na sobie samym jest w najlepszym przypadku kłopotliwa, podobnie jak przekraczanie granicy z kradzionymi dokumentami, wydaje się jedynym warunkiem koniecznym dla nabrania szacunku do własnej osoby. Niezależnie od naszej banalności, oszukiwanie samego siebie pozostaje najtrudniejszą formą oszustwa. Sztuczki, które wywierają wrażenie na innych, nie mają najmniejszego znaczenia w dobrze oświetlonym wnętrzu, w którym rozprawiamy się sami ze sobą. Uprzejme uśmiechy czy dobre zamiary nic tu nie pomogą.*

*Joan Didniou, On Self-Respect*

–Lepiej, żeby pan uwierzył w to, co mówi Jeej – powiedział Dolorosa. – Dziesięć minut w Zimnym Mieście i znajdą pana, może nawet szybciej.

Człowiek, którego przyprowadził Jijibhoi, był niski, niechlujny, z długimi, potarganymi włosami i ognistymi oczyma. Wyglądał na czterdzieści, może pięćdziesiąt lat. Skórę miał ziemistą, twarz wychudłą. Zmarli, których Klein widział z bliska, otoczeni byli aurą niezemskiego spokoju. Ten – inaczej. Dolorosa był spięty, niespokojny, miał ruchliwe dłonie, wciąż zagryzał dolną wargę. Nie było jednak wątpliwości, że był zmarłym, podobnie jak Zachariasz, Gracchus czy Mortimer.

–Co zrobią? – spytał Klein.

–Złapią. Będą wiedzieli, że nie jesteś zmarłym. Tego nie da się podrobić. O Jezu! Czy nie rozumiesz po angielsku? Jorge to obce imię. Powinienem wiedzieć od razu. Skąd pan pochodzi?

–Z Argentyny, ale przyjechałem do Kalifornii w pięćdziesiątym piątym roku, kiedy byłem małym chłopcem. Jeżeli mnie złapią, to trudno. Chciałbym się po prostu tam dostać i przez pół godziny porozmawiać z moją żoną.

–Pan już nie ma żony.

–Z Sybille – powiedział Klein, tracąc nadzieję. – Chciałbym porozmawiać z Sybille, moją... moją byłą żoną.

–Dobrze, wprowadzę tam pana.

–Ile to będzie kosztować?

–Proszę o tym nie myśleć – powiedział Dolorosa. – Jestem wiele winien Jijibhoiowi. Bardzo wiele. Zorganizuję narkotyki...

–Narkotyki?

–Specyfik, jakiego używają urzędnicy skarbowi, infiltrując Zimne Miasta. Zwęża źrenice oczu i naczynia włoskowate. Po jego zażyciu człowiek wygląda jak zmarły.

Agentów

oczywiście zawsze łapią i wyrzucają, i to samo zrobią z panem. Będzie miał pan jednak przynajmniej poczucie, że jest odpowiednio zamaskowany. Jedna kapsułka codziennie rano przed jedzeniem.

–Dlaczego urzędnicy skarbowi infiltrują Zimne Miasta? – spytał Klein, patrząc na Jijibhoia.

–Z tego samego powodu, dla którego infiltrują inne miejsca – wyjaśnił Jijibhoi. – Chcą mieć dane na temat operacji finansowych prowadzonych przez zmarłych. Widzi



pan, dopóki Kongres nie zatwierdzi nowego prawa dotyczącego definicji pojęcia osoby żyjącej, nie ma możliwości, by zmusić osobę oficjalnie uznaną za zmarłą do wywiązywania się...

–A teraz sprawy podstawowe – przerwał Dolorosa. – Mogę uzyskać dla pana kartę stałego pobytu w Zimnym Mieście Albany w stanie Nowy Jork. Umarł pan w grudniu. Został pan ożywiony na wschodzie, ponieważ... zastanówmy się...

–Mogłem uczestniczyć w dorocznym spotkaniu Amerykańskiego Towarzystwa Historycznego – zasugerował Klein. – Tym się zajmuję. Jestem profesorem historii najnowszej na uniwersytecie kalifornijskim w Los Angeles. Ze względu na okres świąteczny, moje ciało nie mogło być przesłane do Kalifornii z braku miejsca. Dlatego skierowano mnie do Albany. Czy to brzmi prawdopodobnie?

–Lubi pan wymyślać kłamstwa, panie profesorze? – uśmiechnął się Dolorosa. – Wyczuwam tę zdolność u pana. To dobrze. Zimne Miasto Albany. To będzie pański pierwszy wyjazd. Na wysuszenie, tak jak motyl suszy się po wyjściu z poczwarki. Jest pan mięciutki i wilgotny, sam w nieznanym miejscu. Będzie się pan musiał dużo nauczyć o sposobie zachowania, zwyczajach, życiu w społeczeństwie i o innych bzdurach. Zajmiemy się tym jutro, we środę i w piątek. Trzy lekcje powinny wystarczyć. A teraz sprawy najważniejsze. Przebywając w Zimnym Mieście, trzeba pamiętać o trzech rzeczach. Po pierwsze, nigdy nie należy zadawać bezpośrednich pytań. Po drugie, nigdy nie należy nikogo dotykać. Po trzecie, należy pamiętać, że dla zmarłego wszechświat jest fantazją. Nie ma dla niego rzeczywistego, nic wokół nie ma większego znaczenia. Wszystko jest żartem, przyjacielu, tylko żartem.

\* \* \*

Na początku kwietnia Klein poleciał do Salt Lake City, wynajął samochód i wyruszył w kierunku płaskowyżu otoczonego czerwonymi wzgórzami, gdzie zmarli zbudowali Zimne Miasto Zion. Była to już jego druga wizyta w nekropolii. Poprzednio był tu późnym latem 1991 roku. Był to upalny, suchy okres roku, kiedy słońce wydawało się wypełniać pół nieboskłonu i nawet poskręcane jałowce wydawały się półprzytomne z pragnienia. Tym razem było mroźne popołudnie i słabe, blade światło ledwo przesączało się znad wzgórz. Porywy wiatru niosły płatki śniegu przez stalowobłękitne powietrze. Instrukcje, jakich udzielił mu Jijibhoi, miał wypisane w elektronicznym notatniku na tablicy rozdzielczej.

Czternaście mil za miastem wąska szosa odchodziła w bok od głównej drogi. Przy skrzyżowaniu niewielki znak oznajmiający: DROGA PRYWATNA. ZAKAZ WJAZDU. Tysiąc jardów dalej kolejny znak: ZIMNE MIASTO ZIÓŃ. TYLKO DLA UPRAWNIONYCH. Dalej droga była zamknięta. Przecinał ją promień zielonego światła – skaner. Zapory wysunęły się z asfaltu jak dwie kosy. Głos z niewidocznego głośnika oznajmił:

–Jeśli masz pozwolenie na wjazd do Zimnego Miasta Zion, umieść je z lewej strony pod wycieraczką.

Poprzednim razem nie miał pozwolenia. Dalej nie dotarł. Dowiedział się jednak z krótkiej rozmowy z niewidzialnym odźwiernym, że Sybille mieszkała właśnie tu, w Zion. Tym razem wsunął pod wycieraczkę sfałszowany dokument dostarczony przez

Dolorosę i czekał w napięciu. Po trzydziestu sekundach zapory cofnęły się. Ruszył drogą wijącą się przez gęsty sosnowy las i dotarł w końcu do ceglanego muru, który niknął wśród drzew po obu stronach, jak gdyby otaczał całe miasto. Prawdopodobnie tak właśnie było. Klein odnosił wrażenie, że Zimne Miasto Zion było hermetyczne, ogromne i zamknięte przed nim niczym starożytny Egipt. W murze widniała metalowa brama. Zielone, elektroniczne oczy przyjrzały mu się dokładnie, zasygnalizowały aprobatę i brama rozwarła się.

Prowadził samochód powoli w kierunku śródmieścia. Mijał dzielnicę, w której przeważały budynki gospodarcze – składy, stacja energetyczna, wodociągi. Ponure, jednopiętrowe bloki z betonu, bez okien. Wjechał w dzielnicę mieszkaniową. Niewiele się różniła od poprzedniej. Ulice wytyczono prosto, budynki były niskie, smętne, bezosobowe. Jednolite. Praktycznie nie istniał ruch samochodowy. Minał kilkanaście przecznic i spotkał może około dziesięciu przechodniów. Nawet nie spojrzeli na niego. Tak zatem wyglądało środowisko, w którym zmarli zamierzali spędzić swoje drugie życie. Skąd się wzięła taka brzydota? Nigdy nas nie zrozumiesz – ostrzegł Dolorosa. Miał rację. Jijibhoi powiedział mu, że Zimne Miasta nie były piękne. Na coś takiego Klein jednak nie był przygotowany. To miejsce było zimne, jakby skute lodem. Cisza i sterylność. Spokój kostnicy. Zimne Miasto – to trafna nazwa. Z punktu widzenia architektury miasto wyglądało ohydnie, a nastrój w nim panujący wywoływał przygnębienie, podobnie jak osiedla dla emerytów, w których stały różne Krainy Odpoczynku czy Słoneczne Pałace, pozbawione dzieci i radości skupiska, gdzie ci jeszcze żyjący, ale dogorywający ludzie czekali na ostatni sygnał. Kleina przebiegi dreszcz.

\* \* \*

Po kilku minutach jazdy w stronę śródmieścia Klein dostrzegł pierwsze oznaki ożywienia. Dom towarowy, zespół budynków pokrytych brązowym tynkiem, o płaskich dachach, zbudowanych na planie litery U. Po utworzonym tak dziedzińcu kręcili się kupujący. Jego pierwsza próba miała się tu rozpocząć. Zaparkował samochód u wylotu dziedzińca i ruszył

niepewnie w kierunku wejścia. Czuł się tak, jakby na jego czole widniały napisy z ognistych liter: OSZUST, OBCY, PODGLĄDACZ, SZPIEG.

No już – pomyślał. Złapcie mnie, złapcie oszusta i skończcie z tą farsą. Wyrzućcie mnie stąd, powieście albo ukrzyżujcie. Zdawało mu się jednak, że nikt nie odbiera tych sygnałów. Całkowicie go ignorowano. Przez uprzejmość? A może nim pogardzano? Dyskretnie przyglądał się kupującym, mając nieśmiałą nadzieję, że może od razu spotka Sybille. Wszyscy wyglądali jak lunatycy, poruszali się w ciszy, zaprzątnięci swoimi sprawami. Żadnych uśmiechów, żadnych rozmów. Zimna obojętność tych zapatrzonych w siebie ludzi nadawała zwyczajnej atmosferze podmiejskiego domu towarowego surrealistycznej intensywności. Norman Rockwell z domieszką Dalego lub De Chirico. Dom towarowy wyglądał zwyczajnie. Odzież, filia banku, stoisko muzyczne, bar, stoisko z kwiatami, sprzęt elektroniczny, mała sala kinowa. Z jedną różnicą, którą dostrzegał w miarę kręcenia się wśród stoisk. Wszystko było zautomatyzowane. Nigdzie nie widział sprzedawców, wszędzie były

natomiast ekrany informacyjne i kamery dla odstraszania złodziei (a może impuls skłaniający ludzi do kradzieży zanikał wraz z pierwszą śmiercią ciała?). Klienci sami wybierali towary, zgłaszali się przy ekranach informacyjnych i zostawiali odcisk kciuka na płytkach obciążających automatycznie ich rachunek. Oczywiście! Nikt przecież nie chciał zmarnować swego drugiego życia, stojąc za kontuarem i sprzedając tenisówki lub watę na patyku. Mieszkańcy Zimnych Miast nie chcieli przy tym naruszać swojej izolacji, wynajmując żywych jako siłę roboczą. Ktoś jednak musiał tu pracować, bo skąd by się wzięły towary w sklepie?

Przez dziesięć minut błąkał się bez celu po domu towarowym. Kiedy już zaczął myśleć, że jest niewidoczny dla tych ludzi, zatrzymał się przed nim niski mężczyzna o szerokich barach. Był łysy, ale twarz miał niezwykle młodą.

–Jestem Pablo. Witamy w Zimnym Mieście Zion.

To nagłe przerwanie ciszy wytrąciło Kleina z równowagi, jedynie z wysiłkiem zachował właściwą zmarłym obojętność. Pablo uśmiechał się ciepło i podał Kleinowi obydwie ręce w przyjaznym powitaniu, ale jego oczy były zimne, wrogie, zapatrzone w odległy punkt przestrzeni i stanowiły wyraźne zaprzeczenie miłego powitania.

–Przysłano mnie, żebym zaprowadził cię do twojej kwatery. Chodźmy do samochodu.

Poza wskazywaniem kierunku Pablo odezwał się tylko trzykrotnie podczas pięciominutowej jazdy.

–Tutaj jest dom ożywień – powiedział, wskazując pięciopiętrowy, brązowy budynek wyglądający jak szpital. Okna budynku lśniły czarno jak onyks.

–To jest dom Ojca Kierownika – odezwał się po chwili. Chodziło o skromny budynek z cegieł usytuowany na skraju parku.

–Tu będziesz mieszkał – powiedział wreszcie. – Baw się dobrze.

Wysiadł z samochodu i oddalił się szybkim krokiem.

Był to dom dla ludzi sobie obcych, hotel dla podróżujących zmarłych. Długi, betonowy budynek, funkcjonalny, ale pozbawiony wszelkich dekoracji, jeden z najmniej atrakcyjnych budynków w mieście pełnym zimnych, nieprzyjemnych domów. Wyglądało na to, że zmarli nie interesowali się architekturą. Głos płynący z ekranu, umieszczonego w urządzonym po spartańsku holu, skierował go do właściwego pokoju. Pokój był kwadratowy, wysoki, miał ściany pomalowane na biało. Miał też łazienkę. Pokój był wyposażony w ekran informacyjny, wąski tapczan, komodę i małą szafę. Z okna roztaczał się widok na podobny, brzydki budynek. Nie powiedziano mu nic o opłatach. Może był gościem Miasta? W ogóle nic mu nie powiedziano na ten temat. Wydawało się, że został zaakceptowany. Ponure przepowiednie Jijibhoia, że natychmiast zostanie rozszyfrowany, nie sprawdziły się, podobnie jak ostrzeżenia Dolorosa, że złapią go przed upływem dziesięciu minut. Był w Zimnym Mieście Zion już od pół godziny. Jeszcze go nie złapali.

\* \* \*

–Jedzenie nie jest dla nas ważne – powiedział Dolorosa.

–Ale przecież coś jecie?

–Oczywiście, ale nie przywiązujemy do posiłków znaczenia.

Dla Kleina jednak było ważne. Nie potrzebował nic wyszukanego, ale musiał coś jeść. Potrzebował jedzenia trzy razy dziennie. Teraz był głodny. Czy miał zadzwonić na obsługę? W tym mieście nie było obsługi. Zwrócił się do ekranu informacyjnego. Przypomniawszy sobie zasadę wpisaną mu przez Dolorosę: nigdy nie zadawać bezpośredniego pytania. Nie dotyczyło to chyba ekranów informacyjnych, a tylko innych ożywionych. Nie musiał przestrzegać zasad dobrego zachowania w rozmowie z komputerem. Głos odpowiadający z ekranu może jednak wcale nie być głosem komputera. Postanowił zatem zastosować ten sam styl rozmowy, jaki preferowali zmarli we wzajemnych stosunkach.

–Kolacja?

–W kantynie.

–Gdzie?

–Czwarta Centralna – odpowiedział ekran.

Czwarta Centralna? Dobrze. Znajdzie drogę. Przebrał się i ruszył plastikowym korytarzem w kierunku wyjścia. Zapadła już noc. Płonęły lampy uliczne. Po zmroku brzydota miasta nie była aż tak widoczna, a nawet było coś pięknego w brutalnej regularności ulic.

Ulice były jednak nie oznakowane i opuszczone. Klein szedł bez celu przez dziesięć minut w nadziei, że spotka kogoś idącego do kantyny przy Czwartej Centralnej. Kiedy jednak wreszcie spotkał kogoś, a była to wysoka, pełna godności starsza kobieta, nie mógł zdobyć się na zadanie jej pytania (nie zadawać bezpośrednich pytań, nikogo nie dotykać). Szedł za nią w milczeniu przez chwilę, dopóki nie skręciła i nie weszła do któregoś z domów. Przez następne

dziesięć minut błąkał się samotnie. To głupie – pomyślał. Przecież martwy czy żywy, to jestem przyjezdnym. Należy mi się jakaś pomoc. Może Dolorosa chciał tylko skomplikować sytuację? Za następnym rogiem Klein dostrzegł mężczyznę kryjącego się przed wiatrem i zapalającego papierosa. Podszedł do niego śmiało.

–Przepraszam, ale...

Tamten spojrzał na niego.

–Klein? Ależ, oczywiście! To i ty przeszedłeś na tę stronę!

To był jeden z towarzyszy Sybille z Zanzibaru. Ostry facet o bystrym spojrzeniu... Mortimer. Członek jej rodzinnej grupy, czy jak się to nazywało. Klein patrzył na niego niechętnie. To musiała być ta chwila, kiedy jego oszustwo zostanie wykryte. Minęło zaledwie sześć tygodni, kiedy rozmawiał z nim w ogrodach hotelowych w Zanzibarze. Chyba za mało, żeby umrzeć, zostać ożywionym i przygotowanym do nowego życia. Minęła jednak dłuższa chwila, a Mortimer nic nie powiedział. Wreszcie Klein odezwał się pierwszy.

–Dopiero co przyjechałem. Pablo zaprowadził mnie na kwaterę, a teraz szukam kantyny.

–Na Czwartej Centralnej. Właśnie tam idę. Masz szczęście.

Żadnego śladu podejrzenia. Może jedynie ten nieuchwytny uśmieszek świadczył, że domyślał się, iż Klein nie był tym, za kogo się podawał (dla zmarłego cały wszechświat jest sztuczny; to tylko żart).

–Czekam na Neritę – powiedział Mortimer. – Możemy razem pójść na kolację.

–Zostałem ożywiony w Zimnym Mieście Albany – powiedział Klein. – Właśnie stamtąd jadę.

–To fajnie – zgodził się Mortimer.

Nerita Tracy wyszła z pobliskiego budynku. Szczupła, wysportowana kobieta około czterdziestki z krótko przyszyżonymi, rudymi włosami.

–To Klein – powiedział Mortimer, gdy zbliżyła się. – Spotkaliśmy go na Zanzibarze, właśnie przyjechał z Albany po ożywieniu.

–Sybille się ucieszy.

–Czy ona jest tutaj? – wybełkotał Klein.

Mortimer i Nerita wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Klein czuł się zmieszany. Nigdy nie zadawał bezpośrednich pytań. Cholerny Dolorosa!

–Wkrótce ją zobaczysz – powiedziała Nerita. – Idziemy na kolację?

\* \* \*

Kantyna była urządzona bardziej sztywnie, niż Klein oczekiwał. Całkiem przyjemną restaurację rozmieszczono na kilku poziomach, rozdzielonych ciemnymi kotarami tworzącymi wydzielone pomieszczenia. Dawało to ciepły, bogaty nastrój tropikalnej miejscowości wypoczynkowej. Żywność pochodząca z automatów serwujących w formie

gotowych dań pozbawiona była smaku i stanowiła przykry kontrast. To tylko żart, przyjacielu. Okazało się, że jest mniej głodny, niż wydawało mu się w hotelu. Siedział z Mortimerem i Neritą, skubiąc dostarczony posiłek, podczas gdy rozmowa płynęła wokół tematów, na których nie mógł skoncentrować myśli. Rozmawiali urywanymi i zawiłymi zdaniami, używali ozdobników, parafraz, przenośni i porównań. Ich retoryka trzymała go w zakłopotaniu i pewnie taki był ich zamiar. Czasem porzucali gęszcz retoryki, żeby ukłuć go jakąś uwagą. Nieprawdaż? – mówili. On tylko uśmiechał się i kiwał głową, kiwał głową i uśmiechał się, wciąż odpowiadając: tak, tak, oczywiście. Czyżby wiedzieli, że jest oszustem i zabawiali się jego kosztem, czy też w jakiś niezrozumiały sposób uznali go za swojego? Postępowali tak subtelnie, że nie mógł się zorientować. Nowo ożywiony członek społeczności zmarłych – pomyślał – byłby tu tak samo zagubiony, jak i żyjący.

Wtedy odezwała się Nerita, porzucając słowne gierki:

–Wciąż za nią tęsknisz?

–Tak. Pewne rzeczy nigdy się nie kończą.

–Wszystko się kończy – powiedział Mortimer. – Dodo, tury, święte Cesarstwo Rzymskie, dynastia Tang, mury Bizancjum...

–Ale trwają piramidy Cheopsa, Jangcy, czaszka pitekantropa – sprzeciwił się Klein. – Niektóre rzeczy trwają, inne można odtworzyć. Odcyfrowano zapomniane języki. Obecnie poluje się na dodo i tura w jednym z rezerwatów afrykańskich.

–To repliki – powiedział Mortimer.

–Repliki nie gorsze od oryginału.

–Czy tego właśnie chcesz? – spytała Nerita.

–Chcę tego, co można mieć.

–Przekonującą replikę utraconej miłości?

–Wystarczy mi pięć minut rozmowy.

–To ci się uda, jednak nie dzisiaj. Widzisz? Siedzi tam, ale jej nie przeszkadzaj.

Nerita ruchem podbródka wskazała środek sali restauracyjnej. Po przeciwległej stronie, trzy poziomy wyżej pojawili się Sybille i Kent Zachariasz. Stali chwilę u wejścia do odgradzonego pomieszczenia, patrząc nieobecny wzrokiem na środek restauracji. Klein poczuł, jak mięsień w policzku zaczyna drgać nerwowo. Nie mógł tego tiku opanować. Był to oskarżycielski dowód na brak opanowania, typowego dla ożywionych. Przytknął dłoń do policzka. Wyczuwał jego pulsowanie. Oto stała tam w górze, niczym bogini manifestująca swą boskość przed tłumem wiernych. Błada, lekko opalizująca sylwetka, piękniejsza nawet od obrazu pielęgowanego przez jego pamięć. Wydawało się wręcz niemożliwe, by ta eteryczna istota była kiedyś jego żoną, że znał ją, gdy jej oczy były zapuchnięte i zaczerwienione po całonocnym ślęczeniu nad książkami, że patrzył na jej twarz podczas miłosnego aktu i widział jej wargi rozchylające się w spazmach rozkoszy, tworząc grymas podobny do grymasu bólu. Nie mógł uwierzyć, że znał ją oschłą i nieprzyjemną w czasie

choroby, nerwową i niecierpliwą, gdy była zdrowa, że znał ją po prostu jako człowieka, ze wszystkimi przywarami i wadami, tę nierealną boginię, cel jego poszukiwań, Sybille. Odwróciła się spokojnie i zniknęła w drzwiach wejściowych.

–Wie, że tu jesteś – powiedziała Nerita. – Zobaczysz się z nią pewnie jutro.

Mortimer powiedział coś zupełnie z innej beczki i Nerita odpowiedziała mu w podobny sposób. Klein znów pogrążył się w ich ulotną grę słowną, walcząc, by w niej nie utonąć i próbował zrozumieć ich wymianę myśli i już ani razu nie spojrzął w kierunku, gdzie siedziała Sybille, gratulując sobie opanowania.

\* \* \*

Tej nocy leżąc samotnie w swoim pokoju w domu dla obcych, Klein zastanawiał się, co on powie Sybille, kiedy wreszcie się spotkają i co ona może mu odpowiedzieć. Czy odważy się zapytać wprost o jakość jej nowej egzystencji? To było główne pytanie, od tej odpowiedzi zależało, czy uzyska wgląd w jej przemienioną istotę. Chociaż tyle, bo już wie, że prawnie ma szans, by ją odzyskać. Czy się jednak odważy? Czy zdobędzie się chociaż na to? Te pytania odkrywają oczywiście przed nią, że Jorge wciąż jeszcze żyje, a jego sposób pojmowania jest taki, iż nigdy nie zrozumie życia zmarłych. Klein jest pewien, że ona odkryje to natychmiast. Co wtedy jej powie? W teatrze swego umysłu odgrywał dialog, jaki poprowadzą.

–Powiedz mi, Sybille, jak teraz wygląda twoje życie?

–Jak pływanie w akwarium.

–Nie rozumiem.

–Tu wszystko jest takie spokojne. Panuje niczym niezmacony spokój, przekraczający możliwości pojmowania. Kiedyś miałam wrażenie, że żyję wewnątrz huraganu, szarpana podmuchami wiatru, spalając się w podnieceniu i niecierpliwości. A teraz tkwię w oku cyklonu, w miejscu, gdzie panuje całkowita cisza. Raczej obserwuję, niż działam.

–Czy nie odczuwasz jednak w tej sytuacji utraty czegoś istotnego? Czy nie

**czujesz się odizolowana? Mówisz... jak pływanie w akwarium. To oznacza odizolowanie, oderwanie, drętwotę.**

**–Może tobie tak się wydaje. Ale w ten sposób jesteśmy zabezpieczeni przed oddziaływaniem na nas spraw drugorzędnych.**

**–To nie wygląda na pełną egzystencję.**

**–Pełniejszą niż grób, Jorge.**

**–Nigdy nie zrozumiałem, dlaczego chciałaś zostać ożywiona. Zawsze byłaś taka spragniona świata, Sybille, żyłaś intensywnie, z pasją. Żeby pogodzić się z dzisiejszą egzystencją, życiem na pół gwizdka...**

**–Nie bądź głupcem, Jorge. Żyć w połowie, to lepiej niż gnić pod ziemią. Byłam taka**

**młoda. Miałam jeszcze tyle do zobaczenia i do zrobienia...**

**–Ale żyć tylko połowicznie?**

**–To twoja opinia, nie moja. Ja przecież jestem martwa. Nie jestem w najmniejszym stopniu tą, którą kiedyś znałeś. Jestem inna.**

**–Czy twoje sposoby odczuwania są inne?**

**–Zupełnie inne. Moje pojmowanie jest szersze. Drobnostki stają się nieistotne.**

**–Podaj mi przykład.**

**–Wolałabym nie. Jak mogę ci cokolwiek wyjaśnić? Umrzyj i przyłącz się do nas.**

**Wtedy zrozumiesz.**

**–Wiesz, że nie jestem zmarłym?**

**–Och, Jorge. Nie bądź zabawny!**

**–Szczęście, że potrafię cię jeszcze rozbawić.**

**–Wyglądasz na urażonego. Nie dramatyzuj. Prawie mi ciebie żal. Pytaj, o co chcesz.**

**–Czy mogłabyś zostawić swoich towarzyszy i wrócić do świata żywych?**

**–Nigdy nawet o tym nie myślałam.**

**–Mogłabyś?**

**–Myślę, że tak. Tylko po co? To teraz jest mój świat.**

**–To getto.**

**–Tak to widzisz?**

**–Stanowicie zamknięte społeczeństwo, subkulturę z własnym żargonem i etykietą. Myślę, że to wypracowaliście dla odstręczenia outsiderów oraz dla utrzymania ich w przekonaniu, że są outsiderami. To postawa obronna. Hippisi, Murzyni, homoseksualiści, zmarli. To jest ten sam mechanizm, ten sam proces.**

**–I Żydzi. Nie zapominaj o Żydach.**

**–Dobrze, Sybille... i Żydzi. Posiadacie swoje własne dowcipy, święta i tajemny język... Tak, słusznie zauważyłaś.**

**–Przystąpiłam zatem do innego plemienia. Cóż w tym złego?**

**–A musiałaś?**

**–A gdzie należałam wcześniej? Do plemienia Kalifornijczyków? Do plemienia naukowców?**

**–Do wspólnoty Jorge i Sybille Klein.**

–To za mało. Z tego plemienia zostałam i tak wypędzona. Musiałam więc przyłączyć się do innego.

–Wypędzona?

–Przez śmierć. Po czymś takim nie ma powrotu.

–Możesz wrócić w każdej chwili.

–Och, nie, Jorge. Nie mogę. Nie jestem już Sybille Klein. Nigdy nią nie będę. Jak mam ci to wytłumaczyć? Nie ma sposobu. Śmierć powoduje nieodwracalne zmiany. Umrzyj. Sam

się przekonasz, Jorge. Umrzyj, a zrozumiesz.

\* \* \*

–Czeka na ciebie w salonie – powiedziała Nerita.

Był to duży, spartańsko umeblowany pokój w odległym skrzydle hotelu. Sybille stała przy oknie, przez które wpadało blade, chłodne światło poranka. Obok stali Mortimer i Kent Zachariasz. Obydwaj powitali Kleina tajemniczymi, krzywymi uśmiezkami. Nie mógł się zorientować, czy były to uśmiechy kurtuazyjne, czy szydercze.

–Podoba ci się nasze miasto? – zagadnął Zachariasz. – Czy już je zwiedziłeś?

Klein wolał nie odpowiadać. Na pytania reagował nieznacznym skinieniem głowy i zwrócił się do Sybille. Czuł się dziwnie, wyluzowany i spokojny w chwili, gdy spełniało się pragnienie, które żywił od kilku lat. W jej obecności nic nie odczuwał – ani paniki, ani pragnienia, zdumienia czy nostalgii. Po prostu nic. Zupełnie, jakby rzeczywiście był zmarłym. Wiedział, że ten spokój wynikał z krańcowego przerażenia.

–Zostawimy was teraz samych – powiedział Zachariasz. – Macie pewnie sobie dużo do powiedzenia.

Wyszedł z Neritą i Mortimerem. Oczy Sybille i Kleina spotkały się wreszcie i patrzyli na siebie długo przez przestrzeń salonu. Patrzyła na niego chłodno, jakby dokonując bezosobowej oceny. Ten jej cholerny uśmiech – pomyślał Klein. Śmierć zmienia je wszystkie w Mony Lizy.

–Długo tu zostaniesz? – spytała.

–Chyba nie. Kilka dni, może tydzień. – Klein zwilżył wargi. – Co u ciebie, Sybille? Jak ci się wiedzie?

–Wszystko przebiega tak, jak się spodziewałam.

Co to znaczy? Czy możesz podać mi jakieś szczegóły? Nie jesteś rozczarowana? Czy zaskoczyło cię tu cokolwiek? Jak to wszystko odbierasz, Sybille? O Jezu... nigdy nie zadawaj bezpośrednich pytań.

–Szkoda, że nie zgodziłaś się na spotkanie na Zanzibarze.

–To było niemożliwe. Nie mówmy już o tym. – Zakończyła dyskusję niedbałym skinieniem ręki. – Chciałbyś usłyszeć fascynującą historię? – zapytała po chwili. – Odnalazłam informacje na temat wczesnych wpływów omańskich na Zanzibarze.

Bezosobowość tego pytania zaskoczyła go. Jak mogła wykazać tak zupełny brak zainteresowania jego obecnością w Zimnym Mieście Zion, jego śmiercią, powodami, które popchnęły go do tego spotkania? Jak mogła równie beznamiętnie przejść do tematu zapomnianych wydarzeń politycznych na Zanzibarze?



–Chyba... tak – powiedział niepewnie.

–To brzmi jak historia z tysiąca i jednej nocy. Opowiada, jak Ahmad Przebiegły obalił

Abdullaha bin Muhammada Alawi.

Nigdy nie słyszał tych imion. Uczestniczył w pewnym stopniu w jej badaniach historycznych, ale od tamtego czasu minęły całe lata. Czas i rozterki spowodowały, że wszyscy Ahmadowie, Hassanowie i Abdullahowie przemieszali się w jego pamięci.

–Przykro mi, ale nic z tego nie pamiętam.

–Na pewno pamiętasz – powiedziała, nie przejmując się tym – że w osiemnastym i na początku dziewiętnastego wieku główną potęgą w basenie Oceanu Indyjskiego było arabskie państwo Oman, rządzone z Maskatu nad Zatoką Perską. Rządziła nim dynastia Busaidi założona w 1744 roku przez Ahmada bin Saida al-Busaidi.

Omańscy błyskawicznie rozszerzyli swoje wpływy na Afrykę Wschodnią. Wybór stolicy nowego imperium afrykańskiego padł na Mombasę, jednak nie byli w stanie wypędzić panującej tam wrogiej dynastii. Zainteresowali się więc Zanzibarem – kosmopolityczną wyspą zamieszkałą przez Arabów, Hindusów i Afrykanów. Strategiczne położenie Zanzibaru niedaleko brzegów Afryki i jego duży, osłonięty przed burzami port stanowiły idealną bazę do handlu niewolnikami, który omańska dynastia Busaidi pragnęła zdominować.

–Zdaje mi się, że coś zaczynam sobie przypominać.

–Bardzo dobrze. Założycielem omańskiego sułtanatu na Zanzibarze był Ahmad Przebiegły, który objął tron omański w 1811 roku – pamiętasz? To było po śmierci jego stryja Abd-er-Rachmana al-Busaidi.

–Te imiona wydają się mi znajome – powiedział Klein z powątpiewaniem.

–Siedem lat później – ciągnęła Sybille – starając się bezkrwawo podbić Zanzibar, Ahmad Przebiegły zgolił wąsy i brodę i odwiedził wyspę przebrany za wróżbitę. Był odziany w żółte szaty, a turban spiał drogocennym szmaragdem. W tym czasie wyspą władał Abdullah bin Muhammad Alawi noszący dziedziczny tytuł Mwenyi Mkuu. Władca był mieszańcem krwi arabsko-afrykańskiej. Jego podwładni w przeważającej mierze należeli do plemienia Hadimu. Po przybyciu do miasta Zanzibar sułtan Ahmad stojąc na brzegu morza, zademonstrował swoje umiejętności wróżbity, czym wywołał tak wielkie zainteresowanie, że zaproszono go na dwór władcy. Ahmad przewidział świetlaną przyszłość dla Abdullaha, stwierdzając, że potężny, sławny na całym świecie książę przybędzie na Zanzibar, uczyni Mwenyi Mkuu swoim wysokim urzędnikiem i zapewni mu oraz jego spadkobiercom władanie Zanzibarem po wsze czasy.

–Skąd ta pewność? – zapytał Mwenyi Mkuu.

–Jest taki napój – odparł sułtan Ahmad – który pozwala mi zaglądać w przyszłość. Czy pragniesz go spróbować, panie?

–Oczywiście, że tak – stwierdził Abdullah, a Ahmad podał mu narkotyk wywołujący wizje raju. Siedząc u stóp Allaha, Mwenyi Mkuu oglądał bogaty i szczęśliwy Zanzibar rządzony przez dzieci jego dzieci i całymi godzinami przeżywał fantazje na temat swej potęgi.

Ahmad odjechał i pozwolił odrosnąć swej brodzie i wąsom. Powrócił na Zanzibar dziesięć tygodni później ze wszystkimi atrybutami sułtana Omanu i na czele groźnej armady. Udał się natychmiast na dwór Mwenyi Mkuu i zaproponował, zgodnie z przepowiednią wróżbity, by Oman i Zanzibar zawarły traktat, na podstawie którego Oman przejmie odpowiedzialność za sprawy zagraniczne Zanzibaru, w tym handel niewolnikami, a zagwarantuje Mwenyi Mkuu prowadzenie spraw wewnętrznych. W zamian za taki podział władzy Mwenyi Mkuu otrzyma od Omanu rekompensatę. Pamiętając o przepowiedniach wróżbity, Abdullah natychmiast podpisał traktat i w ten sposób uprawomocnił sytuację, która w rzeczywistości oznaczała podbój Zanzibaru przez Oman. Urządzono wielką ucztę, w czasie której Mwenyi Mkuu podał sułtanowi miejscowy narkotyk zwany „borkasz” lub „kwiat prawdy”. Ahmad udawał tylko, że pali wodną fajkę, ponieważ wszelkie narkotyki powodujące zmiany pracy umysłu budziły jego odrazę. Abdullah jednak pod wpływem narkotyku przyjrzał się Ahmadowi i rozpoznał w nim wróżbitę. Zdając sobie sprawę, że został oszukany, Mwenyi Mkuu wbił zatruty sztylet głęboko w bok sułtana, uciekł z pałacu i osiedlił się na pobliskiej wyspie Temba. Ahmad bin Majid nie umarł, ale trucizna toczyła go od środka i następne dziesięć lat przeżył w strasznych męczarniach. Ludzie sułtana dopadli ostatecznie Mwenyi Mkuu i zabili wraz z dziewięćdziesięcioma członkami jego rodziny. Tak zakończyły się rządy miejscowych władców na Zanzibarze.

–Czyż to nie barwna i wspaniała historia? – zapytała wreszcie.

–Fascynująca – potwierdził Klein. – Gdzie ją znalazłaś?

–W niepublikowanych pamiętnikach Claude’a Richburna z Kompanii Wschodnioindyjskiej. Wygrzebałam je w londyńskich archiwach. Dziwne, ale dotąd żaden historyk na to się nie natknął. W normalnych tekstach stwierdza się, że Ahmad użył swej floty, żeby zmusić Abdullaha do podpisania traktatu, a następnie zamordował Mwenyi Mkuu przy pierwszej nadarzającej się okazji.

–Bardzo dziwne – zgodził się Klein.

Nie przyjechał tu jednak, by wysłuchiwać romantycznych historii o narkotykach wywołujących wizje i zdradach króli. Szukał sposobu, by skierować rozmowę na sprawy bardziej osobiste. Przypomnił sobie fragmenty swego wyimaginowanego dialogu z Sybille. Tu wszystko jest takie spokojne. Panuje spokój, przekraczający możliwość pojmowania. Jak pływanie w akwarium. Jesteśmy wolni od spraw nieistotnych. Rzeczy drobne wydają się zupełnie nieważne. Umrzyj i przyłącz się do nas, a zrozumiesz. Tak. Może. Ale czy rzeczywiście w to wierzyła? To przecież on wymyślał jej odpowiedzi. Wszystko, co mówiła w jego wyobraźni, było stworzone przez niego. Nie stanowiło klucza do prawdziwej Sybille. Ale gdzie był ten klucz? Nie dała mu żadnych szans.

–Wkrótce znowu pojedę na Zanzibar – powiedziała. – Istnieje jeszcze wiele rzeczy, których chciałabym się dowiedzieć od ludzi żyjących na prowincji. Może zbiorę jakieś stare legendy o ostatnich dniach Mwenyi Mkuu. Może będą się różnić od znanej historii.

–Czy mógłbym pojechać z tobą? – To już nie prowadzisz własnych badań?

Nie czekała na jego odpowiedź. Szybkim krokiem skierowała się ku drzwiom.

**Został sam.**

## Rozdział 7

*Mam na myśli to, co oni i wynajęci przez nich psychiatrzy nazywają „systemami ułudy”. Nie trzeba dodawać, że „ułuda” jest zawsze oficjalnie zdefiniowana. Nie musimy przejmować się problemem, czy coś jest realne, czy nierealne. Mówi się jedynie o przydatności tej rzeczy. Znaczenie ma tylko system i to, jak do niego pasują dane. Niektóre do siebie pasują, inne nie.*

*Thomas Pynchon, Tęcza grawitacyjna*

I znowu ożywieni, tym razem tylko troje, przylatywali porannym samolotem z Dar. To i tak lepiej niż pięcioro – rozmyślał Daud Mahmoud Barwani, chociaż dla niego osobiście i tak było to za dużo. Poprzedni nie spowodowali żadnych kłopotów. Pozostali tylko dzień i odlecieli z powrotem na kontynent. Czuł się jednak niepewnie, wiedząc, że takie istoty przebywają na tej samej małej wyspie, co i on. Mieli przecież do wyboru cały świat. Dlaczego wciąż przyjeżdżali na Zanzibar?

–Samolot wylądował – powiedział kontroler lotów.

Trzynastu pasażerów. Oficer sanitarny przepuścił najpierw miejscowych – dwóch dziennikarzy i czterech członków miejscowej legislatury wracających z panafrkańskiej konferencji w Capetown. Następnie odprawił grupę czterech turystów japońskich, jak zwykle obwieszonych sprzętem fotograficznym. Później nadeszli zmarli i Barwani z zaskoczeniem stwierdził, że byli to ci sami co poprzednio – rudy, szatyn i brunetka. Czy mieli aż tak dużo pieniędzy, że mogli przylatywać z Ameryki na Zanzibar co kilka miesięcy? Barwani słyszał plotkę, że każdy ożywiony dostawał tyle złota, ile sam ważył. Teraz zaczynał w nią wierzyć. Nic dobrego nie wyniknie z tego, że tacy pętają się po świecie, gdzie chcą – pomyślał – a już na pewno z ich przyjazdu na Zanzibar. Nie miał jednak wyboru.

–Witam ponownie na wyspie goździków – powiedział z obłudnie przylepionym uśmiechem i zaczął zastanawiać się po raz kolejny, co stanie się z Duadem Mahmoudem Barwanim, kiedy jego dni na ziemi dobiegną kresu.

\* \* \*

–Ahmad Przebiegły i Abdullah jakiś tam – powiedział Klein. – Nie mówiła o niczym innym, tylko o historii Zanzibaru.

Siedzieli w gabinecie Jijibhoia. Był ciepły wieczór. Padający mocno deszcz przysłał miliony światła Los Angeles.

–Byłoby nietaktem zadać jej pytanie wprost. Jeszcze nie czułem się tak niezręcznie od czasu, kiedy miałem czternaście lat. Byłem wśród nich zupełnie bezradny jak dziecko.

–Czy myślisz, że odkryli twoje oszustwo? – spytał Jijibhoi.

–Trudno powiedzieć. Odniosłem wrażenie, że bawią się mną, naśmiewają, ale może taki mają sposób bycia i postępowania z każdym nowo przybyłym. Nikt mnie nie zatrzymał, nikt nie zarzucił mi, że jestem oszustem, po prostu się mną nie przejmowali, nie interesowali się tym, co robię i w jaki sposób zmarłem. Staliśmy z Sybille twarzą w twarz. Chciałem wyciągnąć do niej rękę. Chciałem, żeby mnie przytuliła. Nie nawiązaliśmy jednak nawet cienia porozumienia. Było tak, jakbyśmy spotkali się na jakimś koktajlu w środowisku akademickim, a jedyną rzeczą zajmującą

jej myśli była jakaś niezwykła informacja, którą właśnie gdzieś wykopała. Opowiedziała mi wszystko o sultanie Ahmadzie, o tym, jak oszukał Abdullaha i jak Abdullah uderzył go nożem.

Klein dostrzegł na zawalonych książkami półkach Jijibhoia znajome tytuły. Była wśród nich *Historia Afryki Wschodniej* Olivera i Mathew, pozycja z którą Sybille nie rozstawała się w okresie ich małżeństwa. Sięgnął po pierwszy tom.

– Powiedziała, że opracowania historyczne przedstawiają niedokładny obraz wydarzeń, które uznała za prawdziwe. Miałem wrażenie, że dobrze bawiła się ze mną, opowiadając mi sprawdzoną historię, jak gdyby to było coś, o czym do ostatniego tygodnia nikt nie wiedział. Sprawdzimy... Ahmad... Ahmad...

Sprawdził indeks nazwisk. Było w nim pięciu Ahmadów, ale nie było sultana Ahmada bin Majida Przebiegłego. Nazwisko to wymieniono tylko w odnośniku, zgodnie z którym nosił je arabski kronikarz. Klein znalazł również trzech Abdullahów, ale żaden z nich nie władał Zanzibarem.

– Coś tu nie gra – mruknął.

– To nie ma znaczenia – powiedział Jijibhoi łagodnie.

– Ma znaczenie. Poczekaj chwilkę.

Szukał dalej. Pod hasłem „Władcy Zanzibaru” nie znalazł ani Ahmadów, ani Abdullahów. Znalazł za to Majida bin Saida, ale stwierdził, że panował on w drugiej połowie dziewiętnastego wieku. W zdenerwowaniu przerzucał kolejne stronicie, przeglądając, cofając się, szukając. Wreszcie spojrzał na Jijibhoia.

– Tu się nic nie zgadza!

– W oksfordzkiej *Historii Afryki Wschodniej*?

– Szczegóły opowiadania Sybille. Powiedziała, że Ahmad Przebiegły wstąpił na tron omański w 1811 roku i zajął Zanzibar siedem lat później. Tu jest napisane, że niejaki Said al-Busaidi został sultanem Omanu w 1806 roku i panował przez pięćdziesiąt lat. To właśnie on, a nie nieistniejący Ahmad Przebiegły zajął Zanzibar. Zrobił to dopiero w 1828 roku, zaś władcą, który był zmuszony do podpisania traktatu był ówczesny Mwenyi Mkuu o nazwisku Hasan bin Ahmad Alawi i... – Klein pokręcił głową. – To zupełnie inne postacie. Żadnych sztyletów, zabójstw, daty się nie zgadzają. Wszystko to...

– Zmarli lubią sobie stroić żarty – uśmiechnął się Jijibhoi ponuro.

– Dlaczego miałyby zmyślać jakąś historię i ogłaszać ją jako sensacyjne, nowe odkrycie? Sybille była najskrupulatniejszym naukowcem, jakiego kiedykolwiek znałem! Nigdy by...

– Taka była Sybille, którą znałeś, drogi przyjacielu. Staram się, byś wreszcie pojął, że to teraz jest inna osoba, nowa osoba w jej ciele.

– Osoba, która kłamałaby na temat historii?

– Osoba, która lubi żarty.

– Tak, najwyraźniej – wymamrotał Klein.

Zapamiętaj, że dla zmarłych cały wszechświat jest jak z plastiku. Nic rzeczywistego. Nic nie ma większego znaczenia.

– ...która stroi sobie żarty z głupiego, nudnego, namolnego byłego męża,

niezdarnie ucharakteryzowanego na ożywieńca, pojawiającego się w Zimnym Mieście. Wymyśla nie tylko anegdotę, ale i warunki gry. O Boże, jaka ona jest okrutna, a ja wyszedłem na głupca! To był jej sposób przekazania mi, że przejrzała moje oszustwo. Kłamstwo za kłamstwo!

–Co teraz zrobisz?

–Nie wiem – powiedział Klein.

\* \* \*

Wbrew radom Jijibhoia i wbrew zdrowemu rozsądkowi, Klein zdobył więcej pastylek od Dolorosy i zdecydował się na powrót do Zimnego Miasta Zion. Tam stanie przed Sybille i zdemaskuje jej fikcyjnego Ahmada i zmyślonego Abdullaha. Skończmy tę grę – powie. Powiedz mi, Sybille, to, co muszę wiedzieć i odejdę bez słów, ale mów tylko prawdę. Przez całą drogę do Utah ćwiczył i cyzelował swoje przemówienie. Okazało się to jednak niepotrzebne, ponieważ tym razem brama Zimnego Miasta Zion dla niego się nie otworzyła. Skanery zbadały jego podrobiony dokument z Albany i bezosobowy głos powiedział przez głośnik:

–Pańska przepustka jest nieważna.

Na tym sprawa powinna się była zakończyć. Mógł wrócić do Los Angeles i zacząć nowe życie. Cały semestr zimowy spędził na urlopie naukowym, ale zbliżał się semestr letni i czekała go praca. Wrócił do Los Angeles, ale tylko po to, by spakować nieco większą walizkę, znaleźć paszport i wyruszyć na lotnisko. W piękny majowy wieczór samolot brytyjskich linii lotniczych zabrał go trasą nad biegunem północnym do Londynu. Tam ledwo wypił kawę i zjadł kanapki w barze na lotnisku i następnym samolotem ruszył na południowy wschód ku Afryce. Jak w malignie obserwował przesuwającą się w dole ziemię. Morze Śródziemne pojawiło się i zniknęło z zaskakującą szybkością. Pojawił się brązowy dywan Pustyni Libijskiej, a później potężny Nil, który z wysokości dziesięciu mil wydawał się cienką strużką. Nagle w dole po prawej stronie pojawiło się spowite w śnieg i mgły Kilimandżaro i zdawało mu się, że po lewej stronie dostrzega daleki blask Oceanu

Indyjskiego. Po chwili wielki samolot zaczął się zniżać i już wkrótce wyszedł z samolotu i stanął w rażącym blasku słońca Dar-es-Salaam.

\* \* \*

To nastąpiło za szybko. Nie był jeszcze gotów jechać na Zanzibar. Może odpocznie dzień czy dwa. Wybrał na chybił trafił hotel „Agip”, zachęcony egzotyczną nazwą i wezwał taksówkę. Hotel był nowoczesny i czysty, zbudowany w stylu lat sześćdziesiątych i znacznie tańszy niż „Kilimandżaro”, gdzie zatrzymał się poprzednio. Położony w przyjemnej, zadrzewionej dzielnicy w pobliżu oceanu. Pospacerował nieco po okolicy, stwierdził, że jest całkowicie wyczerpany i wrócił do hotelu na drzemkę. Spał aż pięć godzin. Obudził się półprzytomny, wziął prysznic i przebrał się do kolacji. Hotelowa restauracja wypełniona była przez potężnych mężczyzn o czerwonych twarzach i jasnych włosach, bez marynarek i w białych, rozpiętych pod szyją koszulach. Przypominali mu Kenta Zachariasza. Byli jednak żywi. Z podsłuchanych rozmów i z akcentu wywnioskował, że byli brytyjskimi technikami budującymi zaporę i elektrownię, czy może tylko elektrownię, gdzieś

niedaleko Dar. Trudno było mu zrozumieć, co mówią. Pili dużo dżinu i głośno się śmiali. Było również sporo japońskich biznesmenów, wyglądających w swoich granatowych garniturach i wąskich krawatach bardzo oficjalnie. Przy sąsiednim stole siedziało pięciu kędzierzawych, smagłych mężczyzn mówiących po hebrajsku – z pewnością Izraelczycy. Klein zamówił ostrygi, stek i karafkę czerwonego wina. Jedzenie było nadspodziewanie dobre, jednak nie zjadł wszystkiego. W Tanzanii był już późny wieczór, ale dla niego wciąż była dziesiąta rano. Jego ciało jeszcze nie zdążyło się zaaklimatyzować. Poszedł do łóżka, zastanawiając się nad faktem, że Sybille jest oddalona od niego o kilka minut lotu. Zapadł w sen i zdawało mu się, że śpi wiele godzin, ale gdy się obudził, wciąż jeszcze nie nadszedł świt.

Ranek strawił na zwiedzaniu miasta. Trafił do starej dzielnicy, upalnej i zakurzonej, gdzie wzdłuż nieutwardzonych ulic ciągnęły się rzędy blaszanych bud. W południe wrócił do hotelu, wziął prysznic i zjadł lunch. W restauracji siedzieli ci sami goście. Brytyjczycy, Japończycy, Izraelczycy, chociaż ich twarze wydawały się inne. Pil drugie piwo, kiedy pojawił się Anthony Gracchus. Biały myśliwy o szerokich barach, blady i z gęstą brodą, ubrany w szorty i koszulę khaki, wyglądał zupełnie, jak gdyby wyszedł ze zdjęcia, które pokazywał Kleinowi Jijibhoi. Instynktownie Klein cofnął się i odwrócił ku oknu, ale było już za późno. Gracchus dostrzegł go. W restauracji wszystkie rozmowy ucichły, gdy zmarły kroczył przez salę do stolika Kleina, odsunął krzesło i usiadł nieproszony. Po chwili, jak gdyby projektor filmowy został zatrzymany, a następnie znowu puszczony w ruch, brytyjscy inżynierowie znów zaczęli swoje rozmowy, chociaż wyczuwało się w nich napięcie.

–Jaki ten świat jest mały – powiedział Gracchus – i zatłoczony. Jedziesz na Zanzibar, prawda?

–Za dzień lub dwa. Wiedziałaś, że tu jestem?

–Naturalnie, że nie – w oczach Gracchusa mignęły figlarne ogniki. – Czysty zbieg okoliczności. Ona tam już jest.

–Tak?

–Ona, Zachariasz i Mortimer. Słyszałem, że dostałeś się do Zion.

–Na krótko i przez chwilę rozmawiałem z Sybille.

–Z niezadowalającym wynikiem. Daj temu spokój, człowieku.

–Nie mogę.

–Nie mogę – Gracchus zmarszczył brwi. – Neurotyczny zwrot to „nie mogę”, a naprawdę chcesz powiedzieć „nie chcę”. Dorosły człowiek może robić to, co chce, chyba że jest to fizycznie niemożliwe. Zapomnij o niej. W ten sposób ją niepokoisz, przeszkadzasz jej w pracy, w... – Gracchus uśmiechnął się -...w życiu. Ona przecież zmarła przed prawie trzema laty. Zapomnij o niej. Świat jest pełen pięknych kobiet. Jesteś wciąż jeszcze młody, przystojny, masz pieniądze, osiągnięcia zawodowe...

–Czy przysłało cię po to, żebyś mi to powiedział?

–Nikt mnie tu nie przysłał, przyjacielu. Chcę cię tylko ocalić przed tobą samym. Nie jedź na Zanzibar. Wróć do domu i zacznij nowe życie.

–Kiedy spotkałem ją w Zion – powiedział Klein – potraktowała mnie pogardliwie. Bawiła się moim kosztem. Chciałbym się dowiedzieć dlaczego.

–Ponieważ ty żyjesz, a ona umarła. Dla niej jesteś pajacem. Nie bierz tego do siebie, Klein. Istnieje po prostu między wami przepaść zbyt szeroka, żebyś mógł ją przekroczyć. Pojechałeś do Zion po zażyciu narkotyków, jak to robią urzędnicy skarbowi, prawda? Błada twarz, wyłupiaste oczy? Czy udało ci się kogokolwiek oszukać? Na pewno nie ją. Ta gra, w którą grała z tobą, była jej sposobem na przekazanie ci wiadomości. Czy tego nie rozumiesz?

–Rozumiem.

–Czego chcesz więcej? Kolejnych upokorzeń?

Klein pokręcił ze znużeniem głową i wpatrzył się w haftowany ręcznie obrus. Po chwili podniósł wzrok i napotkał wzrok Gracchusa. Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że mu ufa i po raz pierwszy w swych kontaktach ze zmarłymi odniósł wrażenie, że spotyka się ze szczerością.

–Byliśmy tak bardzo sobie bliscy, Sybille i ja – powiedział cicho – a potem ona zmarła i teraz ma mnie za nic. Nie mogę się z tym pogodzić. Wciąż jej potrzebuję. Nawet teraz chciałbym z nią żyć.

–Ale nie możesz.

–Wiem, ale wciąż nie mogę porzucić tego, co robię.

–Jest tylko jedna rzecz, którą możesz z nią dzielić – powiedział Gracchus. – To śmierć. Ona nie zniży się do twojego poziomu. To ty musisz osiągnąć jej poziom.

–To absurd.

–Kto tu jest absurdalny, ty czyja? Posłuchaj mnie, Klein. Myślę, że jesteś głupcem i słabeuszem, ale to nie znaczy, żebym cię nie lubił. Nie mam ci za złe twojego szaleństwa. Jestem gotów ci pomóc, jeżeli się na to zgodzisz.

Sięgnął do kieszeni na piersiach i wydobyl z niej niewielką, metalową rurkę z przyciskiem na końcu.

–Czy wiesz, co to jest? – zapytał. – To przyrząd do wystrzeliwania strzałek – ciągnął dalej, nie czekając na odpowiedź. – Taką broń noszą prawie wszystkie kobiety w Nowym Jorku i wielu zmarłych, bo nigdy nie wiadomo, kiedy motłoch może wystąpić przeciwko nam. W naszych rurkach nie używamy jednak środków usypiających. Możemy pójść do jakiegokolwiek knajpy w murzyńskiej dzielnicy i w ciągu pięciu minut wywołać tam sporą burdę. W zamęcie wpakuję ci taką strzałkę, a po piętnastu minutach będziesz już w szpitalu, w zamrażalniku. Za kilka tysięcy dolarów wyślemy cię w tym stanie do Kalifornii i w piątek możesz zostać ożywiony w Zimnym Mieście San Diego. Gdy ten proces się zakończy, znajdziesz się po tej samej stronie przepaści, co Sybille. Rozumiesz? Jeżeli macie się kiedykolwiek znowu połączyć, to jest to jedyny sposób. Tylko tak będziesz miał szansę. Działając w inny sposób, nie masz żadnej.

–To nie do przyjęcia.

–Może nie do przyjęcia, ale pomyśleć o tym można. Nic nie jest nie do pomyślenia, jeżeli ktoś o tym pomyślał. Pomyśl o tym. Obiecujesz? Przemyśl to, zanim wsiądziesz do samolotu lecącego na Zanzibar. Zostanę tu jeszcze dziś i jutro, potem jadę do Arushy spotkać grupę zmarłych przyjeżdżających na safari. Przed wyjazdem powiedz tylko słowo, a zrobię to dla ciebie. Pomyślisz? Obiecuj mi, że



**pomyślisz.**

**–Pomyślę – powiedział Klein.**

**–Dobra! Dziękuję ci. A teraz zmieńmy temat i zajmijmy się obiadem.**

**–Lubisz tę restaurację, a mnie jedna rzecz zastanawia. Dlaczego nie przychodzą tu Afrykanie? Czy dyskryminuje się tu czarnych w afrykańskim kraju?**

**–To czarni wprowadzają dyskryminację, przyjacielu – zaśmiał się Gracchus. – Ten hotel uważany jest za hotel drugiej klasy. Wszyscy czarni odwiedzają „Kilimandżaro” albo „Nyerere”. Mimo to „Agip” ma nienajgorszą restaurację. Polecam ryby, jeśli jeszcze nie próbowałeś. Jest też całkiem niezłe białe wino... z Izraela.**

## Rozdział 8

*0 Boże, Boże, strasznie było tonąć!  
Przerażający grzmot wód brzmiał mi w uszach!  
1 widok wstrętnej śmierci przed oczyma!  
Wydało mi się, że widzę tysiące  
Zatrważających, rozbitych okrętów;  
Tysiące ludzi, których ryby żarły,  
Stosy sztab złota, ogromne kotwice  
I kopce pereł, nieoszacowane  
Drogie kamienie, bezcenne klejnoty.  
Wszystko to na dnie morza rozrzucone.  
Niejeden kamień spoczął w ludzkiej czaszce,  
A w dziurach, w których niegdyś tkwiły oczy,  
Lśniły diamenty i miotły blaski,  
Patrząc miłośnie w muł na dnie głębiny  
I szydząc z kości rozrzuconych wokół.*

*William Shakespeare, Ryszard III (Tłum. Maciej Słomczyński)*

–...izraelskie wino – mówił Mick Dongan. – Jestem gotów wszystkiego raz spróbować, szczególnie jeżeli jest w tym domieszka ironii. Pamiętam, jak kiedyś byliśmy w Egipcie na sławnym przyjęciu wydanym w „Luksorze”. Naszym gospodarzem był saudyjski książę w swoim narodowym stroju i w ciemnych okularach. Kiedy podano pieczone jagnię, uśmiechnął się szatańsko i powiedział: Oczywiście moglibyśmy pić Mouton-Rotschild, ale mam w mojej piwniczce niewielki zapas najlepszych win izraelskich, a ponieważ uważam, że podobnie jak ja jest pan zwolennikiem drobnych wybryków, poleciłem memu lokajowi, żeby otworzył jedną czy dwie... Klein, czy widzisz dziewczynę, która właśnie weszła?

Było wczesne, styczniowe popołudnie 1981 roku. Wraz z sześcioma kolegami z wydziału historii Klein jadł obiad w Wiszących Ogrodach na najwyższym piętrze Westwood Plaza. Restauracja na dziewięćdziesiątym piętrze nowoczesnego hotelu udekorowana była w stylu babilońskim. Zewsząd patrzyły na nich skrzydlate byki i ziejące ogniem smoki w kolorach błękitnym i żółtym. Kelnerzy nosili długie, fryzowane brody i szable u boku. Nocą był to kosztowny klub, zaś za dnia miejsce spotkań towarzystwa z uniwersytetu. Klein spojrzał w lewo. Przystojna dziewczyna, po dwudziestce. Uroda chłodna, poważna. Usiadła sama. Odłożyła stertę książek i kaset na stół. Klein nie podrywał nieznanomych dziewczyn, taką miał politykę moralną, a także wynik nieśmiałości.

–Podejdz do niej – żartuje Dongan. – Jest w twoim typie. Jej oczy są chyba właściwego koloru, prawda?

Klein narzekał ostatnio, że w Południowej Kalifornii jest zbyt wiele niebieskookich dziewczyn. Niebieskie oczy w jakiś sposób denerwują go, są wręcz groźne. Oczy Kleina były czarne. Jej oczy były takie same – ciemne, lśniące, namiętne. Wydało mu się, że widywał ją od czasu do czasu w bibliotece. Może nawet już się sobie przyglądali.

–Idź, Jorge, na co czekasz? – ponagliła go Dongan. Klein patrzy na niego gniewnie. Nie pójdzie. Jak można jej przeszkadzać? Zmuszanie jej do swego towarzystwa to prawie gwałt. Dongan uśmiecha się w ugrzeczniony sposób. Jego uśmiech stanowi bezlitosny bodziec. Klein opiera się, ale gdy tak trwa w niezdecydowaniu, nieoczekiwanie dziewczyna uśmiecha się. Szybki, wstydlivy uśmiech, który niknie tak szybko, że Klein nie jest wcale pewien, czy w ogóle miał miejsce. Ale to wystarcza. Wstał i ruszył niepewnie po alabastrowej podłodze. Zatrzymał się z wahaniem koło niej, szukając natchnienia, które pomoże mu nawiązać kontakt. Natchnienie nie przychodzi, ale kontakt zostaje nawiązany starym sposobem – wzrokiem. Jest zaszokowany intensywnością wymiany, jaka między nimi następuje w tym trudnym momencie.

–Czy czekasz na kogoś? – udaje mu się wreszcie wydukać.

–Nie. – Znowu ten uśmiech, tym razem bardziej pewny siebie. – Chciałbyś się przysiąc?

Po chwili odkrywa, że właśnie skończyła studia. Uzyskała już stopień magistra i zaraz bierze się za doktorat, którego tematem jest handel niewolnikami w Afryce Wschodniej. Szczególną uwagę musi poświęcić Zanzibarowi.

–Jakie to romantyczne. Zanzibar! Czy byłaś tam kiedyś?

–Nigdy. Mam nadzieję, że kiedyś tam pojedę. A ty?

–Też nie. Ale ten kraj interesował mnie od czasu, kiedy byłem małym chłopcem zbierającym znaczki. Miałem go na ostatniej stronie w klaserze.

–Ja miałam na ostatniej stronie Zulu.

Okazuje się, że zna jego nazwisko. Myślała nawet o zapisaniu się na jego wykłady o nazizmie i ruchach faszystowskich.

–Pochodzisz z Ameryki Południowej?

–Tam się urodziłem i wychowałem. Moi dziadkowie uciekli do Buenos Aires w 1937.

–Dlaczego do Argentyny? Myślałam, że tam aż roi się od nazistów.

–Owszem. Było jednak również mnóstwo uchodźców z Niemiec. Mieliśmy wielu przyjaciół, a czasy były niepewne. Rodzice wyjechali stamtąd w 1955 roku i osiedlili się w Kalifornii. A ty?

–Pochodzę z rodziny brytyjskiej. Urodziłam się w Seattle. Mój ojciec pracuje w służbie konsularnej. On...

Pojawia się kelner. Zamawiają kanapki. Lunch wydaje się zupełnie nieważny. Wiąż między nimi wciąż się utrzymuje. Wśród jej książek widzi *Nostromo* Conrada. Przeczytała już połowę. On właśnie skończył lekturę. Ten zbieg okoliczności rozbawił ich. Conrad jest jej ulubionym pisarzem. Jego też. A Faulkner? Tak. Virginia Woolf i Hermann Broch. Nie lubią Hessego. Dziwne. A opery? *Wolny strzelec*, *Latający Holender*, *Fidelio*.

–Mamy teutońskie gusty – zauważa ona.

–Bardzo podobne gusty – dodaje on i nagle zdaje sobie sprawę, że trzymają się za ręce.

–Zaskakująco podobne – zgadza się ona.

Mick Dongan gapi się na nich z drugiego końca sali. Klein obrzuca go gniewnym spojrzeniem. Dongan mruga porozumiewawczo.

–Chodźmy stąd – mówi Klein dokładnie w chwili, kiedy ona chciała powiedzieć to samo.

Przegadali pół nocy i kochali się aż do świtu.

–Powinnaś wiedzieć – powiedział jej przy śniadaniu ze śmiertelną powagą – że dawno już zdecydowałem, że nigdy się nie ożenię, a tym bardziej, że nigdy nie będę mieć dzieci!

–Ja też tak zdecydowałam, kiedy miałam piętnaście lat.

Pobrali się cztery miesiące później. Mick Dongan był drużbą.

\* \* \*

–Pomyślisz o tym, prawda? – powiedział Gracchus, kiedy wychodzili z restauracji.

–Pomyślę – powiedział Klein. – Przecież ci obiecałem.

Wrócił do pokoju, zapakował walizkę, wymeldował się i taksówką pojechał na lotnisko. Przyjechał na długo przed popołudniowym rejssem na Zanzibar. Ten sam mały, melancholijny człowieczek pełnił obowiązki oficera sanitarnego.

–Och, widzę, że pan wrócił – powiedział Barwani. – Pomyślałem sobie, że może pan przyjedzie, bo tamci już tutaj są.

–Tamci?

–Kiedy był pan tu ostatni raz, zostawił mi pan małą pamiątkę, żebym poinformował pana, kiedy pojawi się tu pewna osoba. Ta osoba i jej dwóch towarzyszy przylecieli tu znowu.

Klein delikatnie położył dwudziestoszylingowy banknot na biurku oficera sanitarnego.

–W którym hotelu?

Usta Barwaniego zadrżały. Widocznie banknot nie spełniał jego oczekiwań. Klein nie sięgnął jednak po drugi.

–Jak wtedy, w „Zanzibar House”, a pan?

–Jak wtedy, w „Shirazi” – powiedział Klein.

Sybille siedziała w hotelowym ogrodzie i przeglądała notatki, kiedy zadzwonił Barwani.

–Nie pozwól, żeby wiatr rozwiął moje papiery – poleciała Zachariaszowi i weszła do hotelu.

Gdy wróciła, wyglądała na zdenerwowaną.

–Jakieś kłopoty? – zapytał Zachariasz.

–Jorge – powiedziała z westchnieniem. – Jest już w drodze do hotelu.

–Co za nudziarz – mruknął Mortimer. – Myślałem, że Gracchus potrafi go przekonać.

–Widocznie nie – powiedziała Sybille. – Co zrobimy?

–A co ty chciałabyś zrobić? – zapytał Zachariasz.

–Nie możemy dopuścić, żeby się to dalej ciągnęło – stwierdziła Sybille, kręcąc głową.

\* \* \*

Wieczorne powietrze było wilgotne i aromatyczne. Pora deszczowa wreszcie ustała. Na wyspie nastąpił sezon gwałtownego rozwoju roślin. Za oknem pokoju Kleina jakieś pnącza wypuściły ogromne, żółte kwiaty w kształcie trąbek. W ogrodach hotelowych wszystko rozkwitało i pokryte było burzą młodych, wilgotnych liści. Umysł Kleina odbierał tę atmosferę pełnej życia, zewsząd napierającej nowości. Kręcił się po pokoju pełen energii, próbując opracować jakąś strategię. Czy pójść do Sybille od razu? Wedrzeć się do środka, jeśli będzie trzeba, zrobić awanturę i zażądać wyjaśnienia, dlaczego opowiedziała mu tę bajkę o zmyślonych sułtanach? Nie. Nie doprowadzi do konfrontacji. Nie będzie się też użalać. Skoro już był tutaj, tak blisko niej, zachowa spokój, będzie spokojnie rozmawiać, postara się przypomnieć jej ich miłość, będzie mówił o Rilkiem, Woolf i Brochu, o popołudniach w Puerto Vallarta i nocach w Santa Fe, o wspólnie słuchanej muzyce i wzajemnych pieszczotach, postara się przywrócić nie ich małżeństwo, bo to było niemożliwe, ale chociaż wspomnienie więzów, jakie ich kiedyś łączyły. Zmusi ją, by przyznała, że coś takiego kiedyś istniało i wówczas spokojnie i na trzeźwo wykorzysta to wspomnienie. Razem postarają się w rozmowie wyswobodzić go z tych więzów, dyskutując o zmianach, jakie zaszły w ich życiu, dopóki, po trzech albo pięciu godzinach, nie pogodzi się z tym, z czym pogodzić się nie można było. To wszystko. Niczego nie zażąda. O nic nie poprosi. Tylko o jedno – żeby na ten wieczór mógł pozbyć się niepotrzebnej, niszczącej go obsesji. Nawet kapryśna, obłąkana, zmienna, rozpustna zmarła powinna zrozumieć korzyści płynące z takiego rozwiązania i będzie z nim współpracować. Na pewno.

Przygotowywał się do wyjścia, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

–Proszę pana, ma pan gości!

–Kto przyszedł? – zapytał Klein, chociaż znał odpowiedź.

–Jakaś pani i dwóch panów – odpowiedział boy. – Przywiozła ich taksówka z „Zanzibar House”. Czekają w barze.

–Powiedz im, że zejdę za chwilę.

Podszedł do komody, na której stał dzbanek wody z lodem. Wypił mechanicznie jedną szklankę, o niczym nie myśląc. Nalał sobie drugą. Tę też wypił. Ta wizyta była zbyt niespodziewana. Po co sprowadziła do niego swoje towarzystwo? Walczył, żeby odzyskać równowagę i poczucie celu, które już prawie osiągnął, zanim przerwało mu pukanie do drzwi. Wreszcie wyszedł z pokoju.

Mimo ciepłego i wilgotnego wieczoru wyglądali świeżo i nienagannie. Zachariasz miał brązową marynarkę i jasnozielone spodnie, Mortimer kaftan z pasem, wykończonym wzorzystym brokatem. Sybille ubrana była w prostą tunikę. Na ich twarzach nie spostrzegł ani śladu potu. Zachowywali niezmałony spokój i nienaganne maniery. Nikt nie siedział obok nich. Kiedy Klein wszedł, wstali, żeby się z nim przywitać. Ich uśmiech był jednak bez krzty ciepła. Klein zdecydowanie walczył o zachowanie spokoju, tak jak sobie zaplanował.

–To miło, że przyszliście. Czy mogę zaproponować coś do picia? – zapytał spokojnie.

–My już zamówiliśmy – odparł Zachariasz. – To my zapraszamy. Co zamówić dla

pana?

–Pimm numer sześć – odpowiedział Klein. Chciał się odwzajemnić równie lodowatym uśmiechem. – Masz piękną sukienkę, Sybille. Wyglądasz tak ślicznie, że aż czuję się skrępowany.

–Nigdy nie przywiązywałeś wagi do ubrania – odparła Sybille.

Zachariasz przyniósł drinka dla Kleina. Klein wziął go i wzniosł szklankę z powagą.

–Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy, Sybille? – zapytał po chwili.

–Nie mamy sobie nic do powiedzenia, czego nie można by powiedzieć w obecności Kenta i Laurence’a.

–Jednakże...

–Wolę nie, Jorge...

–Jak chcesz.

Klein spojrzał jej prosto w oczy i nic w nich nie dostrzegł. Zupełnie nic. Aż się wzdrygnął. Wszystkie przygotowane kwestie uciekły mu z głowy. Przypominały mu się tylko jakieś fragmenty – Rilke, Broch, Puerto Vallarta. Pociągnął długi łyk.

–Musimy omówić pewien problem, Klein – powiedział Zachariasz.

–No, słucham.

–Ten problem to pan. Stwarza pan wielkie kłopoty dla Sybille. Już drugi raz przyjeżdża pan za nami na Zanzibar, na koniec świata. Próbował pan kilkakrotnie dostać się na teren zamknięty w Utah, używając fałszywych dokumentów. Narusza pan jej wolność osobistą. Tak być nie może. To jest nie do zniesienia.

–Zmarli są zmarłymi – powiedział Mortimer. – Rozumiemy głębię twego uczucia do twej zmarłej żony, ale musisz skończyć z tym obsesyjnym ściganiem jej po świecie.

–Chcę skończyć – powiedział Klein wpatrzony w jakiś punkt na ścianie między głowami Zachariasza i Sybille. – Chciałbym jednakże porozmawiać przez godzinę czy dwie z moją... z Sybille i obiecuję wam, że...

–Tak jak obiecałeś Gracchusowi, że nie pojedziesz na Zanzibar.

–Chciałem tylko...

–My także mamy pewne prawa – powiedział Zachariasz. – Przeszliśmy przez piekło, dosłownie przez piekło, żeby zająć tu, gdzie jesteśmy. Naruszyłeś nasze prawo, chcemy, żeby zostawiono nas w spokoju. Przeszkadzasz nam, zanudzasz, niepokoisz. Nie lubimy, jak ktoś nas niepokoi. – Popatrzył na Sybille. Skinęła głową. Dłoń Zachariasza zniknęła w kieszeni marynarki. Mortimer chwycił Kleina za nadgarstek i gwałtownie pociągnął do przodu. Mała, metalowa rurka błysnęła w dłoni Zachariasza. Klein widział już taką u Gracchusa dzień wcześniej.

–Nie – wyszeptał. – Nie wydaje mi się... nie! Zachariasz zagłębił zimne ostrze, które wyprysło z rurki, w przedramię Kleina.

\* \* \*

–Zamrażarka jest już w drodze – powiedział Mortimer. – Będzie za niecałe pięć minut.

–A co się stanie, jak się spóźni? – zapytała zaniepokojona Sybille. – Co będzie, jeśli w jego mózgu zajdą jakieś nieodwracalne zmiany, zanim przyjedzie?

–On nie jest jeszcze całkiem martwy – przypomniał jej Zachariasz. – Mamy czas, a

nawet mnóstwo czasu. Rozmawiałem z lekarzem. Bardzo inteligentny Chińczyk. Bezbłędnie mówi po angielsku. Wszystko świetnie zrozumiał. Zostanie zamrożony w kilka minut po śmierci. Ładunek wyślemy porannym samolotem do Dar. W ciągu dwudziestu czterech godzin znajdzie się w Stanach. To mogę zagwarantować. Uprzedzimy San Diego. Wszystko będzie w porządku, Sybille!

Jorge Klein leżał bezwładnie na blacie stołu. Bar opustoszał w chwili, kiedy wydał okrzyk i szarpnął się do przodu. Pół tuzina gości uciekło, nie chcąc psuć sobie wakacji widokiem śmierci. Kelnerzy i barman z wytrzeszczonymi z przerażenia oczami zgrupowali się w holu.

–Atak serca – oświadczył Zachariasz – albo wylew... Gdzie jest telefon?

Nikt nie widział, jak niewielka metalowa rurka spełniła swoje zadanie.

–Jeżeli coś się nie uda... – Sybille drżała.

–Już słyhać pogotowie – powiedział Zachariasz.

Siedząc za swym biurkiem, Daud Mahmoud Barwani obserwował, jak tragarze ładowali potężną lodową trumnę na pokład porannego samolotu do Dar. I co teraz będzie? Wyślą zmarłego na drugi koniec świata, do Ameryki. Tchną w niego nowe życie. Znowu znajdzie się między ludźmi. Barwani potrząsnął głową. Co za ludzie! Człowiek, który żył, teraz jest martwy. A ci zmarli? Któż wie, kim oni są? Kto wie? Lepiej, żeby zmarli pozostali zmarłymi, jak Bóg zamierzył od początku. Któż mógł przewidzieć dzień, w którym zmarli wyjdą z grobów? Nie ja. Któż może przewidzieć, co stanie się z nami za sto lat? Nie ja. Za sto lat już

mnie nie będzie – pomyślał Barwani. Nie będzie mnie i nic nie będzie mnie obchodzić, jakie istoty krążą po Ziemi.

# Rozdział 9

*Umieramy z umierającymi:*

*Zobacz, odchodzą, a my razem z nimi.*

*Rodzimy się z umarłymi:*

*Zobacz, wracają i nas z sobą niosą.*

*T. S. Eliot, Little Gidding (Tłum. Władysław Dulęba)*

W dniu, w którym obudził się, nie widział nikogo oprócz pielęgniarzy w domu przebudzeń. Wykąpali go, nakarmili i pomogli pokuśtykać po pokoju. Nic nie mówili. On też milczał. Słowa wydały się nieistotne. Dziwnie się czuł w swoim ciele. Było świetnie dopasowane, jakby przez całe życie nosił niedopasowane ubrania, a teraz po raz pierwszy zetknął się z właściwym krawcem. Obrazy, jakie widział nowymi oczami, były ostre, niezmiernie wyraźne, w tęczowych obwódkach. Zjawisko to zniknęło po kilku dniach. Drugiego dnia odwiedził go Ojciec Kierownik Zimnego Miasta San Diego. Wcale nie wyglądał na wspaniałego patriarchę, jak go sobie wyobrażał. Wyglądał na zimnego, kompetentnego urzędnika po pięćdziesiątce, który powitał go serdecznie i zapoznał z zasadami oraz praktykami, jakie musi opanować, zanim opuści Zimne Miasto.

–Jaki mamy miesiąc? – zapytał go Klein.

–Czerwiec. Siedemnasty czerwca 1993 roku – wyjaśnił Ojciec Kierownik. Spal cały miesiąc.

\* \* \*

Nastał ranek trzeciego dnia po przebudzeniu. Przyszli goście: Sybille, Nerita, Zachariasz, Mortimer, Gracchus. Weszli do pokoju i stanęli półkolem u stóp łóżka. Rozświetlał ich blask dnia, wpadający przez wąskie okna. Niczym grupa półbogów, jak aniołowie płoną wewnętrznym ogniem, a on jest jednym z nich. Obejmują go w oficjalny sposób. Najpierw Gracchus, później Nerita, potem Mortimer. Zachariasz jest następny. Zachariasz, który zadał mu śmierć. Uśmiecha się do Kleina i Jorge odwzajemnia uśmiech. Obejmują się. Teraz kolej na Sybille. Wsuwa dłoń między jego dłonie. On przyciąga ją blisko. Jej usta dotykają jego policzka. Jego usta dotykają jej policzka. Obejmuje jej ramiona.

–Cześć – szepcze Sybille.

–Cześć – mówi Klein.

Pytają go, jak się czuje, czy wracają mu siły, czy już wstawał z łóżka, jak szybko wyruszy na wysuszenie. Sposób ich prowadzenia rozmowy jest pokrętny, kwiecisty, tak lubiany przez zmarłych. Nie jest jednak tak niejasny, jak używany przez żywych. Biorą pod uwagę, że jest

nowy. Wprowadzają go w swoje zwyczaje cal po calu. W ciągu pięciu minut Klein zorientował się, o co chodzi.

–Musiałem stanowić dla was wielki kłopot – odezwał się, dostosowując do przyjętego stylu.

–O, tak – zgadza się Zachariasz – ale mamy już to za sobą.

–Przebaczamy ci – mówi Mortimer.

–Witamy cię w naszym gronie – oznajmia Sybille. Dyskutują o planach na



najbliższe miesiące. Sybille już kończy zbieranie materiałów na temat Zanzibaru. Przez lato pozostanie w Zimnym Mieście Zion i będzie pisać. Mortimer i Nerita jadą do Meksyku zwiedzać świątynie i piramidy Majów. Zachariasz wybiera się do Ohio do swoich ukochanych kurhanów. Jesienią spotkają się w Zion i omówią plany na zimę. Może pojadą do Egiptu lub do Peru zwiedzić Machu Picchu. Największą radość sprawiają im ruiny i wykopaliska. Najlepiej czują się tam, gdzie śmierć zebrała największe żniwo. Są zarumienieni, podnieceni, wylewni i gadatliwi. Pojadą do Zimbabwe, Palenque, Angkor, Knossos, Uxmal, Niniwy. I tak w kółko. Rozmawiając, poruszają rękami, oczami i mówią – słowa wręcz się z nich wylewają. Stają się dla niego niewyraźni, zamazani, wprost nierealni, jak kukielki podrygujące na scenie wśród brzydkich dekoracji, jak natrętne, brzęczące muchy z całą tą ich gadaniną o podróżach i obchodach, o Boghazkoy i Babilonie, o Megiddo i Masadzie. Przestaje ich słuchać, wyłącza się. Leży uśmiechnięty, z zamglonymi oczami, myśląc zupełnie o czymś innym. Zastanawiające, że tak mało go interesują. Zaczyna sobie zdawać sprawę, że to oznaka jego wyzwolenia. Zerwał stare więzy. Czy przyłączy się do nich? A po co miałby to robić? Może pojedzie z nimi, a może nie. To będzie zależec od jego kaprysu. Raczej nie. Prawie na pewno nie. Nie potrzebuje ich towarzystwa. Ma własne zainteresowania. Nie będzie już jeździł za Sybille. Nie potrzebuje, nie chce, nie będzie o to zabiegał. Dlaczego miałby stać się jednym z nich, wędrownikiem bez oparcia, duchem odzianym w ciało? Dlaczego miałby przyjąć ich wartości i zwyczaje, gdy oni wydali go na śmierć z taką samą obojętnością, z jaką zabija się muchę? Tylko dlatego, że ich nudził i im przeszkadzał. Nie nienawidzi ich za to, nie czuje nawet niechęci. Po prostu woli się od nich odłączyć. Niech sobie wędrują po ruinach i zgliszczach, niech gonią za śmiercią z kontynentu na kontynent. On pójdzie swoją drogą. Teraz, gdy już przekroczył próg, widzi, że Sybille nic dla niego nie znaczy.

–Tak, wszystko się zmienia...

–Idziemy – mówi Sybille łagodnie. Skinął głową, nie dając innej odpowiedzi.

–Spotkamy się, jak się zaaklimatyzujesz – mówi Zachariasz i dotyka go lekko kostkami palców w pożegnalnym geście stosowanym jedynie przez zmarłych.

–Do zobaczenia – mówi Mortimer.

–Do zobaczenia – mówi Gracchus.

–Do szybkiego... – mówi Nerita.

Nigdy – myśli Klein, ale oni i tak rozumieją. Nigdy. Nigdy się z wami nie spotkam.

Nigdy nie spotkam się z tobą, Sybille. Sylaby brzmią w jego mózgu, a słowo *nigdy, nigdy, nigdy* przelewa się w nim, jak fale uderzające o brzeg, splukuje, oczyszcza, uzdrawia. Jest wolny. Jest samotny.

–Żegnaj – wola Sybille z holu.

–Żegnaj – odpowiada.

\* \* \*

Minęło wiele lat, zanim ponownie się spotkali. Ostatnie dni 1999 roku spędzili jednak razem, polując na dodo w cieniu potężnego Kilimandżaro.

*Tłumaczył Piotr Gąsiewski*

# Dobre wieści z Watykanu

Oto ranek, na który czekaliśmy wszyscy – wreszcie kardynał-robot wybrany zostanie papieżem. Nikt już nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Trwający od wielu dni, nie rozstrzygnięty spór między upartymi zwolennikami kardynała Ascigi z Mediolanu i kardynała Carciofo z Genui według powszechnych plotek zaowocował w końcu kompromisem. Wszystkie frakcje zgodziły się na wybór robota. Dziś rano czytałem w „Observatore Romano”, że głos w sporze zabrał nawet główny komputer Watykanu. Komputer bardzo zdecydowanie opowiedział się za kandydaturą robota. Moim zdaniem nie ma nic zaskakującego w tej solidarności pomiędzy maszynami i nie powinna ona nas niepokoić. W ogóle nie powinna niepokoić.

–Każda epoka ma takiego papieża, na jakiego zasługuje – zauważył dość ponuro dziś przy śniadaniu biskup FitzPatrick. – Papieżem na nasze czasy jest z pewnością robot. Kiedyś, w przyszłości, być może odpowiednim papieżem będzie wieloryb, samochód, kot albo góra.

Biskup FitzPatrick ma sporo powyżej dwóch metrów wzrostu, a jego twarz zawsze jest smutna i ponura; nie wiemy więc, czy wypowiedane przez niego stwierdzenia są dowodem egzystencjalnej rozpacz, czy też łagodnego pogodzenia się z losem. Wiele lat temu był gwiazdą reprezentacji Świętego Krzyża w koszykówce. Przybył do Rzymu w poszukiwaniu materiałów do biografii świętego Marcelego Prawego.

Dramat papieskich wyborów obserwowaliśmy ze stojącego na chodniku stolika kawiarni, znajdującej się w pewnej odległości od placu Świętego Piotra. Dla nas wszystkich była to dodatkowa atrakcja spędzanych w Rzymie wakacji; poprzedni papież miał się podobno cieszyć dobrym zdrowiem i nie było powodu myśleć, że jego następcę trzeba będzie wybrać już latem.

Co rano jedziemy taksówką z „naszego” hotelu przy Via Veneto i zajmujemy stałe miejsca przy „naszym” stoliku. Widzimy stąd komin Watykanu, z którego wypływa dym płonących kart do głosowania: czarny, jeśli nie wybrano papieża, biały, jeśli osiągnięto sukces. Luigi, właściciel i główny kelner, bez pytania przynosi nam nasze ulubione napoje: fernet branca dla biskupa FitzPatricka, campari z wodą sodową dla rabiego Muellera, turecką kawę dla pani Harshaw, sok z limony dla Kennetha i Beverly oraz pernod z lodem dla mnie. Wszyscy po kolei płacimy rachunki, chociaż Kenneth nie zapłacił ani razu od czasu, gdy zaczęło się nasze czuwanie. Wczoraj, gdy płaciła pani Harshaw, okazało się, że brakuje

jej pięciuset lirów: nie miała nic oprócz studolarowego czeku podróznego. Wszyscy patrzyliśmy znacząco na Kennetha, ale on tylko siedział cierpliwie, popijając swój sok z limony. Po krótkiej chwili napięcia rabbi Mueller wyciągnął z kieszeni pięćsetlirową monetę i dość gwałtownym gestem rzucił na stół ten ciężki kawałek srebra. Rabbi znany jest ze swej porywczosci i gwałtownego charakteru. Ma dwadzieścia osiem lat, zazwyczaj nosi modny, księżowski strój z tartanu i posrebrzane okulary i często powtarza, że w życiu nie przeprowadził żadnej bar micwy dla swej gminy w hrabstwie Wicomico w Marylandzie. Obyczaj ten uważa za przestarzały i wulgarny i zawsze zleca go na zasadzie wyłączności grupie wędrownych duchownych, którzy pobierają honoraria w procencie od udziału w

zyskach. Rabbi Mueller jest autorytetem w dziedzinie aniołów.

W kwestii wyboru robota na papieża nasza grupa jest podzielona. Biskup FitzPatrick, rabbi Mueller i ja jesteśmy za. Pani Harshaw, Kenneth i Beverly są przeciw. Dość interesujące wydaje się, że obaj nasi przyjaciele duchowni, jeden już starszy, drugi bardzo młody, opowiadają się za tym niesłychanym odstępstwem od tradycji. Odwrotnie niż trójka młodych, radosnych „cywilów”.

Nie jestem pewien, dlaczego dołączyłem do „postępowców”. Mam swoje lata i swoje przyzwyczajenia. Nigdy też nie interesowałem się działaniami Kościoła rzymskokatolickiego. Nie znam katolickich dogmatów, nie wiem nic o współczesnej myśli Kościoła. A jednak od samego początku konklawe miałem nadzieję na wybór robota.

Ciekawe czemu? Czy dlatego, że obraz metalowej istoty na tronie świętego Piotra działa mi na wyobraźnię, stanowiąc grę przeciwieństw? To znaczy, czy moje poparcie jest kwestią wyłącznie estetyczną? A może w głębi duszy mam nadzieję, że tą decyzją „kupi się” roboty? A może mówię sobie: „Dajcie im papieżstwo, a przez jakiś czas nie będą się niczego domagali”? Nie, nie sądzę, by me motywy były aż tak płytkie. Być może sprzyjam robotom, bowiem jestem człowiekiem niezwykle czułym na potrzeby innych.

–Jeśli zostanie papieżem – mówił rabbi Mueller – planuje natychmiastowe połączenie na zasadzie podziału czasu z dalajlamą i natychmiastowe wzajemne wejście w systemy z głównym programistą greckiego Kościoła ortodoksyjnego – tak na początek. Mówiono mi, że proponował również jak najszybsze ekumeniczne rozmowy z rabinatem, na co z pewnością czekamy wszyscy.

–Nie wątpię, że w zwyczajach i działalności hierarchii nastąpią daleko idące zmiany – stwierdził biskup FitzPatrick. – Na przykład oczekiwać możemy wprowadzenia doskonalszych technik gromadzenia informacji, gdy tylko komputerowi watykańskiemu przyzna się większą rolę w działaniach kurii. Weźmy na przykład...

–Co za przerażająca perspektywa – wtrącił Kenneth, hałaśliwy młody człowiek o białych włosach i różowych oczach. Beverly jest albo jego siostrą, albo żoną. Prawie się nie odzywa. Kenneth czyni znak krzyża obraźliwie gwałtownie i mruczy: – W imię Ojca i Syna, i Automatu Świętego.

Pani Harshaw chichocze, ale tłumi chichot, kiedy widzi wyraz dezaprobaty na mej twarzy.

Nieco defensywnie, ale nie odpowiadając bezpośrednio na zaczepkę, biskup FitzPatrick kontynuuje:

–...weźmy na przykład dane, na które natrafiłem wczoraj po południu. W gazecie „Oggi” przeczytałem, że – według informacji przekazanych przez rzecznika Missiones Catholicae – liczba wiernych w Jugosławii wzrosła w ciągu ostatnich pięciu lat z 19 381 403 do 23 501 062. Ale rządowy spis ludności podaje całkowitą liczbę mieszkańców Jugosławii na 23 575 194. Pozostawia to tylko 74 132 wyznawców innych religii i niewierzących. Mając świadomość, że w tym kraju jest wielu muzułmanów, podejrzewałem niedokładność w obliczeniach i skonsultowałem

to z komputerem u Świętego Piotra, który poinformował mnie – biskup przerywa, wyciąga długi wydruk i rozkłada go niemal na całym stole – że ostatnie dane dotyczące liczby wiernych w Jugosławii, pochodzące sprzed półtora roku, podają ich liczbę na 14 206 198. Tak więc popełniono pomyłkę na 9 294 864 osoby. To absurd. I nie naprawiono jej. To godne potępienia.

–Jak on wygląda? – zapytała pani Harshaw. – Czy ktoś coś wie?

–Jest taki, jak wszystkie inne – odpowiedział Kenneth. – Błyszczące metalowe pudełko z kołami na dole i oczami u góry.

–Nie widział go pan – przerywa mu biskup FitzPatrick – więc moim zdaniem nie powinien pan...

–Wszystkie wyglądają tak samo. Jeśli widziałeś jednego, widziałeś wszystkie – mówi Kenneth. – Błyszczące pudełka. Kółka. Oczy. I głosy wydobywające się z brzucha jak metaliczne beknięcia. A w środku tylko łańcuszki i kółka. – Kenneth próbuje ukryć drżenie. – Tego nie potrafię już zaakceptować. Napijmy się jeszcze, dobrze? Rabbi Mueller odzywa się:

–Tak się złożyło, że widziałem go na własne oczy.

–Doprawdy?! – krzyczy Beverly.

Kenneth krzywi się na nią, podchodzi Luigi, przynosi na tacy nasze drinki. Wręczam mu pięciotysięczny banknot. Rabbi Mueller zdejmuje okulary i dmucha na ich posrebrzane, lustrzane szkła. Ma małe, zażawione szare oczka i straszego zęza. Mówi:

–Kardynał był głównym mówcą na Kongresie Światowej Społeczności Żydów, który odbył się zeszłej jesieni w Bejrucie. Temat jego wypowiedzi brzmiał: „Cybernetyczny ekumenizm dla współczesnego człowieka”. Byłem tam. Mogę wam powiedzieć, że Jego Eminencja jest wysoki, dostojny, ma piękny głos i łagodny uśmiech. W jego zachowaniu jest coś niesłychanie melancholijnego, co bardzo przypomina mi obecnego tu naszego przyjaciela, biskupa. Porusza się z wdziękiem i dysponuje wspaniałym umysłem.

–Ale ma kola – nie daje za wygraną Kenneth.

–Gąsienice – odpowiada rabbi, obrzucając Kennetha gwałtownym, miażdżącym spojrzeniem i nakładając okulary. – Gąsienice, jak traktor. Ale nie sądzę, by gąsienice

cechowała duchowa niższość wobec stóp czy, jeśli już o tym mówimy, kół. Gdybym był katolikiem, byłbym dumny, gdyby taki człowiek został mym papieżem.

–Nie człowiek – poprawia pani Harshaw. W jej głosie, ilekroć zwraca się do rabiego Muellera, pojawia się histeryczna nutka. – Robot – mówi. – Proszę pamiętać, że to nie człowiek!

–Więc gdyby taki robot został mym papieżem. – Rabbi zbywa poprawkę wzruszeniem ramion. Podnosi szklankę. – Za nowego papieża.

–Za nowego papieża! – krzyczy biskup FitzPatrick.

Luigi pędem wybiega z kawiarni. Kenneth zatrzymuje go gestem.

–Sekundkę – mówi. – Wybór jeszcze się nie dokonał. Jak możecie być tacy pewni?

– „Observatore Romano” – informuję go – twierdzi w swym porannym wydaniu, że wszystko rozstrzygnie się dzisiaj. Kardynał Carciofo zgodził się zrezygnować na jego korzyść w zamian za większy przydział czasu realnego, kiedy przyszłoroczny konsystorz decydować będzie o dostępie do komputera.

– Innymi słowy, dogadali się – stwierdza Kenneth.

Biskup FitzPatrick potrząsa głową ze smutkiem.

– Używasz zbyt mocnych sformułowań, mój synu. Już przez trzy tygodnie nie mamy Ojca Świętego. Wolą Boga jest, byśmy mieli papieża; konklawe, nie mogąc zdecydować się na kandydaturę kardynała Carciofo lub kardynała Ascigi, sprzeciwia się Jego woli. A więc, jeśli to konieczne, trzeba iść na kompromis z wymaganiami naszych czasów; najważniejsze, by Jego wola mogła zostać spełniona. Przedłużanie sporów politycznych w łonie konklawe zaczyna być grzechem. Rezygnacja kardynała Carciofo z osobistych ambicji nie jest aktem egoistycznym, jak twierdzisz.

Kenneth nadal atakuje motywy, którymi kierował się biedny Carciofo, wycofując swoją kandydaturę. Od czasu do czasu Beverly bije brawo jego okrutnym sformułowaniom. Pani Harshaw kilkakrotnie deklaruje swe odejście od Kościoła, którego głową ma być maszyna. Mnie dyskusja ta wydaje się niesmaczna, więc odwracam swe krzesło od stołu, by lepiej widzieć Watykan. W tej właśnie chwili kardynałowie spotykają się w Kaplicy Sykstyńskiej. Jakże chciałbym tam być! Jakież wspaniałe sekrety kryją się w tej mrocznej sali. Książęta Kościoła siedzą już na swych niewielkich tronach pokrytych fioletowymi tkaninami. Przy każdym z nich na pulpicie pali się gruba, woskowa świeca. Mistrzowie ceremonii poruszają się dostojnie po wielkim pomieszczeniu, niosąc naczynia, w których spoczywają nie zapisane karty do głosowania. Naczynia te umieszczone zostają na stole przy ołtarzu. Jeden po drugim kardynałowie podchodzą do stołu, biorą karty, wracają na miejsca. Teraz, podnosząc swe gęsie pióra, zaczynają pisać:

„Ja, kardynał... wybieram na mego Najwyższego Zwierzchnika Najczcigodniejszego Ojca mego, Ojca Kardynała...”. Jakie wpisują tu nazwisko? Może Carciofo? A może Asciga? Czy może jest to imię jakiegoś nieznanego, skurczonego ze starości, suchego prałata z Madrytu lub Heidelbergu: kandydata wystawionego w ostatniej chwili przez zrozpaczoną frakcję antyrobotyczną? A może wpisują jego imię? Skrzywienie piór w kaplicy budzi donośne echo. Kardynałowie kończą pisać, pieczętują kartę, składają ją, składają jeszcze raz, i jeszcze raz, niosą ją do ołtarza, wrzucają do wielkiego, złotego kielicha. Postępowali tak każdego ranka i każdego wieczora i nie mogli dokonać wyboru.

– Parę dni temu – mówi pani Harshaw – czytałam w „Herald Tribune”, że delegacja dwustu pięćdziesięciu młodych robotów z Iowa czeka na lotnisku w Des Moines na wiadomość o wyborze. Jeśli ich człowiek wygra, wynajmują samolot, lecą do Rzymu i mają zamiar prosić, by Ojciec Święty przyjął ich na swej pierwszej audiencji.

– Nie ma dwóch zdań – zgadza się biskup FitzPatrick – że wybór ten przyciągnie do Kościoła bardzo wielu ludzi pochodzenia syntetycznego.

– A odepchnie od niego mnóstwo ludzi z krwi i kości – mówi piskliwie pani

**Harshaw.**

**–Bardzo w to wątpię – odpowiada biskup. – Z pewnością niektórzy z nas odczują na początku szok, rozczarowanie, będą uważali się za odrzuconych, zranionych. Ale to minie. Wewnętrzna dobroć nowego papieża, o której wspominał rabbi Mueller, przeważy. Sądzę także, że na całym świecie młodzi ludzie o technokratycznym nastawieniu poczują chęć wstąpienia do Kościoła. W całym świecie pojawią się nieprzewidywalne impulsy religijne.**

**–Proszę sobie wyobrazić dwieście pięćdziesiąt robotów z łomotem wjeżdżających do Bazyliki Świętego Piotra.**

**Obserwuję daleki Watykan. Poranne słońce świeci rzeško i jasno, ale zebrani tam kardynałowie, oddzieleni od świata grubymi ścianami, nie mogą cieszyć się jego radosnym blaskiem. Teraz już wszyscy złożyli swe głosy. Trzej kardynałowie, wybrani przez los dziś rano do komisji skrutacyjnej, powstali. Jeden z nich podnosi kielich i potrząsa nim, mieszając głosy. Potem stawia kielich na stole przed ołtarzem. Drugi kardynał wyjmuje głosy i liczy je. Upewnia się, że liczba głosów jest identyczna z liczbą głosujących kardynałów. Kartki przeniesione zostają do cyborium. Pierwszy kardynał wyjmuje głos, czyta go, przekazuje drugiemu, który również czyta i przekazuje trzeciemu, głośno odczytującemu nazwisko. Asciuga? Carciofo? Inne? Jego nazwisko?**

**Rabbi Mueller rozprawia o aniołach.**

**–Więc teraz mamy Anioły Tronu, po hebrajsku nazywane arelim albo ophanim. Jest ich siedemdziesiąt, słynnych przede wszystkim z wierności. Są między nimi Orifiel, Ophaniel, Zabkiel, Jophiel, Ambriel, Barael, Quelamia, Paschar, Boel i Raum. Niektórych z nich nie można już znaleźć w Niebie i liczy się je między upadłe Anioły Piekła.**

**–To tyle, jeśli chodzi o wierność – stwierdza Kenneth.**

**–Są także – mówi dalej rabbi – Anioły Obecne, najwyraźniej obrzezane w momencie stworzenia, a wśród nich: Micheal, Metatron, Suriel, Sandalphon, Uriel Saraquel, Antanphaeus, Pahnuel, Jehoel, Zagzagel, Yefefiah i Akatriel. Ale moim ulubionym z całej tej**

**grupy jest chyba Anioł Pożądania, wspomniany w Talmudzie, Bereshith Rabba 85, w ten sposób: „Kiedy Judasz przechodził właśnie...”**

**Do tej pory z pewnością skończyli już liczyć głosy. Na placu Świętego Piotra stoi nieprawdopodobny tłum. Promienie słońca odbijają się od setek, jeśli nie tysięcy, stalowych czaszek. To bez wątpienia wspaniałe czas dla zamieszkujących Rzym robotów. Lecz większość ze stojących na placu to istoty z ciała i krwi: stare kobiety w czerni, chudzi młodzi kieszonkowcy, chłopcy z małymi pieskami, grubi sprzedawcy kiełbasek oraz pewna liczba poetów, filozofów, generałów, prawników, turystów i rybaków. Jak skończyło się głosowanie? Wkrótce otrzymamy odpowiedź. Jeśli żaden z kandydatów nie uzyskał większości, mieszają kartki do głosowania z mokrą słomą, wrzucają je do stojącego w kaplicy pieca i z komina popłynie czarny dym. Lecz jeśli papież został wybrany, słoma będzie sucha, a dym biały.**

**Ten system wspaniale pobudza wyobraźnię. Podoba mi się. Daje mi tę**

satysfakcję, jaką normalnie czerpie się z doskonałego dzieła sztuki: z akordu z „Tristana”, powiedzmy, lub z zębów żaby w „Kuszeniu świętego Antoniego” Boscha. Czekam na wyrok całkowicie skoncentrowany. Jestem pewien wyniku: już czuję budzące się we mnie nieodparte religijne impulsy. Lecz czuję także pewną nostalgię za papieżem z krwi i z kości. Jutrzejsze gazety nie przyniosą wywiadów ze starą matką Ojca Świętego, mieszkającą w wiosce na Sycylii, ani wywiadów z jego dumnym młodszym bratem z San Francisco. I czy w ogóle odbędzie się jeszcze kiedyś ta wspaniała ceremonia wyborów? Czy będziemy mieli kolejnego papieża, jeśli tego, którego już mamy, tak łatwo można zreperować?

Och! Biały dym! Oto chwila objawienia!

Na balkonie, centralnie usytuowanym na fasadzie Bazyliki Świętego Piotra, pojawia się jakaś postać, rozpościera złocistą tkaninę i znika. Odbicie słońca w tej tkaninie oślepia. Przypomina mi chłodne światło księżycyca padające na morze w Castellamare lub, chyba nawet bardziej, blask dnia na łamiących się falach Morza Karaibskiego przy St. John. Na balkonie pojawia się teraz druga postać, ubrana w purpurowy płaszcz.

–To kardynał archidiakon – szepcze biskup FitzPatrick.

Ludzie mdleją, Luigi stoi obok mnie, słuchając relacji w małym radyjku.

–Wszystko obgadane – mówi Kenneth.

Rabbi ucisza go sykiem. Pani Harshaw zaczyna chlipać. Beverly recytuje cicho Wyznanie Wiary i żegna się raz za razem. Dla mnie to wspaniała chwila. Chwila na miarę naszych czasów – czegoś takiego nigdy jeszcze nie przeżyłem.

Przez wzmacniacze rozlega się krzyk kardynała archidiakona:

–Zwiastuję wam radość wielką. Mamy papieża!

Kiedy kardynał archidiakon oznajmia światu, że nowo wybrany papież to rzeczywiście ten kardynał, ta szlachetna, czcigodna postać, ta melancholijna, tajemnicza osoba, której wyniesienia wszyscy oczekiwaliśmy tak długo, w takim napięciu, podnoszą się wiwaty i

rosną w siłę.

–Przyjął imię...

Zagłuszone przez tłum. Zwracam się do Luigiego.

–Kto? Jakie imię?

–Sisto Settimo – mówi mi Luigi.

Tak, oto on, papież Sykstus VII, tak musimy go nazywać od dziś. Mała postać ubrana w srebrno-złoty papieski strój, ramiona rozpostarte, jakby chciał objąć to mrowie... I tak – słońce odbija się od jego policzków, jego szerokiego, promieniującego mądrością czoła: twarz błyszczy mu blaskiem polerowanej stali. Luigi już klęczy. Ja klękam obok niego. Pani Harshaw, Beverly, Kenneth, nawet rabbi, wszyscy klękają, bowiem bez wątplenia jesteśmy świadkami cudu. Papież postępuje krok w przód na swym balkonie. Teraz udzieli tradycyjnego apostolskiego błogosławieństwa „miastu i światu”. „Wspomożenie nasze w imieniu Pana”, stwierdza poważnie. Włącza silniki lewitacyjne pod pachami: nawet z tej odległości widzę dwie małe chmurki dymu. Znów biały dym. Zaczyna wznosić się w powietrze.

**„Który stworzył Niebo i Ziemię”, mówi. „Niech Was błogosławi Bóg Ojciec Wszechmogący, Ojciec, Syn i Duch Święty. Amen.” Dobiega do nas falą jego pełen majestatu głos. Jego cień pada na cały pałac. Unosi się coraz wyżej i wyżej, aż ginie nam z oczu. Kenneth trąca Luigiego w ramię.**

**–Napijemy się – mówi i w tłuste palce właściciela wsuwa banknot z wieloma zerami. Biskup FitzPatrick płacze, rabbi Mueller obejmuje panią Harshaw. Mam wrażenie, że nowy papież rozpoczął pontyfikat pod szczęśliwą gwiazdą.**

***Tłumaczył Krzysztof Sokołowski***



# Pożeglować do Bizancjum

Wstawszy o świcie zszedł na patio, by po raz pierwszy przyjrzeć się Aleksandrii, jedynemu miastu, którego dotąd nie widział. Na tegoroczną piątkę miast składały się: Czang-an, Asgard, Nowe Chicago, Timbuktu i Aleksandria, zwykła mieszanina epok, kultur, rzeczywistości. Gdy ubiegłej nocy po długim locie przybyli tu z Gioią z leżącego na głębokiej północy Asgardu, panował już mrok i poszli prosto do łóżka. Teraz, w delikatnym brzoskwiniowym blasku poranka, srogie wieżyce i flanki Asgardu zdały mu się ledwie obrazem ze snu.

Chodziły słuchy, że czas Asgardu tak czy owak dobiegał końca. Wnet, jak mówiono, miasto zostanie zrównane z ziemią i w innym miejscu zastąpione przez Mohendzo-daro. Miasta zmieniały się nieustannie, choć nigdy nie było ich więcej niż pięć. Pamiętał czasy, gdy mieli Rzym cesarów zamiast Czang-an i Rio de Janeiro zamiast Aleksandrii. Ci ludzie nie widzieli sensu w utrzymywaniu czegokolwiek na dłuższą metę.

Po lodowatym dostojeniu Asgardu nie było mu łatwo przywyknąć do parnej, zgęszczonej atmosfery Aleksandrii. Nadlatujący znad wody wiatr był rzeński i gorący zarazem. Łagodne turkusowe falki chlupotały o pomosty. Wszystkimi zmysłami odczuwał bliskość rozpalonego ciężkiego nieba, gryzący zapach unoszonego bryzą czerwonego piasku nizin, posępny, bagienny odór nieodległego morza. Wszystko drgało i migotało w świetle poranka. Ich hotel położony był pięknie – w górnej części północnego stoku wielkiego sztucznego wzniesienia, które znane było jako Paneum, miejsce poświęcone kozionogiemu bogu. Mieli stąd pełny widok miasta: szerokich szlachtetnych bulwarów, wyniosłych obelisków i pomników, leżącego u stóp wzgórza pałacu Hadriana, majestatycznej i groźnej Biblioteki, rojnego bazaru, królewskiej willi, którą wznosił Marek Antoniusz po swej klęsce pod Akcjum. I, oczywiście, Latarni Morskiej, cudownej Latarni o wielu oknach, siódmego cudu świata, owego bezmiernego spiętrzenia marmuru, wapnia i czerwonawopurpurowego granitu z Assuanu, pnącego się dostojnie w górę na końcu swej milowej grobli. Czarny dym z ognia sygnałowego na szczycie wił się leniwie ku niebu. Miasto budziło się ze snu. Tymczasowi w krótkich białych spódniczkach jęli przycinać gęste ciemne żywopłoty okalające gmachy publiczne. Po ulicach przechadzało się kilku obywateli odzianych w luźne tuniki kroju przypominającego grecki.

Tu i ówdzie widać było zjawy, chimery, fantazje. Dwa smukłe eleganckie centaury, samiec i samica, pasły się na stoku wzgórza. Zwalisty, gruboudy wojownik pojawił się w portyku świątyni Posejdona i z szerokim uśmiechem na twarzy począł wymachiwać trzymaną w dłoni odciętą głową Gorgony. Na ulicy poniżej wrót hotelu trzy małe różowe sfinksy, nie większe od kotów domowych, przeciągały się i ziewały, by zacząć wreszcie harce na chodniku. Inny, większy – rozmiarów lwa – przyglądał się im uważnie z alei; niewątpliwie matka. Nawet z tej odległości słyszał jej donośne pomrukiwanie.

Oslaniając oczy wbił wzrok w dal – za Latarnię, za morze. Miał nadzieję dostrzec na północy niewyraźne wybrzeża Cypru albo Krety, lub może ogromny mroczny garb Anatolii. *Ku wielkiemu nieś mnie Bizancjum, pomyślał, gdzie prawiekami wszystko*

wkoło. Ale widział tylko niezmiernie puste morze, oślepiające w słonecznym blasku, choć dzień ledwie się zaczynał. Nic, ale to nic nie tkwiło tam, gdzie się spodziewał. Kontynenty nie zajmowały już swych właściwych miejsc. Dawno pokazała mu to Gioia, gdy wzniesli się w jej maleńkim śmigaczu. Wierzchołek Ameryki Południowej przesunął się daleko w Pacyfik; Afryka osobliwie pogrubiała i przypląszczyła się; szeroki jęzor oceanu oddzielał Europę od Azji. Australii zaś, jak się zdawało, nie było w ogóle. Może wykopano ją i zużyto do innych celów. Po świecie, który niegdyś znał, zaginął wszelki ślad. To był pięćdziesiąty wiek.

–Pięćdziesiąty wiek po czym? – pytał wielokrotnie, ale nikt z pozoru nie wiedział albo może nie raczył powiedzieć.

–Czy Aleksandria jest bardzo piękna? – zawołała ze środka Gioia.

–Wyjdź, to zobaczysz.

Naga i rozespana przydreptała na wyłożone białymi płytkami patio i przytuliła się do niego. Idealnie mieściła się pod jego ramieniem.

–Och, tak, tak! – wyszeptała. – Jakże piękna, prawda? Spójrz tam, pałace, Biblioteka, Latarnia Morska! Gdzie najpierw pójdziemy? Do Latarni, myślę. Zgoda? A potem na bazar... chcę zobaczyć magów egipskich... a potem na hipodrom, obejrzyć wyścigi – jak myślisz, będą dzisiaj wyścigi? Och, Charles, chcę zobaczyć wszystko!

–Wszystko? Pierwszego dnia?

–Wszystko pierwszego dnia, tak – odparła. – Wszystko. – Ależ mamy mnóstwo czasu, Gioio.

–Tak uważasz?

Uśmiechnął się i mocno ją przytulił.

–Dość czasu – powiedział czule.

Kochał ją za tę niecierpliwość, za ten pogodny, wrzący zapał. Pod tym względem Gioia niezbyt przypominała innych, choć pod wszystkimi innymi wydawała się identyczna. Niewysoka, giętka, smukła, ciemnooka miała oliwkową skórę i wąskie biodra przy nader szerokich ramionach i płaskich mięśniach. Wszyscy tacy byli, każdy nie do odróżnienia od pozostałych, jak milionowa horda siostr i braci – cały świat pełen małych gibkich dzieciaków w typie śródziemnomorskim, stworzonych do zonglerki i popisów z bykami, do słodkiego

białego wina w dzień i cierpkiego czerwonego wieczorem. Te same szczupłe ciała i szerokie usta, te same wielkie, szkliste oczy. Nie widział nikogo, kto zdawał się mieć mniej niż dwanaście i więcej niż dwadzieścia lat. Gioia była w czymś odrobinę odmienna, choć niezupełnie pojmował w czym; wiedział jednak, że kocha ją właśnie za tę niedostrzegalną, lecz ważną różnicę. I prawdopodobnie z tego samego powodu ona kochała jego.

Wzrok jego przesunął się z zachodu na wschód, od Bramy Księżyca przez szeroką ulicę Canopus do portu, a stąd do grobowca Kleopatry na krańcu wąskiego Przylądka Lochias. Było tu wszystko i było doskonale – obeliski, posągi, marmurowe kolumnady, dziedzińce, świątynie, gaje i sam wielki Aleksander w sarkofagu z kryształu i złota; wspaniałe, jaśniejący pogański gród. Zdarzały się jednak dziwactwa: niewątpliwy meczet w pobliżu ogrodów publicznych, a obok Biblioteki coś, co

wyglądało na kościół chrześcijan. A statki w porcie, ze swymi czerwonymi żaglami i sterczącymi masztami, bez wątplenia były średniowieczne, i to późnośredniowieczne na dodatek. Już przedtem w innych miejscach widywał podobne anachronizmy. Ci ludzie uważali je z pewnością za zabawne. Życie było dla nich zabawą; uczestniczyli w niej nieustannie. Rzym, Aleksandria, Timbaktu – czemu nie? Stworzyć Asgard o przeźroczyście mostach i opasanych lodem pałacach, a potem pozbyć się go? Zastąpić przez Mohendžo-daro? Czemu nie? Ogromnie żałował, że te wyniosłe nordyckie hale biesiadne zostaną zburzone po to, by mogło powstać przysadziste, brutalne, spalone słońcem miasto z brązowej cegły; ci ludzie patrzyli jednak na sprawy inaczej niż on. Ich miasta były jedynie tymczasowe. Ktoś w Asgardzie mówił, że następne pójdzie na rozkurz Timbaktu, a w jego miejsce powstanie Bizancjum. Cóż, dlaczego nie? Dlaczego nie? Mogli mieć wszystko, na co przychodziła im ochota; był to, w końcu, pięćdziesiąty wiek. Obowiązywała jedynie zasada, że na raz nie może być więcej niż pięć miast.

–Ograniczenia – uroczyście poinformowała go Gioia, gdy tylko zaczęli razem podróżować – są bardzo ważne.

Ale nie wiedziała dlaczego lub nie uznała za stosowne, by mu powiedzieć.

Raz jeszcze spojrzął ku morzu.

Wyobraził sobie nowo narodzone miasto wyłaniające się nagle z dalekiej mgły: lśniące wieże, ogromne pałace o kopulastych dachach, złote mozaiki. Nie byłby to dla nich wielki wysiłek. Mogli po prostu przywołać je w całości z właściwego czasu – z Cesarzem na tronie i pijanym żołdactwem Cesarza hałasującym na ulicach, z przetaczającym się przez bazar spiżowym dźwiękiem gongów katedry, ze skaczącymi delfinami za rzędem nadmorskich pawilonów. Czemu nie? Mieli Timbaktu. Mieli Aleksandrię. Pożądasz Konstantynopola? Tedy patrz: oto Konstantynopol! Albo Avalon, albo Lyonesse, albo Atlantyda. Mogli mieć wszystko, czego chcieli. Czysty Schopenhauer: świat jako wola i wyobraźnia. Tak! Ci smukli, ciemnoocy ludzie podróżujący niestrudzenie od cudu do cudu! Dlaczegożby nie Bizancjum w następnej kolejności? Tak. Dlaczego nie?

*To nie dla starców świat, pomyślał. Dla młodych, wzajem w swych ramionach, dla ptaków na gałęziach drzew - tak! Tak! Na co tylko mieli ochotę. Nawet jego mają.* Poczł nagły lęk. Pytania, których nie zadawał od tak dawna, wdarły się w jego świadomość. *Kim jestem? Dlaczego tu jestem? Kim jest ta kobieta u mego boku?*

–Zamilkłeś tak niespodziewanie, Charles – powiedziała Gioia, która nie potrafiła znieść zbyt długiej ciszy. – Czy będziesz ze mną rozmawiać? Chcę, żebyś ze mną rozmawiał. Powiedz, czego tak wypatrujesz?

Wzruszył ramionami. – Niczego.

–Niczego?

–Niczego w szczególności.

–Ale widzę, że coś widzisz.

–Bizancjum – odparł. – Wyobrażałem sobie, że mogę za morzem dostrzec Bizancjum. Próbowałem zerknąć na mury Konstantynopola.

–Och, ale stąd nie zdołasz sięgnąć wzrokiem tak daleko. Naprawdę nie.

–Wiem.

–I, tak czy owak, Bizancjum nie istnieje.

–Jeszcze nie. Ale będzie. Jego czas przyjdzie później.

–Naprawdę? – spytała. – Czy wiesz to z pewnością?

–Z dobrego źródła. Słyszałem w Asgardzie – odrzekł. Ale nawet gdybym nie wiedział, Bizancjum jest nieuniknione, jak sądzisz? Jego czas musi przyjść. Jakże moglibyśmy nie zrobić Bizancjum, Gioio? Z pewnością zrobimy Bizancjum, wcześniej czy później. Wiem, że zrobimy. To tylko kwestia czasu. A mamy przecież cały czas świata.

Cień przemknął przez jej twarz. – Czy naprawdę? Naprawdę?

Mało wiedział o sobie, ale wiedział, że nie jest jednym z nich. Tego był pewien. Wiedział, że nazywa się Charles Phillips i że zanim znalazł się wśród tych ludzi, żył w roku 1984, kiedy były jeszcze takie rzeczy, jak komputery, telewizory, baseball, odrzutowce; kiedy świat roił się od miast, których było nie pięć, ale tysiące – Nowy Jork, Londyn, Johannesburg, Paryż, Liverpool, Bangkok, San Francisco, Buenos Aires i wielka mnogość innych, a wszystkie jednocześnie. Żyło wówczas na świecie cztery i pół miliarda ludzi; wątpił, czy teraz jest ich choćby cztery i pół miliona. Niemal wszystko zmieniło się nad pojęcie. Księżyc nadal wydawał się taki sam, i słońce, ale nocą daremnie szukał znajomych konstelacji. Nie miał najmniejszego pomysłu, jak przenieśli go z „dawniej” do „teraz” i dlaczego. Pytania były stratą czasu; nikt mu nie odpowiadał – nikt chyba nie pojmował, czego właściwie pragnie się dowiedzieć. Po pewnym czasie przestał pytać; po pewnym czasie stracił prawie zupełnie chęć dowiedzenia się.

Wspinał się z Gioią na Latarnię. Pędziła przodem, w zwykłym pośpiechu, on zaś podążał za nią stateczniej. Dziesiątki innych turystów, przeważnie w dwu i trzyosobowych grupkach, sunęły w górę po szerokich brukowanych rampach, śmiejąc się i przekrzykując. Dojrawszy

go, niektórzy z nich zatrzymywali się na chwilę, patrzyli, pokazywali sobie dłońmi. Był do tego przyzwyczajony. Uśmiechał się, gdy go sobie pokazywali. Czasem kiwał im głową.

Na poziomie najniższym, wysokiej na dwieście stóp, masywnej kwadratowej konstrukcji z wielkich marmurowych bloków, nie potrafił dopatrzeć się niczego interesującego. Były tu, wśród zapełniających, chłodnych arkad, setki małych mrocznych pomieszczeń: izby dozorców i mechaników latarni, koszary jej garnizonu i stajnie dla trzystu osłów wnoszących na górę paliwo. Nic tu nie wyglądało zachęcająco. Parł bez zatrzymania naprzód, aż wyszedł na balkon prowadzący na następny poziom. Tu Latarnia zwężała się i przechodziła w ośmiokąt: jej fasada, granitowa teraz i pięknie żłobkowana, pięła się majestatycznie nad jego głową.

Tu czekała nań Gioia.

–To dla ciebie – rzekła, wręczając mu kulkę mięsa na drewnianej tacce. – Pieczone jagnię. Absolutnie wspaniałe. Jadłam już, kiedy na ciebie czekałam.

Podawała mu również kubek jakiegoś chłodnego zielonego sorbetu i odskoczyła w bok, by kupić owoc granatu. Dziesiątki tymczasowych zaludniały taras, sprzedając

**przekąski i napoje wszystkich rodzajów.**

**Nadgryzł mięso. Było zwęglone po wierzchu, apetycznie różowe i delikatne w środku. Kiedy jadł, podszedł doń jeden z tymczasowych i uprzejmie zajrzał mu w twarz. Był to krępy smagły mężczyzna, odziany tylko w przepaskę z czerwono-żółtej materii.**

**–Sprzedaję mięso – powiedział. – Bardzo delikatne jagnię z rusztu. Tylko pięć drachm.**

**Phillips pokazał mu kawałek, który spożywał. – Już mam odrzekł.**

**–To wyborne mięso, bardzo mięciutkie. Przez trzy dni moczyło się w sokach...**

**–Proszę – powiedział Phillips. – Nie chcę kupować żadnego mięsa. Mógłbyś łaskawie się stąd zabrać?**

**Zrazu tymczasowi zbijali go z tropu i zaskakiwali; nadal nie wiedział o nich wielu rzeczy. Nie byli maszynami – wyglądali jak istoty z krwi i kości – ale również nie wydawali się ludźmi i nikt ich jako takich nie traktował. Sądził, że są konstrukcjami sztucznymi, produktami technologii tak wyrafinowanej, że aż niedostrzegalnej. Jedni, jak się zdawało, byli inteligentniejsi od innych, ale wszyscy zachowywali się tak, jakby nie mieli więcej samodzielności niż osoby ze sztuki, którymi w zasadzie byli. W każdym z pięciu miast ich niezliczone rzesze odgrywały role wszelkiego rodzaju: pastuchów i świniarków, zamiataczy ulic, kupców, wioślarzy, sprzedawców pieczonego mięsa i zimnych napojów, przekupniów na targowiskach, uczniów, woźniców, gwardzistów, stajennych, gladiatorów, mnichów, rękodzielników, uliczników, rzeźmieszków, żeglarzy – wszystkich, innymi słowy, którzy byli niezbędni dla podtrzymania iluzji kwitnącego, ludnego miasta. Ciemnoocy – naród Gioi – nie wykonywali nigdy żadnej pracy. Nie było ich tylu, by utrzymać miasta przy życiu, a tak czy owak występowali tylko w rolach turystów wędrujących z wiatrem, przenoszących się z miasta do miasta wedle kaprysu z Czang-an do Nowego Chicago, z Nowego Chicago do Timbuktu, z Timbuktu do Asgardu, z Asgardu do Aleksandrii, dalej, wciąż dalej.**

**Tymczasowy nie zamierzał dać mu spokoju. Phillips odszedł, a ten podążył za nim, osaczając go pod ścianą tarasu. Kiedy kilka minut później z ustami pobrudzonymi uroczą sokiem granatu powróciła Gioia, tymczasowy wciąż kręcił się wokół niego, próbując z maniacką natarczywością sprzedać mu miskę jagnięciny. Stał aż za blisko Phillipsa, prawie nos w nos, wlepiając w jego twarz swe wielkie smutne krowie oczy, i z żałościwie płaczącym naleganiem zachwalał jakoś swego towaru. Phillips miał wrażenie, że podobne kłopoty z tymczasowymi zdarzyły się mu już dwukrotnie. Gioia trąciła łokieć tamtego i powiedziała ostrym, urywanym tonem, jakiego nie słyszał u niej nigdy dotąd: – Nie jest zainteresowany. Zabieraj się stąd!**

**Odszedł natychmiast.**

**–Musisz być z nimi stanowczy – wyjaśniła Phillipsowi.**

**–Próbowałem. Nie chciał mnie słuchać.**

**–Kazałeś mu odejść i nie posłuchał?**

**–Poprosiłem, żeby odszedł. Grzecznie. Może aż za grzecznie.**

**–Mimo to... – powiedziała. – Człowieka powinien posłuchać nawet wtedy.**

–Może nie sądził, że jestem człowiekiem – zasugerował Phillips. – Wnioskował z mojego wyglądu. Wzrostu, koloru oczu. Mógł pomyśleć, że jestem jakimś rodzajem tymczasowego.

–Nie – oświadczyła Gioia marszcząc czoło. – Tymczasowy nie będzie nagabywać innego tymczasowego. Ale również nie sprzeciwi się obywatelowi. Są bardzo wyraźne granice. Nigdy nie ma żadnego zamieszania. Nie rozumiem, dlaczego nie przestawał zawracać ci głowy.

Był zaskoczony widząc, jak wydawała się zakłopotana; daleko bardziej, pomyślał, niż uzasadniał to incydent. Głupie urządzenie, może trochę rozkalibrowane, z nadmiernym entuzjazmem wpychające swój towar – no i co z tego? Co z tego? Gioia doszła chyba po chwili do tego samego wniosku. Wzruszając ramionami powiedziała: – Myślę, że jest zepsuty. Prawdopodobnie takie rzeczy zdarzają się częściej niż podejrzewamy, nie sądzisz?

Zaniepokoiło go coś wymuszonego w tonie jej głosu. Uśmiechnęła się i podała mu swój granat. – Masz, ugryź, Charles. Jest cudownie słodki. Granaty były kiedyś gatunkiem wymarłym, wiesz? No i co, ruszamy do góry?

Środkowa, ośmiokątna część Latarni musiała mieć kilkaset stóp wysokości; od wewnątrz przedstawiała się jako posępna, przyprawiająca o klaustrofobię rura wypełniona niemal bez reszty przez dwie spiralne rampy wijące się wokół potężnej studni centralnej. Wspinaczka była powolna; poprzedzała ich na rampie sunąca w górę karawana osiołków obładowanych wiązkami drewna opałowego dla latarni. Ale w końcu, kiedy Phillips był już zdyszany i odczuwał zawroty głowy, wyszli z Gioią na drugi balkon, który dzielił część ośmiokątną od najwyższego, cylindrycznego i bardzo smukłego piętra Latarni.

Wychyliła się głęboko przez balustradę. – Och, Charles, spójrz, jaki widok! Tylko popatrz!

Był zadziwiający. Z jednej strony mieli przed sobą całe miasto, bagniste jezioro Mareotis i w głębi piaszczystą egipską równinę, z drugiej zaś sięgali wzrokiem głęboko w szare i niespokojne Morze Śródziemne. Wskazał dłonią plagę tutejszych wód – niezliczone rafy i mielizny rozciągające się przed wejściem do portu.

–Nic dziwnego, że potrzebują latarni morskiej – powiedział. – Bez jakiegoś gigantycznego punktu orientacyjnego nigdy by tu nie dotarli z otwartego morza.

Głośny ryk, rodzaj wściekłego parsknięcia, eksplodował tui przed nim. Zaskoczony podniósł wzrok. Na tym poziomie z rogów Latarni sterczały olbrzymie posągi dmących w trąby Trytonów; ów nagły potężny dźwięk szedł od najbliższego z nich. Sygnał, pomyślał. Ostrzeżenie dla statków pokonujących to trudne wejście. Dźwięk, zorientował się rychło, został wytworzony przez jakiś zasilany parą mechanizm, obsługiwany przez brygady spoconych tymczasowych skupionych wokół ognisk u podstawy każdego z Trytonów.

Raz jeszcze poczuł przyływ podziwu dla zręcznych metod, jakimi ci ludzie realizowali swe kopie starożytności. Ale czy były to kopie, zastanawiał się. Wciąż nie rozumiał, jak tworzą swe miasta. Z tego, co wiedział, mógł wnioskować, że to miasto było najprawdziwszą Aleksandrią wyszarpniętą ze swego właściwego czasu, tak jak

on został wyszarpięty. Może więc była to prawdziwa i oryginalna Latarnia, nie zaś kopia. Nie miał pojęcia, jak w rzeczywistości sprawy stoją i co byłoby cudem większym.

–Jak mamy dostać się na szczyt? – zapytała Gioia.

–Tędy, myślę. Tymi drzwiami.

Tu urywały się spiralne rampy dla osłów. Ładunki paliwa dla latarni wędrowały stąd na górę windą w szybie centralnym. Zwiedzający zaś mogli użyć klatki schodowej tak w swej ostatniej części wąskiej, że podczas wspinaczki nie sposób było zawrócić. Niestrudzona Gioia mknęła przodem. Phillips uchwycił się poręczy i z trudem brnął w górę, wciąż w górę, licząc maleńkie świetliki, by zmniejszyć nudę wspinaczki. Naliczył ich prawie sto, nim w końcu postawił stopę w przedsionku komory latarni. Tłoczyło się tam kilkunastu zwiedzających. Gioia stała w przeciwnym końcu, przy ścianie otwierającej się na morze.

Odniósł wrażenie, że tu, w górze, budowla chwieje się na wietrze. Jak byli wysoko? Pięćset stóp, sześćset, siedemset? Komora latarni była wysoka, wąska i przedzielona galeryjką na część górną i dolną. Na samym dole sztafeta tymczasowych odbierała z windy drewno i ciskała je w gorejący ogień. Z miejsca, w którym stał na krawędzi platformy; gdzie zawieszono gigantyczne zwierciadło z polerowanego metalu – Phillips czuł intensywny żar. Języki ognia skakały w górę i tańczyły przed lustrem, które miało daleko w morze oślepiający snop swego blasku. Z wywietrznika unosił się dym. Na samym szczycie Latarni piętrzył się kolosalny posąg srogiego, gniewnego Posejdona.

Gioia boczkiem przesuwiała się przez galeryjkę, aż znalazła się u jego boku.

–Zanim przyszedłeś, mówił przewodnik – rzekła wyciągając dłoń. – Widzisz to miejsce, tam, przed zwierciadłem? Ktoś, kto tam stanie i spojrzy w lustro, zobaczy statki na morzu, których nie da się dojrzeć gołym okiem. Zwierciadło przybliża przedmioty.

–Wierzysz w to?

Skinęła w stronę przewodnika. – Tak mówił. I jeszcze dodał, że jeśli patrzeć w określony sposób, można zajrzeć przez morze do Konstantynopola.

Jest jak dziecko, pomyślał. Oni wszyscy są tacy.

–Sama mi mówiłaś nie dalej niż dziś rano, że nie można niczego zobaczyć z takiej odległości. A poza tym Konstantynopol teraz nie istnieje – powiedział.

–Ale będzie istniał – odparła. – Ty mi to mówiłaś nie dalej, jak dziś rano. A kiedy będzie, zostanie odbity w zwierciadle Latarni. Taka jest prawda. Jestem tego absolutnie pewna.

Odwróciła się gwałtownie w stronę wejścia do komory latarni.

–Och, popatrz, Charles! Idą Nissandra i Aramayne! A tam jest Hawk! Tam Stengard! – Gioia roześmiała się i zaczęła wykrzykiwać imiona. – Och, wszyscy są tutaj! Wszyscy!

Zaczęli wciskać się do izby, tak wielu nowo przybyłych, że ci, którzy już byli na miejscu, zostali zmuszeni do zejścia po parę stopni w dół z drugiej strony komory. Gioia kręciła się wśród nich, ściskając ich i całując. Phillips ledwie mógł ich rozróżnić

trudno mu było nawet powiedzieć, kto jest mężczyzną, a kto kobietą, wszyscy bowiem mieli na sobie luźne szaty tego samego kroju – ale rozpoznał niektóre imiona. To byli specjaliści przyjaciele Gioi, jej paczka, z którymi jeszcze w dawnych czasach, nim pojawił się w jej życiu, podróżowała od miasta do miasta w nie kończącym się radosnym objeździe. Kilku z nich poznał już wcześniej – w Asgardzie, Rio, w Rzymie. Przewodnik z komory latarnianej, krępy stary tymczasowy o szerokich barach i przyozdobionej wieńcem tysej głowie, znów się pojawił i zaczął swój tekst, ale nikt go nie słuchał; wszyscy byli za bardzo zajęci pozdrawianiem się, obejmowaniem, chichotaniem.

Niektórzy z przybyłych precyzyjnie się do Phillipsa, by sięgnąwszy w górę dotknąć czubkami palców jego policzka w tym swoim „cześć”.

–Charles – mówili uroczyście, rozbijając jego imię na dwie sylaby, jak zresztą ludzie czynili tu często. – Jakże miło znów cię widzieć. Taka przyjemność. Ty i Gioia – jakaż piękna para. Jak świetnie do siebie pasujecie.

Czy było tak w istocie? Sądził, że tak.

Izba szumiała od rozmów; przewodnika nie było już wcale słyhać. Stengard i Nissandra odwiedzili Nowe Chicago dla tańców na wodzie... Aramayne przyniosła opowieść o ucztach w Chang-an, które ciągnęły się tygodniami... Hawk z Hekną byli w Timbuktu, żeby obejrzeć przybycie karawany z solą, i wracają tam niedługo... uroczystości dla uczczenia końca Asgardu, których absolutnie nie można opuścić... plany związane z nowym miastem Mohendžo-daro... mamy zarezerwowane miejsca na otwarcie, nie oddamy ich za żadne skarby... i tak, potem definitywnie biorą się za Konstantynopol, planiści siedzą już głęboko w

swoich studiach bizantyńskich... jak miło cię widzieć, cały czas taka piękna... byłaś już w Bibliotece? W zoo? W świątyni Serapisa?

Phillipsa zaś spytali: – Co sądzisz o Aleksandrii, Charles? Oczywiście, w swoich czasach musiałeś ją dobrze znać. Czy wygląda tak, jak ją pamiętasz?

Zawsze pytali o takie rzeczy. Zdawali się nie pojmować, że w jego czasach Aleksandria Latarni Morskiej i Biblioteki była czymś od dawna utraconym i legendarnym. Dla nich, jak podejrzewał, wszystkie miejscowości, które powołali na powrót do istnienia, były sobie w większym czy mniejszym stopniu współczesne. Rzym cesarów, Aleksandria Ptolemeusza, Wenecja dożów, Czang-an dynastii Tang, Asgard Azów, żadna nie mniej ani bardziej realna czy też nierealna od innych, każda refleksem tej samej odległej, fantastycznie niepamiętnej przeszłości, piórem wyrwanym z owych mrocznych, prymitywnych otchłani czasu. Nie mieli kontekstu, który by im umożliwił oddzielenie jednej ery od drugiej. Przeszłość była dla nich jedną tylko bezgraniczną i beczasową krainą. Czemu tedy nie miałyby widzieć Latarni już wcześniej, on, który wskoczył w tę epokę z Nowego Jorku 1984? Nigdy im tego nie zdołał wytłumaczyć. Juliusz Cezar i Hannibal, Helena Trojańska i Karol Wielki, Rzym gladiatorów i Nowy Jork Jankesów i Metsów... Gilgamesz, Tristan, Otello, Robin Hood, Jerzy Waszyngton i królowa Wiktoria – dla nich to wszystko postaci jednakowo realne i nierealne, nic więcej niż jasne figury poruszające się na malowanym płótnie. Przeszłość, przeszłość, ta ulotna i płynna przeszłość była dla



nich jednym tylko, nieskończenie łatwo dostępnym i nieskończenie wiele zawierającym miejscem. Oczywiście, mogą myśleć, że już wcześniej znał Latarnię. Wolał nie podejmować kolejnej próby wyjaśnień.

–Nie – odparł po prostu. – W Aleksandrii jestem pierwszy raz.

Spędzili tam całą zimę, a może również i część wiosny. Aleksandria nie była miejscem, gdzie odczuwało się wyraźnie zmianę pór roku, a i sam upływ czasu nie był szczególnie widoczny dla tych, co spędzali całe swe życie w rolach turystów.

W ciągu dnia było zawsze coś nowego do obejrzenia. Ogród zoologiczny, na przykład: bajeczny park, cudownie bujny i zielony jak na tutejszy suchy klimat, gdzie zdumiewające zwierzęta żyły w zagrodach tak obszernych, że aż nie sprawiających wrażenia zagród. Były tu wielbłądy, nosorożce, gazy, strusie, lwy, dzikie osły; były także inne stwory, zwyczajnie współistniejąc z tymi znanymi afrykańskimi zwierzętami: gryfy, jednorożce, bazyliuszki i ziejące ogniem smoki o tęczy łuskach. Czy oryginalne aleksandryjskie zoo miało gryfy i jednorożce? Phillips powątpiewał. To jednak miało; najoczywiściej wyprodukowanie mitycznych bestii nie sprawiało anonimowym majstrom większych kłopotów niż stworzenie wielbłądów czy gazeli. Dla Gioi i jej przyjaciół wszystkie one zresztą były równie bajkowe i nosorożec budził w nich taką samą grozę jak gryf. Ten pierwszy nie był ani bardziej, ani mniej osobliwy od drugiego. Na ile Phillips zdołał się zorientować, prócz paru psów i kotów żaden ze ssaków czy ptaków jego ery nie przetrwał do czasów współczesnych, choć

zrekonstruowano.

No i Biblioteka! Te wszystkie utracone skarby wyrwane ze szponów czasu! Oszalającą kolumnadę marmurowych ścian, przestronne, wysoko sklepione czytelnie, ciągnące się w nieskończoność spirale regałów. Wykonane z kości słoniowej rękojeści siedmiuset tysięcy zwojów papirusowych sterczące z półek. Sunący to tu, to tam bibliotekarze i uczeni, z przyklepionymi wprawdzie do twarzy bladymi akademickimi uśmiezkami, ale z umysłami najoczywiściej zajętymi poważnymi kwestiami ducha. Wszyscy byli tymczasowymi, spostrzegł Phillips. Ledwie rekwizytami, częścią iluzji. Ale czy złudą były również zwoje? – Mamy tu komplet dramatów Sofoklesa – oświadczył przewodnik, radosnym gestem dłoni ukazując rząd półek. Tylko siedem ze stu dwudziestu trzech sztuk Sofoklesa przetrwało kolejne pożary Biblioteki w czasach starożytnych, wywołane przez Rzymian, chrześcijan i Arabów: czy były tu więc te utracone, *Triptolemus*, *Nauzykaa*, *Jazon* i wszystkie pozostałe? I czy znajdują się tu także, cudownie wskrzeszone, inne przepadłe skarby literackie starożytności – pamiętniki Odyseusza, Katona historia Rzymu, Tukidyda żywot Peryklesa, brakujące tomy Liwiusza? Gdy jednak zapytał, czy mógłby poszperać w stosach, przewodnik uśmiechnął się przepaszająco i powiedział, że w tej chwili bibliotekarze są zajęci. Może innym razem? Może, powiedział przewodnik. Rzecz bez znaczenia, uznał Phillips. Nawet gdyby ci ludzie ocalili jakimś sposobem owe utracone arcydzieła starożytności, jak miałby je przeczytać? Nie znał greki.

Życie miasta szumiało i pulsowało wokół niego. Było to miejsce olśniewającej

urody: olbrzymia zatoka, gęsta od żagli, szerokie aleje biegnące prostopadle ze wschodu na zachód i z północy na południe, blask słońca odbijający się niemal słyszalnie od jasnych ścian pałaców królów i bogów. Wykonali to bardzo dobrze, osądził Phillips, naprawdę bardzo dobrze. Na targu kupcy o twardym wzroku w pół tuzinie tajemniczych języków wyklócali się o ceny hebanu, arabskiego kadzidła, jaspisu i lamparcich skór. Gioia kupiła drachmę białawych egipskich perfum z piżma w delikatnej zwężającej się flaszeczce. Magicy, żonglerzy i skrybowie przeraźliwie nawoływali przechodniów błagając o chwilę uwagi i garstkę monet za swe trudy. Wystawianych na licytację rosłych niewolników – czarnych, brązowych a także kilku, którzy mogli być Chińczykami – zmuszano do napinania mięśni, szczyrzenia zębów i obnażania klatek piersiowych, by zachęcić ewentualnych nabywców. W gimnazjone nadzy atleci miotali oszczepy i dyski, a także mocowali się z przerażającym zapamiętaniem. Przyjaciel Gioi, Stengard, pospieszył do niej z upominkiem, złotym naszyjnikiem, jakiego nie powstydziliby się Kleopatra. Godzinę później Gioia zgubiła go, albo może oddała komuś, gdy Phillips patrzył w inną stronę. Nazajutrz kupiła nowy, jeszcze piękniejszy. Każdy mógł dostać tyle pieniędzy, ile mu było trzeba, po prostu o nie prosząc; pieniądze były dla tych ludzi równie łatwo dostępne jak powietrze.

Pobył tutaj, mówił sobie Phillips, przypomina chodzenie do kina. Co dzień inny seans; akcja niezbyt bogata, ale efekty specjalne znakomite, zaś troska o detale trudna do

przewyższenia. Superfilm, olbrzymia, trwająca bez przerwy impreza rozrywkowa z udziałem całej populacji Ziemi.

I było to tak niewymuszone, tak spontaniczne! Kiedy chodził do kina, nie zadawał sobie nigdy trudu myślenia o miriadach techników za każdym ujęciem, kamerzystów, kostiumologów, scenografów, elektryków, modelarzy, operatorów mikrofonów; tu również nie pytał o środki, jakimi postawiono przed jego oczyma Aleksandrię. Czuło się w niej autentyzm. Była autentyczna. Kiedy pił mocne czerwone wino, przyjemnie szumiało mu w głowie. Miał podejrzenie, że gdyby wyskoczył ze szczytowej izby Latarni, pewnie by zginął, choć nie na długo pozostał wśród martwych: niewątpliwie dysponowano tu sposobem, by ożywiać go tak często, jak się okaże konieczne. Śmierć nie wydawała się istotnym czynnikiem życia tych ludzi.

W ciągu dnia zwiedzał. Wieczorami chodzili z Gioią na biesiady – urządzone w ich hotelu, w nadmorskich willach, pałacach arystokracji. Bywali tam zawsze ci sami goście – Hawk i Hekna, Aramayne, Stengard i Shelimir, Nissandra, Aśoka, Alfonso, Protay. Podczas owych biesiad na jednego obywatela przypadało pięciu do dziesięciu tymczasowych: po części w charakterze służby, po części występujących artystów lub nawet zastępczych gości, którzy swobodnie, a niekiedy śmiało, mieszały się z tymi prawdziwymi. Ale wszyscy wiedzieli zawsze, kto jest obywatelem, a kto tylko tymczasowym. Phillips poczynił myśleć, że jego status jest jakby pośredni. Oczywiście, traktowali go z kurtuazją, jakiej nikt nie okazałby tymczasowemu, a przecież była w ich zachowaniu jakaś protekcjonalność, która nie mówiła mu po prostu, że nie jest jednym z nich, ale kimś lub czymś przynależącym do zasadniczo

innego porządku egzystencji. Fakt, że był kochankiem Gioi, dawał mu w ich oczach niejaką, niezbyt jednak wysoką, pozycję: jasne, że raz na zawsze przypadła mu rola outsidera, osobnika prymitywnego, starożytnej osobliwostki. A skoro o tym mowa, zauważył, iż sama Gioia, której przynależność do paczki nie podlegała wątpliwości, jest chyba traktowana jako rodzaj outsidera, jak prawnuczka kupca w towarzystwie Plantagenetów. Nie zawsze dowiadywała się w porę o najlepszych przyjęciach, nie zawsze jej wylewne powitania przyjaciele odwzajemniali równie gorąco, czasem widywał, jak nastawiała ucha, by usłyszeć ploteczki niekoniecznie przeznaczone dla siebie. Czy było tak dlatego, że uczyniła zeń kochanka? A może właśnie na odwrót: wybrała go na kochanka właśnie dlatego, że nie należała w pełni do swojej kasty?

Statut prymitywa pozwalał mu przynajmniej zabierać głos na ich przyjęciach.

–Opowiedz nam o wojnie – mówili. – Opowiedz nam o wyborach. O pieniądzach. O chorobach.

Chcieli wiedzieć wszystko, choć zdawało się, że nie słuchają zbyt uważnie: ich oczy szybko stawały się szkliste. A jednak pytali. Opisywał im korki uliczne, politykę, dezodoranty, witaminy w pigułkach. Mówił o papierosach, gazetach, metrze, książkach telefonicznych, kartach kredytowych i koszykówce.

–Z jakiego byłeś miasta? – pytali.

–Z Nowego Jorku – odpowiadał.

–A kiedy to było? Siódmy wiek, zdaje się?

–Dwudziesty – mówił.

Wymieniali spojrzenia, potakiwali.

–Musimy to zrobić – oznajmiali. – World Trade Center, Empire State Building, Citicorp Center, katedra św. Jana Bożego: jakie fascynujące! Yankee Stadium. Most Verrazzano. Zrobimy wszystko. Ale najpierw Mohendžo-dato. A potem chyba Konstantynopol. Czy w twoim mieście żyło wielu ludzi?

Siedem milionów, odpowiadał. Tylko w pięciu dzielnicach. Kiwali głowami i uśmiechali się przyjaźnie, wcale nie zbici z tropu wymienioną przezeń liczbą.

Siedem milionów, siedemdziesiąt milionów – dla nich, odnosił wrażenie, była to rzecz obojętna. Po prostu ściągną tymczasowych w takiej ilości, jaka będzie potrzebna. Zastanawiał się, na ile dobrze wywiążą się z zadania. W końcu nie był kompetentnym ekspertem od Asgardów i Aleksandrii. Tu mogli trzymać w zoo jednorożce i gryfy, mogli mieć żywe sfinksy myszujące po rynsztokach, nic go to nie obchodziło. Ich dziwaczna Aleksandria była równie dobra jak historyczna albo nawet lepsza. Ale jakiegoż doznałby smutku i rozczarowania, gdyby stworzony przez nich Nowy Jork miał Greenwich Village gdzieś na wytwornych przedmieściach albo Times Square w Bronxie, a nowojorczyki, mili i uprzejmi, mówili z przesłodzonym akcentem Savannah albo Nowego Orleanu. Cóż, nie był to problem, nad którym musiał dumać akurat teraz. Bardzo prawdopodobne, że mówiąc o zbudowaniu Nowego Jorku okazywali mu po prostu kurtuazję. Mieli do wyboru cały bezmiar przeszłości: Niniwę, Memfis faraonów, Londyn królowej Wiktorii, Szekspira albo Ryszarda III, Florencję Medyceuszy, Paryż Abelarda i Heloizy albo Ludwika XIV, Tenochitlan Montezumy, Cuzco Atahualpy, Damaszek, Sankt Petersburg, Babilon,

Troję. A poza tym wszystkie te miasta, które – jak Nowe Chicago – pochodziły z czasów będących dlań nie narodzoną jeszcze przyszłością, ale dla nich – starożytną historią. Wśród takiego bogactwa, takiej nieskończoności wyborów, nawet potężny Nowy Jork mógł spotkać los długiego oczekiwania na swą kolejność. Czy będzie jeszcze wśród nich, gdy się za to zabrają? Może do tego czasu, znudziwszy się nim, odeślą go na powrót do jego właściwej epoki. Albo może zestarzeje się po prostu i umrze. Nawet tu, przypuszczał, czeka go w końcu śmierć, choć nikogo, jak się zdawało, poza nim. Nie wiedział. Uświadomił sobie, że w istocie nie wie nic.

Wiatr północny wiał przez cały dzień. Ukazywały się nad miastem klucze ibisów umykających przed żarem interioru i skrzeczały na niebie, lecąc z wyciągniętymi czarnymi szyjami i szczudłowatymi nogami. Lądowały całe tysiące tych świętych ptaków, rozbieganą hałasem okupywały każde skrzyżowanie ulic, wydziobując pająki, myszy, żuki, resztki z rzeźni i piekarni. Były piękne, lecz dokuczliwie wszędobylskie i ochlapwały marmurowe

gmachy swym guanem; każdego ranka zmywały je starannie szwadrony tymczasowych.

Gioia niewiele z nim teraz rozmawiała. Sprawiała wrażenie oziębłej, zamkniętej w sobie, przygnębionej; działo się z nią coś niepojętego – jakby stopniowo stawała się przeźroczysta. Czuł, że pytając, co ją gnębi, dokonałby naruszenia jej sfery intymnej. Może był to tylko niepokój. Stała się religijna i złożyła kosztowne dary w świątyniach Serapisa, Izydy, Posejdona i Pana. Poszła do nekropolu na północ od miasta, by w katakumbach położyć na grobowcach wieńce. W ciągu jednego tylko dnia trzykrotnie wspięła się na Latarnię, nie okazując potem najmniejszego zmęczenia. Kiedy indziej znów, gdy wrócił z wizyty w Bibliotece, zastał ją na patio nagą; namaściła się cała jakimś aromatycznym zielonym balsamem.

I powiedziała nagle: – Myślę, że czas wyjechać z Aleksandrii, nie sądzisz?

Chciała jechać do Mohendžo-daro, ale Mohendžo-daro nie było jeszcze gotowe na przyjęcie gości, polecili więc zamiast tego na wschód do Czang-an, którego nie widzieli od lat. To był pomysł Phillipsa: miał nadzieję, że stara, kosmopolitycznie wielobarwna stolica T'angów poprawi jej samopoczucie.

Mieli być tym razem gośćmi Cesarza: niezwykle przywilej, o który zazwyczaj należało ubiegać się z wyprzedzeniem; Phillips jednak powiedział kilku wysoko postawionym przyjacielom Gioi, że jest nieszczęśliwa, i ci szybko załatwili, co trzeba. Trzech bijących nieustannie pokłony oficjeli w powiewających żółtych szatach i purpurowych szarfach powitało ich u Bramy Olśniewającej Cnoty, by poprowadzić do przeznaczonego dla nich pawilonu nieopodal pałacu cesarskiego i Zakazanych Ogrodów. Była to lekka przestronna budowla o cienkich otynkowanych ścianach z cegły, ujętych w pełne wdzięku kolumny z jakiegoś ciemnego aromatycznego drewna. Na dachu z zielonych i żółtych płyt szemrały fontanny, źródło nieustającego chłodnego dżdżu z krążącej w cyklu zamkniętej wody. Balustrady były z rzeźbionego marmuru, ościeżnice ze złota.

I jemu, i jej przypadły osobne apartamenty prywatnych pokojów, choć mieli dzielić piękną, udrapowaną adamaszkiem sypialnię w sercu pawilonu. Gdy tylko przybyli,

**Gioia oznajmiła, że musi iść do swych komnat, by umyć się i przebrać.**

**–Wieczorem idziemy do pałacu na uroczystą audiencję powiedziała. – Mówią, że cesarskie audiencje są wspanialsze niż wszystko, co mógłbyś sobie wyobrazić. Chcę wyglądać jak najlepiej.**

**Cesarz i wszyscy ministrowie, powiedziała, przyjmą ich w Sali Najwyższej Ostateczności. Odbędzie się tam bankiet dla tysiąca gości; wystąpią perskie tancerki i słynni żonglerzy z Czung-nan. A potem wszyscy poprowadzeni zostaną do Zakazanych Ogrodów, by wśród ich fantastycznych krajobrazów podziwiać wyścigi smoków i fajerwerki.**

**Poszedł do swoich pokojów. Dwie drobne delikatne dziewczki służebne rozebrały go i obmyły aromatycznymi gąbkami. Do wyposażenia pawilonu należało jedenastu tymczasowych, którzy mieli być ich służącymi – nienatrętnych, cichych jak koty, przemawiających łagodnie Chińczyków o prostych czarnych włosach, zarumienionej cerze i scenicznie pofałdowanych szatach. Wykonano ich z doskonałym realizmem. Phillips zastanawiał się często, jaki los spotyka tymczasowych, kiedy dni ich miasta dobiegają kresu. Czy ogromni nordyccy herosi Asgardu są w tej właśnie chwili przetwarzani w żyłastych ciemnoskórych Drawidów z Mohendžo-daro? A czy wtedy, gdy minie czas Timbaktu, jego czarni wojownicy w białych burnusach zostaną przemienieni w Bizantyńczyków, którzy zaludnią arkady Konstantynopola? A może starych tymczasowych rzuca się w kąć jak tyle innych zbędnych rekwizytów, by wypuścić odpowiednio wielką serię nowego modelu? Nie wiedział, a raz, kiedy spytał Gioię, zbита z tropu zaczęła coś mętnie odpowiadać. Nie lubiła, gdy drążył w poszukiwaniu informacji, a to dlatego, jak podejrzewał, że sama nie wiedziała zbyt wiele. Ci ludzie zdawali się nie wnikać w funkcjonowanie swego własnego świata; jego ciekawość, mówili mu często w ten swój protekcyjny sposób, była z natury bardzo dwudziestowieczna. Gdy dwie drobne pokojówki tarły go swymi gąbkami, przyszło mu na myśl, by je zapytać, gdzie służyły przed Czang-an. W Rio? W Rzymie? Bagdadzie Haruna al-Raszyda? Ale, jak wiedział, te filigranowe dziewczęta zachichoczą tylko i umkną, gdy zacznie je wypytywać. Wypytywanie tymczasowych było w równym stopniu niestosowne, co bezcelowe; taki sam skutek przyniosłoby indagowanie swojego bagażu.**

**Wykąpany i obleczony w bogate czerwone jedwabie, spacerował przez chwilę po pawilonie podziwiając migotliwe wisiorki z zielonego jaspisu zdobiące portyk, wypolerowane brązowe kolumny, tęczowe barwy podtrzymującej dach gmatwaniny wiązarów i kroksztynów. Potem, odczuwając znużenie samotnością, podszedł do bambusowej kotary w drzwiach apartamentu Gioi. Tuż za nią stał odźwierny i jedna z pokojówek. Dali mu do zrozumienia, że nie powinien wchodzić, spojrział tedy na nich spode łba, a oni stopnieli pod jego wzrokiem jak płatki śniegu. Zapach kadzidla prowadził go przez izby pawilonu do położonej w głębi gotowalni Gioi. Tu zatrzymał się przed samymi drzwiami.**

**Gioia zwrócona doń plecami, siedziała nago przy zdobnej toalecie z jakiegoś rzadkiego drewna o barwie płomieni, intarsjowanego wstęgami z pomarańczowej i zielonej porcelany. Uważnie badała swoją twarz w podtrzymywanym przez**

garderobianą zwierciadło z polerowanego brązu i rozdzielała palcami włosy, tak jak czyni to kobieta szukająca śladów siwizny.

To jednak wydawało się dziwne. Siwe włosy, u Gioi? U obywatelki? Tymczasowy mógł zdradzać oznaki starzenia się, ale z pewnością nie obywatel. Obywatele na zawsze pozostawali młodzi i Gioia wyglądała jak dziewczynka. Jej twarz była gładka, wolna od zmarszczek, czoło jędrne, a włosy czarne; odnosiło się to zresztą do nich wszystkich, do każdego obywatela, jakiego widział. A przecież nie można było się mylić co do wykonywanej przez Gioię czynności. Wybrała jeden włos, napięła go marszcząc twarz i wyrwała z lekkim szarpnięciem głową. I następny. Następny. Dotknęła czubkiem palca swoich policzków, jakby

badając ich sprężystość. Uszczypnęła skórę pod oczami, odciągnęła ją w dół. Tak dobrze znane drobne gesty próżności, tak jednak niezwykle tu, pomyślał, w świecie wiecznej młodości. Gioia zatroskana starzeniem? Czy po prostu nie dostrzegł w niej był oznak wieku? A może za jego plecami starała się ze wszystkich sił, by je ukryć? Może tak właśnie było. Czyżby więc mylił się w sprawie obywateli? Może więc starzeli się jak ludzie z mniej błogosławionych epok, dysponując tylko lepszymi sposobami ukrycia tego faktu? A w ogóle, ile miała lat? Trzydzieści? Sześćdziesiąt? Trzysta?

Gioia wyglądała na usatysfakcjonowaną. Skinieniem dłoni kazała zabrać lustro, a podniósłszy się, poleciła przynieść strój bankietowy. Stojący u drzwi, wciąż nie zauważony Phillips przyglądał się jej z podziwem: małe, krągłe pośladki, prawie – lecz nie ze wszystkim – chłopięce, elegancka linia pleców, zaskakująco szerokie ramiona. Nie, pomyślał, ona się wcale nie starzeje. Jej ciało jest wciąż dziewczęce. Wygląda równie młodo, jak owego dnia, gdy się spotkali po raz pierwszy, choć nie potrafiłby powiedzieć, jak dawno temu to było; prowadzenie rachuby czasu nie należało tu do rzeczy łatwych, ale miał pewność, że minęły lata, odkąd są razem. Te siwe włosy, zmarszczki, te fałdy pod oczami, których szukała tak rozpaczliwie, muszą być urojeniami, tworam wyobraźni. Więc próżność nie wymarła nawet w tej odległej epoce. Zastanawiał się, dlaczego tak silnie przenika ją lęk przed starością. Afektacja? Czy wszyscy ci trwający ponad czasem ludzie znajdują jakąś perwersyjną przyjemność w dręczeniu się myślą, że być może nie ominie ich starość? Czy był to prywatny lęk Gioi, kolejny symptom tej tajemniczej depresji, która ogarnęła ją w Aleksandrii?

Nie chcąc, by myślała, że ją podglądał, kiedy on chciał jej tylko złożyć wizytę, wymknął się cicho. Musiał przebrać się na wieczór. Godzinę później przyszła doń w przepysznych szatach, spowita od stóp do głów w olśniewający barwami brokat przetkany złotą nicią, z makijażem na twarzy, włosami gładko zaczesanymi do tyłu i ujętymi w grzebienie z kości słoniowej: istna dama dworu.

Słudzy i jego przyodziali wspaniale: w połyskliwy czarny kaftan haftowany w złote smoki, narzucony na obszerną, sięgającą ziemi szatę ze lśniącego białego jedwabiu, naszyjnik i medalion z czerwonego koralu oraz w pięciokątny stożkowaty kapelusz piętrzący się na jego głowie jak ziggurat. Uśmiechnięta Gioia dotknęła palami jego policzka.

–Wyglądasz wspaniale – powiedziała. – Jak wielki mandaryn.

–A ty – odparł – jak cesarzowa jakiejś odległej krainy Persji, Indii – która przybyła tutaj w celu złożenia Synowi Niebios oficjalnej wizyty.

Serce jego przepelił ogrom miłości; uchwyciwszy lekko nadgarstek Gioi, przyciągnął ją do siebie tak blisko, jak tylko mógł, zważywszy na wyszukaną formę ich kostiumów. Ale gdy się pochylił, by lekko i gule musnąć ustami czubek jej nosa, dostrzegł coś obcego, anomalie: makijaż z białej barwiczki, miał tuszować, zdawał się dziwacznie wyolbrzymiać rysunek jej skóry, wydobywając na światło dzienne i bezlitośnie podkreślając szczegóły, których dotąd nie zauważył. Dojrzał więc siatkę wyraźnych linii promieniujących z kącików oczu; na

policzku, tuż na lewo od ust, niewątpliwą zmarszczkę i być może zapowiedź innych zmarszczek na jej gładkim czole. Dreszcz przebiegł mu po karku. Nic afektacja więc skłoniła ją do tak namiętnego wpatrywania się w lustro. Wiek naprawdę począł domagać się od niej wyrównania rachunków mimo jego coraz silniejszej wiary w wieczną młodość tych ludzi.

Ale już chwilę później nie był tak pewny. Gioia odstąpiła miękko pół kroku w tył – jego spojrzenie musiało ją zmieszać i zmarszczki, które, jak mu się zdawało, widział, zniknęły. Szukał ich, znowu znajdując tylko dziewczęcą gładkość skóry. Gra światła? Igraszka nadwrażliwej wyobraźni? Był zbity z tropu.

–Chodź – powiedziała. – Cesarz nie może na nas czekać. Pięciu wąsatych wojowników w białych pikowanych zbrojach i pięciu muzykantów grających na dudach i cymbałach zaprowadziło ich do Sali Najwyższej Ostateczności. Znaleźli tam cały dwór: książęta i ministrów, wysokich urzędników, mnichów w żółtych szatach, rój cesarskich konkubin. W najzaszczytniejszym miejscu, na prawo od tronów cesarskich, które na kształt złocistych szafotów wznosiły się ponad wszystko na sali, stała grupka kamiennolicych mężów w cudzoziemskich strojach – ambasadorowie Rzymu i Bizancjum, Arabii i Syrii, Korci, Japonii, Tybetu, Turkiestanu. W emaliowanych koszykach dymiły kadzidła. Akompaniując sobie na niewielkiej harfie, poeta nucił delikatną, brzękliwą melodię. A potem wkroczyli Cesarz i Cesarzowa: dwoje maleńkich wiekowych ludzi przypominających woskowe figurki, którzy poruszali się nieskończenie wolno, czyniąc kroczyki nie dłuższe od dziecięcych. Rozległ się dźwięk trąb, gdy się pięli na wyniesienie. Kiedy już Cesarz zasiadł – a wyglądał na tronie jak lalka, stara, wyblakła, pomarszczona, choć przecież emanująca jakąś niezwykłą mocą – i wyciągnął przed siebie obydwie dłonie, rozbrzmiały gongi.

Była to chwila o zdumiewającym splendorze, monumentalna i przytłaczająca.

To wszystko tymczasowi, uświadomił sobie nagle Phillips. Widział tylko garść obywateli – ośmiu, dziesięciu, najwyżej tuzin – rozrzuconych to tu, to tam w olbrzymiej komnacie. Poznał ich po oczach, ciemnych, ruchliwych, rozumiejących. Obserwowali nie tylko cesarski spektakl, ale także Gioię i jego, a Gioia, uśmiechając się skrycie, kiwała ku nim prawie niezauważalnie, przyjmując do wiadomości ich obecność i zainteresowanie. Ale tylko ta garstka była obdarzona samodzielnym istnieniem. Wszyscy pozostali – cały ten wspaniały dwór, wielcy mandaryni i paladyni, urzędnicy, chichoczące konkubiny, pyszni i olśniewający ambasadorowie,

**sam wiekowy Cesarz i Cesarzowa – byli po prostu elementem scenografii. Czy kiedykolwiek widział świat rozrywkę na tak imponującą skalę? Całą tę pompę i przepych wyczarowywaną każdego wieczora dla uciechy jakiegoś tuzina widzów?**

**Podczas uczyty grupka obywateli siedziała razem przy osobnym stole, okrągłej bryle onyksu udrapowanej przezroczytym zielonym jedwabiem. Okazało się, że z Gioią jest ich siedemnastu; Gioia zdawała się znać ich wszystkich, choć żaden, o ile Phillips mógł się zorientować, nie należał do paczki, którą dotąd widywał. Nie podjęła próby przedstawienia kogokolwiek, a i rozmowa podczas posiłku nie była absolutnie możliwa: sala rozbrzmiewała**

**nieustannym, oszalamiającym jazgotem. Trzy orkiestry grały jednocześnie, a wtórowały im trupy muzyków wędrownych; nieprzerwana rzeka mnichów i ich akolitów sunęła między stołami to tu, to tam, głośno wykrzykując sutry i machając kadzielnicami przy akompaniamencie bębnów i gongów. Cesarz nie opuścił swego tronu, by wziąć udział w biesiadzie: zdawało się, że śpi, choć od czasu do czasu machał dłonią w rytm muzyki.**

**Olbrzymi półnaczy niewolnicy o wystających kościach policzkowych i ustach jak puste kieszenie roznosili jadło: pawie jęczyczki i piersi feniksów na stertach barwionego szafranem ryżu podawanego w delikatnych alabastrowych misach. Do jedzenia służyły cienkie pałeczki z ciemnego jaspisu. Wino, serwowane w lśniących kryształowych pucharach, było gęste i słodkie z lekkim posmakiem rodzyneków; nie pozwalano, by jakkolwiek puchar stał pusty dłużej niż przez chwilę.**

**Phillips czuł rosnące oszołomienie i kiedy pojawiły się wreszcie perskie tancerki, nie potrafił powiedzieć, czy było ich pięć, czy pięćdziesiąt, a kiedy rozpoczęły swój skomplikowany wirujący rytuał, zdawało mu się, że te sylwetki w muślinowych welonach tracą kontury i przenikają się wzajem. Ich zręczność napawała go lękiem i pragnął odwrócić wzrok, ale nie potrafił tego uczynić. Żonglerzy z Czung-nan byli równie zręczni i równie niepokojący; wypełnili powietrze szablami, płonącymi głowniami, żywymi zwierzętami, rzadkimi wazami z porcelany, toporami z różowego jaspisu, srebrnymi dzwonkami, złoconymi filiżankami, kołami od wozu i brązowymi naczyniami, i niczego nie upuścili na ziemię. Obywatele zaklaskali uprzejmie, ale nie wydawali się poruszeni. Po żonglerach wróciły tancerki, występując tym razem na szrudłach; słudzy przynieśli tymczasem półmiski parującego mięsiwa barwy jasnej lawendy, o nieznanym smaku i fakturze; filety z wielbłąda, być może, szynka z hipopotama, ewentualnie wyborowy kąsek z młodego smoka. I więcej wina. Phillips niepewnie próbował się przed nim bronić, słudzy jednak byli niewzruszeni. To wino było innego rodzaju – wytrawne, zielonożłote, prostsze, szczypiące w język. Towarzyszyły mu srebrne misy zawierające płatki lodu przesycone jakąś mocną wódką o dymnym posmaku. Żonglerzy, spostrzegł, mieli swe drugie wejście. Sądził, że zbiera mu się na wymioty. Spojrzał bezradnie na Gioię, która sprawiała wrażenie trzeźwej, ale szalenie podekscytowanej – prawie do obłędu. Jej oczy płonęły jak rubiny. Czule dotknęła jego policzka.**

**Przez salę przemknął chłodny przeciąg: rozsunięto całą ścianę ukazując ogród, noc i gwiazdy. Tuż za ścianą tkwiło olbrzymie koło z przesyconego oliwą papieru**



rozciągniętego na drewnianych wspornikach. Musieli wznieść je w ciągu ubiegłej godziny; miało sto pięćdziesiąt lub więcej stóp wysokości i wisiały na nim tysiące lampionów migocących jak gigantyczne świetliki. Goście zaczęli opuszczać salę. Phillips dał się im unieść do ogrodu, gdzie pod żółtym księżycem czaiły się złowieszczo drzewa o dziwacznie poskręcanych gałęziach i gęstych ciemnych igłach. Gioia wsunęła dłoń pod jego ramię. Zbliżyli się do jeziora z musującą purpurową ciecżą i obserwowali podobne do flamingów ptaki

dziesięciostopowej wysokości niedbale wydziobujące turkusowe węgorze o diabelskich oczach. Stali w zachwycie przed siedemdziesięciostopowym opasłym Buddą z połyskliwych bloków błękitnego kamienia. Przygalopował koń o złotej grzywie, krzesząc, gdziekolwiek jego kopyta tknęły ziemi, fontanny jasnoczerwonych iskier. W gaju drzew cytrynowych, które posiadły, zda się, moc gestykulowania swoimi smukłymi członkami, Phillips natknął się na stojącego samotnie, kołyszącego się łagodnie w przód i w tył Cesarza. Starzec chwycił Phillipsa za rękę i wsunął mu coś w dłoń, zaciskając jego palce na upominku; gdy Phillips rozwarł je parę chwil później, znalazł pełną garść szarych nieregularnych pereł. Gioia zabrała mu te perły i cisnęła je w powietrze; rozbłysły jak eksplodujący fajerwerk, siejąc plamy wielobarwnego światła. Zaraz potem Phillips spostrzegł, że nie ma już na sobie kaftana ani białej jedwabnej szaty. Gioia, również naga, pociągnęła go łagodnie na dywan wilgotnego błękitnego mchu, gdzie kochali się do samego świtu, szaleńczo zrazu, a potem wolno, ospale, sennie. O wschodzie słońca spojrzął na nią czule i dostrzegł, że coś jest nie w porządku.

–Gioia? – zapytał niepewnie.

Uśmiechnęła się. – Och, nie. Gioia jest dziś z Fenimonem. Mam na imię Belilala.

–Z... Fenimonem?

–Są starymi przyjaciółmi. Nie widziała go od lat.

–Ach, rozumiem. A ty jesteś...

–Belilala – powtórzyła, dotykając opuszkami palców jego policzka.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego, wyjaśniła Belilala. Takie rzeczy zdarzały się ciągle, a jedyna niezwykłość polega na tym, że nie spotkało go to dotychczas. Pary tworzyły się, przez jakiś czas podróżowały razem, rozstawały się, w końcu schodziły się na nowo. Odejście Gioi wcale nie znaczy, że porzuciła go na zawsze. Znaczą tylko to, że w tej chwili woli być z Fenimonem. Gioia wróci. Przez ten czas on nie będzie sam.

–Poznaliśmy się już w Nowym Chicago – powiedziała – a potem spotkaliśmy w Timbuktu. Zapomniałeś? Och, tak, widzę, że zapomniałeś.

Ładnie się śmiała; wcale nie wyglądała na urażoną.

Była do Gioi podobna jak siostra. Ale w końcu, wszyscy obywatele byli dlań w większym czy mniejszym stopniu jednakowi. Szybko jednak doszedł do wniosku, że mimo fizycznego podobieństwa Gioia i Belilala były nader różne. Był w Belilali spokój, wielkie zasoby łagodności, których Gioia – zmienna, żywa, zawsze przepełniona niecierpliwością – chyba nie miała. Krocząc z Belilalą rojnymi ulicami Czang-an, nie wyczuwał w niej nic z powodującej Gioią gorączkowej potrzeby

sprawdzenia, co jest dalej, dalej, a nawet jeszcze dalej. Gdy zwiedzali pałac Hsing-Ch'ing, Belilala nie zaczęła po pięciu minutach – jak z pewnością uczyniłaby Gioia – szukać drogi do Fontanny Hsuang-tung albo Pagody Dzikiej Gęsi. Ciekawość nie pożerała Belilali w takim stopniu jak pożerała Gioię. Wierzyła najoczywiściej, że zawsze będzie mieć dość czasu, by zobaczyć wszystko, co tylko zechce.

Były dni, kiedy w ogóle nie chciała wychodzić, zadowolając się pozostaniem w pawilonie, samotną grą porcelanowymi żetonami lub oglądaniem kwiatów w ogrodzie.

Przekonał się zdumiony, że rozkoszuje się wytchnieniem od emanującej z Gioi żądzy wchłaniania świata; a przecież pragnął jej powrotu. Belilala – piękna, spokojna, cicha, cierpliwa – była dlań zbyt idealna. W swej świetlistej nieskazitelności zdawała się równie nierzeczywista, jak jedna z owych seledynowych waz z dynastii Sung, zbyt doskonałych, odnosiło się wrażenie, by kształt i połysk mogły jej nadać ludzkie dłonie. Było w niej coś bezdusznego: puste wnętrze pod powłoką bez skazy. Belilala nieomal mogła należeć do tymczasowych, choć – jak wiedział – nie należała. Mógł z nią myszkować po pawilonach i pałacach Czang-an, mógł z nią wieść podczas kolacji pełne polotu rozmowy, mógł, bez wątpienia, czerpać radość z sypiania z nią, ale nie mógł jej pokochać ani nawet zastanawiać się nad taką ewentualnością. Trudno było wyobrazić sobie Belilalę szukającą z niepokojem przed lustrem zmarszczek i siwych włosów. Belilala nigdy nie będzie starsza, niż jest w tej chwili, i nigdy nie będzie młodsza. Doskonałość nie wędruje w żadnym kierunku po osi czasu. Ale też doskonałość świetlistej powłoki Belilali czyniła dlań nieprzeniknioną jej istotę wewnętrzną. Słabe punkty Gioi były bardziej oczywiste, ułomności – niecierpliwość, uleganie nastrojom, próżność, lęki – bardziej widoczne i przez to była Gioia łatwiej dostępna poznaniu przez jego wysoce niedoskonałą dwudziestowieczną wrażliwość.

Czasami wędrując po mieście widywał Gioię albo sądził, że ją widuje. Mignęła mu wśród handlarzy cudownościami na Perskim Bazarze, pod świątynią Zaratustry, a potem obok stawu ze złotymi rybkami w Wężowym Parku. Ale nigdy nie miał zupełnej pewności, że kobieta, którą dostrzega, jest naprawdę Gioią, a nie udawało mu się dotrzeć do niej na tyle blisko, by tę pewność zyskać. Zwykła znikać, ilekroć się zbliżał, jak tajemnicza jakaś Lorelei, wabiąca go dalej i dalej w beznadziejnej pogoni. Po jakimś czasie doszedł do wniosku, że nie znajdzie jej, póki ona sama nie będzie na to gotowa.

Stracił poczucie czasu. Tygodnie, miesiące, lata? Nie miał pojęcia. W tym mieście egzotycznego luksusu, tajemnicy i magii wszystko podlegało nieustającym zmianom i w spędzanych tu dniach było coś niestałego, coś kapryśnego. Gmachy, a nawet całe ulice rozbierano jednego popołudnia i w ciągu paru dni wznoszono na powrót w odległym jakimś miejscu. Wspaniałe nowe pagody wyrastały przez jedną noc jak muchomory. Obywatele napływali z Asgardu, Timbaktu, Nowego Chicago, zostawali na jakiś czas, znikali, wracali. Trwała nieustanna karuzela niewiele różniących się od siebie audiencji, uczt, wydarzeń teatralnych. Festiwale ku czci dawnych cesarzy i cesarzowych mogłyby ująć rok w jakieś karby, ale, jak się zdawało, następowały przypadkowo; i tak ceremonia związana ze śmiercią T'ai Tsunga, odniósł wrażenie, miała miejsce dwukrotnie w ciągu roku, raz w porze śniegu i raz w środku lata,

uroczystość zaś upamiętniającą koronację Cesarzowej Wu urządzono dwa razy w ciągu jednej tylko pory roku. Może opacznie coś pojmował, ale wiedział, że nie ma sensu kogokolwiek pytać.

Pewnego dnia Belilala spytała nieoczekiwanie:

–Pojedziemy do Mohendžo-daro?

–Nie wiem, czy jest gotowe na przyjęcie gości – odparł. – Och, tak. Już od jakiegoś czasu.

Zawahał się. Nie był przygotowany na tę propozycję. Powiedział ostrożnie:

–Wiesz, mieliśmy tam jechać razem z Gioią.

Belilala uśmiechnęła się uroczo, jakby dyskutowany problem dotyczył najwyżej wyboru restauracji na dzisiejszy wieczór.

–Czyżby? – spytała.

–To zostało ustalone, kiedyśmy jeszcze byli w Aleksandrii. Jechać zamiast tego z tobą... nie wiem, co ci mam powiedzieć, Belilalo.

Phillips czuł, że strasznie się rumieni. – Wiesz, że chciałbym tam pojechać. Z tobą. Ale z drugiej strony nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nie powinienem jechać, dopóki znów nie będę z Gioią. Jeśli kiedykolwiek będę.

Jak głupio to brzmi, pomyślał. Jak niezgrabnie, jak szczeniacko. Stwierdził, że ma kłopoty ze spojrzeniem jej w oczy.

–Obiecałem jej... – wydusił wreszcie z jakąś desperacją w głosie -... to było zobowiązanie... kategoryczna umowa, że do Mohendžo-daro pojedziemy razem.

–Och, ale Gioia już tam jest – powiedziała najzupełniej obojętnie Belilala.

Otworzył usta, jakby uderzyła go w twarz.

–Co takiego?

–Była jedną z pierwszych, którzy pojechali tam po otwarciu. Wiele miesięcy temu. Nie wiedziałeś? – zaskoczenie w jej głosie nie brzmiało przekonująco. – Naprawdę nie wiedziałeś?

To go zdumiało. Czuł się oszołomiony, zdradzony, wściekły. Paliły go policzki, rozdziawiał usta. Raz za razem potrząsał głową, próbując wrócić do równowagi. Minęła dobra chwila, nim odzyskał głos.

–Już tam jest? – powiedział w końcu. – Nie czekając na mnie? Po tym, jak mówiliśmy, że wyruszymy razem... jak uzgodniliśmy...

Belilala roześmiała się.

–Ależ jak mogła oprzeć się chęci zobaczenia najnowszego miasta? Wiesz, jak jest niecierpliwa!

–Tak. Tak.

Był ogłuszony. Prawie nie mógł myśleć.

–Jest jak wszyscy krótkoczasowcy – powiedziała Belilala. Pędzi tu, pędzi tam. Musi mieć to wszystko, teraz, zaraz, natychmiast, już, błyskawicznie. Nie powinienś być zakładać, że z czymkolwiek zaczeka na ciebie dłużej; napada ją kaprys i już jej nie ma. Do tej pory

musiałeś się w tym zorientować.

–Krótkoczasowiec? – nie słyszał dotąd tego określenia.

–Tak. Wiedziałaś to. Musiałaś wiedzieć – Belilala obdarzyła go najśłodszym ze swych uśmiechów. Nic nie wskazywało, że właściwie ocenia jego rozpacz. Żywo machnęła dłonią i spytała: – Więc cóż, pojedziemy razem, ty i ja? Do Mohendzo-daro?

–Oczywiście – odparł Phillips ponuro.

–Kiedy chciałbyś wyruszyć?

–Wieczorem – odparł. Zamilkł na chwilę. – Kto to jest krótkoczasowiec, Belilalo? – zapytał.

Rumieniec wypłynął na jej policzki. – Czy to nie oczywiste? – spytała.

Czy na obliczu Ziemi było kiedykolwiek miejsce bardziej odpychające niż gród Mohendzo-daro? Phillips uznał, że tylko z trudem mógłby je sobie wyobrazić. Ani też nie rozumiał, dlaczego, ze wszystkich miast, jakie istniały w przeszłości, to właśnie postanowiono powołać do istnienia. Bardziej niż kiedykolwiek dotąd wydali mu się ci ludzie obcy, niezgłębieni, niepojęci.

Z tarasu na szczycie cytadeli o wielu wieżach zajrzał w serce posępnego, przyprawiającego o klaustrofobię Mohendzo-daro i wzdrygnął się. Jeśli owo nieruchome, niegościnne miasto przywodziło coś na myśl, to chyba tylko prehistoryczną kolonię karną. Przysadziste i zwarte jak zaniepokojony żółw, piętrzyło się na monotonnym szarym tle równiny rzeki Indus; całe mile murów z palonej cegły otaczające całe mile przerażająco zdyscyplinowanych ulic wytyczonych na wzór potwornego rusztu z maniakalnie prostych linii. Domy, skupiska ceglanych sześciątów ściśniętych wokół maleńkich dusznych podwórek, również były ponure i przygnębiające. Pozbawione okien, miały tylko małe drzwi otwierające się nie na główne bulwary, a na wąziutkie tajemnicze alejki biegnące między budynkami. Kto zaprojektował tę okropną metropolię? Jakież szorstkie, zgorzkniałe dusze musiał mieć ów przerażający i przerażony lud, który na bogatych, żyznych równinach Indii wzniósł to miasto-Reichstag?.

–Jakie piękne – zaszemrała Belilala. – Jakież fascynujące!

Patrzył na nią zdezorientowany.

–Fascynujące? Tak – odparł. – Myślę, że tak. Równie fascynujące jak uśmiech kobry.

–Co to jest kobra?

–Jadowity wąż – wyjaśnił Phillips. – Gatunek prawdopodobnie wymarły, lub, co bardziej możliwe, do niedawna wymarły. Nie byłbym zaskoczony, gdybyście odtworzyli parę sztuk i puścili je swobodnie do Mohendzo-daro, żeby było weselej.

–Sprawiasz wrażenie zagniewanego, Charles.

–Czyżby? Wcale się tak nie czuję.

–Jak więc się czujesz?

–Nie wiem – odparł po dłuższej przerwie. Wzruszył ramionami. – Zagubiony, sądzę. Z dala od domu.

–Biedny Charles.

–Kiedy stoję w tym upiornym koszarowym mieście i słyszę, że zachwycasz się jego urodą, czuję się taki samotny, jak nigdy dotąd.

–Bardzo tęsknisz za Gioią, prawda? Znowu obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem.

–Gioia nie ma z tym nic wspólnego. Prawdopodobnie piękno Mohendžo-daro wprawia ją w ekstazę, tak jak ciebie. Tak jak was wszystkich. Przypuszczam, że jestem jedynym, który nie dostrzega tu piękna ani uroku. Jestem jedynym, który patrzy, widzi okropieństwo i zastanawia się, dlaczego nikt inny go nie dostrzega, dlaczego miejsce takie jak to stworzono dla rozrywki i przyjemności...

Jej oczy błyszczały. – Och, jesteś zły! Naprawdę jesteś!

–Czy to cię również fascynuje? – warknął. – Demonstracja prawdziwie pierwotnych emocji? Typowy, oryginalny dwudziestowieczny wybuch? – Począł przemierzać mur obronny krótkimi, szybkimi, pełnymi udręki krokami. – Aha. Tak, myślę, że teraz już rozumiem, Belilalo. Oczywiście, jestem częścią waszego cyrku, gwiazdorem intermedium. Pierwszym eksperymentem, w istocie, który ma przygotować scenę pod następny program główny.

Jej oczy były rozszerzone. Szorstkie i gwałtowne nuty pobrzmiwające w jego głosie niepokoiły ją, jak się zdawało, i podniecały jednocześnie. Zwiększyło to tylko jego gniew: Mówił dalej z wściekłością: – Ściąganie z przeszłości całych miast było zabawne na początek, ale odczuwaliście niedosyt autentyczności, co? Z jakiegoś powodu nie potrafiliście sprowadzić również mieszkańców: nie mogliście porwać po prostu z Egiptu, Grecji czy Indii paru milionów prehistorycznych facetów i wysadzić ich w tej epoce, a to, przypuszczam, dlatego, że utrzymanie ich w ryzach sprawiłoby wam zbyt wiele kłopotów i że trudno by się było ich pozbyć, kiedy już was znudzą. Więc postawiliście na robienie tymczasowych dla zaludnienia waszych starożytnych miast. Ale teraz macie mnie. Jestem czymś bardziej realnym od tymczasowego i to dla was emocjonująca nowość, a nowości to coś, czego pożądacie nade wszystko; może nawet to wszystko, czego pożądacie. I oto jestem, skomplikowany, nieobliczalny, drażliwy, zdolny do gniewu, strachu, smutku, miłości i wszystkich tych niegdyś wymarłych rzeczy. Czemu zadowalać się malowniczą architekturą, skoro można również podziwiać malownicze uczucia? Jaką frajdą muszę być dla was wszystkich! A jeśli uznacie, że byłem naprawdę interesujący, może odeślecie mnie tam, skąd przyszedłem, i wrzucicie do swego koszyka na zakupy paru innych prastarych typów – rzymskiego gladiatora na przykład, albo renesansowego papieża, albo Neandertalczyka czy dwóch...

–Charles – powiedziała czule. – Och, Charles, Charles, jakże musisz być samotny, jak zagubiony, jak udręczony. Czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Czy wybaczysz nam wszystkim?

Zaskoczyła go raz jeszcze. Jej głos brzmiał absolutnie szczerze, współczująco. Czy była szczerą? Czy naprawdę współczuła? Nie miał pewności, czy ze strony kogoś z nich, nawet Gioi, spotkał go kiedyś gest autentycznej troski. – I teraz nie potrafił obudzić w sobie ufności wobec Belilali. Lękał się jej, lękał się ich wszystkich – ich kruchości, przebiegłości, ich elegancji. Chciałby móc podejść do niej i skłonić ją, by wzięła go w ramiona, ale zbyt mocno czuł się w tej chwili kudłatym małpoludem, by zdobyć się na ryzyko proszenia o taką pociechę.

Odwrócił się i ruszył wzdłuż krawędzi masywnego muru cytadeli.

–Charles?

–Zostaw mnie na chwilę samego – powiedział.

Szedł przed siebie. Pulsowały mu skronie, serce waliło w piersi. Wszystkie systemy zabezpieczające poszły w drzazgi, pomyślał. Tajemne gruczoły pompują do krwioobiegu galony łatwopalnej cieczy. Gorąco, depresja, odpychający wygląd tego miejsca...

Spróbuj zrozumieć, myślał. Rozluźnij się. Staraj się znaleźć przyjemność w swych wakacjach w Mohendžo-daro.

Zachowując ostrożność wychylił się daleko poza krawędź muru. Nigdy dotąd takiego muru nie widział; musiał mieć u podstawy czterdzieści stóp grubości, zgadywał, może nawet więcej, a każda cegła była doskonale uformowana i precyzyjnie osadzona. Rozciągnięte za wielkim obwarowaniem bagna sięgały niemal do skraju miasta, choć pod samymi murami poprzedzielano je groblami i osuszono pod uprawę. Widział w dole gibkich brązowskórych rolników zajętych swoją pszenicą, jęczmieniem i fasolą. Krowy i bawoły pasły się nieco dalej. Powietrze było ciężkie, wilgotne, parne. Panował spokój. Gdzieś z bliska dobiegł zawodzący, jękliwy dźwięk instrumentu strunowego i jednostajny, natrętny śpiew.

Stopniowo, wypierając złość, począł go ogarniać swoisty spokój. Czuł, że zaczyna wracać do równowagi. Znów spojrzął ku miastu, na sztywną siatkę ulic, labirynt alejek, miliony rzędów precyzyjnie ułożonych cegieł.

To cud, powiedział sobie, że to miasto jest właśnie tu, w tym czasie i miejscu. To cud, że ja tu jestem, by je oglądać.

Uderzony przez chwilę tą magią zamkniętą w niegościnniej skorupie pomyślał, że zaczyna pojmować zdumienie i zachwyt Belilali; żałował, iż odezwał się do niej tak ostro. Miasto żyło. Fakt, czy było to prawdziwe Mohendžo-daro sprzed wielu tysięcy lat wyłowione z przeszłości jakimś czarodziejskim haczykiem, czy tylko zręczna reprodukcja, nie miał żadnego znaczenia. Rzeczywiste czy nie, było prawdziwym Mohendžo-daro. Niegdyś martwe, teraz przez tę jedną chwilę – żyło znowu. Ci ludzie, ci o b y w a t e l e mogli być trywialni, ale zrekonstruowanie Mohendžo-daro nie było dziełem trywialnym. I nie miał znaczenia fakt, że zrekonstruowane miasto było z wyglądu tak złowieszcze i przygnębiające. Nikogo nie zmuszano teraz do mieszkania w Mohendžo-daro. Jego czas przyszedł i minął

dawno temu; ci drobni, ciemnoskórzy wieśniacy tam w dole, ci rzemieślnicy i kupcy to ledwie tymczasowi, ledwie bezduszne przedmioty, wyczarowane, jak żywe trupy, dla wzbogacenia iluzji. Niepotrzebna im jego litość. I on nie musi litować się nad sobą. Wiedział, że powinien być wdzięczny za szansę zobaczenia tego wszystkiego. Któregoś dnia, gdy skończy się sen, a gospodarze zwrócą go światu metra, komputerów, podatków i sieci telewizyjnych, pomyśli o tym Mohendžo-daro, które niegdyś widział, o spiętrzonych pod ciężkim niebem wyniosłych murach z ciasno ułożonej ciemnej cegły, i będzie pamiętać tylko jego piękno.

Odwróciwszy wzrok rozejrzał się za Belilalą, ale przez chwilę nie mógł jej dostrzec. Wreszcie zobaczył: schodziła ostrożnie po wąskich schodach w dół opadającej wewnętrznej części muru.

–Belilala! – zawołał.

Zatrzymała się i spojrzała w jego stronę, dłonią przysłaniając oczy przed słońcem.

–Dobrze się czujesz?

–Dokąd idziesz?

–Do łaźni – odparła. – Chcesz iść ze mną?

Przytaknęła. – Zaczekaj na mnie, dobrze? Zaraz będę.

Zaczął biec ku niej szczytem muru.

Łażnie tuliły się do cytadeli: jeden wielki otwarty zbiornik rozmiaru dużego basenu wyłożony ceglami związanymi na brzegach zaprawą gipsową i zabezpieczony przed wodą asfaltem oraz osiem mniejszych, tuż na północ od niego, pod osłoniętymi dachem arkadami. Phillips sądził, że w starożytności cały kompleks służył celom rytualnym – lud używał wielkiego zbiornika, małe zaś komory przeznaczono dla prywatnych ablucji kapłanów i nobilów. Teraz, jak się zdawało, łaźnie utrzymywano wyłącznie dla przyjemności odwiedzających miasto obywateli. Kiedy Phillips docierał do końca pasażu wiodącego ku łaźni głównej, dostrzegł ich piętnastu czy dwudziestu wylegających się w wodzie albo leniwie łażących po brzegu, podczas gdy tymczasowi, tej ciemnoskórej odmiany z Mohendžo-daro, roznosili napoje i kawałki aromatycznego mięsiwa; ta scena przywiodła mu na myśl luksusowy kurort. Z czym zresztą, pojął, ma właśnie do czynienia. Biodra tymczasowych okalały białe bawełniane przepaski, obywatele zaś byli nadzy. W swoim dawniejszym życiu kilkakrotnie spotkał się z tym rodzajem niedbałej publicznej nagości podczas wyjazdów do Kalifornii i na południe Francji; czuł wówczas umiarkowane skrępowanie. Tu począł się do niej przyzwyczajać.

Garderoby okazały się maleńkimi ceglanyimi klatkami połączonymi z okalającym basen dziedzińcem rzędami ciasno utkanych stopni. Weszli do jednej z nich i Belilala szybko wyslizgnęła się z obszernej bawełnianej szaty, którą miała na sobie, odkąd przybyli dziś rano do miasta. Skrzyżowawszy ręce czekała na niego wsparta o ścianę. Po chwili zrzucił swoją

togę i podążył za nią na dziedziniec. Czuł się trochę niepewnie, spacerując tak w miejscu publicznym, jak go Pan Bóg stworzył.

Po drodze do kąpieliska głównego mijali łaźnie prywatne. Wyglądało, że żadna nie była zajęta. Były to elegancko zaprojektowane izby o pięknie fugowanych posadzkach z cegły i starannie zaprojektowanym systemie odprowadzania nadmiaru wody do kanału, który łączył się z drenem głównym. Phillipsa ogarnął podziw dla pomysłowości pradawnych inżynierów. Zaglądał to do jednej izby, to do drugiej, by zobaczyć, jak przebiegają rury i przewody wentylacyjne; kiedy dotarł do ostatniego z rzędu pomieszczenia, odkrył ku swemu zaskoczeniu i zakłopotaniu, że jest zajęte. Krzepki uśmiechnięty mężczyzna o potężnych mięśniach, szerokiej piersi, sięgającej ramion rudej grzywie i strzelistej, ostro zwężającej się brodzie, radośnie taplał się z dwiema kobietami w małym zbiorniku. Phillips dostrzegł kątem oka ożywioną plątaninę ramion, nóg, piersi, pośladków.

–Przepraszam – wymamrotał zarumieniony i wycofał się szybko, bełkotliwie powtarzając przeprosiny: – Nie miałem pojęcia, że zajęte... nie chciałem

przeszkadzać...

Belilala bez zatrzymania szła korytarzem i Phillips popędził za nią. Zza jego pleców dobiegały grzmiące salwy beztroskiego chrapliwego śmiechu, cienki chichot i odgłosy rozchlapywanej wody. Prawdopodobnie nawet go nie zauważyli.

Stropiony przystanął na chwilę i odtworzył w myśli tę widzianą przez moment zaskakującą scenę. Coś tu nie grało. Te kobiety, miał zupełną pewność, były obywatelkami: drobne, smukłe, zjawiskowe, ciemnowłose i dziewczęce istoty – model standardowy. Ale mężczyzna? Ta kędzierzawa ogromna ruda grzywa? Obywatele nie zapuszczali włosów do ramion. W dodatku rudych. Ani też nie widział nigdy obywatela tak masywnego, tak potężnie umięśnionego. Albo brodatego. Ale przecież nie mógł to być tymczasowy. Phillips nie potrafił wyobrazić sobie powodu, dla którego miałby w Mohendžo-daro znaleźć się tymczasowy o równie anglosaskim wyglądzie; tak czy owak nie było do pomyślenia, żeby tymczasowy figlował sobie po prostu z obywatelkami.

–Charles?

Spojrzał przed siebie. Obwiedziona jaśniejącym nimbem słonecznego blasku Belilala stała w wylocie pasażu.

–Charles powtórzyła – zgubiłeś drogę?

–Jestem tu, za tobą – odparł. – Już idę.

–Kogo tam spotkałeś?

–Człowieka z brodą.

–Z czym?

–Z brodą – powiedział. – Rudymi włosami rosnącymi na twarzy. Zastanawiam się, kto to taki.

–Nikt z tych, których znam – odparła Belilala. – Jedynym znanym mi człowiekiem z włosami na twarzy jesteś ty. Ale twoje są czarne i golisz je codziennie. – Roześmiała się. –

Chodź już! Koło basenu widzę kilku przyjaciół.

Dogonił ją i trzymając się za ręce wyszli na dziedziniec. Natychmiast znalazł się obok nich kelner, służący drobny tymczasowy z tacą pełną napojów. Phillips zbył go machnięciem dłoni i skierował się ku basenowi. Czuł się straszliwie obnażony; wyobrażał sobie, że wypoczywający tu obywatele wpatrują się weń natarczywie, studiując jego włochate prymitywne ciało, jak gdyby był mitologiczną jakąś bestią, Minotaurem czy wilkołakiem, przyzwanym dla ich rozrywki. Belilala pożeglowała w bok, by z kimś porozmawiać, i Phillips wślizgnął się do wody, rad, że kryje jego nagość. Woda była głęboka, ciepła, przyjemna. Szybkimi mocnymi ruchami ramion przepłynął na drugi brzeg.

Obywatel, elegancko upozowany na krawędzi basenu, obdarzył go uśmiechem.

–Ach, przybyłeś w końcu, Charles! – Char-less. Dwie sylaby. Ktoś z paczki Gioi: Stengard, Hawk? Nie mógł sobie przypomnieć. Byli tak podobni.

Bez przekonania, nieobowiązująco, odwzajemnił uśmiech. Szukał czegoś, co mógłby powiedzieć, i w końcu spytał: – Jak długo już jesteś?

–Wiele tygodni. Może miesięcy. Jakże wspaniałym osiągnięciem jest to miasto,



co, Charles? Taka absolutna jedność nastroju... tak totalna artykulacja wyjątkowo prostolinijnej estetyki...

–Tak. Prostolinijnej to właściwe słowo – odparł Phillips poważnie.

–Termin Gioi, w istocie. Jej zdanie. Tylko cytowałem.

G i o i a. Poczul ukłucie.

–Rozmawiałeś ostatnio z Gioią?

–Właściwie nie. To Hekna ją spotkała. Pamiętasz Heknę, prawda? – Wskazał w stronę dwóch nagich kobiet, które stojąc na otaczającej basen ceglanej platformie gwarzyły i delikatnie skubały kawałki mięsa. Mogły uchodzić za bliźniaczki. – Tam jest Hekna, z twoją Belilalą. – Hekna, tak. Więc to musi być Hawk, pomyślał Phillips, o ile ostatnio nie doszło wśród par do jakiejś rozszady.

–Jakaż jest słodka ta twoja Belilala – powiedział Hawk. Gioia postąpiła bardzo mądrze wybierając ją dla ciebie.

Następne ukłucie. Głębsze.

–Czy tak się to odbyło? – zapytał. – Gioia wybrała dla mnie Belilalę?

–No, oczywiście – Hawk wydawał się zaskoczony. Rzecz, najwyraźniej, nie wymagała komentarzy. – A co sobie myślałeś? Że Gioia po prostu odejdzie i zostawi cię samemu sobie?

–Raczej nie. Nie Gioia.

–Jest bardzo czuła, bardzo łagodna, prawda?

–Masz na myśli Belilalę? Tak, bardzo – powiedział Phillips ostrożnie. – Kochana, cudowna kobieta. Ale mam, oczywiście nadzieję, jak najszybciej znów zejść się z Gioią. Mówią, że jest w Mohendžo-daro niemal od otwarcia?

–Była tu, tak.

–Była?

–Och, znasz Gioię – powiedział Hawk lekko. – Naturalnie już się stąd zabrała.

Phillips pochylił się do przodu. – Naturalnie – rzekł. Głos miał ochryply z napięcia. – A dokąd tym razem?

–Do Timbaktu, myślę. Albo do Nowego Chicago. Zapomniałem. Mówiła, że ma nadzieję być w Timbaktu podczas uroczystości zamknięcia. Ale potem jakieś nagłe powody wezwały Fenimona do Nowego Chicago. Nie pamiętam, co postanowili Hawk ze smutkiem machnął ręką. – Tak czy owak, szkoda, że opuściła Mohendžo-daro przed przybyciem nowego gościa. W końcu czas spędzony z tobą był dla niej tak owocny, że i tamten, mam zupełną pewność, mógłby jej dać niejedno.

Nieznane określenie uruchomiło w głębi świadomości Phillipsa dzwonek alarmowy.

–Gość? – zapytał wyciągając głowę w stronę Hawka. – Jakiego gościa masz na myśli?

–Nie spotkałeś go jeszcze? Och, oczywiście, dopiero przyjechałeś.

Phillips zwilżył wargi. – Chyba jednak go widziałem. Długie rude włosy? Taką brodą?

–Ten sam! Willoughby, tak się nazywa. Jest... czym?... Wikingiem, piratem albo kimś w tym rodzaju. Zdumiewająca witalność i siła. Postać godna uwagi. Myślę, że

powinniśmy mieć dużo więcej gości. Wszyscy się zgadzają, że są znacznie doskonalsi od tymczasowych. Rozmowa z tymczasowym jest w pewnym sensie mówieniem do siebie, nie sądzisz? Nie jest; w sposób znaczący, instruktywna. Ale gość – ktoś taki, jak ów Willoughby... albo jak ty, Charles – gość może okazać się prawdziwie pouczający, gość może przewartościować nasz ogląd rzeczywistości...

–Wybacz – powiedział Phillips, który poczuł pulsowanie w skroniach. – Czy nie moglibyśmy wrócić do tej rozmowy później, co? – Wsparł dłonie na rozgrzanych ceglach platformy i szybko wydzwignął się z basenu. – Przy kolacji może... albo potem... dobrze? W porządku?

Prawie biegiem ruszył ku pasażowi wiodącemu do prywatnych łaźni.

Gdy wkraczał do osłoniętej dachem części budowli, poczuł, że zaschło mu w gardle i zaczęło brakować powietrza. Szybko minął sień i zajrzał do małej komory kąpielowej. Brodaty mężczyzna wciąż tam był, siedząc po pierś w wodzie i każdym ramieniem obejmując jedną kobietę. W półmroku jego oczy gorzały intensywnie. Uśmiechał się z ogromnym samozadowoleniem, zdawał się kipieć żywiołowością, pewnością siebie, werwą.

Niech będzie tym, za kogo go uważam, modlił się Phillips. Zbyt długo byłem samotny wśród tych ludzi.

–Mogę wejść? – spytał.

–A tak, bracie! – grzmiąco ryknął mężczyzna w wannie. Wchodźże, na miły Bóg, i swoją dziewczkę też przywiedź! Miejsca, wiem, starczy w tej bani dla sporszej niż nasza kompanii!

Ów stentorowy okrzyk obudził w duszy Phillipsa potężny przyływ radości. Cóż za

wspaniały awanturniczy głos! Jak bogaty, zmysłowy, jak całkowicie nieobywatelski!

I ten osobliwie archaiczny sposób mówienia! „Na miły Bóg, wiera”! Cóż to za język? – Jakież inny, jeśli nie stary, dźwięczny elżbietański? Miał w sobie coś z potoczności Szekspira. A wymowa – czyżby irlandzka? Nie, niezupełnie, była angielska, ale taka, jakiej Phillips nigdy nie słyszał.

Obywatele nie mówią w ten sposób, ale „gość” może...

Więc była to prawda. Na duszę Phillipsa spłynęło poczucie ulgi. Nie samotny więc! Inny relikwini minionych epok... inny wędrowiec... towarzysz w chaosie, brat w nieszczęściu... kompan w podróży ciśnięty przez burzę czasu nawet dalej niż on.

Brodaty mężczyzna uśmiechał się serdecznie, zapraszając Phillipsa ruchem głowy: – Ano, dołącz do nas, dołącz, człecze! Dobrze to jest ujrzeć znowu angielskie oblicze pośród wszystkich tych Maurów i portugalskich hultajów! Cóżżeś atoli uczynił ze swoją panną? Dziewek nigdy nadto, jak mniemasz?

Jego moc i wigor były niezwykle: prawie do przesady. Ryczał, grzmiał, huczał. Był tak bardzo tym, kim być powinien, że sprawiał raczej wrażenie postaci ze starego filmu o piratach niż kogokolwiek innego. Tak zawadiacki, tak prawdziwy, że aż nierzeczywisty. Przerysowany sceniczny Anglik z czasów Elżbiety, hałaśliwy młody Falstaff bez brzucha.

–Kim jesteś? – spytał ochryple Phillips.

–Ha, jam jest Neda Willoughby’ego syn Francis, z Plymouth. Ostatnio w służbie Jej Wielce Protestantckiej Wysokości, atoli podle uprowadzony przez siły nieczyste, ciśnięty zostałem między onych czarnogębych Hindusów czy jak im tam. A tyś kto?

–Charles Phillips – i po chwili wahania – z Nowego Jorku. – Nowy Jork? Cóż to za miejsce? Wiera, człecze, takiego nie znam.

–Miasto w Ameryce.

–Miasto w Ameryce, zaiste! A cóż to za krotofila?! W Ameryce, powiadasz, a nie na księżycu lub, jakowymś przypadkiem, pod morzem? – Zwrócił się do kobiet: – Słyszycież go? Jest z miasta w Ameryce! Z obliczem prawego Anglika, atoli nie obyczajem takowego ani też z mową! Miasto w Ameryce! M i a s t o. Na krew Pana naszego, co jeszcze posłyszę?

Phillips zadrżał. Począł ogarniać go lęk. Ten człowiek, być może, przemierzał ulice Londynu Szekspira. Stukał się kuflami z Marlowe’em, Essexem, Walterem Raleighem, oglądał błędzące po Kanale okręty Wielkiej Armady. Umysł Phillipsa ogarniał to z największym wysiłkiem. Dziwaczny sen, którego stał się bohaterem, potęgował teraz swoją niezwykłość. Odczuwał otępienie jak wyczerpany walką z przybojem pływak. Gorąca, duszna atmosfera łaźni przyprawiała go o zawroty głowy. Zniknęły ostatnie wątpliwości. Nie był jedynym prymitywem – jedynym g o ś c i e m – wędrującym swobodnie po tym pięćdziesiątym stuleciu. Przeprowadzano również inne eksperymenty. Wparł dłonie w ramę drzwi, by odzyskać równowagę, i zapytał: – Mówiąc o Jej Wielce Protestantckiej Wysokości masz na myśli Elżbietę Pierwszą, czyż nie tak?

–Elżbietę, zaiste! A że pierwszą, to i prawda, atoli po cóż takie przydawać jej miano? Jest tylko jedna, Pierwsza, jak tuszę, i Ostatnia, zaczem chroń ją Boże, bo innej nie ma.

Phillips obserwował go ostrożnie. Wiedział, że musi działać delikatnie. Jeden fałszywy krok na tym etapie i straci wszelkie szanse na to, że Willoughby potraktuje go poważnie. Ileż w końcu metafizycznego zamętu może wchłonać ten człowiek? Cóż on wie – cóż wie ktokolwiek z jego epoki – o przeszłości, terażniejszości, przyszłości i możliwościach przenoszenia się z jednej do drugiej równie łatwo, jak z Surrey do Kentu? To była idea dwudziestowieczna, z końca dziewiętnastego wieku w najlepszym razie, fantastyczna spekulacja, której nikt prawdopodobnie nie brał nawet pod rozwagę, póki Wells nie wysłał swego podróżnika w czasie, by kazać mu patrzeć na poczerwieniałe słońce zmierzchu ziemi. Świat Willoughby’ego był światem protestantów i katolików, królów i królowych, maleńkich żaglowych statków, rapierów u boku, wozów zaprzężonych w woły na traktach; lecz świat ten zdał się Phillipsowi odleglejszy i bardziej obcy od świata obywateli i tymczasowych. Ryzyko, że Willoughby nawet nie zacznie go rozumieć, było wielkie.

Ale ten człowiek i on byli naturalnymi sprzymierzeńcami przeciwko światu, który nie należał do nich. Phillips postanowił podjąć ryzyko.

–Elżbieta I jest królową, której służysz – powiedział. – W swoim czasie będzie w Anglii inna władczyni jej imienia. W istocie już była.

Willoughby potrząsnął głową jak lew w rozterce. – Inna Elżbieta, powiadasz?

–Druga i wcale nie podobna do pierwszej. Wiele lat po twojej Królowej-Dziewicy. Będzie władać w czasach, o których myślisz jako o tych, co dopiero nadejdą. Wiem to ponad wszelką wątpliwość.

Anglik wbił weń wzrok i zmarszczył czoło.

–Widzisz przyszłość? Tedyś jest wróżbita? A może nekromanta? Jeden z owych demonów, co mię tu przyniosły?

–Wcale nie – odparł Phillips łagodnie. – Tylko zagubiona dusza, jak ty.

Wszedł do małej salki i kucnął obok zbiornika. Dwie obywatelki wpatrywały się weń z uprzejmą fascynacją. Zignorował je i spytał Willoughby'ego: – Czy wiesz w ogóle, gdzie jesteś?

Anglik przypuszczał, zupełnie trafnie, że jest w Indiach.

–Widzi mi się, że owi mali Maurowie są z hinduskiego rodzaju.

Dalej jego zrozumienie losu, jaki go spotkał, nie sięgało. Nie docierał doń fakt, że nie żyje już w szesnastym stuleciu. I, oczywiście, nawet nie podejrzewał, że to osobliwe posępne ceglane miasto, w którym się znalazł, jest przybyszem z epoki odleglejszej nawet w czasie niż jego własna. Czy istnieje, zastanawiał się Phillips, jakiś sposób wyjaśnienia mu tych rzeczy?

Był w Mohendźo dopiero trzy dni. Sądził, że to diabeł go tu przyniósł.

–Przyszli po mnie, kiedym spał – oświadczył – i pojмали mnie, owi sługusi Mefistofela

Szatana, lubo Bóg jeden wie czemu, i w jednej chwili przenieśli w tę skwarną dziedzinę z Anglii, gdzie zażywał wywczasu wśród rodziny i druhów. Jako że był między jedną wyprawą a drugą, pojmujesz, oczekując Drake'a i jego okrętu – znaszże Drake'a, sławnego Francisa? Na krew Pana naszego, to ci jest żeglarz! Mieliśmy ruszać na powrót w Ocean, on i ja, ale otom jest tu, w tym innym miejscu... – Willoughby przysunął głowę do Phillipsa i rzekł: – Pytam cię, wróżbito, jak to być może, iż człek do snu idzie w Plymouth, a budzi się w Indiach? Wielce to osobliwe, czyż nie?

–Ano tak – odparł Phillips.

–Ale ów, który w tan poproszon, tańcować winien, choćby jeno podskoki miał czynić, co? Tak ja tuszę – ukazał gestem dwie obywatelki. – Tedy, by zaś pociechę znaleźć w tej pogańskiej krainie, zabaw ją szukać wśród owych małych portugalskich niewiast.

–Portugalskich? – zdziwił się Phillips.

–Ba, a kimże innym być mogą, jeśli nie Portugalkami, co? Zali nie Portugalczycy władają tym wybrzeżem Indii? Pomyśl, dwa są tu rodzaje ludzi – czarni i ci drudzy, jasnoskórzy, panowie i władcy, co polegają w onych łaźniach. Jeśli to nie Hindusi, którymi, jak tuszę, nie są, tedy Portugalczykami być muszą.

Wybuchł śmiechem i przyciągnąwszy do siebie kobiety począł międlić dłońmi ich piersi, jakby były owocami na gałęzi.

–Czyż nie tym właśnie jesteście, wy małe, nagie, bezwstydne papistki? Parą Portugalek, co?

Zachichotały, ale nic nie odparły.

–Nie – powiedział Phillips. – To Indie, ale nie te, które, jak sądzisz, są ci znane. A ci ludzie to nie Portugalczycy.

–Nie Portugalczycy? – spytał zbity z tropu Willoughby. – Nie bardziej niż ty czy ja. Jestem tego zupełnie pewien. Willoughby pogładził swą brodę. – Przyznaję, że znalazłem ich dziwnymi jak na Portugalczyków. Anim jednej sylaby portugalskiej mowy nie słyszał z ich ust, goli latają w tych łaźniach jak Adam i Ewa, płazem mi puścili, że ich niewiasty zabrał, co w rodzinnych stronach obyczajem Portugalczyków nie jest. Bóg jeden wie. Ale sobie pomyślałem, że to Indie i że wolą tu żyć, na inną modłę...

–Nie – powtórzył Phillips. – Powiadam ci, że nie są to ani Portugalczycy, ani żaden inny znany ci naród Europy.

–Rzeknij mi tedy, kim są?

Rób to delikatnie, ostrzegł się Phillips. Delikatnie.

–Nie będziemy w wielkim błędzie – powiedział – myśląc o nich jako o rodzaju duchów, a nawet demonów lub czarnoksiężników, którzy z pomocą magii wyrwali nas z właściwych nam miejsc w świecie – przerwał, szukając sposobu, jakim mógłby podzielić się z Willoughbym (i który Willoughby zdołałby pojąć) tą spowijającą ich tajemnicą. Głęboko zaczerpnął powietrza. Przenieśli nas nie tylko przez morza, ale także przez lata. Zostaliśmy

obaj, ty i ja, porwani daleko w dni, które mają przyjść.

Willoughby obdarzył go spojrzeniem pełnym całkowitego oszołomienia. – Dni, które mają przyjść? Czas, powiadasz, jeszcze nie zrodzony? Pojąć nic z tego nie mogę.

–Spróbuj zrozumieć. Obaj jesteśmy rozbitkami w tej samej łódce, człowieku! Ale nie będziemy mogli pomóc sobie w żaden sposób, jeśli nie zdołam ci wytłumaczyć...

Potrząsając głową Willoughby wymamrotał: – Zaiste, cny przyjacielu, twe słowa mam za najzwyczajniejsze szaleństwo. Dziś to dziś, a jutro to jutro, i jakże człek może przejść z jednego w drugie, nim jutro przemieni się w dzisiaj?

–Nie mam pojęcia – odparł Phillips. Rozterka odbijała się na twarzy Willoughby'ego, ale oczywisty był fakt, że Anglik ogarnia ledwie w najbardziej mglistym stopniu to, do czego zmierza Phillips, jeśli w ogóle ogarnia. – Ale wiem – ciągnął – że twój świat i wszystko, co na nim było, umarło i odeszło i że taki sam los spotkał mój świat, choć urodziłem się czterysta lat po tobie, w czasach drugiej Elżbiety.

Willoughby parsknął wzgardliwie: – Czterysta...

–Musisz mi uwierzyć!

–O, nie! Nie!

–To jest prawda. Dla mnie twój czas jest tylko historią. A i twój, i mój jest historią dla nich – starożytną historią. Nazywają nas gośćmi, ale w istocie jesteśmy jeńcami – Phillips poczuł, że intensywność wysiłku przyprawia go o dreszcze. Był świadom, jak obłądnie musi brzmieć to wszystko w uszach Willoughby'ego. Zaczynało brzmieć obłądnie nawet w jego uszach. – Skradli nas naszym czasem – porwali jak Cyganie

nocą...

–Wstyd, człecze! Bredzisz w gorączce!

Phillips pokręcił głową. Wyciągnął dłoń i mocno ścisnął nadgarstek

Willoughby'ego. – Błagam, posłuchaj! – Obywatelki patrzyły uważnie, szeptały do siebie zakrywając usta dłońmi i śmiały się. – Spytaj je! – wrzasnął Phillips. – Zmusz, żeby ci powiedziały, które jest stulecie! Szesnaste, myślisz? Spytaj!

–A które może być, jeśli nie szesnaste po Panu Naszym, Chrystusie?

–Powiedzą ci, że jest pięćdziesiąte!

Willoughby popatrzył nań z politowaniem. – Człowiecze, człowiecze, jakżeś żałosny! Pięćdziesiąte, zaiste! – roześmiał się. – Słysz teraz, bracie. Tylko jedna jest Elżbieta, bezpieczna na tronie swym w Westminsterze. To są Indie, a rok – Anno 1591. Skradnijmy Portugalczykowi owym statek i ruszajmy do Anglii; stamtąd, jak Bóg zdarzy, i do swej Ameryki może się dostaniesz.

–Nie ma żadnej Anglii.

–Ach, jak możesz coś takiego gadać, nie będąc szaleńcem?

–Miasta i narody, które znaliśmy, nie istnieją. Ci ludzie, Francis, żyją jak czarnoksiężnicy. – Nie ma już sensu czegokolwiek ukrywać, tępo pomyślał Phillips. Wiedział, że przegrał. Wyczarowują miasta dawnych czasów, budują je to tu, to tam, by

zaspokoić swe zachcianki, a kiedy się nimi znudzą, burzą je i zaczynają od nowa. Nie ma Anglii. Europa jest pusta, nijaka, żadna. Wiesz, jakie są tu miasta? Tylko pięć na całym świecie! Jest egipska Aleksandria. Timbuktu w Afryce. Nowe Chicago w Ameryce. Jest wielkie miasto w Chinach albo w Kitaju, jak – myślę – ty byś powiedział. I jest to właśnie miasto, które zwie się Mohendzo-daro i które jest o wiele bardziej starożytne niż Grecja, niż Rzym, niż Babilon.

Willoughby powiedział spokojnie: – Nie. To zwykłe banialuki. Powiadasz, żeśmy w dalekim jutrze, a potem, że w jakimś mieście z dawniejszych czasów.

–Tylko wyczarowanym – odrzekł zrozpaczony Phillips. W wizerunku takiego miasta, który ci ludzie stworzyli dla własnej zabawy. I my dlatego tu jesteśmy, i ty, i ja: żeby ich zabawiać. Tylko zabawiać.

–Zupełnie szalony.

–Chodź więc ze mną. Pomów z obywatelami nad wielkim basenem. Spytaj ich, jaki mamy rok, spytaj, jak się tu znalazłeś. – Raz jeszcze Phillips schwycił rękę Willoughby'ego. – Powinniśmy się sprzymierzyć. Jeśli będziemy współdziałać, może wynajdziemy jakiś sposób wyrwania się z tego miejsca i...

–Poniechaj mnie, bracie.

–Może...

–Poniechaj! – ryknął Willoughby i wyrwał dłoń. Jego oczy pociemniały z wściekłości. Podniósłszy się w zbiorniku powiódł dzikim wzrokiem dokoła w poszukiwaniu jakiejś broni. Obywatelki odsunęły się odeń, choć jednocześnie wydawały się zafascynowane jego nieopanowanym wybuchem. – Do czubków z tobą! Poniechaj mnie, szaleńcze, poniechaj!

Godzinami przemierzał samotny, przygnębiony Phillips niebrukowane, pełne

kurzu ulice Mohendžo-daro. Niepowodzenie z „Willoughbym uczyniło go posępnym i niepokieszonym: miał nadzieję stanąć z Anglikiem ramię w ramię przeciwko obywatelom, ale przekonał się, że nic z tego nie wyjdzie. Spaprał robotę albo, co bardziej prawdopodobne, ukazanie Willoughby’emu prawdy o ich niełatwym położeniu było rzeczą od początku niemożliwą.

W duszącym upale wędrował na chybił trafił rojnymi ulicami wśród rzędów płaskodachych domów i jednostajnych gładkich ścian, aż wyszedł na obszerny plac targowy. Opętańczo wirowało wokół niego życie miasta, a raczej pseudo-życie, skomplikowana sieć poczynań setek tymczasowych, którzy nie byli niczym innym, jak tylko nakręcanymi lalkami puszczone w ruch dla stworzenia iluzji, że w przedwedyjskich Indiach wciąż się coś dzieje. Tu przekupnie sprzedawali piękne maleńkie kamee z rzeźbionego kamienia przedstawiające tygrysy, małpy i dziwne garbate bydło, a kobiety wrzaskliwie targowały z rękodzielnikami ozdoby z kości słoniowej, złota, miedzi i brązu. Niewiasty o znudzonym wyglądzie siedziały w kucki nad olbrzymimi stertami świeżo wypalanej ceramiki, różowoczerwonej w czarne wzory. Nikt nań nie zwracał uwagi. Był obcym – ani obywatelem, ani tymczasowym. To oni

tu przynależeli.

Szedł dalej, mijając olbrzymie spichlerze, gdzie na wielkie koliste platformy z cegły robotnicy niestrudzenie rozładowywali wozy pszenicy i innego wymłóconego ziarna. Potem trafił do jadłodajni publicznej zatłoczonej milczącymi niewesołymi ludźmi stojącymi ramię w ramię przy małych ceglanych ladach; tam dostał płaski okrągły placek, rodzaj tortilli albo chapani z kawałeczkami mielonego mięsa w środku, tak pieprzonego, że paliło jego wargi jak ogień. Potem ruszył dalej, w dół szerokich niskich schodów z desek, ku niższej części miasta, gdzie w przypominających cele i izbach żyło ubite jak w ulu chłopstwo.

Było to miasto przygnębiające, lecz nie plugawe. Zdumiewała go troska o higienę: studnie, fontanny i toalety publiczne były wszędzie, a z każdego domu biegły do zakrytych szamb ceglane dreny. Nie było tu nic z owych odkrytych ścieków i zapowietrzonych rynsztoków, które, jak wiedział, można wciąż zobaczyć w Indiach jego własnego czasu. Zastanawiał się, czy starożytne Mohendžo-daro istotnie było tak wymyślne. Być może obywatele dokonali w mieście korekt, by uczynić zadość swym ideałom czystości. Nie, uznał: to, co widzi, jest najprawdopodobniej autentyczne, będąc funkcją tej samej obsesyjnej dyscypliny, która nadała miastu tak sztywną formę. Gdyby Mohendžo-daro było zarobaczywioną plugawą dziurą, obywatele odtworzyliby je w tej samej prawdopodobnie postaci i byłiby zachwyceni jego fascynującym smrodliwym brudem.

Co nie znaczy, że kiedykolwiek dostrzegł u obywateli przesadną troskę o autentyczność i Mohendžo-dero, jak wszystkie inne wskrzeszone miasta, pełne było zwykłych, rzuconych mimochodem anachronizmów. Tu i ówdzie na murach budowli, które miał za świątynie, dostrzegł Phillips wizerunki Sziwy i Kriszny, a na placach widać było dobrotliwe oblicze bogini-matki Kali. Bóstwa te, rzecz jasna, zrodziły się w Indiach wiele lat po upadku cywilizacji Mohendžo-daro. Czy kwestie chronologiczne

były obywatelom obojętne? Czy może znajdowali przewrotną uciechę w mieszaniu epok – meczet i kościół w greckiej Aleksandrii i hinduscy bogowie w prehistorycznym Mohendžo-daro? Być może tysiąclecia poplątały materię ich historycznych źródeł. Wcale by się nie zdziwił, widząc na ulicach procesję niosącą sztandary z portretami Gandhiego i Nehru.

I znów hasały tu na swobodzie fantasmagorie i chimery, jak gdyby obywatele nie kłopotali się rozgraniczaniem historii od mitu: małe Ganesze o głowach słoni radośnie nurzały trąby w zbiornikach fontann, trzygłowa niewiasta o sześciu ramionach opalała się na tarasie z cegły. Czemu nie? Z pewnością tak właśnie brzmiało motto tych ludzi: „Czemu nie, czemu nie, czemu nie?” Mogli postępować, jak chcieli, i czynili to. A przecież dawno powiedziała mu Gioia: „Ograniczenia są bardzo ważne”. W czym, dumiał Phillips, prócz liczby miast jeszcze się ograniczają? Czy może istnieje norma „gości”, jakich pozwalają sobie porwać z dawnych czasów? Aż do dziś myślał, że jest jedynym; teraz wiedział, że jest przynajmniej jeszcze jeden, może nawet kilku, w innych miejscach, krok przed nim lub za nim, uczestnicząc wspólnie z obywatelami w nieustającym objeździe – z Nowego Chicago do

Czang-an, do Aleksandrii. Powinniśmy połączyć siły, myślał, i zmusić ich, by wysłali nas z powrotem do właściwych epok. Z m u s i ć! Jak? Wystąpić może ze zbiorowym pozwem cywilnym? Demonstrować na ulicach? Rozmyślał ze smutkiem o swej zakończonej niepowodzeniem próbie sprzymierzenia się z Willoughbym. Jesteśmy naturalnymi sojusznikami; razem zdołalibyśmy może wycisnąć z tych ludzi jakieś współczucie. Ale dla Willoughby'ego jest dosłownie nie do pomyślenia, że Dobra Królowa Elżbietka ze wszystkimi swoimi poddanymi tkwi teraz za barierą o grubości wielu stuleci. Woli myśleć, że Anglia jest tylko o parę miesięcy żeglugi wokół Przylądka Dobrej Nadziei i że wszystko, co musi uczynić, to zdobyć statek i postawiwszy żagle ruszyć do domu. Biedny Willoughby, prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy domu.

I ta oto myśl przyszła Phillipsowi do głowy niespodziewanie: Ani ty nie zobaczysz. A potem, chwilę później:

Czy mogąc wrócić do domu, chciałbyś tego naprawdę?

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie uświadomił sobie, gdy się tu znalazł, był fakt, że o swym dawniejszym życiu nie wie prawie nic istotnego. Jego umysł był nieźle obeznany ze szczegółami życia w dwudziestowiecznym Nowym Jorku, prawda; ale o sobie niewiele potrafiłby powiedzieć ponad to, że nazywa się Charles Phillips i że przybył z roku 1984. Zawód? Wiek? Imiona rodziców? Czy miał żonę? Dzieci? Kota, psa, hobby? Żadnych danych: nic. Obywatele obdarli go zapewne z tych rzeczy w chwili porwania, by mu oszczędzić bólu rozłąki. Mogli być zdolni do wrażliwości tego rodzaju. Czy mógł uczciwie powiedzieć, że tęskni za tym, o czym wie tak mało? Willoughby zdawał się ze swego uprzedniego życia pamiętać o wiele więcej i tym mocniej za nim tęsknił. Jemu zostało to oszczędzone. Dlaczego więc tu nie zostać i wędrując od miasta do miasta nie przyglądać się czasom minionym w miarę powoływania ich do powtórnego istnienia? Czemu nie? Czemu nie? Wiele wskazywało na to, że tak czy owak nie ma żadnego wyboru.



Ruszył z powrotem ku cytadeli i łaźniom. Czuł się jak duch straszący w mieście duchów.

Belilala sprawiała wrażenie nieświadomej, że był nieobecny przez większą część dnia. Siedziała sama na tarasie kąpieliska, pogodnie sącząc mleczny napój posypany jakąś czarną przyprawą. Pokręcił głową, gdy mu go zaproponowała.

–Pamiętasz, jak wspominałem dziś rano, że widziałem rudego brodatego mężczyznę? – rzekł. – Jest gościem. Hawk mi to powiedział.

–Czyżby? – zapytała Belilala.

–Z czasów jakieś czterysta lat dawniejszych niż moje. Rozmawiałem z nim. Sądzi, że został tu przeniesiony przez demony – Phillips popatrzył na nią badawczo.

–Ja też jestem gościem, czyż nie tak?

–Oczywiście, kochany.

–A jak zostałem tu przeniesiony? Też robota demonów?

Belilala uśmiechnęła się obojętnie.

–Musisz spytać kogoś innego. Może Hawka. Nie wgłębiałam się specjalnie w te sprawy.

–Rozumiem. Wiesz może, czy jest wielu gości?

Leniwie wzruszyła ramionami.

–Niewielu, naprawdę niewielu. Słyszałam tylko o trzech albo czterech poza tobą.

Choć, sądzę, teraz mogą być następni. – Lekko wsparła dłoń na jego rękę. Czy dobrze się bawisz w Mohendzo-daro, Charles?

Udał, że nie słyszy.

–Pytałem Hawka o Gioię – powiedział.

–Ach, tak?

–Mówił, że już jej nie ma, że pojechała do Timbaktu albo Nowego Chicago, nie był pewien.

–To bardzo prawdopodobne. Jak wszystkim wiadomo, Gioia rzadko pozostaje dłużej w jednym miejscu.

Phillips przytaknął. – Powiedziałaś kiedyś, że Gioia to krótkoczasowiec. To znaczy, że zestarzeje się i umrze, czy tak?

–Sądziłam, że to dla ciebie zrozumiałe, Charles.

–Podczas gdy wy nie starzejecie się? Ani Hawk, ani Stengard, ani nikt inny z waszej paczki?

–Będziemy żyć tak długo, jak tylko zapagniemy – odparła. – Ale nie starzejąc się, nie.

–Dlaczego ktoś staje się krótkoczasowcem?

–Jest się nim od urodzenia, myślę. Brak lub nadwyżka jakiegoś genu – naprawdę nie wiem. To skrajnie rzadkie przypadki. Nic nie można uczynić, by im pomóc.

Starzenie... jest bardzo powolne. Ale nie można go zatrzymać.

Phillips skinął głową. – To chyba okropnie przykre – powiedział – okazać się jednym z kilku zaledwie starzejących się ludzi w świecie wiecznie młodych. Nic dziwnego, że Gioia jest tak niecierpliwa. Nic dziwnego, że pędzi z jednego miejsca w inne. Nic dziwnego, że przylgnęła tak szybko do włochatego barbarzyńskiego gościa

z dwudziestego wieku, który pochodzi z czasów, kiedy w s z y s c y byli krótkoczasowcami. Ona i ja mamy ze sobą coś wspólnego, zgadzasz się z tym?

–W pewnym sensie tak.

–Rozumiemy starzenie się. Rozumiemy śmierć. Powiedz, Belilalo, czy jest prawdopodobne, że Gioia wkrótce umrze?

–Wkrótce? Wkrótce? – patrzyła nań dziecięco rozszerzonymi oczami. – Co to znaczy „wkrótce”? Jak mogę powiedzieć? „Wkrótce”, o którym ty myślisz, Charles, i „wkrótce”, o którym ja myślę, nie są tymi samymi pojęciami. – Potem jej zachowanie zmieniło się, jakby po raz pierwszy usłyszała, co do niej mówi. Powiedziała miękko: – Nie, nie, Charles, nie sądzę, że umrze wkrótce.

–Czy w Czang-an opuściła mnie dlatego, że była mną znudzona?

Belilala pokręciła głową. – Była po prostu niecierpliwa. Z tobą nie miało to nic wspólnego. Wcale jej nie nudziłeś.

–Więc chcę ją znaleźć. Gdziekolwiek jest, w Timbuktu, w Nowym Chicago, znajdę ją. Gioia i ja należymy do siebie.

–Może tak jest – rzekła Belilala. – Tak, tak, myślę, że tak naprawdę jest. – Nie sprawiała wcale wrażenia poruszonej, urażonej, odepchniętej. – Za wszelką cenę, Charles. Ruszaj do niej, szukaj, znajdź ją. Gdziekolwiek jest.

Zaczynali już rozbierać Timbuktu, kiedy Phillips tam dotarł. Gdy wciąż był jeszcze wysoko, w śmigaczu unoszącym się nad pylistą brązową równiną, gdzie rzeka Niger dotyka piasków Sahary, i spojrział w dół na płaskodache, wzniesione z suszonego błota budynki wielkiej pustynnej stolicy, uczuł gorący przypływ podniecenia. Ale kiedy wylądował, znalazł wszechobecny rój połyskliwych robotów w metalowych pancerzach, które rozbiegane na kształt hordy wielkich błyszczących owadów rozrywały miasto na strzępy.

Do tej chwili nic o robotach nie wiedział. Więc to tak, uświadomił sobie, realizowano wszystkie te cuda: armia posłusznych maszyn. Wyobraził sobie, jak zawsze, gdy potrzeba ich usług, wypełzają spod ziemi, z jakiegoś sterylne magazynu, by starannie, do najdrobniejszego szczegółu, modelować Wenecję, Teby, Knossos, Houston czy jakiegokolwiek inne pożądane miasto, a potem, nieco później, wracają, by zniweczyć wszystko, co zrobiły. Obserwował je teraz, jak pracowicie zwalają mury z suszonej w słońcu cegły, niszczą ciężkie, nabijane metalem wrota, zrównują z ziemią zadziwiający labirynt alej i pasaży, niwelują targowisko. Podczas jego ostatniej wizyty w Timbuktu targ roił się od hord Tuaregów w zawojach, buńczucznych Maurów, czarnych Sudańczyków, przebiegłolich kupców syryjskich targujących pracowicie wielbłądy, konie, osły, bryły soli, wielkie zielone melony, srebrne bransolety, wspaniałe Korany na welinie. Wszyscy zniknęli, cały ów malowniczy tłum ciemnoskórych tymczasowych. I nie było też widać obywateli. Kurz rozbiórki przepelniał powietrze. Jem z robotów zbliżył się do Phillipsa i powiedział suchym, trzeszczącym owadzi głosem: – Nie powinieneś tu być. Miasto zamknięte.

Patrzył na błyskające, brzęczące obiektywy i czujniki na lśniąącym, zwężającym się ryju mechanizmu.

–Próbuję kogoś znaleźć, obywatelkę, która mogła tu być ostatnio. Nazywa się...

–Miasto zamknięte – niewzruszenie powtórzył robot. Nie pozwolił mu zostać nawet godzinę.

–Nie ma żywności – rzekł robot – wody, schronienia. To już nie jest miasto. Nie możesz zostać. Nie możesz zostać.

To już nie jest miasto.

Może więc zdoła ją odnaleźć w Nowym Chicago. Wzniósł się znów w powietrze, szybując ku północnemu zachodowi nad ogromną pustką. Ziemia pod nim, naga, jałowa,

umykała łukiem ku zamglonemu horyzontowi. Co uczynili z pozostałościami minionego świata? Czy rozpuścili swe połyskliwe metalowe żuki, by wszystko uprzątnęły? Czyż nie ma nigdzie ruin autentycznie starożytnych? Kawalka Rzymu, strzępu Jerozolimy, kikuta Piątej Alei? Wszystko w dole było tak nagie: pusta scena czekająca na nowe dekoracje. Przeleciał wielkim łukiem nad sterczącym garbem Afryki i pomknął dalej, nad czymś, co uważał za południową Europę; maleńki wehikuł brał na siebie całą pracę, pozwalając Phillipsowi czynić to, na co miał ochotę – drzemać, wyglądać. Od czasu do czasu widział w oddali inny przelatujący śmigacz, ciemną skrzydlatą łzę wyraźną na tle ostrej jasności nieba. Miewał wówczas ochotę nawiązać z nim kontakt radiowy, ale nie wiedział, jak się do tego zabrać. Nie w tym rzecz, iż chciał cokolwiek powiedzieć; pragnął tylko usłyszeć ludzki głos. Był całkowicie osamotniony. Mógł być z powodzeniem ostatnim żywym mieszkańcem Ziemi. Zamknął oczy i rozmyślał o Gioi.

–W ten sposób? – spytał Phillips. W wyłożonym kością słoniową owalnym pokoju, sześćdziesiąt pięter nad łagodnie rozjarzonymi ulicami Nowego Chicago, przytknął do swej górnej wargi niewielki chłodny pojemnik z plastyku i przycisnął występ w jego podstawie. Usłyszał pienisty szum, a potem ku jego nozdrzom uniósł się błękitny opar.

–Tak – powiedziała Cantilena. – Właśnie tak.

Poczuł lekki aromat goździków, cynamonu i czegoś, co mogłoby niemal ująć za gotowanego homara. Potem ogarnęły go spazmatyczne zawroty głowy i lawina wizji przetoczyła się przez jego umysł: katedry gotyckie, piramidy, Central Park pod świeżo spadłym śniegiem, odrażające ceglane mrowisko Mohendzo-daro i pięćdziesiąt tysięcy innych miejsc jednocześnie, szaleńcza przejażdżka przez czas i przestrzeń. Zdawało się, że minęły stulecia. Ale w końcu jego umysł odzyskał jasność i gdy mrugając oczami Phillips rozejrzał się dokoła, pojął, że wszystko to trwało tylko chwilę. Cantilena wciąż stała u jego boku. Inni znajdujący się w pokoju obywatele – piętnastu, dwudziestu – prawie się nie poruszyli. Stojący pod przeciwną ścianą osobliwy maleńki mężczyzna o seledynowej skórze wciąż wpatrywał się w niego.

–Cóż? – spytała Cantilena. – No i co myślisz?

–Niewiarygodne.

–I bardzo prawdziwe. To autentyczny narkotyk z Nowego Chicago. Wedle dokładnej recepty. Masz ochotę na inny?

–Nie teraz – odparł zakłopotany Phillips. Zachwiał się i tylko z trudem odzyskał równowagę. Niuchanie tego towaru nie było chyba szczególnie mądrym pomysłem,

uznał.

Był w Nowym Chicago od tygodnia, a może dwóch i wciąż dokuczało mu szczególne uczucie zagubienia, jakie zawsze budziło w nim to miasto. Przebywał tu czwarty raz i zawsze czuł się tak samo. Nowe Chicago było jedynym ze zrekonstruowanych na tym świecie miast, które swe pierwotne wcielenie miało po jego macierzystej epoce. Gdy on odbierał je jako

wysuniętą placówkę niepojętej przyszłości, obywatele dostrzegali w nim tylko interesującą imitację odległej przeszłości. Paradoks ów przyprawiał Phillipsa o pełen rozterek i napięć chaos pojęciowy.

Jaki zaś los spotkał stare Chicago, nie mógł, oczywiście, wykryć. Zniknęło bez śladu, to było jasne: ani Water Tower, ani Marina City, ani Hancock Center, ani budynku Tribune, ani fragmentu, ani atomu. Ale nie było sensu pytać o poprzednika ich miasta jednego z przeszło miliona mieszkańców Nowego Chicago. Byli tymczasowymi i wiedzieli tylko tyle, ile powinni wiedzieć, a powinni wiedzieć tylko tyle, ile należało wiedzieć, by dla podtrzymania iluzji żyjącego miasta pokonać bezbłędnie rytuał gestów odpowiadających rolom poszczególnych jego mieszkańców. Znajomość historii starożytniej nie była tu potrzebna.

I, rzecz jasna, mało prawdopodobne, by mógł się czegoś dowiedzieć od obywateli. Obywatele nie sprawiali wrażenia szczególnie zainteresowanych kwestiami naukowymi. Phillips nie miał żadnego powodu sądzić, że świat, z ich punktu widzenia, jest czymś więcej niż lunaparkiem. Gdzieś musieli być z pewnością ci, którzy specjalizowali się w poważnych studiach nad zaginionymi cywilizacjami, bo jak w przeciwnym razie miałyby zostać powołane do istnienia owe niesamowite rekonstrukcje miast?

Planiści, posłyszał kiedyś słowa Nissandry albo Aramayne, zagłębili się już w swych bizantyńskich studiach.

Ale kim byli planiści? Nie miał pojęcia. Z tego, co wiedział, mógł nawet sądzić, że robotami. Może roboty są prawdziwymi władcami całej epoki, tworzą zaś miasta nie tylko ku rozrywce obywateli, lecz w pracochłonnej próbie zrozumienia życia świata, który minął. Obłądana spekulacja, pomyślał, ale nie pozbawiona elementów prawdopodobieństwa.

Deprymowała go wesołość towarzystwa.

–Potrzebuję powietrza – powiedział Cantilenie i skierował się ku oknu. Było ledwie wąziutką sierpowatą szczeliną, ale przepuszczało powiew. Spojrzał na rozciągnięte w dole niezwykle miasto.

Prócz nazwy Nowe Chicago nie miało ze starym nic wspólnego, ale przynajmniej zostało wzniesione wzdłuż zachodniego brzegu wielkiego śródlądowego jeziora, które mogło nawet być jeziorem Michigan, choć kiedy nad nim przelatywał, wydało mu się szersze i dłuższe niż to zapamiętane. Samo zaś miasto było koronkową fantazją z wysmukłych pastelowych budynków, które sterczały pod dziwacznymi kątami spięte siecią falistych mostów wiszących. Ulice, jak długie nawiasy obejmujące jezioro, dotykały jego brzegów swymi północnymi i południowymi końcami, w środku zaś wdzięcznie wybrzuszały się ku zachodowi. Oś każdego z

wielkich bulwarów stanowiła oflankowana bujnym parkiem linia dla środków transportu publicznego – wysmukłych pojazdów-bąbli w kolorze akwamaryny sunących na bezgłośnych kołach. Było to miasto zadziwiająco piękne, ale jakieś niematerialne, rzekłbyś: utkane z jedwabiu i promieni słońca.

Za plecami Phillipsa rozległ się cichy głos:

–Zbiera ci się na wymioty?

Obejrzał się. Stał za nim seledynowy mężczyzna: zwarta, precyzyjna sylwetka, nieco orientalna z wyglądu. Skóra... Phillips dotąd takiej nie widział: miała odcień szarozielony i była tak gładka, jakby wykonano ją z najdelikatniejszej porcelany.

–Lekkie mdłości – odparł. – To miasto zawsze mnie rozstraja.

–Sądzę, że może niepokoić – rzekł człowieczek. Mówił pluszowo miękkim, nie zdradzającym uczuć, osobliwie modulowanym głosem. Odnosiło się wrażenie, że jest muskularny; miał w sobie coś kociego, nieustępliwego, prawie groźnego.

–Jesteś gościem, prawda?

Phillips przez moment badał go wzrokiem.

–Tak – odparł.

–Ja, oczywiście, też.

–Naprawdę?

–W rzeczy samej. – Człowieczek uśmiechnął się. – Jaką masz lokalizację? Dwudziesty wiek? Rzekłbym, najpóźniej dwudziesty pierwszy.

–Jestem z 1984. A.D. 1984.

Następny uśmiech, samozadowolenia. – Więc nieźle trafiłem. – Energiczne skinięcie głową. – Y'ang-Yeovil.

–Słucham? – powiedział Phillips.

–Y'ang-Yeovil... Tak się nazywam. Niegdyś pułkownik Y'ang-Yeovil z Trzeciej Septentriady.

–Czy to na jakiejś innej planecie? – zapytał z lekka oszołomiony Phillips.

–Och, nie, wcale nie – powiedział grzecznie Y'ang-Yeovil. – Na dokładnie tej samej, zapewniam cię. Jestem całkowicie ludzkiego pochodzenia. Obywatel Republiki Górnego Han, mieszkaniec miasta Port Ssu. A ty... wybacz... jak się nazywasz...?

–Przepraszam. Phillips. Charles Phillips. Z Nowego Jorku... dawno, dawno temu.

–Ach, Nowy Jork! – powiedział Y'ang-Yeovil z ożywieniem, które po chwili ustąpiło miejsca zmieszaniu. – Nowy Jork... Nowy Jork... był bardzo sławny, o ile wiem...

To okropnie dziwne, pomyślał Phillips. Poczuł teraz silniejsze współczucie dla biednego Francisa Willoughby'ego. Seledynowy człowiek pochodzi z czasów tak odległych od moich własnych, że ledwie słyszał o Nowym Jorku – musi być, w istocie, współczesny prawdziwemu Nowemu Chicago (ciekawe, czy ta wersja wydaje mu się autentyczna) – a przecież dla obywateli jest tylko prymitywnym, starożytnym kuriozum...

–Nowy Jork był największym miastem Stanów Zjednoczonych Ameryki – powiedział.

–Oczywiście. Tak. Bardzo sławnym.

–Ale, jak rozumiem, właściwie zapomnianym, kiedy na arenę dziejów weszła

**Republika Górnego Han?**

**–Między twoim czasem a moim doszło do pewnych zaburzeń – odparł zakłopotany Y'ang-Yeovil. – Ale w żadnym wypadku nie powinieneś z moich słów wyciągać wniosku, że twoje miasto zostało...**

**W pokoju rozbrzmiał nagły śmiech: na przyjęcie przybyła piątka czy szóstka nowych gości. Phillips wytrzeszczał oczy, pocił się, dyszał. Był tam z pewnością Stengard... i Aramayne u jego boku... i ta druga kobieta, na poły skryta za ich plecami...**

**–Zechciej na chwilę wybaczyć – powiedział, odwracając się raptownie od Y'ang-Yeovila. – Przepraszam, ktoś właśnie wszedł... osoba, którą próbowałem odnaleźć od...**

**Popędził do niej.**

**–Gioia! – krzyknął. – To ja! Zaczekaj! Czeka!**

**Na drodze stał mu Stengard. Zablokowała go również Aramayne, odwracając się ku Cantilenie, żeby wziąć garść wachadełek. Phillips przepychał się, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Gioia przechodząca właśnie przez drzwi, zatrzymała się i popatrzyła nań jak przerażona sarna.**

**–Nie odchodź – powiedział. Ujął jej dłoń.**

**Jej wygląd zaskoczył go. Jak wiele minęło czasu od ich osobliwego rozstania owej nocy misteriów w Czang-an? Rok? Półtora roku? Tak oceniał. A może stracił rachubę czasu? Czyż jego poczucie mijania dni i miesięcy stało się w tym świecie tak zawodne? Wyglądała na starszą o przynajmniej dziesięć albo dwadzieścia lat. Może naprawdę była, może lata mijały mu jak we śnie, a on nic o tym nie wiedział? Sprawiała wrażenie wyczerpanej, zszarzałej, zniszczonej. Ze szczuplejszej teraz i dziwnie zmienionej twarzy jej oczy gorzały ku niemu prawie wyzywająco, jakby chciały powiedzieć: Widzisz? Widzisz, jaka jestem teraz brzydka?**

**–Scigałem cię przez... nie wiem, jak długo to trwało, Gioio – powiedział. – W Mohendźo, w Timbuktu, teraz tutaj. Chcę być znów z tobą.**

**–To niemożliwe.**

**–W Mohendźo Belilala wszystko mi wyjaśniła. Wiem, że jesteś krótkoczasowcem... i wiem, co to znaczy, Gioio. Ale co z tego? Zaczynasz się trochę starzeć. No to co? Więc masz tylko trzysta albo czterysta lat zamiast wieczności. Czy nie sądzisz, że wiem, co to znaczy być krótkoczasowcem? Jestem prostym starożytnym człowiekiem z dwudziestego wieku, pamiętasz? Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt, osiemdziesiąt lat to wszystko, co jest nam dane. Cierpimy oboje na tę samą ułomność, Gioio. Oto co przyciągnęło cię ku mnie przede wszystkim. Jestem tego pewien. I oto dlaczego należymy teraz do siebie. Bez względu na to, ile zostało nam czasu, możemy spędzić go razem, czy nie pojmujesz?**

**–To ty nie rozumiesz, Charles – powiedziała miękko.**

**–Może... Może wciąż nie rozumiem ani jednej cholernej rzeczy o tym świecie. Z wyjątkiem tego, że ty i ja... że cię Kocham... i myślę, że ty Kochasz mnie...**

**–Kocham cię, tak. Ale nie rozumiesz. Właśnie dlatego, że cię Kocham, ty i ja... ty i ja nie możemy...**

Z westchnieniem rozpaczy wysunęła dłoń z jego uścisku. Sięgnęła znowu, ale odtrąciła go

i wycofała się szybko do korytarza.

–Gioia?

–Proszę – powiedziała. – Nie. Gdybym wiedziała, że tu będziesz, nigdy bym nie przyszła. Nie idź za mną. Proszę.

Odwróciła się i umknęła.

Stał długą chwilę, patrząc w ślad za nią. Pojawiły się Cantilena i Aramayne, uśmiechnęły się doń, jakby nic absolutnie nie zaszło. Cantilena podała mu fiolkę jakiejś roziskrzanej złocistej cieczy. Odmówił brutalnym gestem. Dokąd mam teraz iść, zastanawiał się. Co robić? Wrócił na przyjęcie.

Y'ang-Yeovil bezszelestnie znalazł się obok niego.

–Jesteś bardzo strapiony – zaszemrał.

Phillips spojrział nań wściekle. – Daj mi spokój!

–Może potrafiłbym ci pomóc.

–Nic tu nie pomoże – odparł Phillips. Obrócił się. Chwycił z tacy jedną z fiolek i wychylił ją do dna. Doznał uczucia rozdwojenia, jakby z każdej strony Y'ang-Yeovila stał jeden Phillips. Wypił następną. Teraz było go czterech. – Kocham obywatelkę – wymamrotał. Odnosił wrażenie, iż mówi chóralnie.

–Miłość. Ach. A czy ona kocha ciebie?

–Tak myślałem. Tak myślę. Ale jest krótkoczasowcem. Wiesz, co to znaczy? Nie jest nieśmiertelna jak inni. Starzeje się. Zaczyna wyglądać staro! I dlatego ode mnie ucieka. Nie chce, bym widział, jak się zmienia. Myśli, że wzbudzi to mój wstręt; tak przypuszczam. Próbowałem jej właśnie przypomnieć, że ja też nie jestem nieśmiertelny, że ona i ja możemy starzeć się razem, ale ona...

–Och, nie – powiedział cicho Y'ang-Yeovil. – Dlaczego sądzisz, że się zestarzejesz? Czy przez cały czas, jaki tu jesteś, postarzałeś się choć trochę?

Phillips się zmieszał. – Oczywiście, że tak. Ja... ja...

–Czyżby? – Y'ang-Yeovil uśmiechnął się. – Więc spójrz na siebie.

Uczył palcami jakiś skomplikowany gest i między nimi pojawił się migotliwy krąg lustrzanego światła. Phillips patrzył na swe odbicie. Spoglądała nań młodzieńcza twarz. Więc to prawda. Po prostu nie przyszło mu do głowy. Ile lat spędził już w tym świecie? Czas po prostu przemykał obok: wiele czasu, choć nie potrafił ocenić ile. Nie wyglądało na to, by przejmowano się tutaj mierzaniem upływu czasu, on więc również tego nie czynił. Ale musiało minąć wiele lat, pomyślał. Ta nie kończąca się podróż wzdłuż i w poprzek globu, tak wiele pojawiających się i znikających miast – Rio, Rzym, Asgard, te trzy przyszły mu do głowy jako pierwsze, a były przecież inne; prawie ich wszystkich nie pamiętał. Lata. Jego twarz wcale się nie zmieniła. Czas okazał się brutalny wobec Gioi, prawda, ale nie wobec niego.

–Nie rozumiem – powiedział. – Dlaczego się nie starzeję?

–Bo nie jesteś prawdziwy – odparł Y'ang-Yeovil. – Czyżbyś nie był tego świadom?

Phillips zamrugał powiekami. – Nie... prawdziwy?

–Sądzisz, że porwano cię z twego czasu cieleśnie? – zapytał mały człowieczek. –

Ach nie, nie, nie mają sposobu, żeby uczynić coś takiego. Nie jesteśmy prawdziwymi podróżnikami w czasie, ani ty, ani ja, ani żaden inny z gości. Sądziłem, że to wiesz. Ale być może pochodzisz z epoki zbyt wczesnej, by pojmować te sprawy. Jesteśmy bardzo przemyślnie zrobieni, przyjacielu. Jesteśmy sztucznymi tworcami cudownie nafaszerowanymi myślami, poglądami i wydarzeniami naszych czasów. Ich najdoskonalszym osiągnięciem, wiesz; daleko bardziej złożonym niż którekolwiek z tych miast. Jesteśmy krokiem dalej względem tymczasowych więcej niż krokiem, daleko więcej. Ci robią tylko to, co się im każe, są wąsko wyspecjalizowani. To w istocie tylko maszyny. Podczas gdy my jesteśmy autonomiczni: poruszamy się wedle własnej woli, myślimy, rozmawiamy, a nawet, tak to wygląda, zakochujemy się. Ale nie podlegamy starzeniu. Jak mielibyśmy się starzeć? Nie jesteśmy prawdziwi. Jesteśmy ledwie sztuczną siecią reakcji psychicznych. Ledwie złudą, wykonaną tak doskonale, żeśmy zwiedli nawet samych siebie. Nie wiedziałeś tego? Naprawdę nie wiedziałeś?

Leciał, przyciskając guziczki kierunkowe na chybił trafił. Zorientował się, że jakimś sposobem zmierza do Timbaktu. „To miasto jest zamknięte. Nie jest już miastem”. Nic go tu nie obchodziło. Dlaczego miałoby go cokolwiek obchodzić?

Narastała w nim wściekłość i dławiące uczucie rozpacz. Jestem programem, myślał. Tylko programem.

„Nieprawdziwy. Bardzo przemyślnie zrobiony. Sztuczny twór. Zwykła złuda.”

Z powietrza nie było widać ani śladu Timbaktu. Wylądował jednak. Szara piaszczysta gleba wyglądała na taką gładką i nieporuszoną, jak gdyby nic tu nigdy nie było. Kręciło się wciąż parę robotów, zajętych wykonywaniem ostatnich prac związanych z zamknięciem miasta. Dwa z nich przydreptały do Phillipsa. Wielkie połyskliwe srebrnoskóre owady, uprzejme, ale nie przyjazne.

–Nie ma tu miasta – powiedziały. – Nie jest to miejsce udostępnione.

–Udostępnione przez kogo?

–Nie ma powodu, dla którego miałbyś tu przebywać.

–Nie ma powodu, dla którego miałbym przebywać gdziekolwiek – rzekł Phillips.

Roboty zaczęły się wiercić i wydając z siebie pełne zakłopotania pomruki i złowieszcze trzaski wymachiwały antenami. Wyglądają na zbite z tropu, pomyślał. Chyba moja postawa nic budzi w nich zachwyty. Może narażam się na ryzyko odstawienia do szpitala dla zbuntowanych programów, na wyczyszczenie?

–Już odlatuję – powiedział. – Dzięki. Serdeczne dzięki.

Wycofał się z ich towarzystwa i wszedł do śmigacza. Przycisnął następne guziczki kierunkowe.

„Poruszamy się wedle własnej woli. Myślimy, mówimy, a nawet zakochujemy się.”

Wylądował w Czang-an. Tym razem u Bramy Olśniewającej Cnoty nie czekał nań komitet powitalny. Miasto wydawało się większe i bardziej oszalałające: nowe pagody, nowe pałace. Czuło się zimę: wiał zimny, szczypiący wiatr. Niebo było bezchmurne i oślepiająco jasne. Na stopniach Srebrnego Tarasu spotkał Francisa Willoughby'ego: wielkiego, potężnego, we wspaniałych szatach z brokatu, z ginącymi w ramionach dwiema filigranowymi tymczasowymi, ślicznymi jak jaspisowe statuetki.



–Cuda i dziwy! Szalony lunatyk także tu jest! – ryknął Willoughby. – Pomyśl, pomyśl, do dalekiegośmy trafili Kitaju, ty i ja!

Trafiliśmy donikąd, pomyślał Phillips. Jesteśmy ledwie złudą wykonaną tak doskonale, że zwiedliśmy samych siebie.

Do Willoughby’ego zaś powiedział:

–Wyglądasz w tych szatach jak cesarz, Francis.

–Ano, jak Prester John! – wrzasnął Willoughby. – Jak Tamerlan we własnej osobie! Ano! Czym nie jest majestatyczny!? – Radośnie klepnął Phillipsa w ramię, który zgięty niemal w pół tym przyjaznym choć ciężkim klapsem począł kaszleć i krztusić się. – W powietrzuśmy lecieli, jak orły czynią, jak demony, jak aniołowie! Jak aniołowie! – Przysunął się do Phillipsa i pochylił głowę. – Zemknąłbym do Anglii, jeno mi rzekła ta dziewczka Belilala, że zaklęcie na mnie ciąży i do Anglii nie puści; więcemy ruszyli do Kitaju. Powiedz, bracie, rzecz taką: będziesz mi świadkiem, kiedy na powrót Anglię ujrzymy? Przysięgniesz, że wszystko, co nas spotkało, po prawdzie się działo? Albowiem lękam się, że mnie szalonym okrzykną jak Marco Polo, kiedy opowiem, jakem do Kitaju leciał.

–Jeden szaleniec świadczący za drugim? – spytał Phillips. – I co ci mam powiedzieć? Ciągłe myślisz, że dotrzesz do Anglii, co? – Dochodziła w nim do głosu wrząca rozpalona wściekłość. – Ach, Francis, Francis, czy znasz waszego Szekspira? Chadzasz do teatru? Nie jesteśmy prawdziwi. N i e j e s t e ś m y p r a w d z i w i ! Jesteśmy taką materią, z której utkane są sny, my obaj. Niczym więcej! O nowy, wspaniały świecie! Jaka Anglia? Gdzie? Nie ma Anglii. Nie ma Francisza Willoughby’ego. Nie ma Charlesa Phillipsa. Jesteśmy tylko...

–Daj mu spokój, Charles – wtrącił nagle chłodny głos. Odwrócił się. Belilala w szatach cesarzowej schodziła ze stopni Srebrnego Tarasu.

–Znam prawdę – rzekł z goryczą. – Y’ang-Yeovil mi powiedział. Gość z dwudziestego piątego wieku. Spotkałem go w Nowym Chicago.

–Czy widziałeś tam również Gioię? – zapytała Belilala. – Przez moment. Wygląda na dużą starszą.

–Tak, wiem. Była tu ostatnio.

–I ruszyła dalej, przypuszczam.

–Tak, znów do Mohendzo. Jedź za nią, Charles. Daj biednemu Francisowi spokój. Powiedziałam jej, żeby zaczekała na ciebie. Powiedziałam, że jesteś jej potrzebny i że ona jest potrzebna tobie.

–Bardzo to z twojej strony ładnie. Ale jaki z tego pożytek, Belilalo? Ja nawet nie istnieję, a ona umrze.

–Istniejesz. Jak możesz wątpić w to, że istniejesz? Czujesz, prawda? Cierpisz. Kochasz. Kochasz Gioię: czy tak nie jest? I jesteś kochany przez Gioię. Czy Gioia mogłaby kochać coś nierzeczywistego?

–Myślisz, że mnie kocha?

–Wiem, że kocha. Jedź do niej, Charles! Jedź! Powiedziałam, żeby czekała na ciebie w Mohendzo.

Otępiały Phillips przytaknął. Cóż było do stracenia? – Jedź do niej – powtórzyła

**Belilala. – Zaraz.**

**–Tak – odparł Phillips. – Ruszę natychmiast.**

**Zwrócił się ku Willoughby'emu: – Jeśli kiedykolwiek spotkamy się w Londynie, przyjacielu, będę za tobą świadczyć. O nic się nie martw. Wszystko będzie w porządku, Francis.**

**Opuścił ich i wziął kurs na Mohendžo-daro, na poły oczekując, że znajdzie roboty niszczące już miasto. Mohendžo-daro jednak wciąż istniało, wcale nie piękniejsze niż uprzednio. Poszedł do łaźni sądząc, że może znajdzie tam Gioię. Nie znalazł, ale natknął się na Nissandrę, Stengarda i Fenimona.**

**–Poleciała do Aleksandrii – rzekł Fenimon. – Chce ją zobaczyć jeszcze raz przed zamknięciem. Są już prawie gotowi z Konstantynopolem. Stolicą Bizancjum, wiesz? Wielkim miastem nad Złotym Rogiem. Kiedy otworzy się Bizancjum, zabiorą Aleksandrię, rozumiesz. Mówią, że będzie cudowne. Naturalnie zobaczymy się podczas otwarcia?**

**–Naturalnie – odparł Phillips.**

**Poleciał do Aleksandrii. Czuł się zagubiony i strudzony. To wszystko jest beznadziejnym szaleństwem, mówił sobie. Jestem tylko kukielką podrygującą na sznurkach. Ale gdzieś nad lśniącymi falami Morza Arabskiego poczęły przenikać do jego umysłu głębsze implikacje czegoś, co powiedziała mu Belilala, i poczuł, jak gorycz, gniew i rozpacz wyciekają zeń stopniowo. „Istniejesz. Jak możesz wątpić w to, że istniejesz? Czy Gioia kochałaby coś nierzeczywistego?” Oczywiście. Oczywiście. Y'ang-Yeovil się mylił: goście byli czymś więcej niż zwykłą iluzją. W rzeczy samej Y'ang-Yeovil ujął w słowa prawdę o ich kondycji, nie rozumiejąc, co właściwie mówi: „Myślimy, mówimy, zakochujemy się...” Tak, tu tkwiło sedno sprawy. Goście mogli być sztuczni, ale nie byli nierzeczywiści. To właśnie ubiegłej nocy próbowała powiedzieć mu Belilala. „Cierpisz. Kochasz. Kochasz Gioię. Czy Gioia pokochałaby coś nierzeczywistego?” Z pewnością był prawdziwy, a przynajmniej dostatecznie prawdziwy. Był czymś niezwykłym, czymś, zapewne, całkowicie niepojętym dla tych ludzi dwudziestego wieku, których miał uosabiać. Ale nie znaczyło to wcale, że jest**

**nierzeczywisty. Czy trzeba się zrodzić z kobiety, żeby być rzeczywistym? Nie. Nie. Nie. Nie musiał się tego wstydzić. A zrozumiawszy to, pojął zarazem, że Gioia nie musi zestarzeć się i umrzeć. Był sposób, w jaki można ją uratować. Gdyby tylko zechciała zeń skorzystać. Gdyby zechciała.**

**Gdy tylko wylądował w Aleksandrii, podążył do hotelu na zboczu Paneum, gdzie zatrzymali się podczas swej pierwszej, tak bardzo dawnej wizyty; i była tam, siedząc na patio z widokiem na port i Latarnię. Biły z jej postawy jakieś uspokojenie i rezygnacja. Poddawała się. Nie miała już nawet sił, by przed nim umykać.**

**–Gioia – powiedział miękko.**

**Wyglądała na starszą niż w Nowym Chicago. Jej twarz była ściągnięta i ziemista, a oczy zapadły się; przestała nawet czynić starania, by skryć białe pasma ostro kontrastujące z czernią jej włosów. Usiadł obok niej, położył dłoń na jej dłoni i spojrzał na obeliski, pałace, świątynie, Latarnię. I w końcu powiedział: Wiem już, kim**

**naprawdę jestem.**

**–Tak, Charles? – Głos jej brzmiał tak, jakby dochodził z bardzo daleka.**

**–W mojej epoce nazywaliśmy to programem. Jestem tylko zespołem nakazów, reakcji, odsyłaczy – sterującym rodzajem sztucznego ciała. Jest to program nieskończenie doskonalszy, niż my mogliśmy sobie wyobrazić. Ale, w końcu, zaczynaliśmy wówczas dopiero poznawać te rzeczy. Napompowano mnie do pełna dwudziestowiecznymi odruchami, właściwymi nastrojami, apetytami, irracjonalizmami, wojowniczością odpowiedniego typu. Kto; mnóstwo wie o tym, co znany być człowiekiem dwudziestego stulecia. Willoughby to też dobra robota, ta cała elżbietańska retoryka i junakieria. I sądzę, że trafili też z Y'ang-Yeovilem. On zdaje się tak myśleć, a któż może osądzić lepiej? Dwudziesty piąty wiek, Republika Górnego Han, ludzie o szarozielonej skórze, pół-Chińczycy, pół-Marsjanie, na ile mogę ocenić. Ktoś wie. Ktoś tu jest bardzo dobry w programowaniu, Gioio.**

**Nie patrzyła na niego.**

**–Czuję strach, Charles – powiedziała w ten sam nieobecny sposób.**

**–Przede mną? Przed tym, co mówię?**

**–Nie, nie przed tobą. Czy nie widzisz, co się ze mną stało? – Widzę. Są zmiany.**

**–Żyłam długi czas, zastanawiając się, kiedy nastąpią. Myślałam, że może nie nastąpią, nie naprawdę. Kto chciałby wierzyć, że będzie stary? Ale zaczęły się, kiedy byliśmy w Aleksandrii po raz pierwszy. W Czang-an pogłębiły się. A teraz... teraz...**

**–Stengard mówi, że wkrótce otwierają Konstantynopol powiedział gwałtownie.**

**–No i...?**

**–Nic chcesz tam być podczas otwarcia?**

**–Robię się stara i brzydka, Charles.**

**–Pojedziemy do Konstantynopola razem. Wyruszymy jutro, co? Co powiesz?**

**Wynajmiemy łódź. To szybki krótki skok wprost przez Morze Śródziemne.**

**Pożeglować do**

**Bizancjum! Był kiedyś wiersz, w moich czasach. Nie zapomniany, sądzę, bo włączono go w mój program: minęły wszystkie te tysiąclecia, a ktoś pamięta starego Yeatsa! „Dla młodych, wzajem w swych ramionach, dla ptaków wśród gałęzi drzew.”**

**Jedź ze mną do Bizancjum, Gioio.**

**Wzruszyła ramionami.**

**–Z takim wyglądem? Wstrętniejsza z godziny na godzinę? Gdy oni pozostaną młodzi na zawsze? Gdy ty... – zająknęła się, jej głos załamał się i umilkł.**

**–Skończ zdanie, Gioio.**

**–Proszę. Daj mi spokój.**

**–Chciałaś powiedzieć „Gdy ty też, Charles, zostaniesz na zawsze młody”, nieprawdaż? Wiedziałaś przez cały czas, że ja nie zmienię się nigdy. Ja nie wiedziałem, ale ty – tak.**

**–Tak. Wiedziałaś. Udawałam, że jest inaczej, że gdy ja się starzeję, ty starzejesz się również. W Czang-an, kiedy zobaczyłam pierwsze prawdziwe oznaki... to wtedy pojęłam, że dłużej nie mogę z tobą zostać. Bo patrząc na ciebie, zawsze młodego, zawsze w tym samym wieku, patrzyłabym na siebie i... – uniosła rozłożone dłonie. –**

Więc dałam cię Belilali i uciekłam.

–Tak niepotrzebnie, Gioio.

–Wówczas nie sądziłam...

–Ale nie musisz się starzeć. Jeśli tylko zechcesz!

–Nie bądź okrutny, Charles – powiedziała bezbarwnie. Przed tym, co mnie czeka, nie ma ucieczki.

–Ależ jest! – zaprzeczył.

–Nic nie wiesz o tych sprawach.

–Niezbyt wiele, zgoda – przyznał. – Ale wiem, jak to można zrobić. Może to prymitywny, dwudziestowieczny, toporny rodzaj rozwiązania, ale myślę, że skuteczny. Ten pomysł chodził mi po głowie, odkąd opuściłem Mohendzo. Powiedz mi taką rzecz Gioio: dlaczego nie możesz do nich iść, do tych programistów, twórców, planistów, kimkolwiek są, do tych, co stwarzają miasta, tymczasowych i gości, i kazać się przerobić na coś takiego jak ja?

Zdumiona podniosła wzrok. – O czym ty mówisz?

–Dysponując jedynie fragmentarycznymi dokumentami mogą wykombinować z nicości dwudziestowiecznego człowieka i jeszcze uczynić go przekonującym, prawda? Albo szesnastowiecznego, albo z jakiegokolwiek innej ery... i jest autentyczny, sugestywny. Dlaczego więc z tobą nie miałyby się im udać jeszcze lepiej? Stworzyć Gioię tak realną; że nawet Gioia nie zdoła odróżnić jej od tej pierwotnej? Ale Gioię, która nigdy się nie zestarzeje – Gioię-wytwór, Gioię-program, Gioię-gościa? Dlaczego nie? Powiedz, Gioio, dlaczego nie?

Dygotała. – Nigdy nie słyszałam, by zrobiono coś podobnego! – Czy jednak nie sądzisz, że to możliwe?

–Skąd mam wiedzieć?

–Oczywiście, to możliwe! Jeśli mogą tworzyć gości, mogą, tym bardziej, wziąć obywatela i stworzyć taki jego duplikat, który...

–Nigdy tego nie robiono. Jestem pewna. Nie wyobrażam sobie obywatela, który by się na to zgodził. Oddać swoje ciało... pozwolić przekształcić się w... w...

Pokręciła głową; sprawiało to wrażenie gestu po równi oszołomienia, co negacji.

–Jasne – powiedział. – Oddać ciało. Twoje naturalne ciało, twoje starzejące się, marszczące, coraz bardziej ułomne ciało krótkoczasowca. Co w tym strasznego?

Była bardzo blada. – To szaleństwo, Charles. Nie chcę już o tym mówić.

–Dla mnie to wcale nie wydaje się szaleństwem. – Nie możesz tego zrozumieć.

–Nie mogę? Ale mogę z całą pewnością zrozumieć lęk przed śmiercią. Nie ram wielkich kłopotów ze zrozumieniem, jak to jest, gdy należy się do garstki podlegających starzeniu ludzi w świecie, gdzie nikogo to nie dotyczy. Nie rozumiem tylko, dlaczego nie chcesz nawet rozważyć tej możliwości.

–Nie – odparła. – Powiadam ci, to szaleństwo. Będą się ze mnie śmiać.

–Kto?

–Wszyscy moi przyjaciele. Hawk, Stengard, Aramayne... raz jeszcze odwróciła odeń wzrok. – Bywają okrutni nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Gardzą wszystkim, co uważają za pozbawione wdzięku, wymęczone, rozpaczliwe i

tchórzliwe. Obywatele nie robią wymęczonych rzeczy. A tak to będzie wyglądać, zakładając, że jest wykonalne. Będą okropnie protekcyjni. Och, i bardzo mili, fakt: kochana Gioio, jakże się cieszymy... ale za moimi plecami wybuchną śmiechem. Będą o mnie wygadywać najokropniejsze złośliwości. Nie zniosę tego.

–Mogą sobie pozwolić na śmiech – rzekł Phillips. – Łatwo być dzielnym i opanowanym w obliczu śmierci, gdy się ma gwarancję wiecznego życia. W jakimże są szczęśliwym położeniu; ale dlaczego jedyną, która zestarzeje się i umrze, masz być ty? I, tak czy owak, nie będą się śmiać. Nie są tak okrutni, jak sądzisz. Płytcy, może, ale nie okrutni. Będą radzi, że znalazłaś drogę ratunku. Przynajmniej przestanie ich dręczyć związane z tobą poczucie winy i to ich ucieszy. Możesz...

–Przestań – poprosiła.

Wstała i podszedłszy do balustrady patio zapatrzyła się w morze. Stanął za nią. Czerwone żagle w porcie, słońce migocące na ścianach Latarni, pałace Ptolemeusza doskonale białe na tle nieba. Lekko położył dłoń na jej ramieniu. Drgnęła, jak gdyby chcąc się odsunąć, ale pozostała na miejscu.

–Więc mam inny pomysł – powiedział cicho. – Jeśli ty nie pójdziesz do planistów, ja to zrobię. Przeprogramujcie mnie, powiem. Ustawcie mnie tak, żebym starzał się w tym samym tempie, co ona. Będzie to przynajmniej bardziej autentyczne, jeśli mam już odgrywać rolę człowieka dwudziestowiecznego. W miarę upływu lat na mojej twarzy pojawią się

zmarszczki, posiwieją włosy, zacznę chodzić trochę wolniej – zestarzejemy się razem, Gioio. Do diabła z twymi pięknymi nieśmiertelnymi przyjaciółmi! Mamy siebie. Nie będą nam potrzebni.

Odwróciła się gwałtownie. Jej oczy rozszerzone były przerażeniem.

–Czy mówisz poważnie, Charles?

–Oczywiście.

–Nie – wyszeptała. – Nie. Wszystko, co mi dziś powiedziałaś, jest monstrualnym nonsensem. Czy tego nie pojmujesz? Sięgnął po jej dłoń i zamknął w swojej czubki jej palców.

Próbuję tylko dla ciebie i mnie znaleźć jakiś sposób, żeby...

–Nie mów nic więcej – powiedziała. – Proszę.

Szybko, jakby cofając się przed nagle rozgorzałym płomieniem, wyszarpnęła palce i schowała dłoń za plecami. Choć ich twarze odległe były od siebie ledwie o parę cali, poczuł, jak otwiera się między nimi niezglębiona przepaść. Patrzyli na siebie przez chwilę, a potem Gioia zwinnie obróciła się w lewo, przemknęła obok Phillipsa i wypadła z patio.

Oszołomiony patrzył, jak biegnie długim marmurowym korytarzem, a potem znika z pola widzenia. Pomyślał, że pościg byłby szaleństwem. Utracił ją. To było jasne, to było niewątpliwe. Przerażał ją. Czemu przysparzać jej udręki? Ale mimo to przekonał się, że biegnie przez sale hotelu, a potem wąską ogrodową ścieżką ku chłodnym zielonym gajom Paneum. Sądził, że dostrzega ją w portyku pałacu Hadriana, ale kiedy tam dotarł, pełne ech kamienne sienie były puste.

–Czy widziałeś przechodzącą tędy kobietę? – spytał tymczasowego, który

zamiatał schody.

Jedyną odpowiedzią było puste posępne spojrzenie. Phillips zaklął i zawrócił.

–Gioia! – zawołał. – Czekaj! Wróć!

Czy to ona weszła do Biblioteki? Minał oszołomionych, mamroczących bibliotekarzy i popędził między regałami, zaglądając w mroczne korytarze za stosami zwojów o podwójnych rączkach. Gioia! Gioia!

Profanował swym rykiem to ciche miejsce, ale nic go to nie obchodziło.

Wypadłszy z bocznych drzwi, pognął do portu. Latarnia! Ogarnęło go przerażenie. Mogła już przejść po rampie sto kroków w drodze ku parapetowi, z którego zamierza rzucić się w dół. Roztrącając obywateli i tymczasowych jak żdźbła trawy, wbiegł do środka. I w górę, nie zatrzymując się dla złapania oddechu, choć jego syntetyczne płuca błagały o chwilę ulgi, a przemysłnie zaprojektowane serce waliło rozpaczliwie. Mignęła mu, sądził, na pierwszym balkonie, ale nie znalazł jej, gdy go okrążył. Dalej, do góry. Dostał się na szczyt, do samej komory latarnianej: ani śladu Gioi. Czy wyskoczyła? Czy może zeszła drugą rampą, gdy on wspinał się pierwszą? Przyłgął do krawędzi i wbił wzrok w dół, przeszukując podstawę Latarni, skały przybrzeżne, groble. Ani śladu Gioi. Gdzieś ją odnajdę, pomyślał. Będę szukać, aż znajdę. Zbiegał w dół, wykrzykując jej imię. Gdzie teraz? Do świątyni Posejdona? Do grobowca Kleopatry? Chwiejąc się na nogach, oszołomiony, stanął na środku ulicy Canopus.

–Charles? – usłyszał.

–Gdzie jesteś?

–Tu. Obok ciebie.

Rzekłbyś, zmaterializowała się z powietrza. Jej twarz nie była zarumieniona, suknia nie miała śladu potu. Czy pędził przez miasto za uludą? Podeszła bliżej i ująwszy jego dłoń powiedziała miękko:

–Czy naprawdę myślałeś o tym, by uczyniono cię kimś, kto może się starzeć?

–Tak. Gdyby nie było innej drogi.

–Ta inna droga jest tak przerażająca, Charles.

–Naprawdę?

–Nawet nie możesz pojąć jak.

–Bardziej przerażająca niż starzenie się? Niż śmierć?

–Nie wiem – odparła. – Myślę, że nie. Jedyną rzeczą, co do której mam pewność, jest to, że nie chcę, byś ty się starzał, Charles.

–Ależ nie muszę. – Utkwił w niej wzrok.

–Nie – powiedziała. – Nie musisz. Nie musi żadne z nas. Phillips uśmiechnął się. – Zabierzmy się stąd – powiedział po chwili. – Jedźmy do Bizancjum, dobrze, Gioio? Pokażemy się w Konstantynopolu na otwarciu. Będą tam twoi przyjaciele. Powiemy im, cośmy postanowili. Będą wiedzieć, jak to zaaranżować. Ktoś będzie wiedzieć.

–To brzmi tak niezwykle – powiedziała Gioia. – Przekształcić się w... w gościa? W gościa w moim własnym świecie?

–A jednak zawsze byłeś kimś takim.

–Tak sądzę. W pewnym stopniu. Ale przynajmniej dotychczas byłam prawdziwa.

–Podczas gdy ja nie jestem?

–A jesteś, Charles?

–Tak. Równie prawdziwy jak ty. Zrazu byłem zły, kiedy poznałem prawdę o sobie. Ale zacząłem ją akceptować. Gdzieś między Mohendźo a tym miastem zacząłem rozumieć, że dobrze jest być tym, kim jestem: że postrzegam rzeczy, formułuję myśli, wyciągam wnioski. Zostałem znakomicie zaprogramowany, Gioio, wiesz o tym. Nie potrafię dostrzec różnicy między „być sobą” a „być zupełnie żywym”, i to „być sobą” jest dla mnie dostatecznie prawdziwe. Myślę, czuję, doświadczam bólu i radości. Jestem akurat tak prawdziwy, jak być powinienem. I ty też będziesz. Nigdy nie przestaniesz być Gioią, wiesz? Tylko swe ciało odrzucisz, to ciało, które w każdym bądź razie tak cię okropnie zawiodło. – Musnął dłonią jej policzek. – Powiedziano to za nas już wcześniej, dawno temu:

*Kiedy się z ciała ma dusza wywikła*

*Już nigdy żywych nie oblecze kształtów, Raczej w pracowni greckiego złotnika W emaliowany zamknie się medalion, Aby ospała Cesarza powieka W podziwiewie ciężkie rzesy podźwignęła...*

–Czy to ten sam wiersz? – spytała.

–Tak, ten sam. Starożytny wiersz, który nie został jeszcze zupełnie zapomniany.

–Dokończ, Charles.

*Albo zakuta w szeleszczące listki Złotej gałęzi dworom bizantyńskim Zanuci długą pieśń o przemijaniu.*

–Jakże piękny! Co to znaczy?

–Że śmierć nie jest koniecznością. Że możemy pozwolić się wchłonąć tworam wiecznym, że możemy ulec przeistoczeniu, możemy iść dalej, porzuciwszy swą cielesną powłokę. Yeats nie miał na myśli dokładnie tego samego, co ja – nie pojąłby nawet w części tego, o czym rozmawiamy, ani słowa... a przecież... a przecież jego przesłanie jest takie same. Żyj, Gioio! ze mną!

Zwrócił się ku niej i zobaczył, że rumieniec okrywa jej blade policzki.

–To, co sugeruję – powiedział – nie jest pozbawione sensu, prawda? Spróbujesz, zgoda? Jak sądzisz: czy tego, kto tworzy gości, można nakłonić do przetworzenia ciebie, Gioio? Jak sądzisz? Zdoła to uczynić?

Prawie niedostrzegalnie skinęła głową.

–Tak myślę – powiedziała cicho. – To zupełnie niezwykle. Ale sądzę, że możliwe. Czemu nie, Charles? Czemu nie?

–Właśnie – odparł. – Czemu nie?

Rankiem wynajęli w porcie łódź – niskie wąskie czółno z krwistoczerwonym żaglem – której szyprował tymczasowy o łotrzykowatym wyglądzie i zaraźliwym uśmiechu. Phillips przysłonił oczy i spojrzał ponad morzem ku północy. Miał wrażenie, iż dostrzega niemal sylwetkę wielkiego miasta rozciągniętego na siedmiu swych wzgórzach, Nowy Rzym Konstantyna nad Złotym Rogiem, potężną kopułę Hagii Sophii, posępne mury cytadeli, pałace, kościoły, Hippodrom i górującego nad wszystkim Chrystusa w chwale, rozświetloną złościście słoneczną mozaikę.

–Bizancjum – powiedział Phillips. – Wież nas tam najkrótszą i najszybszą drogą.

**–Z wielką przyjemnością – odparł przewoźnik z nieoczekiwaną galanterią.**

**Gioia uśmiechnęła się. Równego ożywienia nie widział w niej od czasu cesarskiej**

**uczty**

**w Czang-an. Wziął ją za rękę – smukłe palce lekko drżały – i pomógł wsiąść do łódki.**

***Przełożył Andrzej Ziembicki***

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-16

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*